

DMITRY GLUKHOVSKY

UNIVERSUM  
METRO  
2033

SIERGIEJ NIEDORUB  
CZERWONY  
WARIANT

DMITRY GLUKHOVSKY



SIERGIEJ NIEDORUB  
**CZERWONY**  
**WARIANT**

przekład

PAWEŁ PODMIOTKO

 **Insignis**

Tytuł oryginału  
Метро 2035: Красный вариант  
Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2018  
Copyright © Siergiej Niedorub, 2018  
All rights reserved. The moral law of the authors has been  
asserted  
Pomysł serii Dmitry Glukhovsky, 2018  
Przekład z języka rosyjskiego  
Paweł Podmiotko  
Projekt okładki  
Paweł Bondarenko  
Plan metra  
Leonid Dobkacz  
Projekt polskiego logotypu serii  
Tomasz Brzozowski  
Redakcja  
Danuta Porębska, Tomasz Porębski  
Korekta  
Marcin Piątek  
Skład  
Tomasz Brzozowski, Julia Diduch  
Konwersja do wersji elektronicznej  
Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2018

ISBN 978-83-66071-53-7

Insignis Media  
ul. Lubicz 17D/21-22, 31-503 Kraków  
tel. +48 (12) 636 01 90

# I

## WYDARZENIE

---

### ROZDZIAŁ 1

#### Łukjanowska

W wiecznym świetle stacyjnych lamp szyna lśniła czerwienią niczym niekończący się południk łączący dwa krańce Wszechświata. Siedzący na kolejowym podkładzie sześćioletni Jegorka znał jego granice jak nikt inny. Już w wieku trzech lat opanował mapę świata, który zaczynał się na północnej bramie stacji Łukjanowska, a kończył na południowej. Jednak czasem dochodziło do czegoś niewiarygodnego: wrota otwierały się na pustkę i nieprzeniknioną ciemność. Jegorka bał się otwartych wrót, ale dziecięca ciekawość brała górę, dlatego razem z kolegami zawsze biegł zobaczyć, co się wydarzy tym razem. Najpierw zdziwił się, że szyna nie kończyła się w bramie – ciągnęła się dalej, w ciemność. Za drugim razem zdumiał się, widząc, że jest tam i druga szyna, biegnąca obok pierwszej, w obrębie stacji była zwykle zawalona różnymi pudłami, złomem, sznurami i innymi cennymi dobrami, które aż prosiły się, żeby je zbadać. Ponurzy mężczyźni przeganiali Jegorkę precz, tak że za każdym razem po zamknięciu wrót kompletnie zapominał o drugiej szynie. Po co pamiętać o czymś, co nie migocze?

Czasem Jegorka widział, jak przed zaporą zbierali się straganiarze. Tym dziwnym słowem nazywano dorosłych

z ciężkimi plecakami, którzy grupami liczącymi sześciu, ośmiu ludzi wychodzili w ciemność. Jegorka nie mógł pojąć, dokąd idą. Opowiadano mu, że jeśli długo iść przez mrok, to wcześniej czy później dojdzie się do innej stacji. Jegorka oczywiście w to nie wierzył. Świat zaczynał się i kończył wrotami.

Ale bywały dni, kiedy z ciemności dawał się słyszeć tajemniczy turkot, jakby wszyscy mieszkańcy zaczęli zgodnie walić młotkami w szynę. Razem z kurzem i chłodem pojawiał się obcy zapach i na Łukjanowską wtaczała się drezyna – prawie taka sama jak niektóre zabawki Jegorki, ale znacznie, znacznie większa. Z drezyny zeskakiwali nieznanymi straganiarze, a czasem nawet dzieci, których Jegorka wcześniej nie widział. Kto wie, może inne światy istniały naprawdę...

Jeśli nawet Jegorka nie wiedział, po co wszyscy ci ludzie wychodzili z ciemności, to doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego przywozili tu swoje dzieci. W końcu tylko na Łukjanowskiej była szkoła dla dzieci z mroku, „jedyna w całym metrze”, jak kiedyś usłyszał i zapamiętał. Tego, czym jest „metro”, wtedy mu nie wytłumaczyli. Metro to pewnie stacja i ciemność razem wzięte.

Pogrążony w marzeniach, Jegorka nie od razu usłyszał, jak wrota zaczynają wydawać znajomy dźwięk. Ale zaraz, przytknąwszy ucho do szyny, wyczuł rytmiczne wibracje. Jedzie następna drezyna.

Nauczyciel Jon czasem wychodził w ciemność, żeby odszukać w niej nowe dzieci i przywieźć na Łukjanowską, gdzie uczyły się w szkole. Potem wywożono je z powrotem. Sam Jegorka na razie nie chodził do szkoły, ale jeśli miał ochotę posiedzieć obok i posłuchać, nikt go nie przeganiał. Podjął stanowczą decyzję, że kiedy dorośnie, też będzie się dobrze uczyć, żeby nie wywieźli go w ciemność. Świat i bez tego był zbyt wielki.

\*\*\*

- Witam – zadudnił zarośnięty mechanik, unieruchamiając drezynę przy pomocy podłożonej pod koła płozy hamulcowej.
- Coś wcześniej pan przyjechał.

- Cześć, Dmitrij - powiedział Jon, zeskakując z drezyny na ojczystą stację. - Dzieci dziś mało, czterech chłopców i dziewczynka. Pozostałe dały dyla do stolicy.

- Czyli wagarują? - Mechanik zaczął pomagać straganiarzom wyładowywać wypchane toboły, podczas gdy Jon pilnował dzieci z ciekawością oglądających stację. - Pamiętam, że w swoim czasie też migąłem się od szkoły. Wszystko bym oddał, żeby wrócić do tamtych lat.

- Tamtych lat? Chwila, przecież ty musiałeś chodzić do szkoły jeszcze przed Katastrofą.

Dmitrij nie odpowiedział i nauczyciel zdał sobie sprawę, że trafił w czuły punkt. Na Łukjanowskiej nie zostało już wielu ludzi, którzy pamiętali świat sprzed wojny. Mieszkała tu głównie młodzież.

- Nie zostawajcie w tyle, dzieci - zakomenderował Jon. - Nie biegać po stacji! Później wam wszystko pokażę.

Dzieci niechętnie posłuchały. Nauczyciel tylko pokiwał głową. Jak można zabronić dziecku gapienia się z otwartą buzią na nowy świat, w którym jeszcze nigdy nie było? To sprzeczne z naturą ludzką. Dla małych mieszkańców Krzyża trafić na sąsiednią stację to jak znaleźć się na innej planecie. Chociaż teraz raczej mało który malec zrozumie, co to takiego „inna planeta”. Po Katastrofie zbyt wiele słów straciło sens, ale jeszcze więcej zyskało nowy.

Jon mógł tylko domyślać się własnego wieku, jak też wielu rówieśników, których Katastrofa zastała w dzieciństwie. Dla tak żarliwego wyznawcy nauk ścisłych jak on kwestia ta długo była bolesna. Starzy, widząc nauczyciela, dostrzegali jego młodzieńczy, wręcz kwitnący wygląd, szerokie bary i niezmiennie dobroduszne spojrzenie. Mało kto pamiętał, by Jon się złościł, o ile dyskusja nie dotyczyła przyszłości szkoły. Pełnoprawny obywatel Krzyża „tuż po dwudziestce” niepostrzeżenie zbliżył się do trzydziestych urodzin, ale wciąż nie zauważał w sobie szczególnych zmian. Znacznie ważniejszy od biologicznego wieku był status społeczny obywatela, a w tym obszarze Jon mógł patrzeć na swój szkolny namiot z dumą. Na przeżyte lata wskazywał co najwyżej kolor brody, jednak Jon

wolał regularnie się golić, tak więc wyglądem mało ustępował chłopakom ze zdjęć w przedwojennych czasopismach.

Właśnie w jednym z takich magazynów znalazł dla siebie pseudonim „Jon”. Tak niepasujący do błyszczącego papieru gazety termin fizyczny, którego wyjaśnienie roіło się od mnóstwa nowych, nieznanych sformułowań. Rzuciwszy tylko okiem na zawily tekst, przyszly nauczyciel uznał, że to krótkie, zapadające w pamięć słowo dokładnie oddaje istotę jego samego – wiecznego poszukiwacza wiedzy dawnego świata, poszukiwacza pozbawionego mentorów, którzy mogliby przekazać mu zebrane wcześniej informacje. Zupełnie tak samo nie mógł wyjaśnić swojej troski o następne pokolenia, w końcu nie miał własnych dzieci. Po prostu zbierał wszystkie książki, jakie mógł znaleźć, kupić czy wymienić, i nigdy nie skąpił zapłaty za ciekawą historię z ust jakiegoś straganiarza albo przypadkowego człowieka spotkanego na Łukjanowskiej. Jon uważał, że nie dość dać dziecku książkę, żeby opanowało materiał – nie, dla nauczyciela sprawą honoru było przeczytać książkę samodzielnie i dopiero potem wyjaśnić wszystko, co z niej zrozumiął.

Właśnie ten jego zwyczaj sprawił, że zwierzchnik Datapolis zwrócił na nauczyciela uwagę. Przywódca metra nie chciał spuszczać z oczu niepokojących młodych ludzi tłumaczących Prawdę innym, tym bardziej małoletnim, i to we własnej interpretacji. Jona wezwano do stolicy, gdzie po raz pierwszy spotkał się ze zwierzchnikiem, i wtedy Cyprys (w którym roku zdążył nadać sobie imię pochodzące od drzewa?) nagadał dość, żeby wzbudzić w Jonie chęć postawienia się zwierzchnikowi w jego własnym gabinecie. Właśnie w owej chwili pojawiła się myśl o własnej szkole. Choć do jej stworzenia było jeszcze daleko.

– Patrzcie, co potrafię! – rozległ się zawadiacki dziecięcy głosik i nauczyciel się wzdrygnął.

Przede wszystkim trzeba było zabrać dzieci jak najdalej od dreżyny. Razem z nimi na Łukjanowską przybyli trzej handlarze, którzy poza całą resztą przywieźli ze sobą cukier. Rarytas nawet dla dorosłych, a dzieci, żeby polizać odrobinę cukru, uciekłyby



i na powierzchnię, choć przecież nie wszystkie wierzą w jej istnienie. Sam Jon też bardzo lubił ten dziwny żółtawy piasek, szczególnie rozpuszczony w wodzie. Ale napój bogów można było znaleźć tylko w Datapolis, tylko w niektóre dni i za dziesięć nabołów. To psuło przyjemność z picia tego specjału, tak jakby okazywał się przesycony prochem, smarem maszynowym i co najgorsze, ekonomiką stolicy. W Datapolis były w obiegu wszystkie waluty spotykane na stacjach Krzyża, jednak Jon patrzył przychylnym okiem tylko na żetony. Nie na darmo przed Katastrofą to właśnie żetonami płaciło się przy wejściu do metra – był to najwyraźniej najbardziej elitarny rodzaj transportu, dostępny tylko wybranym. Wszystko, co kupowało się za naboje, było uważane za coś nieczystego, i większość mieszkańców stolicy wolała trzymać się z dala od tego rodzaju towarów i usług. Jednak cukru inaczej niż za naboje nie można było kupić, ponieważ zdobywali go wyłącznie stalkerzy Metrogradu, którzy nie uznawali innych pieniędzy poza takimi, którymi można strzelać.

Jon wzdrygnął się na myśl o tych strasznych ludziach. Stalkerzy Metrogradu... Kim trzeba być, żeby żyć praktycznie na powierzchni, w podziemnym centrum handlowym, i do tego raz za razem wychodzić na górę, na świat zewnętrzny? A jednak przynosili najróżniejsze rzeczy, bardzo przydatne w Krzyżu, a kiedy indziej zwyczajnie przyjemne. Gdyby nie zapłata nabojami, można by było prowadzić z nimi interesy. Dobrze chociaż, że funkcję pośredników w handlu pełnią straganiarze...

– Nauczycielu, kiedy pojedziemy do domu? – spytał Timka, najmłodszy z całej piątki.

Jon zdał sobie sprawę, że się rozmarzył. Kiedy przed oczami stawał mu cukier, trudno było o nim nie myśleć. I tym razem też się nie udało. Uśmiechając się z zakłopotaniem, nauczyciel chciał już dodać Timce otuchy, ale od razu zrozumiał, że malec wcale nie chce do domu. Przeciwnie, marzy o tym, by zostać na Łukjanowskiej jak najdłużej.

W takich chwilach Jon był szczególnie dumny z ojczystej stacji. Oczywiście nie mogła się równać z przepychem Datapolis, jednak



jego zdaniem mieściła się w trójce najpiękniejszych. Do tego sam Timka pochodził z Placu Pocztowego, stacji dość biednej, z trudem wiążącej koniec z końcem dzięki produkcji ubrań i statusowi strefy celnej pomiędzy wytwornym kwartałem Kontraktowej i konserwatywnym, zamożnym Majdanem Niezależności. A biednemu jest szczególnie ciężko, kiedy jest wciśnięty między bogatych, którzy w dodatku ze sobą rywalizują.

Lawirując między ciasnymi drewnianymi konstrukcjami, Jon doprowadził dzieci do przestronnego namiotu, w całości pokrytego napisami reklamowymi. To właśnie była szkoła – drogocenny skrawek wolnego terenu, o który nauczyciel dobijał się prośbą i groźbą ponad rok. Jon wyklócał się z naczelnikiem stacji, z administracją Datapolis, a nawet z samym Cyprysem, broniąc konieczności stworzenia miejsca do nauki. Nie tak łatwo było wywalczyć choćby metr kwadratowy na małej Łukjanowskiej, tym bardziej na tak wydumane w opinii Cyprysa potrzeby jak edukacja. Po co komu szkoła, skoro każde dziecko Krzyża i tak mieszka z rodzicami, czy to prawdziwymi, czy przybranymi?

Po długich sporach zwierzchnik zaproponował Jonowi założenie szkoły w granicach Datapolis i młody nauczyciel od razu zrozumiał, skąd wieje wiatr. Cyprys nie chciał rozpraszać potencjalnej inteligencji i twórczej nadziei pokolenia, pozwalając jej tak po prostu dorastać w oddaleniu od stolicy. A jeśli z czasem pojawią się u niej jakieś własne przekonania polityczne...

Kiedy skończyły się argumenty, Jon uciekł się do ostatniego środka – głosowania dorosłych. I ten krok zagrał na jego korzyść. Od razu się okazało, że konieczność opieki nad dziećmi mocno ograniczała możliwości zarobkowe ludności. Co najmniej połowa rodzin Datapolis i pobliskich stacji rada była pozbyć się swoich pociech choć na kilka dni w miesiącu, żeby się wyluzować emocjonalnie, tylko kto w metrze zawierzy swoje dziecko nieznajomemu? Podbudowany Jon wyjaśnił to Cyprysowi na palcach, z trudem zwalczając pokusę użycia środkowego, i ostatecznie osiągnął to, co chciał. Szkoła dostała zielone światło.

- Wchodzimy - powiedział dziarsko nauczyciel, odsuwając

płachtę wiszącą nad wejściem do namiotu.

Dzieci z radosnymi okrzykami skryły się w środku. Szelest samolocików z papieru pospiesznie branych ze stołu sprawił, że Jon się uśmiechnął. Zawsze to jakaś odskocznia od świata dorosłych problemów...

Wszedł do namiotu i usiadł na szerokiej ławce. Wygładzone przez lata używania drewno było upstrzone rysami i dziurkami. Jon przyniósł tę deskę z północnego posterunku, gdzie służyła za podkładkę dla tarcz do ćwiczenia rzucania nożem. Jon prawie wszystko w tym namiocie zrobił z odpadów, zbierając ziarnko do ziarnka. I już od dawna namiot służył mu jako miejsce pracy, a czasem jako dom. Z tytułu zameldowania na Łukjanowskiej Jonowi należał się własny materac w jednym z męskich baraków dla kawalerów, jednak nauczyciel coraz częściej czuł się tam obco. Jego praca nad kształceniem dziecięcych umysłów była na stacji szanowana, ale było to raczej coś w rodzaju szacunku dla malującego obrazu – czyli chłop niby w robocie się męczy, tworzy jakąś wartość duchową, a mimo to w maszynach nie grzebie, na wartę na setny metr tunelu nie chodzi i w ogóle zajmuje się głupotami. Z równym powodzeniem Jon mógł wycinać fujarki ze świńskich kopyt.

Wystarał się o drugi śpiwór i trzymał go w namiocie, gdzie nikt nawet nie zaglądał. Tu też znajdował się zbiornik na wodę – dla dzieci jej nie żałowali i nauczycielowi zwykle przypadał w udziale dodatkowy litr dziennie na własne potrzeby.

Czasami razem z nauczycielem lekcje prowadziła Tatiana – pielęgniarka obdarzona wspaniałym talentem pedagogicznym. Taka dziewczyna wszędzie byłaby pożądaną obywatelką. Z początku wolała zająć się uczeniem dzieci, za co Jon był gotów paść jej do stóp. Jednak nie starczyło jej entuzjazmu na długo. Tania załatwiła sobie posadę stomatologa w elitarniej części Datapolis i zamieszkała we własnym segmencie wewnątrz czwartego pylonu Placu Lwa Tołstoja wyłożonego aluminium. Jon długo nie mógł jej wybaczyć tej zdrady, ale potem przypomniał sobie, że dzieci też mają zęby. Tak więc może i dobrze postąpiła.

- Przerabiamy podręczniki. - Jon położył na stole sześć egzemplarzy *Flory*.

Dzieci zaczęły oglądać obrazki, a nauczyciel wciąż siedział pogrążony w niewesołych rozmyślaniach. Sam nigdy nie zarobi na własny pylon w Datapolis. Były do tego potrzebne albo bardzo duże pieniądze, albo wybitne umiejętności pozwalające uzasadnić mieszkanie w centrum administracyjnym Krzyża. Z drugiej strony Jon niespecjalnie chciał opuszczać stację. No bo rzeczywiście, co mogła mu dać stolica? Nie zdoła dostać miejsca w administracji zwierzchnika ani w tym życiu, ani w przyszłym, jeśli takie nadejdzie. A pracować bezpośrednio dla Cyprysa nie pozwoli mu duma. Znacznie lepiej jest siedzieć w namiocie i czytać z dziećmi broszurę o roślinach, dyskutować o owadach w metrze, omawiać dziwne rzeczy zaobserwowane w tunelach i gawędzić na różne tematy. W świecie metra, który nastał po Katastrofie, i dzieciom, i dorosłym, oprócz bezpieczeństwa i czegoś do jedzenia, potrzebne było jedno - możliwość rozmowy z kimś, kto ich rozumie. Można powiedzieć, że całkiem nieźle się urządził.

Za to dzieciom poszczyliło się mniej. Weźmy choćby wspomnianego Timkę. Jego rodzina zajmowała się czyszczeniem ubikacji i chlewów dla świń na wielkiej fermie. Rzecz ważna, ale nie na tyle zaszczytna, żeby merostwo Placu Poczтового co tydzień opłacało ich synowi przejazd na Łukjanowską i z powrotem, wliczając w to dwudniowy pobyt. A przecież miejsce w dreźnie kosztuje. Przejazdzka przez cztery stacje, wliczając Datapolis, do której i bez tego nie każdy może wjechać za darmo - i lecą kopiejki. Dorośli przemierzali stolicę na własnych nogach za darmo, ale przecież nie można puścić dziecka piechotą po tunelach. Choćby nawet w granicach centrum znało się każdy kąt - za takie złamanie zasad i norm społecznych Cyprys sam siebie zdjąłby ze stanowiska.

Ośmioletni Timka mógł przychodzić do szkoły zaledwie raz, dwa razy w miesiącu, jeśli po drodze ukradkiem dorabiał czyszczeniem butów.

Machinalnie kartkując *Florę*, Jon przyglądał się pozostałym

dzieciom.

Następni według starszeństwa byli Żenia i Roma z Kłowskiej. Stacja początkowo nie wyróżniała się niczym szczególnym oprócz tego, że znajdowała się blisko centrum, tak więc była brana pod uwagę jako przestrzeń do rozszerzenia stolicy na wschód. Zdecydowano się jednak na Złote Wrota znajdujące się z przeciwnej strony. Potem wmieszał się Metrograd, któremu tłum cywili pod stopami nie dałby spokoju... W rezultacie stolicy w końcu nie powiększono. Może i tak było lepiej.

Po lewej stronie Romy siedziała dziesięcioletnia Zemfira, która pochodziła z bogatej rodziny. Ojciec był w przeszłości maszynistą w metrze, matka operatorką schodów ruchomych i wspólnie odpowiadali za schron przygotowany na wypadek wojny na Majdanie Niezależności. Nic dziwnego, że po Katastrofie znaleźli się w metrze jako jedni z pierwszych. Szkoła na Łukjanowskiej nie była jedyną rozrywką ich córki. Wpływy i pieniądze pozwalały rodzicom dziewczynki wozić ją od Pietrowki do Sławutycza, wliczając w to regularne podróże przez metromost. Normalnie rejs wycieczkowy. Chociaż jeśli odbywał się w hermetycznej drezynie ze scytyjskimi kupcami – była to całkiem niezła przygoda.

Ostatnim dzieckiem był jedenastoletni Wania z Mińskiej. Chociaż, biorąc pod uwagę jego doświadczenie życiowe i wiek określający jego zdolność do pracy, nie przypominał dziecka. Jego rodzice zginęli w zawale tunelu prowadzącego do stacji Bohaterów Dniepru. Mając dziewięć lat, Wania starał się przeżyć, tułał się od stacji do stacji, aż w końcu cudem przedostał się do Datapolis, gdzie przyłapano go na złodziejstwie. Przy czym nie ukradł piezzonego szczura z rusztu nad paleniskiem przy posterunku, ale żetony z prywatnych zapasów Brzozy, minister do spraw aprowizacji. Kiedy czterdziestoletnia Brzoza – surowa, ale na swój sposób dobra kobieta – znalazła w swoim prywatnym pylonie Wańkę grzebiącego w żelaznym sejfie, długo myślała, co z nim zrobić. W końcu odesłano go, by opiekował się plantacjami grzybów w wilgotnych podziemiach Złoty Wrót, ale pozwalano mu czasem jeździć do szkoły Jona. Przy czym nauczyciel był

skłonny uważać, że sam ma się czego nauczyć od beztroskiego Wańki.

– No, moi drodzy, przypomnijmy sobie zadanie domowe – zaproponował Jon, odkładając podręcznik. – Co mieliśmy zrobić? Kto odpowie? Roma?

– Opowiedzieć, kim chcemy zostać, kiedy dorośniemy – odparł Roma.

– Doskonale! Kto pierwszy?

– Mogę ja? – Żenia uniósł rękę.

– Oczywiście, że możesz.

– Chcę zostać architektem.

– Ach tak? – udał zdziwienie Jon. – Opowiedz, co robi architekt.

– Robi tak, że stacje są piękne.

– Chcesz powiedzieć, że buduje stacje?

– Nie. Robi tak, że są piękne.

– Rozumiem – uśmiechnął się Jon. – Czyli nie chcesz zostać budowniczym?

– Nie, chcę być architektem.

– I które stacje chcesz upiększać?

– Swoją. Kłowską. Żeby zrobiła się piękna jak Datapolis.

– Jasne. – Nauczyciel zwrócił się do Romy: – A tym kim chcesz zostać? Żenia będzie upiększać stacje, ale ktoś powinien je budować. Będziesz budowniczym?

– Będę kierować drezyną – odpowiedział dumnie Roma. – Dziś dali mi poprowadzić, kiedy jechaliśmy przez tunel.

– O rany! Sam machałeś dźwignią?

– No... – zająknął się chłopiec. – Pomagali mi.

– Dobrze. – Jon lekko się uśmiechnął. – Zemfira, a ty kim chcesz zostać?

Dziewczynka popatrzyła na niego i uśmiechnęła się, demonstrując wspaniałe zęby. Czym ona się odżywia? Na pewno nie stęchłą wieprzowiną. Kolczyki w uszach załśniły w przygaszonym świetle lampy elektrycznej – podczas zajęć standardowe „naftówki” były zabronione.

– Będę zwierchnikiem Datapolis – powiedziała, jakby nauczona na pamięć. – Będę się nazywać Wierzba. Będę mieszkać

w pokojach na samym szczycie stolicy i zacznę odbudowywać trasy komunikacyjne obu linii.

– Dość specyficzne ambicje jak na dziesięcioletnią dziewczynkę – odnotował nauczyciel.

Zemfira znów się uśmiechnęła. Jeśli nie zrozumiała wszystkich słów, to nie dała tego po sobie poznać. Zdaje się, że jej przyszłość rzeczywiście była przesądzona.

– Nie wątpię, że zostaniesz zwierzchnikiem – powiedział Jon. – Ale nie o to pytałem. Pytałem, kim sama chcesz zostać.

Dziewczynka pomyślała przez chwilę.

– Zwierzchnikiem – odpowiedziała. – Przecież mówiłam.

– Nie taka była praca domowa – wyjaśnił nauczyciel. – Nie miałaś zastanowić się nad tym, kim będziesz, ale nad tym, kim chcesz być. Może zwierzchnik to nie to, co ci się marzy?

Teraz Zemfira była zaskoczona. Najwyraźniej nie zastanawiała się nad takimi rzeczami. Po chwilowym triumfie Jon zawstydził się w duchu – tego jeszcze brakowało, żeby się podbudowywał intelektualnie kosztem dzieci.

– Zawsze wiedziałam, że zostanę zwierzchnikiem – powiedziała dziewczynka. – Tak mówili mama, tata i Cyprys...

– Dobrze – zgodził się Jon. – Niech tak będzie. A wiesz, co wspólnego mają imiona Cyprys i Wierzba?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Przypomnij sobie, jakich mieszkańców Datapolis znasz – dodał nauczyciel. – Pomyśl o tych, którzy mieszkają w pierwszych pylonach. Są tam Brzoza, Grab, Topola. Wiesz, co znaczą te słowa?

– Mogę powiedzieć? – Żenia znów podniósł rękę.

– Tak. – Jon obrócił się do niego.

– To nazwy drzew. Z podręcznika. Przeczytałem wcześniej!

– Masz całkowitą rację. – Jon położył dłoń na okładce *Flory*. – Po Katastrofie znaleziono te oto książki. Są w nich opisane podstawowe rośliny całego świata. Rośliny to takie formy życia, które zginęły i teraz już nie istnieją. A raczej są, ale w metrze ich nie znajdziecie.

– Tak, pamiętam. Widziałam dwa drzewa.

Białe zęby Zemfiry wzbudzały w nauczycielu niepojętą tęsknotę.

– Gdzie widziałaś? Tu, w metrze?

– Jedno rośnie w Datapolis, a drugie w naszym domu, na Majdanie Niezależności.

Jon wzruszył ramionami. Nie liczył cudzych pieniędzy, nie starał się szacować, jak bogata jest ta czy inna rodzina w Krzyżu. W tym namiocie wszystkie podziały ekonomiczne się zacierały, gdyż większość uczniów była w wieku, który pozwalał im kontaktować się między sobą na równych prawach. Ale czasem to, co słyszał, zbijało go z tropu. Nie wiedział, co myśleć, gdy usłyszał nagle, że jedno z powierzonych mu dzieci codziennie widzi przed sobą prawdziwe, żywe drzewo, ale przy tym nie potrafi rozpoznać go w książce. Czego on może nauczyć takie dziecko?

Timka zaczął przeglądać książkę, głośno szeleszcząc stronicami.

– Dlaczego tu nie ma grzybów? – zapytał. – Mamusia mówi, że to też rośliny.

– No, nie całkiem – poprawił go Jon. – Tak naprawdę grzyby to nie rośliny.

– Dlaczego? Przecież rosną?

– Grzyby to grzyby. Dlatego tak się nazywają. Jest królestwo roślin i królestwo grzybów...

– Ale mamusia mówiła, że grzyby to rośliny.

– Niech będzie – poddał się Jon. Widocznie nie warto tłumaczyć dziecku tego, co nie każdy dorosły wiedział nawet przed Katastrofą. Za to mógł opowiedzieć o tych książkach coś bardziej porywającego...

– Widzicie tu podręczniki *Flora*. Wszyscy mają w domu taką książkę?

– Tak – powiedziały chórem dzieci.

– Po Katastrofie ludzie zaczęli gromadzić wszystkie cenne przedmioty, które znajdowali w metrze – zaczął nauczyciel. – I natrafiono na mnóstwo podręczników o tytule *Flora*. Nikomu nie były potrzebne, nic nie były warte i było ich tak dużo, że wkrótce na wszystkich stacjach metra znalazło się po kilka takich



książek. Z początku po prostu rozpalano nimi ogniska. Kiedy nie było już czego czytać, ludzie się opamiętali i zaczęli o nie dbać. *Flora* stała się książką, która zjednoczyła ludność Krzyża. Drzewa stały się tematem, o którym zawsze mogli porozmawiać mieszkańcy metra, nawet nieznanymi. Książka ta zyskała taką popularność, że najważniejsi ludzie, na przykład naczelnicy stacji, zaczęli wybierać sobie z niej imiona. Zasłużyć na imię drzewa stało się wielkim zaszczytem. A teraz najciekawsze. Powiedzcie mi, kto z was ma w książce wyrwaną stronę?

– Ja – dał się znów słyszeć chór głosów. Dzieci spojrzały po sobie ze zdumieniem, potem każde wzięło do rąk swoją książkę i zaczęło kartkować do właściwego miejsca.

– O tak. – Jon pokiwał głową. – We wszystkich tych podręcznikach brakuje tej samej kartki. Stronic sześćdziesiąt siedem i sześćdziesiąt osiem.

– Dlaczego? – spytał Roma.

– Nikt tego nie wie. Ani tego, dlaczego te książki znalazły się w metrze, ani dlaczego w każdej z nich brakuje tych samych stronic. Ktoś wyrwał tę kartkę z każdej książki, a przecież było ich wiele!

– Gdzie znaleźć książkę ze wszystkimi stronicami? – spytał Timka niecierpliwie.

Jon poczuł, jak śledczy zapach udziela się i jemu, ale w odpowiedzi mógł tylko wzruszyć ramionami.

– Jeśli ktoś znajdzie kompletną książkę, to stanie się bardzo bogaty – odparł nauczyciel. – Nikt takiej nie ma. Możecie mi wierzyć. Kiedy ktoś znajdzie *Florę* ze stronicami sześćdziesiąt siedem i sześćdziesiąt osiem, dowie się o tym całe metro. Ale na razie to niestety wciąż tajemnica. Wiemy tylko, że ktoś przyniósł do metra setki jednakowych książek o drzewach, własnoręcznie wrywając z każdej z nich tę samą kartkę.

– Po co?

– Przecież mówię, nikt tego nie wie.

Timka spojrział ze złością na wystające urywki papieru, tak jakby mógł wzrokiem zmusić brakującą kartkę, by się pojawiła.

– A ja chcę być kupcem – odezwał się niespodziewania Wania.

- Doskonale - zaaprobował Jon. - Dlaczego kupcem?

- Oni są bogaci - odpowiedział rozmarzonym głosem Wania. - Szczególnie kupcy ze Scytii. Oni zawsze mają dużo nabożów, żetonów, jeżdżą na własnych drezynach, z ochroniarzami. I jeszcze bez nich władza zwierzchnika nie jest nic warta.

Chłopiec spojrział zaczepnie na Zemfirę i dziewczynka opuściła wzrok, nieco się rumieniąc. Jon w duchu ucieszył się z odpowiedzi Wańki. Zapewne lepiej nie ingerować w stosunki młodego pokolenia.

- A ty, Timka, kim chciałbyś zostać? - zapytał.

Timka, który do tej pory rysował coś ołówkiem w podręczniku, nie porzucił swojego zajęcia.

- Chcę zostać stalkerem - odparł.

Żenia spojrzła na niego z podziwem, Zemfira mimowolnie odsunęła się od niego. Jon ostrożnie położył dłoń na swoim egzemplarzu *Flory*.

- Stalkerem - powtórzył. - A dlaczego?

- Stalkerzy pomagają nam przetrwać - odparł Timka, wciąż rysując. - Chodzą tam, na górę. Mają skafandry, broń i oni...

- Co oni?

- Oni są wolni.

Wania dobrodusznie klepnął Timkę po plecach, spoglądając na Jona w oczekiwaniu poparcia.

Nauczyciel ciężko westchnął.

- Timka - zaczął. - Bardzo trudno jest być stalkerem.

- Właśnie dlatego chcę nim zostać.

- Ci, którzy wychodzą na powierzchnię, są pozbawieni normalnego życia, Timka. Niczego nie mają. Nikt się z nimi nie wita, nikt ich nie szanuje. Nie mają rodzin. Nie chcesz mieć rodziny, kiedy dorośniesz?

- Chcę być stalkerem - powtórzył uparcie chłopiec. - Tylko nie tak jak Metrograd. Takim jak Ptaki. Oni są lepsi.

- Jak sobie życzysz - pogodził się Jon. - Chcieć kimś zostać i zostać nim to nie to samo.

Usłyszeli głośne wycie syreny. Timka przestał rysować, dzieci zgodnie wybiegły na zewnątrz. Jon ich nie zatrzymywał -

wyszedł w ślad za nimi, marszcząc brwi. Dobrze wiedział, co oznaczał ten sygnał z południowego posterunku.

Przyjeżdżała drezyna. Nic szczególnego, jeśli się zastanowić.

Ale nie w dniu, w którym drezyna z Datapolis już przyjechała.

Pojazd z Datapolis pojawia się raz na dobę o tej samej godzinie – to filar, na którym opiera się porządek i skromny byt Łukjanowskiej. Nikt nie przysyła drugiej drezyny ledwie pół godziny po pierwszej bez ważnego powodu.

Jon znalazł się przy posterunku jednocześnie z dwudziestoma innymi.

– Co się dzieje? – padały co rusz pytania.

Jon postanowił stanąć w takim miejscu, żeby nie tracić z oczu dzieci.

Kiedy wycie syreny ucichło, dał się słyszeć szybki stukot. Ktoś zeskoczył na tory i zabrał z nich małego Jegorkę. Po kilku sekundach na stację wjechał silnikowy, całkowicie opancerzony wagon. Z boku, za latarnią, wisiał znajomy sztandar.

Przez tłum przetoczyło się zdumione westchnienie. Osobisty pojazd Cyprysa – to nie były żarty.

Drzwi kabiny otworzyły się z lekkim zgrzytem pancernych płyt. Na zewnątrz wyszli dwaj mężczyźni w kamizelkach taktycznych i z automatami.

Tłum zrobił krok w tył. Jon został w miejscu, trzymając Timkę i Zemfirę za ręce. Co się stało w stolicy? Czyżby wojna?

Z drezyny wyszedł trzeci człowiek. Nauczyciel go rozpoznał. Sekretarz zwierzchnika imieniem Arsenij. Nie zapracował sobie jeszcze na imię pochodzące od drzewa – chodziły słuchy, że z powodu zbytnej emocjonalności okazywanej przy podejmowaniu decyzji. I teraz widok sekretarza w pełni potwierdzał jego reputację. Arsenij był śmiertelnie błady. Jego rozbiegany wzrok przesuwiał się z przestachem po obecnych.

– Jon! – zawołał. – Pilnie potrzebny mi nauczyciel Jon!



## ROZDZIAŁ 2

### Wróg wewnętrzny

Sylwetka na wierzchołku przechylonej iglicy nie przyciągała uwagi. Drapieżny zaostrowany dziób podkreślał profil głowy, zdawałoby się zrosniętej z ciałem zastygłego skrzydlatego potwora. Ale to była tylko iluzja – stwór mógł się poruszać swobodnie, jak też zamierać w bezruchu. Inni w tym świecie nie przeżywali.

Ogromne wypukłe oko szeroko się otworzyło, drapieżnik skierował wzrok na pokryte rudą roślinnością budynki. Dla kogoś mogły to być ruiny martwego miasta. Dla niemal niewidocznego w ciemności pterodaktyla było to naturalne środowisko. Od urodzenia nie znał innego krajobrazu, nigdy nie wdychał innego powietrza. I nie mógł sobie wyobrazić, że zaledwie kilka pokoleń wcześniej – rzecz jasna licząc dla jego gatunku – ten świat był kolorowy i słoneczny. A tego, że pterodaktyle w tamtych czasach nie istniały, nie mogła mu podpowiedzieć pamięć genetyczna, ponieważ zwyczajnie jej nie było. Natomiast własna pamięć siedzącego na dachu stwora pracowała pełną parą, gromadząc bezcenne informacje o tym, jak przetrwać. Przyjdzie czas, kiedy jego potomkowie dumnie rozprostują skrzydła, poszybują po niebie nad nierównym terenem, bez lęku wypatrując drepczących na powierzchni kawałków białka, które ośmieliły się wypełznąć ze swoich kryjówek. Ale na razie pterodaktyl nie wybiegał tak daleko w przyszłość. Miał zadania do wykonania i zamierzał uwolnić będący wciąż w zarodku nowy świat od resztek nuklearnej skorupy.

Miasto zdawało się puste i pozbawione życia. To błędne myślenie dla wielu skończyło się tragicznie. Kijów oddychał i rozwijał się. Pozorna cisza kryła nieprzerwaną walkę

o przetrwanie, w której uczestniczyło wiele stron. Jedni próbowali wywalczyć sobie miejsce pod słońcem, inni – w ciemnościach. Byli i tacy, co skryli się pod ziemią. I czasem wychodzili na powierzchnię spalonej planety. Pterodaktyl wiedział o tym i cierpliwie czekał. Z wysokości iglicy widział wiele wyjść na powierzchnię, z których korzystały podziemne istoty. Jeszcze ani razu nie udało mu się pochwycić tej dziwnej ofiary broniącej się przed nim przy pomocy niepojętej broni, niemającej zapachu, pokrytej nierównym pancerzem. Pterodaktylowi udało się kiedyś strącić kawałek pancerza z górnej części jednego ze stworów. Ten natychmiast umieścił brakujący fragment na miejscu, a jego pobratymcy odpędzili napastnika dziwnymi kłującymi pikami, które do tego pluły czymś bardzo gorącym. Rany nie były śmiertelne, ale bolesne i długo się goiły.

Stworzenia te nie były łatwą zdobyczą, ale i nie stanowiły zagrożenia. Kryły się tylko po norach i od czasu do czasu znosiły na dół różne bezsensowne przedmioty. Pterodaktyl mgliście wyczuwał, że podziemne istoty nie wpisują się w naturalny obraz świata. Były zbyt powolne, nigdy nie chodziły same. Natura jeszcze nie zdążyła rozdzielić postnuklearnej materii ożywionej według zasady „zabij albo giń”, ofiara w rzeczywistości mogła się więc okazać groźniejsza niż drapieżnik, który odważył się spróbować, jak ona smakuje. Dlatego siedzący na dachu pterodaktyl nie postrzegał podziemnych istot jako zdobyczy. A jeśli nawet, to i tak nie byłyby warte wielogodzinnego oczekiwania. Po prostu pterodaktyl całkiem niedawno zyskał to, co należało za wszelką cenę chronić, i dlatego po raz pierwszy w życiu się denerwował. Miał obowiązek dowiedzieć się więcej o podziemnym zagrożeniu. Inaczej tamci mogli do niego dotrzeć ze swoją dziwną bronią. A tego, że podziemne istoty potrafiły gramolić się na górę i schodzić z powrotem, pterodaktyl dowiedział się już dawno.

Słońce wyszło zza horyzontu, na próżno starając się przebić przez gęstą zasłonę sinych chmur. Czasem promieniom udawało się rozerwać obłoki, żeby na chwilę oświetlić ponure kontury

ruin, sprawić, że brunatne liany kurczyły się i wpełzały między gruzy. Ale nie dziś. Tego dnia pomarańczowej gwieździe było sądzone pozostać bladą plamą na bezkresie nieba pokonanego przez mętną burzową zasłonę. Zdawało się, że Ziemia próbuje skryć się przed osądającym okiem matki niczym utalentowane dziecko, które nie spełniło nadziei. Chmury zapowiadały deszcz. To znaczyło, że jeśli podziemne istoty nie wyjdą teraz, to będzie trzeba długo na nie czekać. Pterodaktyl był cierpliwy.

Nowo narodzonemu światu wyraźnie brakowało kronikarza. Jego historia nie zakończyła się, jak przypuszczali mieszkańcy podziemi, ale przechodził kolejny doniosły etap kształtowania się nowego życia, przy którym bładły wszystkie wcześniejsze wydarzenia ery rozkwitu panującej kiedyś w nim rasy. Rasy, której resztki skryły się w kamiennych kiszkach, przestraszywszy się skutków własnych zabaw. Ostatecznie nie dali sobie czasu, żeby dorosnąć, Skrzydlaty drapieźnik nigdy by się do czegoś takiego nie zniżył. Gdyby tylko wiedział, z jakich powodów wymarła prawie cała ludność planety, bardzo by się zdziwił. W każdym razie on sam zamierzał naprawić to niedopatrzenie i odesłać ocalałe podziemne istoty do ich martwych pobratymców.

Ta chwila nadeszła. Pterodaktyl się doczekał.

W oddali, nieco na prawo od masywnego gmachu, dał się zauważyć ruch. Drapieźnik zmienił pozycję, mocniej chwytając się pazurami zimnego, przerdzewiałego metalu iglicy. Błoniaste skrzydła lekko zatrzepotały.

Na powierzchnię, w odległości kilku niespiesznych machnięć skrzydłami, wyszły dwunogie stwory. Dzisiaj były odrobinę innego koloru niż zwykle i poruszały się bardziej niezdarnie. To pierwsze zaniepokoiło pterodaktyla, drugie ucieszyło. Nie zamierzał już zwlekać.

Otwierając dziób i wydając cichy skrzek, pterodaktyl oderwał się od iglicy i wzleciał naprzeciw podmuchom lodowatego wiatru.

\*\*\*



Piątka stalkerów, której przewodził Kondor, pamiętała lepsze czasy. Kondor wspominał to za każdym razem, kiedy wychodził na powierzchnię na wpuł martwego miasta. I coraz częściej zadawał sobie pytanie o to, co ma uważać za lepsze czasy. Minęły już czy wciąż są przed nimi?

Kiedyś stalkerów było więcej, ale wiedzieli o mieście dużo mniej niż teraz. Z każdym wyjściem na powierzchnię grupa zdobywców – a raczej jedna z grup – miała odrobinę więcej wiary w przyszłość, więcej pewności siebie, więcej wyposażenia. A przy tym wszystkim – znacznie mniej wiedzy o tym, co jest tam, we mgle – nowe życie czy nowa śmierć.

Teraz Kondor rozumiał: wiara w siebie, entuzjazm, optymizm – wszystko to musiało stalkerom zastąpić brak doświadczenia, niezbędnego do przeżycia. Kiedy przebijasz się z automatem na ramieniu przez strefę skażenia radioaktywnego, to prowadzić cię może tylko pewność, że znajdzie się sposób, by przejść ten odcinek do końca, nie udławiawszy się własnymi płucami – ani teraz, ani następnego dnia. Żaden ze stalkerów Krzyża nie upadał w tamtych czasach na duchu, nie odnosił poważnych ran, ale trwało to, dopóki podziemnych zasobów sprzętu do wypadów na powierzchnię było więcej niż ludzi chcących ich używać.

Gdy tylko zaczął się deficyt, sytuacja bardzo się zmieniła. Jakby poddając się jakimś ukrytym prawom przyrody, liczba stalkerów zaczęła maleć. Przeważnie z powodu chorób i nieszczęśliwych wypadków, które niekoniecznie zdarzały się na powierzchni.

Wbrew oczekiwaniom jako pierwsze nie skończyły się filtry do masek przeciwgazowych, naboje ani lekarstwa. Jako pierwsze skończyły się buty. Powierzchnię skażonego Kijowa tworzyła zadziwiająca w swym chaosie mieszanka odłamków asfaltu, grząskiej gleby, popękanej gliny, ukrytych kałuż, kawałków metalu i szkła, wybielonych kości i czaszek, żwiru, kamieni, prętów zbrojeniowych i tak dalej. Żadne obuwie długo w takich warunkach nie wytrzymało.

To właśnie buty stały się przyczyną śmierci pierwszego stalkera. Kondor próbował przypomnieć sobie jego pseudonim, ale mu się nie udało. W tamtych czasach wielu nie miało żadnej

ksywy. Kondor pamiętał za to, że chłopak miał dwadzieścia trzy lata, a na nogach prawdziwe firmowe Adidasy, nie jakieś tam chińskie podróbki. Przypomniawszy to sobie, Kondor zmarszczył czoło: a tych firmowych Adidasów to nie robili przypadkiem w Chinach?

Słowem, gość miał pantofle prima sort: z solidną podeszwą, mocnymi sznurowadłami, przed wojną uważane pewnie za obowiązkowy atrybut każdego młodego człowieka z miasta. Sklepy, w których sprzedawano takie rzeczy, zostały starte w nuklearny pył jeszcze przed narodzinami młodego stalkera, tak więc zdobył je już w metrze. I tamtego fatalnego dnia nastąpił na przerdzewiałą ramę pozostałą po niemieckiej terenówce. Przeciął sobie stopę, natychmiast odskoczył z przestrachem w bok, skakał chwilę na zdrowej nodze, ściskając podeszwę gołymi rękami. Kondor wciąż pamiętał strużkę krwi między jego palcami. Chłopak poślizgnął się, upadł i nadział skronią na drugi koniec tej samej ramy. Na amen.

Kondor nie był pierwszym, który do niego przyskoczył. Jednak umarłemu nie można już było pomóc. Być może należało udawać albo przekonać swoje sumienie, że nie jest jeszcze za późno, by odnieść faceta do Śluzy, gdzie może uda się go uratować.

Ale Kondor nie zrobił niczego: odwrócił się tylko plecami do miejsca zdarzenia i prowadził obserwację, błyskawicznie zdając sobie sprawę, że jeśli stalkerów śledzili jacyś wrogowie, to zaatakują właśnie teraz, kiedy uwaga grupy jest przykuta do bezwładnie leżącego ciała.

To był pierwszy dzień, kiedy Kondor poczuł, że ludziom w metrze brakuje czegoś bardzo ważnego. Długo nie umiał sformułować, czego konkretnie, chociaż ta myśl nie dawała mu spać po nocach.

Po kilku tygodniach, kiedy liczba stalkerów zmniejszyła się co najmniej o jedną trzecią, zrozumiał, czego im brak: własnego, samodzielnie zdobytego doświadczenia, które przywiódłoby ich do prostej prawdy, że przeszłość trzeba zostawić za sobą i liczyć tylko na siebie. Żyć tak, jakby twoje pokolenie było pierwszym w nowej historii. I to dotyczyło nie tylko jego, Kondora, ale

wszystkich mieszkańców Krzyża, a także tych, którzy umieli przeżyć na zewnątrz. Rzecz w tym, że ludzie, którzy już nie pierwszy rok żyli w metrze, w swoich marzeniach i dążeniach kierowali się doświadczeniem poprzedników żyjących przed Katastrofą. Widzieli swoją przyszłość wyłącznie jako jedną z wersji przeszłości. Całe ich życie było nastawione na to, żeby odzyskać to, co wcześniej utracili. Uważali, że aby pojąć zagrożenia i szanse nadchodzących dni, trzeba spojrzeć w stare dobre czasy i szukać tam analogii. W samej przyszłości zaś jako takiej nikt nie szukał natchnienia. Wszyscy wierzyli, że jutrzejszy poranek będzie swego rodzaju kopią minionego. Ludzie oduczyli się przyswajać ideę czegoś nowego. Pewnie kiedyś bali się to robić, a potem zapomnieli.

Kondor uważał, że na tym właśnie polegał błąd wszystkich ocalałych: nie mieli pomysłu na to, co robić z tym nowym życiem, odbierali je jako epilog czegoś przebrzmiałego i ich misją było ponowne uruchomienie tego, co zgasło, chcieli wlać paliwo do silnika, który odmówił posłuszeństwa.

Stalkerzy popełniali ten sam błąd.

Wychodząc na powierzchnię, zaczynali postrzegać miasto właśnie jako miasto, ponury cień czegoś, co już przeminęło. Muszą nauczyć się patrzeć na otaczający ich świat świeżym okiem nowo narodzonego, dla którego przeszłość nie istnieje. Po tym, jak z grubsza sformułował tę myśl w swojej głowie, Kondor zdał sobie sprawę, że to właśnie on jako pierwszy musi się nauczyć poznawać świat od zera. Od tego momentu przestał wychodzić do skażonego Kijowa i zaczął przemierzać miasto, w którym powojenne realia były normą.

Potem w cudowny sposób zaczął widzieć odbicie swojej teorii w umysłach towarzyszy. Pierwszym z nich był Kruk. Wtedy zarówno on, jak i Kondor nazywali się inaczej. Ale w tamtym czasie pierwsze pseudonimy znaczyły niewiele. Powstawały przypadkiem przed każdym kolejnym wypadem na powierzchnię. Spośród ocalałych wówczas stalkerów Kruk okazał się jedynym, który też był wtedy z Kondorem przy śmierci chłopaka w adidasach. W ogóle nie komentował tego wypadku.

Kruk był małomówny, niepozorny, znakomicie pracował rękami i starał się nie dzielić swoją opinią na żaden temat, pozostając niewiadomą nawet dla swoich towarzyszy. Z czasem nieco się rozluźnił, jednak okresy zamknięcia w sobie nigdy nie przestały się pojawiać. Najważniejsze, że wciąż był niezawodny i doprowadzał do końca każdą poruczoną mu sprawę. Kondor nigdy nie pytał Kruka o wiek, ale przypuszczał, że w momencie Katastrofy miał co najmniej dwanaście lat. Jest to wiek, w którym zaczynają się kształtować jakieś zaczątki idei i marzeń. Jakikolwiek były, Kruk realizował je w metrze, stając się stalkerem.

A zostać stalkerem nie było łatwo. Nie wystarczyło po prostu tęsknić za dawnymi czasami lub cierpieć na klaustrofobię. Wśród pierwszych stalkerów Krzyża można było spotkać najróżniejszych ludzi: jedni mieli mentalność odkrywców nowych lądów, inni zaś sposób myślenia zwykłego dozorca, który uważał za swój obowiązek choćby symbolicznie posprzątać na powierzchni. Kondor wciąż nie mógł odgadnąć, do której grupy należał Kruk, ale był pewien, że gdyby nie Katastrofa, to dożyłby swoich dni w więzieniu. Dało się w nim wyczuć coś buntowniczego, jakiś doprowadzony do absurdu sceptycyzm.

Wróbel wydawał się przeciwieństwem Kruka. Był młodszy, aktywniejszy, zwracał dużą uwagę na swoją formę fizyczną. Niewysoki chłopak, mało spał, mało jadł, nie miał praktycznie żadnych nałogów i idealnie pasowała do niego ksywka Wróbel. Początkowo, podobnie jak pozostali stalkerzy, nie miał stałego pseudonimu, ale skojarzenie z małym ptaszkiem samo się narzucało. Kondor długo nie mógł pojąć, jak temu żywemu chłopakowi udało się zaprzyjaźnić z Krukiem. U obu wyszła na jaw ta sama cecha charakteru: w nieznanym towarzystwie woleli milczeć, choć z różnych powodów. W wielu kwestiach Kruk nie miał nic do powiedzenia, natomiast Wróbel zawsze miał swoje zdanie na każdy temat, ale wstydził się je wypowiadać.

Przeciwieństwem ich obu był Bocian. Wyjątkowy gaduła, niezmienny siewca optymizmu. W odróżnieniu od wszelkich dętych wesołków, którzy uśmiechem próbują skrywać depresję,

Bocian, co banalne, nigdy nie był podatny na chandrę. Jakimś niepojętym sposobem posiadał zdolność radzenia sobie z mnóstwem problemów, po prostu mówił o nich na głos. Jeśli Bocian opisywał zadanie własnymi słowami, ze swoją niepowtarzalną intonacją, to dobierał takie sformułowania, że problem wydawał się niewartą uwagi drobnostką. Choć Bocian jak wszyscy pozostali urodził się przed Katastrofą, to zupełnie jej nie pamiętał, tam samo jak dawnego życia. A jednak w jego podświadomości najwidoczniej pozostały jakieś wspomnienia, bo Bocian bardzo różnił się od ludzi urodzonych w metrze.

Jednym z dziwnych zwyczajów Bociana było na przykład noszenie przy pasie rozładowanego rewolweru z jaskrawo żółtą rękojeścią. Kiedy Kondor nie wytrzymał i zapytał, po co to robi, Bocian odparł, że jeśli będzie miał potrzebę do kogoś strzelać, to najpierw jedną ręką wyciągnie broń, drugą – naboje, załaduje rewolwer, przygotowuje go i dopiero potem sprawdzi, czy coś się przez ten czas nie zmieniło. Jeśli podczas tych przygotowań ochota na strzelanie przejdzie, to znów rozładuje broń. Natomiast jeśli jednak trzeba będzie strzelać, to zrobi to bez namysłu. Po czym i tak rozładuje broń i nie będzie więcej wspominać o tym wypadku.

Kondor nie pytał, jaki to cel Bocian może spotkać w metrze. Zamierzał strzelać do puszek po konserwach czy miał na myśli coś poważniejszego? W pewnej pięknej chwili udało mu się stracić rewolwer, jak się wyraził, na rynku w Datapolis. Odniósł się do tego filozoficznie, wzruszył ramionami z zakłopotaniem, ale nie uzbroił się w nowy.

W następnym miesiącu dostał jakąś wiadomość ze stolicy i wpadł w głęboką depresję. Bocian szczęśliwie nie miał broni pod ręką, ponieważ zdawało się, że najbliższy cel widziałaby w sobie samym. Potem, jakby przełamując coś w środku, przez jedną noc rozmyślał i długich dyskusji z towarzyszami wyrósł na prawdziwego stalkera i od tej pory ani razu nie dał powodu, by w niego zwątpić. Do tego coraz częściej zaczęły się w nim ujawniać cechy lidera, chociaż Kondor był przekonany, że gdyby

coś mu się stało, Bocian byłby najmniej odpowiednim kandydatem na jego następcę.

Ostatnim członkiem ich grupy był Feniks. W odróżnieniu od wszystkich pozostałych, stalker ten pseudonim nosił od dawna. Jeszcze w czasach, kiedy ich oddział w ogóle nie kojarzył się z piórami i szponami. Na twarzy stalkera widniało ogromne poparzenie, obejmujące policzek, pół ucha i schodzące na szyję. Stało się to w czasie jednego z wypadów na powierzchnię, przy próbie wniesienia do metra butli z gazem. W składzie tamtej grupy nie było nikogo z obecnej drużyny Kondora. Feniks poszedł z innymi ludźmi, i oni wszyscy zginęli w eksplozji, która zostawiła Feniksowi pamiątkę na całe życie. W czasie tej ekspedycji popełniono mnóstwo błędów, z których jeden okazał się fatalny.

Najbardziej przykry był fakt, że gaz nie był w metrze szczególnie potrzebny. Grupa poszła tylko po butlę, którą planowano wypełnić sprężonym powietrzem, żeby następnie użyć jej w domowej roboty systemie automatycznych pomp do odciągania wód podziemnych. To znaczy nikt nie zamierzał taszczyć na dół butli z gazem. Drużyna Feniksa postanowiła wypuścić gaz na powierzchni i najwidoczniej pojawiła się iskra. Wątpliwe, by ktoś świadomie walił kluczem nastawnym po butli albo przy niej strzelał. Kondor nigdy nie pytał, kto był winny wybuchu. Feniks wydawał się dość rozsądny, żeby nie palić papierosa w jej pobliżu. A jednak był dowódcą wypadu i ponosił całą odpowiedzialność. I dlatego winił siebie. Od tej pory Feniks starał się nigdy nie brać na siebie kierowania czymkolwiek i bardzo lubił samotne forsowne marsze, które czasem zdarzały się podczas ekspedycji.

Każdy z tej piątki pozostawał niezależnym stalkerem, nawet będąc faktycznie na służbie Krzyża. Byli wolni. W starym świecie uważano by ich za niezgrabne robaki, które czasem wpełzają na powierzchnię jabłka, aby znaleźć inne wejście do jego wnętrza. W nowym świecie metra byli Ptakami. Byli nimi nawet wtedy, kiedy w Datapolis, a potem i w całym Krzyżu, stalkerzy spadli na społeczne dno, a ich reputacja runęła w otchłań. Podobnie jak

prawdziwe ptaki, wciąż codziennie ryzykowali życie, zbierając wszystko, co mogli znaleźć, od jedzenia po materiały do budowy gniazda. A przy tym coraz częściej zastanawiali się, gdzie jest ich prawdziwy dom: w gnieździe czy na niebie?

\*\*\*

Hermetyczne wrota zamknęły się z cichym łoskotem. Bolce ściśle wypełniły wpusty i wsunęły się do końca, dzieląc świat na dwie części.

Kondor poprawił hełm, na nowo dociągnął pasek na lewym rękawie. Choćby nie wiadomo jak długo układać ekwipunek w Śluzie, ostateczne dopasowanie i tak odbywa się na powierzchni. A jeśli kombinezon zakłada się po raz pierwszy w życiu, to tym bardziej trzeba mieć oczy szeroko otwarte i zwracać uwagę na każdy detal.

Do swojego obecnego stroju Kondor miał zastrzeżenia. Wmontowana latarka, wszyta na wysokości klatki piersiowej, to niepotrzebna i zbyt ciężka rzecz. Do tego lekkie opancerzenie, ale komu to potrzebne na powierzchni? Kondor krytycznie przyglądał się skafandrowi, nie odkrył w nim jednak innych defektów. Stalker dotknął ręką hełmu i uruchomił łączność radiową.

– Feniks – odezwał się.

– Jestem – zabrzmiał jasny głos.

Nie było nawet jednego trzasku. Elegancko. Umieją jednak w stolicy robić radiostacje.

– Kruk.

– Tak, słyszę – odpowiedział krępy stalker, przyglądając się swojemu automatowi.

– Wróbel.

– Tak.

– Bocian.

– Tu Bocian.

– Baobab.

– Jestem i protestuję. – W słuchawkach stalkera rozległ się oburzony głos. – Dlaczego moje imię było wywołane jako



ostatnie? To przypadek czy skryty wyraz lekceważenia?

Kondor stłumił chęć wyróżnienia kolbą w wielkie brzuszysko. Proszę, masz tu jawny wyraz lekceważenia – wszystko jasne i bez subtelnych aluzji. Przemknęło mu nawet przez myśl: a co by było, gdyby naprawdę uderzył przedstawiciela władz? Zwierzchnik za Chiny Ludowe nie wymierzyłby kary, która zaburzyłaby grafik pracy stalkerów. Przyciśniesz jednego – następnym razem czterej po prostu nie wyjdą do roboty. I kanał dostaw z pominięciem Metrogradu trzeba będzie pożegnać.

Kondor odwrócił się i spojrzał na Baobaba surowo. Wyraz jego oczu raczej nie był widoczny przez wizjer hełmu, ale bogata wyobraźnia tłściocha odmaluje obraz wyraźniej niż pędzel na płótnie. Tamten cofnął się przestraszony i na pewno by upadł, gdyby nie podtrzymał go Kruk. Wystarczy. Grubas pomyśli sobie, co zechce. Oby tylko więcej nie przeszkadzał. Bardzo szybko zrozumie, że metra i jego praw nie zabiera się z sobą na powierzchnię. Wcześniej czy później wszyscy do tego dochodzą. Lepiej, oczywiście, wcześniej.

Wejście po rozbitych stopniach popsutych schodów ruchomych odbyło się bez przygód. Dobry początek.

– Witam na powierzchni – powiedział Kondor, rozglądając się po okolicy. Żadnych zmian. U schniętych roślin stalker już nie zauważał.

Najgorsze w nowym ekwipunku jest to, że nie czuje się swoich towarzyszy tyłem głowy. Niby nie ma tu związku przyczynowo-skutkowego, a jednak. Wrażenie obcego, dziwnego materiału ochronnego nie opuszcza człowieka ani na sekundę. Psuje się mikroklimat, zmienia rytm kroków, tempo poruszania, pojawia się jakaś desynchronizacja ruchów. Mimo to Kondora niepokoiło co innego. Zwierzchnik był zbyt szczodry przy wydawaniu wyposażenia jak na taką prostą sprawę. Wyjść przez Śluzę przy planetarium, dojść do Pałacu „Ukraina”, wrócić. I tyle. Choć Kondor każdego dnia marzył o nowym ekwipunku i radiostacjach, nie mówiąc już o luksusowym sprzęcie Krzyża, zdawał sobie sprawę, że każdy drobiazg ma swoje zasady stosowania, szczególnie w warunkach ostrego deficytu w metrze.

I banalny wypad na powierzchnię, gdy można było dojść do sąsiedniej stacji Śluzy poznawanym przez lata szlakiem, gdzie znajomy był każdy kamień, absolutnie nie należał do niebezpiecznych. Oczywiście w porównaniu z innymi. Każdy członek drużyny Kondora mógł pokonać ten półtorakilometrowy odcinek w zwykłym skafandrze, nawet bez zmiany filtra. A przy tym nie dać się zauważyć zwiadowcom Metrogradu.

Wyjście na świat zewnętrzny w stroju o wyższym poziomie ochrony niż to konieczne oczywiście wyrządza mniejsze szkody zdrowiu i ogólnie rzecz biorąc, jest bezpieczniejsze, ale zawsze są niuanse. Czym kieruje się człowiek, który zaryzykował wycieczkę z przytulnych tuneli na powierzchnię? Ile skafandrów zostało mu w rezerwie, że nie obawia się rozprucia hermetycznego kombinezonu kawałkiem metalowego złomu? Jak daleko zamierza dojść, w jakich warunkach i czego chce od tego życia? Każdy obywatel Datapolis słysząc takie pytania, popatrzyłby na Kondora jak na obłąkanego, czując przy tym ewidentną ulgę: no jasne, jurodowi faktycznie mieli coś z głową. Tyle że dla Kondora znacznie ważniejsza była opinia jego towarzyszy niż wydelikacyonnych mieszkańców miasta. Mógłby nawet posłać do diabła wszystkich obywateli Krzyża.

Jednak kłótnie z Cyprysem zaburzyłyby równowagę psychiczną. Kondorowi i jego drużynie, którą z łaski zwierzchnika dawno już zaczęto nazywać Ptakami, wydano pięć nowiutkich skafandrów. Tylko na jeden raz. Powód tej niezwyklej szczodrości zwierzchnika Datapolis był prosty.

Sprawdzian. Kontrola i audyt.

Stalkerzy, nawet w większym stopniu niż mityczni czerwoni, stanowili dziurę w budżecie Datapolis i osobisty wrzód na tyłku zwierzchnika. Wieczni odszczepieńcy mieszkający pod samym bokiem stolicy kijowskiego metra, zaledwie o jedną stację od serca Krzyża, jedyni dostawcy cennych dóbr starego, przedwojennego świata. Bano się ich, nienawidzono, unikano jak dżumy. Bardzo rzadko się z nimi witano – w sumie nieczęsto ktokolwiek się z nimi widział. Stalkerzy podróżowali do Datapolis tylko w ostateczności, chociaż stolica ogłosiła się

otwartą dla wszystkich obywateli metra. Znacznie częściej od stalkerów przysyłano gońców. Praca tych ostatnich nie była skomplikowana: przyjechać rządową drezyną, sprawdzić przyniesione z powierzchni przedmioty, zmierzyć poziom promieniowania, pogwizdując przy tym jakąś chwytliwą melodię, załadować wszystko na drezynę i pojechać z powrotem. Dopiero potem Cyprys osobiście wszystko sprawdzi i każe wypłacić mistrzom płaszcza i latarki odpowiednie wynagrodzenie: naboje, jedzenie, wodę, lekarstwa, różne przyjemne i przydatne drobiazgi. Chociaż częściej były nieprzyjemne i nieprzydatne. To aż śmieszne, że większość wszystkich tych dóbr była przynoszona właśnie z powierzchni – tyle że przez żołnierzy obcego Metrogradu, a nie drużynę Kondora.

I nawet na takich warunkach wcale nie wszyscy godzili się pracować jako gońcy. Kontakt ze stalkerem był dla obywatela Datapolis czymś w rodzaju mycia świni. Wyprawa do siedziby stalkerów oznaczała nałożenie na siebie długotrwałego piętna skażenia i żadne dozymetry nie zdołałyby przekonać wystraszonego obywatela, że nie będzie teraz sikał fosforem. No i, rzecz jasna, stalkerzy nie byli dopuszczani do kobiet. Po co mają płodzić mutanty?

Pewnego razu do miasta przyszli paserzy z samej Łukjanowskiej, żeby dorobić sobie jako gońcy między bazą stalkerów a Datapolis. I dorabiali. Przez jakiś czas. Dopóki Cyprys się nie zorientował, że bije go to po kieszeni i taniej będzie wyznaczać wyprawę do Śluzu jako karę administracyjną.

Sam Metrograd, oczywiście, też naciskał na władze Datapolis. Cudem było już to, że w ogóle się z nim liczone. Grupka bandytów, którzy przekwalifikowali się na stalkerów, przez jakiś czas okadzała zatęchłe pomieszczenia podziemnego centrum handlowego, choć nigdy nie stało się pełnowartościowym schronem. Pomysł patrolowania kijowskich ulic przez dwuosobowe oddziały skończył się kompletnym fiaskiem, dwie trzecie śmiałków zmarło od promieniowania, nieznanych chorób lub w wyniku wewnętrznych konfliktów, po czym pozostali wpadli na to, by zabarykadować się na terenie centrum. Pod

dowództwem generała Olszańskiego Metrograd z trudem przetrwał. Po jego śmierci cały ich system upadł, nowi herszci byli zmuszeni do współpracy z mieszczącym się pod nimi Datapolis, w którym jakimś cudem wciąż działały systemy filtracji wody i powietrza. Tak też ukształtował się nieskomplikowany system ekonomiczny: metrogradzcy przynoszą z powierzchni zanieczyszczone zasoby i wymieniają je na względnie czyste.

System okazał się na tyle sprawny, że wkrótce w całym Krzyżu praktycznie nie było już ludzi, którzy samodzielnie chcieliby wychodzić na powierzchnię. Jeśli zaś ktoś zgadzał się zamienić stacje i tunele na bezkresną swobodę skażonego miasta, zawsze czekano na niego w Metrogradzie jak na upragnionego ochotnika. Z jednym zastrzeżeniem: droga powrotna była dla niego zamknięta. I to nie Metrograd nie puszczał swoich ludzi – to raczej obywatelstwo Krzyża po takim wyborze było automatycznie anulowane.

Tak właśnie powstała reputacja stalkerów jako wyrzutków społecznych – mimo że to społeczeństwo wciąż istniało, a nawet jakoś się rozwijało właśnie dzięki pracy stalkerów.

Cyprys był ubezpieczony i ostatecznie nie zaniechał własnych wypadów na zewnątrz. Tak więc drużyna Kondora przetrwała, choć została wyrzucona na bezludną, na wpół zatopioną stację Olimpijska...

A potem wydatki na stalkerstwo zaczęły spadać.

Kondor nie potrafił zrozumieć tego nonsensu. W świecie metra, w zależnym od wyjść na zewnątrz środowisku, gdzie autonomia była jedynie skuteczną iluzją, pomysł, by wprowadzać jakiegokolwiek cięcia, zdawał się początkiem końca. A jednak była to prawda. Gdyby Datapolis nie było tak uzależnione od dostaw z powierzchni, Kondor uznałby, że stalkerów postanowiono po cichu zagłodzić. Dowódca oddziału trzymał się niezmiennej zasady: nie tłumaczyć złą wolą tego, co można wyjaśnić głupotą. Ostatecznie wojnę nuklearną, która starła niemal całe życie z powierzchni planety, dało się uzasadnić tylko takim sposobem.

Zatem cięcia. I sprawdzian. Władze Krzyża jednogłośnie

zatwierdziły pomysł kontroli. Nie zniżyły się oczywiście do banalnej grabieży gniazda Ptaków. Cyprys umiał działać subtelnie. Stalkerom powiedziano, że odbędzie się nadprogramowy wypad na powierzchnię, i dano im nadzorcę. Niewiarygodnie spasionego faceta o imieniu Baobab. Wyznaczyli go bez pytania, a nawet znaleźli skafander z zamkniętym systemem oddechowym, który mógł pomieścić jego cielsko. Baobab miał za zadanie na własne oczy zobaczyć, jak pracuje Kondor i jego ludzie, czy typowy rajd naprawdę pochłania setkę czy dwie naboju, i w ogóle czy skórka warta wyprawki.

Kondor prawie się z tym pogodził. Ale, jak na złość, samo zadanie wiązało się z nowymi warunkami, nie najlepiej wpływającymi na ostateczny rezultat. Dodatkowy VIP bez bojowego doświadczenia i niesprawdzony ekwipunek. Ponieważ od stalkerów wymagano, by nie tylko przeszli od jednej stacji do drugiej, zbierając po drodze ciekawe rzeczy, ale też ochraniali Baobaba, to na tę konkretną wyprawę Cyprys nie pożałował sprzętu. Pańskim gestem rzucił i kombinezony, i naszpikowane elektroniką hełmy, i broń. Kondor kategorycznie odmówił jednak przyjęcia tej ostatniej. Postawił twardy warunek – pójdzie tylko ze swoją sprawdzoną giwerą. I jego drużyna też. Nowiutkie, naoliwione kałachy z zapasów Krzyża mogły skusić Kondora tylko w czeluści względnie bezpiecznego tunelu, i to nie dalej niż o parę stacji od stolicy, ale na pewno nie na powierzchni, gdzie lśniące blaszaki z łatwością mogłyby się udławić nabojami, które chałupniczo produkowano na Peczerskiej. Tak więc, Cyprysie, idziemy ze swoimi. Albo daj więcej czasu na przystrzelanie broni.

Cyprys czasu nie dał, dlatego musiał się zgodzić na warunki stalkerów. Sam Baobab polazł w ciężkim i gorącym skafandrze, biorąc ze sobą kałasznikowa z mnóstwem amunicji. Wybrano go na kontrolera właśnie dlatego, że grubas, choć kiepsko, ale umiał strzelać. Aczkolwiek okropnie tego nie lubił.

Poza tym strzelać zamierzał pieniędzmi.

Trzeba przyznać, że Kondor nie spodziewał się niczego innego po przedstawicielu administracji. Przedwojenne naboje, które przeleżały nienaruszone przez wiele lat, w świecie metra były

traktowane jako środek płatniczy. Mówiąc wprost, stały się miejscową walutą, zastępując stare papierowe pieniądze. Poprzednik Cyprysa przeprowadził reformę, kiedy okazało się, że aby stworzyć jednolitą gospodarkę, najlepiej jest skorzystać z tych odpowiedników waluty wymiennej, które w chwili rozpoczęcia wspomnianej reformy są magazynowane właśnie u ciebie. Jak powiedział, tak zrobił. Po metrze szybko rozeszła się pewna liczba lśniących naboju różnego kalibru, podobnie jak samej broni. Strzelano nimi rzadko. Do tego szlachetnego, według miejscowych miar, celu wykorzystywano przeważnie amunicję własnej roboty – nie na darmo Peczerska okazjonalnie odpalała stalkerom na lewo solidną dołę za przynoszony z powierzchni nadmanganian potasu i pudełka zapalek. We wcześniejszych latach tamtejsze złote ręczki nie wahały się przed zamówieniem wału korbowego ze starego samochodu, z wykorzystaniem którego potrafili sklecić działo bezodrzutowe do ochrony posterunku. Udało się. Działko broniło stacji przed rozmaitym plugastwem, które czasem rwało się z głębi tuneli. Dokładnie do chwili, kiedy wybuchło, rozszarpując strzelców na strzępy. Mieszkańcy Peczerskiej zacisnęli zęby i tylko westchnęli – bez tego sprzętu strażnicy i tak by zginęli, tylko znacznie wcześniej. Było to jeszcze przed zjednoczeniem obu linii i utworzeniem Krzyża. Mroczne to były czasy, pełne anarchii...

– Dokąd idziemy? – spytał Baobab.

Kondor zastanowił się nad trasą. Potrzeba było czegoś bezpiecznego, ale nie do końca. Paradoks sytuacji polegał na tym, że koniecznie przydałyby się jakieś niewielkie tarapaty, by do tłuściocha dotarło, że czasem kręcą się tu rozmaite stwory. Dotarło tak, by jego raport dla Cyprysa o ciężkiej stalkerskiej codzienności mienił się krasomówstwem Cycerona. By pisanina spaślaka przekroczyła wyznaczony przydział papieru w takim samym stopniu, jak obwód w jego pasie przekracza normy człowieka w jego wieku. Właśnie rozmiary Baobaba drażniły Kondora nawet bardziej niż jego wyniosłość. W metrze się nie tyło. W metrze nie sposób było przybrać na wadze. Ma się szczęście, jeśli nie trzeba zreć szcurów. Jakie rarytasy szamali

rzządzający, wiedzieli tylko ci, którzy mieli z nimi kontakt.

Krótko mówiąc, trzeba podreptać od punktu A do punktu B optymalną trasą. Znaleźć parę świetlików albo chartów, zastrzelić jakiegoś. Jak nie znajdą, to niech idą w cholere, Bocian wypali w pusty otwór okienny i powie, że widział w nim jakiś ruch.

- Idziemy na południe ulicą Wasilkowską – odparł Kondor. – Wzdłuż drogi, nie wysuwając się na środek. Trzymajcie się domów.

Baobab umilkł. Pracowicie klikał dozymetrem, kręcąc nim na wszystkie strony. Kondora to bezsensowne zajęcie wcale nie śmieszyło. W strachu przed nieprzyjazną naturą nie było nic zabawnego. Stalker też często czuł zdradliwą, dławiącą ochotę, żeby przeskanować aparaturą każdy centymetr ziemi w nadziei znalezienia strefy wolnej od radiacji. W końcu był niemłody i jako czterdziestosześcioletek dobrze pamiętał czasy sprzed Katastrofy. I też z początku starał się wymacać je dozymetrem, znaleźć czarodziejskie drzwi do zaginionego świata.

Ostrożnie stąpając po usianym pęknięciami asfalcie, Kondor prowadził drużynę na południe. Ze swojego miejsca widział kopułę planetarium z ogromną dziurą. Kondora zawsze ciekawiło, co mogło być przyczyną tej wyrwy. Sam się tam nie zapuścił, ale udało się to Krukowi. Wedle jego słów niczego tam nie było. Absolutnie niczego, nawet szczątków mebli i aparatury, nie mówiąc już o zapadniętych fragmentach kopuły. Tylko cztery zewnętrzne ściany. A ze środka wyglądała czarna dziura leja prowadzącego głęboko w dół, gdzie nie sięgało światło latarki, stalkerskiego „megatorcha” – niegdyś patrolówki klasy światowej, której zasięg stał się nową miarą odległości, a pchanie się poza jego granicę było zdecydowanie niepolecane. Najwidoczniej coś rozłupało dach od góry, do tego z taką siłą, że uwięzło na sporej głębokości. A potem z dziury zaczęło wylać jakieś cholerstwo. Bo i skąd ten dziwny śluz na ścianach? To pytanie numer jeden. A pytanie numer dwa brzmi: kto tak przenikliwie wrzeszczał w murach planetarium w zeszłym roku? Przecież na pewno nie człowiek.

Zresztą Kondor nie bał się spotkania z ludźmi. Z Metrogradem dawno już podpisano trwały pakt o nieagresji, a innych ludzi być tu nie mogło.

Planetarium zostało z tyłu. Skrzyżowanie. Kondor spał się wewnątrz, wyglądając za węgiel. Od strony ulicy Protasiw Jar zdarzały się zalewy szkaradnych czworonogów przypominających psy. Inaczej niż zalewem nie dało się takiej chmary nazwać. Rzeka chartów pędziła od Dniepru na zachód, żeby potem wrócić do punktu wyjścia. Zdarzało się to zazwyczaj w czasie deszczu. Był to widok nie dla ludzi o słabych nerwach. Kondor domyślał się, jakie są przyczyny takiej migracji. W normalnych warunkach ulewa zatapia kolektory w parę minut. Z pewnością to właśnie tam żyły charty. Oczywiście stalkerzy nie zamierzali tego sprawdzać. Starali się nie pchać w stronę Jaru bez powodu, co najwyżej zdarzało im się pomyszkować w budynku dworca – niewyczerpanym źródle dóbr materialnych. Chociaż bywało, że Cyprys płacił za skóry chartów ekstra. W swoim czasie w Datapolis mieli zwyczaj szyć z nich garnitury dla mieszkańców. Kondor mógł się tylko domyślać, ile na sprzedaży takich skórek zarabiali scytyjscy straganiarze zajmujący się handlem w rejonach północnych. W mateczniku Scytów, na południowej odnodze Krzyża, modne fatałaszkę ze stolicy nie cieszyły się powodzeniem. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę nędzę tamtejszych włóczęgów i całkowity brak praktycznej wartości luksusowych przedmiotów. To nie baterie ani paliwo do diesla.

Deszcz jeszcze nie zaczął padać – na razie można się było nie obawiać. Stalkerzy przeformowali szyk, obchodząc ten fragment miasta. Baobab przestał męczyć się z dozymetrem. Kondor odnotował w duchu, że grubas nie jest specjalnie poruszony krajobrazem. Miał już okazję popatrzeć na świat zewnętrzny, choć bez wychodzenia z podziemnego. Na Łukjanowskiej, gdzie mieściła się szkoła dla dzieci, ustawiono platformę obserwacyjną – jeden z zachowanych szybów wentylacyjnych prowadzący aż na powierzchnię przerobiono na wieżę obserwacyjną, wieszając u góry wypukłe lustro. Było to jeszcze



w czasach pierwszych stalkerów i przy ich bezpośrednim udziale. Kiedy ich zawód był jeszcze uważany za zaszczytny.

– Kondor, iglica – zabrzmiało w uchu.

Dowódca błyskawicznie się zatrzymał, przenosząc wzrok na wyniosłe wieże kościoła Świętego Mikołaja. Jedna z nich się przekrzywiła, ale nie upadła, wciąż dziurawiąc niebo swą iglicą. Teraz widniało na niej coś ciemnego, czego wcześniej nie było. Chwilę później rozpostarły się ogromne skrzydła i latający jaszczur wzbił się w chmury.

– Pterol – powiedział Bocian.

Doigrali się.

– Kryć się – rozkazał krótko Kondor. Bez paniki, pomyślał. Nic się nie stało. Odejść na bok, przeleźć przez opustoszałe witryny dawnego spożywczaka, starając się nie chrząścić szkłem. A drapieżnik trochę pokrąży i zniknie.

– Co to? – spytał z przestachem Baobab. – Latający ptak? Naprawdę?!

– A tak – odgryzł się Wróbel. – Trzeba częściej wychodzić na świeże powietrze.

Grubas pokręcił głową z oburzeniem, starając się dojrzeć coś w górze.

– Zabijcie go – powiedział.

Stalkerzy popatrzyli na niego jak na wariata.

– Co? – Kondor pomyślał, że jakoś łączności jednak go zawiodła.

– Zabijcie ptaka – powtórzył Baobab. – Macie przecież automaty. Chcę popatrzeć.

– Mam też szcoteczkę do zębów – dodał Bocian. – Może życzy pan sobie, żebym wypolerował ptaszкови dzióbek?

– Bocian, nie trzeba. – Kondor zmarszczył brwi. – Baobab, pterodaktyla nie tak łatwo pokonać. Nawet w sześć osób. Nie ma co się zastanawiać, to zbyt groźny stwór.

Grubas westchnął z żalem. Nawet przez hełm Kondor usłyszał wydawane przez jaszczura skrzeczenie. Wątle rude źdźbła trawy przygięły się do ziemi od nagłego porywu wiatru.

Pterol wylądował przed witryną nad podziw zręcznie, o nic nie

zahaczając. Baobab czknął i spróbował schować się za metalową szafą.

- Nie ruszaj się - powiedział Kruk. - Jeśli będziemy stali nieruchomo...

Kondor widział pterodaktyla z tak małej odległości po raz pierwszy od dnia, kiedy ten w czasie nieudanego ataku zerwał Wróblowi hełm. Dowódca stalkerów starał się w każdych okolicznościach widzieć okazję, więc nie przegapił szansy, by przyjrzeć się drapieżnikowi dokładniej, uzupełniając swoją bazę danych o światcie zewnętrznym. Nie wiedząc zbyt wiele o prehistorycznych jaszczurach, zdawał sobie jednak sprawę, że latająca bestia przewyższała je siłą, choć nie była tak naturalnie doskonała. Był to na pewno drapieżnik, do tego uzbrojony w ogromne szpony, którymi mógł unosić ofiarę na sporą odległość. Kiedy jaszczur przechylił nieco głowę i otworzył dziób, stalker zauważył, że jest on gęsto usiany kilkoma rzędami małych ostrych zębów. Kilku z nich brakowało. Pterol znajdował się tak blisko, że Kondor policzył też kły. Było ich osiem. Mocne błoniaste skrzydła, bez żadnej wątpliwości zdolne unieść ptaka wraz z obciążeniem, u podstawy były ozdobione piórami nadlotkami. Ewidentny przejaw ewolucji mieszanej. Potomkowie pterola musieli jeszcze tylko rozwinąć się w stabilny biologiczny gatunek i zająć swoją niszę. Jeśli oczywiście inne gatunki nie będą przeciwne. Kondor mógł postawić swój najlepszy nóż, że będą.

Pterodaktyl dalej patrzył. Rozmiary jego oczu na wyciągniętym pysku nie pozwalały stwierdzić, czemu konkretnie się przygląda i czy w ogóle rozumie, co widzi. Przechylił głowę, jakby nasłuchiwał, demonstrując przy tym granatowo-czarny grzebień zwężający się na grubym karku i ciągnący się do samego ogona, który zdobiła dodatkowo szaroniebieska łuska. Żeby wyglądać jak smok, pterodaktylowi brakowało tylko odpowiedniego pyska i potężniejszej sylwetki.

Pterodaktyl zawarczał, rozprostował skrzydła i wzbił się w powietrze. Kondor zauważył, że jaszczurowi dość trudno było wzlecieć z ziemi. Nieprzypadkowo zwykle starał się lądować tam, skąd można pikować w dół. Przydatna obserwacja, pomyślał

stalker. Trzeba to zapamiętać.

– No i co, Baobab? – mruknął Kruk, kładąc sobie lufę automatu na ramieniu. – Wciąż jeszcze chcesz spróbować postrzelać do ptaszka?

Grubas potrząsnął głową. W jego skafandrze było to prawie niezauważalne.

Wszyscy naraz nabrali tchu. Kondor poczuł, że szybciej bije mu serce, i nakazał sobie zachować spokój. Zresztą było się czym denerwować.

– Czekamy minutę i wychodzimy – powiedział. – Ruszamy dalej, nic się nie wydarzyło.

– Widzieliście to? – odezwał się podekscytowany Bocian, starając się znaleźć jaszczura na niebie. – On na nas patrzył! Czegoś takiego jeszcze nie było.

– Mutanty mądrzeją – orzekł Kruk, spoglądając na zegarek z kompasem. – Może jutro zaczną budować piramidy. A my ciągle tłoczmy się w mrowiskach.

– Du... duży jest – oznajmił z przestachem Baobab. – I co, wszystkie stwory są tu takie jak on?!

– Skąd wiesz, że to największy?

Przedstawiciel władz zadygotał. Kondor postanowił nie wzmagać już napięcia.

– Ustawić się gęsiego, idziemy zachodnią trasą – rozkazał, robiąc krok w stronę Bociana.

Ułamek sekundy później gwałtowne uderzenie zatrzęsło witrynę. Ludzie padli na ziemię, metalowa szafa przewróciła się na Kruka. Rozległ się głośny huk, potem skrzek, sufit nad ich głowami zawałił się i do pomieszczenia wpadł co najmniej dwustukilogramowy głąz.

– Co jest, do cholery?! – ryknął Feniks.

Kondor przyskoczył do szafy i zaczął ją spychać. Wróbel zaparł się ramieniem i we dwóch oswobodzili towarzysza.

– Co z tobą, jesteś cały? – spytał Wróbel.

Kruk pokiwał głową, co równie dobrze można było uznać za „tak” i „nie”. Na wizjerze jego maski przeciwgazowej pojawiła się pajęczynka pęknięć.

– Oddycham normalnie. Ale prawie nic, do cholery, nie widzę.  
– Ostrożnie! – zawołał Feniks, zaczynając strzelać prosto w niebo.

Kondor instynktownie przypadł do ziemi, gotów w razie czego odskoczyć. Ryk pterodaktyla pędzącego wzdłuż Bolszej Wasilkowskiej zagłuszał szum jego skrzydeł, ale nie mógł przebić łoskotu kolejnego kamienia, zrzuconego przez jaszczura na ludzi. Celował, zauważył Kondor. Po stycznej. Ptak wykurzał ich na zewnątrz.

Kamienna bryła zburzyła zmurszałą ścianę.

– Uciekamy! – zawołał Kondor, wyskakując na ulicę. – Do Śluzy! Rozkazu nie trzeba było powtarzać. Było jasne, że latający jaszczur potrafi z łatwością zburzyć cały budynek. Musieli natychmiast uciekać, i to w kierunku przeciwnym do tego, w którym odleciał ptaszek. Rutynowe przemarsze stalkerów stanowiły zazwyczaj przeplatankę posuwania się zółwim tempem i sprintu. Tak jak powinny działać osobniki, które nie są drapieżnikami, ale nie mają też ochoty stać się czyjąś ofiarą. Bieg na powierzchni nie był dla stalkerów czymś szczególnym.

O Baobabie nie można było jednak tego powiedzieć. Zbyt ciężki, obleczony w grubą gumę mężczyzna nie mógł nadążyć za stalkerami. Chociaż, jak zauważył Kondor, nie był to głupek i nie tracił po próżnicy tchu na skargi czy lamentsy, nie mówiąc już o zadawaniu pytań. Zdezorientowany – tak, do tego rzadki snob. Ale nie idiota.

Wychodzący jako ostatni Kruk potknął się i pokręcił głową. Czy to pęknięcia w wizjerze faktycznie zasłaniały mu widok, czy przydarzył mu się lekki uraz? A do Śluzy było jakieś czterysta metrów. Kompletnie do dupy. Kondor zacisnęła zęby: tyle razy prosił Cyprysa o środki, żeby urządzić zewnętrzną bazę polową. W ostateczności choć rulon ogumowanego materiału, żeby osłonić kontener budowlany. Potrzebne było miejsce, w którym można by opatrzyć ranę lub zdjąć hełm, nie wdychając przy tym ani grama radioaktywnego pyłu. Niebezpieczeństwa to lipa, zwykłemu stalkerowi najbardziej brakuje najprostszych rzeczy: możliwości zdjęcia maski przeciwgazowej, otarcia twarzy,

odsapnięcia przez chwilę bez obawy ataku zza pleców. Nadających się do tego celu stalowych powłok czy prostych generatorów prądu było pod dostatkiem, ale potrzebnej im ich ilości nie dało się dostać nigdzie poza Datapolis. Jednak zwierzchnik bardzo nie lubił cudzej autonomii. Nikt nie potrzebuje drugiego Metrogradu.

Pterodaktyl wracał. Tym razem bez kamienia.

– Naprzód! – ryknął Wróbel. – Bocian, wal!

Bocian przyklęknął na jedno kolano, przycisnął wintorieza do ramienia. Najlepiej ze wszystkich umiał posługiwać się karabinem snajperskim i o tym wiedział. Chociaż nigdy się nie chwalił. W celowniku mignął długi łeb. Nacisnąwszy na spust, Bocian od razu wystrzelił po raz drugi i odturlał się w bok.

Jaszczur z krzykiem załopotał skrzydłami, jakby zasłaniając się przed kulami. Wyciągnął wnioski z ich poprzedniego spotkania i był gotów wytrzymać ból przez jakiś czas. Rzuciwszy się naprzód, pterodaktyl spadł na stalkerów jak jastrząb.

Tym razem powitało go pięć wycelowanych luf. Skrzyżowanie Bolszej Wasilkowskiej błyskawicznie zasnuło się dymem, jaszczur wykonał niemal salto w powietrzu. Otwierając dziób prawie na całą szerokość, wytwór ewolucji mieszanej wydał z siebie dziki pisk. Potem ostre szpony wpiły się w Baobaba i pterol odleciał z krzyczącą ofiarą w stronę wieży kościoła Świętego Mikołaja.

Kondor wciąż stał, ściskając w dłoniach dymiący automat, zapominając nawet odruchowo zmienić opróżniony magazynek. Po raz pierwszy w życiu.

– O w mordę – wydusił tylko Wróbel.

## ROZDZIAŁ 3

### Punkt widzenia

Jon mocniej ścisnął dłoń Zemfiry i zrobił krok naprzód.

– Tu jestem – powiedział. – Co się stało?

Arsenij nie od razu się zorientował, kto dokładnie mu odpowiedział, co zaniepokoiło Jona jeszcze bardziej. Akurat sekretarz zdecydowanie powinien pamiętać twarz nauczyciela – niejedną godzinę spędzili na słownych bataliach o namiot na Łukjanowskiej.

– To pan?! – zakrzyknął sekretarz z drżącym podbródkiem. – Szybciej, jedziemy! Nie wolno nam tracić ani chwili, czasu jest mało!

Timka ostrożnie spojrzął na nauczyciela. Nie tylko jemu zachowanie Arsenija wydawało się niezwykle.

– Proszę się uspokoić – poprosił łagodnie Jon, czując, że jego głosu słucha połowa stacji. – Niech pan opowie, co wydarzyło się w stolicy. Wszystkich nas to ciekawi.

– Masakra – odezwał się niespodziewanie jeden z ochroniarzy, spluwając na ziemię.

Mechanik Dmitrij, dotąd uważnie śledzący rozwój sytuacji ze swojej ławeczki, podniósł się z miną pełną dezaprobaty.

– Słuchaj, ty mi tu nie brudź – pogroził. – Bo będę czyścił podłogę twoją krwią.

– Coś ty powiedział? – spytał ochroniarz, unosząc lekko automat.

– Dmitrij, daj spokój – pokręcił głową Jon. – Nie przy dzieciach.

Mechanik odwrócił się z ponurą miną. Było jasne, że przy najmniejszej zniewadze da do zrozumienia spalonej szumowinie ze stolicy, że inne stacje w metrze jednak istnieją.

W tłumie zaszemrały głosy.

– Chcecie, żebym pojechał z wami? – uściślił Jon.

– Tak! – odparł sekretarz, przestępując z nogi na nogę. – Proszę. To bardzo ważne!

– Nie mogę tak po prostu zostawić tu dzieci. Przecież sam pan wie...

– Wszystko w porządku! – dał się słyszeć delikatny głos.

Zemfira uśmiechnęła się szeroko. Z kabiny wysiadła Tatiana. Jon ze zdumieniem zobaczył, że miała na sobie swój biały kitel. Czyżby ściągnęła ją prosto z miejsca pracy?

– Tania, co tam się stało? – spytał Jon.

– Sama nie wiem – odpowiedziała dziewczyna. – Jedź. Ja posiedzę z dziećmi.

– A co, jeśli...

– Po prostu wsiadaj do drezyny – powiedziała Tania niemal szeptem. – Grobowe tam u nich nastroje.

– Proszę, szybciej – błagał Arsenij. – To bardzo ważna sprawa. Wyjaśnię wszystko po drodze.

Jon odwrócił się za siebie. Tania prowadziła już dzieci do namiotu. Tylko Timka oglądał się z zakłopotaniem.

– Do widzenia, nauczycielu – powiedział.

Jon machinalnie skinął głową i podszedł do sekretarza.

– To na długo? – zapytał. – Może spakuję swoje rzeczy, jakby co.

– Nie trzeba – powiedział Arsenij. – Niech pan tylko weźmie paszport.

Jon dotknął kieszeni na piersi.

– Zawsze mam go przy sobie – odparł.

– No, to wspaniale! Jedziemy!

W ciągu minuty drezyna ruszyła. Jon zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu jedzie osobistym pojazdem zwierzchnika. Odkąd był nastolatkiem, regularnie widywał ten symbol przepychu, marzył, by się nim przejechać, wyobrażał sobie siebie a to w fotelu motorniczego, a to w wieżycze strzelniczej.

Teraz nie miał ochoty wyobrażać sobie absolutnie niczego. Zapach starego kurzu, jakby zebranego po szczypcie z każdego tunelu, wybijał z głowy każdą fantazję. Nauczyciel prawie nabił się ramieniem na jedno z przyspawanych wzmocnień – o wygodzie wewnątrz rządowej drezyny pomyślano jeszcze

mniej niż w najzwyklejszych technicznych wózkach. Prawdopodobnie bezpieczeństwo też było tylko iluzoryczne. Chociaż na zewnątrz siedzą dwaj ludzie obsługujący cekaem i do tego obsada miotacza płomieni, która zwykle pomagała zapuścić silnik – mało to pomoże pasażerom, gdy zabraknie zewnętrznej ochrony. Jon zauważył, że w środku nie było żadnych dźwigni, które wprowadzałyby dreżynę w ruch bez pomocy maszynisty na dziobie. Nie było nawet zamka, żeby zamknąć się od wewnątrz. Mieściła się tu za to chałupniczo zrobiona skórzana kanapa i dwa wąskie fotele o różnych rozmiarach, tak że rozmówcy nie mieli możliwości, by wygodnie usadowić się twarzą w twarz czy choćby wyprostować nogi, nie depcząc sąsiadowi po butach. Na dodatek cała konstrukcja straszliwie zgrzytała i hałasowała, a przecież dreżyna nie działała na prąd. Wystarczy, że ochrona odpali silnik, a od echa w tunelach płyty pancerne zaczną dzwonić w rytmie pogrzebowego marsza.

Jon dostrzegł to wszystko w ciągu paru chwil, wydając ledwie słyszalne westchnienie rozczarowania. Godna elity karoca z wyobraźni pozostała we wspomnieniach. W rzeczywistości było w niej ciemno, zimno i zaskakująco duszno. Nauczyciel poczuł złość.

– Słucham – odezwał się. – Jaki ma pan problem? Kto mnie wezwał i po co?

W odróżnieniu od Jona sekretarz, jak się zdawało, czuł się w dreżynie więcej niż komfortowo. Odchylił się na oparcie skórzanej kanapy i nieco rozluźnił.

– Przede wszystkim proszę mi coś powiedzieć, Jon – zaczął. – Pamiętam, ile stracił pan sił, żeby w metrze otworzyć szkołę. Wtedy ta decyzja wydawała mi się pozbawiona sensu, ale teraz i ja, i Cyprys uważamy, że to dobry pomysł.

– Dziękuję – rzekł sucho Jon.

– O czym opowiada pan dzieciom na swoich zajęciach?

– Czy ma to związek z tym, po co jedziemy do stolicy?

– Tak, ma.

– Nie mogę odpowiedzieć tak prosto. – Jon aż się roześmiał. – Po prostu... gadamy o wszystkim i niczym. Po prostu daję im



rozrywkę. Gdybym potrafił grać na harmonii, tobym grał. Czytam im, co mogę, opowiadam, co wiem...

– I co, nie ma w tym żadnego globalnego zamysłu, planu?

– Niby dlaczego? – nie zaprzeczył nauczyciel. – Moje zadanie to opowiedzieć im o pozytywnych detalach przedwojennego świata, żeby miały w co wierzyć.

– A pan uważa, że zna się na przedwojennym świecie?

– Nie mniej niż każdy inny mieszkaniec Krzyża.

– Naprawdę? – Arsenij pokręcił głową. – Ile ma pan lat, nauczycielu?

– To takie ważne? – spytał ostrożnie Jon.

– Z pewnością nie pamięta pan świata sprzed Katastrofy. A jeśli nawet, to zupełnie nie tak, jak należy. Każdy człowiek choćby o dziesięć lat starszy od pana potrafi opowiedzieć o przeszłości znacznie więcej.

– Ale nie każdemu człowiekowi uwierzą dzieci.

– Ach tak. – Sekretarz odwrócił się, spoglądając na powoli przesuujące się w okienku sklepienie tunelu.

– Właśnie tak – potwierdził spokojnie Jon. – Niech pan posłucha, nie udaję, że jestem wyjątkowy. Tak, urodziłem się mniej więcej w czasie Katastrofy i niemalże nie pamiętam zewnętrznego świata. Prawie wszystkiego, co opowiadam, sam musiałem nauczyć się z książek i relacji naocznych świadków. Ale ja to przynajmniej robiłem, starałem się odtworzyć obraz minionego świata. Mówi pan, że nie widziałem go na własne oczy? Ma pan całkowitą rację. Tyle że za jedno pokolenie to nie będzie miało absolutnie żadnego znaczenia. Do tego czasu zwyczajnie nie będzie już ludzi, którzy pamiętają świat sprzed Katastrofy, a tymczasem wiedzę nadal będzie trzeba przekazywać. A ci, którzy pamiętają go teraz, nie palą się, żeby dzielić się swoimi opiniami również z powodu polityki, jaką prowadzi Cyprys.

– Nie zgodziłbym się – odparł Arsenij. – Niech pan nie zapomina, że pracuję w sztabie zwierzchnika.

– Przypomina mi pan o tym regularnie od czasu, kiedy zacząłem wysyłać zapytania o szkołę. Ale mówmy szczerze. Szkoła jest potrzebna i to jest fakt. Kiedyś broniłem tego pomysłu

w pojedynkę. Teraz po mojej stronie jest co najmniej setka ludzi, którzy cieszą się, że w każdej chwili mogą zostawić swoje dziecko w bezpiecznym miejscu. Nazwałem się Jon, na cześć dawno zapomnianego terminu z podręcznika szkolnego. Ludzie, którzy nazywają mnie nauczycielem, nie pamiętają albo nie znają mojego nowego imienia. Wielu zapomniało o prawdziwym znaczeniu tego słowa, sądząc, że nauczyciel to ktoś podobny do mnie. Nie mam żadnego wykształcenia ani doświadczenia pedagogicznego. Ale mam reputację solidnego człowieka, któremu można powierzyć syna lub córkę. Wie pan, co zrozumiałem? Zaufanie ma w metrze większą wartość od każdego pieniądza. Niech pan to rozumie, jak chce, ale szkoła w granicach Krzyża to konieczny warunek naszej przyszłości. Przyszłości całego metra...

– A propos solidności. Zdaje się, że wpadł pan w oko jednej dziewczynie w stolicy. Tak?

– No i co? – Nauczyciel wyraźnie sposepniał.

– Ile ona ma lat?

– Nie wątpię, że pan to wie.

– Ma pan rację, wiem. Dasza jest osiemnastolatką, chociaż byliście razem już wcześniej. Dlaczego nie przeniosła się do pana, na Łukjanowską?

– Nie będziemy o tym mówić – powiedział twardo Jon. – To nasza prywatna sprawa. Nie zamierzam wdawać się w wyjaśnienia.

Sekretarz uśmiechnął się i nachylił do niego.

– Jak na człowieka, który tak gorliwie badał przedwojenny świat, mało pan zna ten współczesny – powiedział niemal szeptem. – Na terytorium Krzyża małżeństwo można zalegalizować już w wieku szesnastu lat.

– Kiedy zechcę ogłosić, jakie stosunki łączą mnie z Daszą, będzie pan pierwszym, do którego zajdę się pokłonić – zapewnił Jon. – Może pan być spokojny.

– Będę – obiecał sekretarz, znów przybierając obojętną minę. Chciał coś dodać, ale powstrzymał się i zamiast tego z irytacją zabębnił palcami po obiciu fotelu.

– Niech pan mi powie – odezwał się. – Opowiadał pan dzieciom o Metrogradzie?

– Tylko to, co i tak wszyscy wiedzą.

– O Ptakach?

– O drużynie Kondora akurat nic nie wiadomo.

– Jasne. A o Czerwonym Wariancie?

Jon powoli potarł policzek.

– Nie – odpowiedział. – Mimo wszystko nie jestem aż takim draniem, za jakiego mnie pan uważa.

– I nie robił pan nawet aluzji?

– Aluzje, tak jak i inne, bardziej wymowne detale, dzieci widzą codziennie na wszystkich stacjach. Histeria na punkcie Czerwonego Wariantu jest rozpętywana na każdym rogu. Niech pan czasem wysunie nos ze swojej budki z maszyną do pisania, przejdzie się choćby po zaułkach Datapolis, a usłyszy pan dużo interesujących rzeczy.

– Pan znacznie częściej przechadza się po zaułkach – zauważył Arsenij. – I ma pan niewątpliwie lepszy słuch. Proszę, niech pan opowie o Czerwonym Wariancie mnie.

– Co?

– Proszę. Chciałbym odświeżyć sobie w pamięci ludowe opowieści. Mówię bez ironii. Zresztą naprawdę mało o tym wiem. Drezyna posuwała się po szynach zbyt powoli. Jon ciężko westchnął i spróbował wywołać w pamięci wszystkie odpryski informacji, które całymi latami żmudnie zbierał w całość.

– Jak panu wiadomo, nasze metro tworzą dwie linie – zaczął. – Biorę pod uwagę te zachowane i zaludnione. Kureniewsko-Krasnoarmiejska i Syrecko-Peczerska. Na planach są oznaczone odpowiednio na granatowo i zielono.

– Zgadza się.

– Ale wszystkich linii było pięć. Jednak do początku wojny dwie z nich nie zostały jeszcze oddane do użytku. Może nawet nie zaczęli ich budować, nie wiem. W każdym razie zgodnie z przeznaczeniem wykorzystywano tylko trzy. Te dwie, które opisałem, plus jeszcze jedną, najdłuższą. Swiatoszyńsko-Browarską, ciągnącą się przez cały Kijów w linii prostej i dzielącą

go na dwie części. Linia koloru czerwonego.

– Zabawnie słyszeć, jak mówi pan o niej, jakby rzeczywiście istniała.

– Na wypadek wojny nuklearnej istniał plan pozwalający zamienić całe metro w jeden wielki schron. – Jon nie zwracał uwagi na uszczypliwości sekretarza. – Zgodnie z nim wszystkie trzy linie powinny były zachować łączność, wspólne systemy zaopatrzenia w wodę, możliwość przemieszczania się, jednym słowem, wszystko, czego potrzeba do życia. Przy tym czerwona linia była całkowicie zależna od dwóch pozostałych, przecież to właśnie u nas znajdowały się magazyny i zapasy żywności.

– Proszę kontynuować.

– Po Katastrofie, kiedy wszystko trochę się uspokoiło, ludzie zaczęli układać sobie życie w metrze. I wtedy wyszła na jaw dziwna sprawa. Okazało się, że do czerwonej linii nie można się dostać. Przez jakiś dziwny zbieg okoliczności zasypane zostały wszystkie przejścia podziemne, wszystkie tunele i schody, wszystkie możliwe szyby. Przy tym odnoga niebieska i zielona z grubsza ocalały i można było swobodnie przechodzić z jednej na drugą. Właśnie tak powstało nowe państwo: Krzyż. Punkt przecięcia obu odgałęzień stał się centrum handlu, które nazwano Datapolis. To jest w sumie wszystko, co opowiadałem dzieciom.

– Nawiasem mówiąc, skąd wzięła się ta nazwa? – zainteresował się Arsenij. – Chyba nie brzmi do końca po rosyjsku. A i po ukraińsku nie pamiętam takiego słowa.

– Jak to? – Nauczyciel nie wierzył własnym uszom. – Naprawdę pan nie wie?

– Nie. Przyznam się, że ani razu się nie interesowałem, a teraz nagle porwał mnie pański entuzjazm.

– No kurde! – Jon nie wytrzymał, sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął wytarty plan metra. – Widzi pan?

– A co mam tu zobaczyć?

– Jak nazywają się stacje na skrzyżowaniu linii?

– Dworiec Sporta.

– A przylegająca do niej stacja niebieskiej linii?

- Plac Lwa Tołstoja.
- A teraz niech pan weźmie pierwsze litery wszystkich słów w obu nazwach.
- De, es, pe, el, te – wyliczył sekretarz i jego twarz nieco się rozjaśniła. – A, no tak.
- Niech pan pomiesza litery, a potem spróbuje stworzyć z nich słowo, dodając samogłoski wedle uznania – zaproponował Jon. – Słowo „Datapolis” samo przyjdzie panu do głowy. Wcześniej czy później. Przeprowadziłem nawet badania. Mieszkańcy metra sami wymyślili nazwę stolicy naszego państwa. Teraz już mało kto pamięta, od czego się zaczęło. Ale nie przyszłoby mi do głowy, że sekretarz zwierzchnika nie zna własnej historii.
- Mam wiele innych zmartwień – burknął Arsenij. – Głównie bytowych.
- Pańska sprawa. Więc tak, czerwona linia okazała się stracona. Nie było żadnej możliwości, by szukać tam ocalałych, właśnie ze względu na brak dostępu z naszej strony. A przecież jeśli w Kijowie pozostali jacyś żywi ludzie poza granicami Krzyża, to tylko na czerwonych stacjach.
- Logiczne.
- Kiedy tylko zaczął się rozwijać Krzyż, pojawiły się głosy o operacji ratunkowej. Że trzeba się za wszelką cenę przebić na linię Swiatoszyńsko-Browarską. Jakiś czas później ludziom w Krzyżu zaczęło mocno brakować przestrzeni. Każdy myślał o rodzinie i bliskich, którzy teoretycznie mogli przeżyć, ktoś chciał przenieść się tam, gdzie jest choćby jedna nowa twarz. Nawet zwykli bandyci mieli ochotę przebić się do sąsiedniego pomieszczenia, żeby było gdzie żyć i kraść. Idea wisiała w powietrzu. Dla jednych była jak chwast przeszkadzający w układaniu sobie życia, dla innych jak wiatr nadziei...
- Można bez ozdobników? – poprosił Arsenij.
- Jon się uśmiechnął.
- Wreszcie był też typowy głód informacji – powiedział. – Słowem, mniej niż rok po utworzeniu Krzyża w metrze mówiło się tylko o legendarnych ocalałych „czerwonych”.

– Łatwe do przewidzenia.

– No jasne. Można powiedzieć, że właśnie dążenie do przedostania się na zasypaną linię było głównym impulsem do powstania stalkerstwa. W końcu okazało się, że zapasów i urządzeń jest tak dużo, że mieszkańcy Krzyża w zasadzie nie potrzebują wychodzić na powierzchnię przez najbliższe lata. Nikt przecież nie wiedział, że ugrzęźliśmy tu na długo... Pierwsze wypadki na powierzchnię, które skończyły się fatalnie dla śmiałków, miały na celu właśnie przedostanie się na linię Swiatoszynsko-Browarską od góry. Stalkerom pasowała do tego dowolna stacja.

Sekretarz wziął plan Jona i zaczął go oglądać.

– I wtedy efekt tajemnicy wywołał histerię – kontynuował Jon. – Stacje okazały się zablokowane na powierzchni na całej długości czerwonej linii. W miejscach wszystkich znanych zejść odkrywano stopy kamieni, osuwiska, zalane przejścia, skażenie radioaktywne, najczęściej wszystkie te przyjemności naraz. Nawet jeśli udało się przedrzeć przez przeszkodę, dalszą drogę zagradzały obsunięcia ziemi. I to zrobione od środka. Coś takiego po prostu nie mogło się okazać przypadkiem.

– I jakie jest wyjaśnienie?

– Nie ma żadnego.

– To już brzmi zupełnie dziwnie.

– A jednak nikt nie znalazł odpowiedzi. To fakt znany nie tylko mnie. I jestem pewien, że nikt nie wie, jaka jest prawda. W metrze nie da się zachować żadnej tajemnicy tak długo. Na wagę złota jest tu nawet taka głupota jak zaginione stronicę z *Flory*.

– Sądzi pan, że to głupota?

– Sądzę, że to po prostu czyjś głupi dowcip. Ale w metrze jest pełno szaleńców wierzących, że na sześćdziesiątej ósmej stronie *Flory* kryje się tajemna wiedza, która może wiele wyjaśnić. Wzór na perpetuum mobile, przepis na długowieczność, współrzędne geograficzne jakiegoś generatora rajskich ogrodów. Tak już działa człowiek, musi w coś wierzyć.

– Wróćmy do Czerwonego Wariantu.

– Prawie skończyłem. Kiedy pogłoski o odciętej linii metra stały się w legendą, powstała przekonująca, trwała teoria spiskowa, według której wszystkie dziwne sprawy i niedopatrzona w Krzyżu są powodowane knowaniami ocalałych z linii Swiatoszyńsko-Browarskiej. To właśnie ten spiszek nazwano Czerwonym Wariantem. Całkiem wygodny sposób, by wyjaśnić absolutnie wszystko, co może się dzieć w metrze lub poza jego granicami.

– Dziękuję – powiedział sekretarz. – Przekonał mnie pan, że aż do dziś rzeczywiście nikt nie wiedział niczego konkretnego o Czerwonym Wariacie.

– Co pan ma na myśli? – spytał Jon z niepokojem. – Jak to aż do dziś?

– To właśnie powód, dla którego jedzie pan ze mną do stolicy – odparł Arsenij. – Godzinę temu Ptaki znalazły na powierzchni człowieka.

– Jakiego znowu człowieka?!

– Nie wiemy – powiedział sekretarz po krótkim milczeniu. – Mam nadzieję, że okaże się po prostu nieznanym stalkerem gdzieś z dzikich południowych stacji. Ale mamy podejrzenia, że on... nie jest stąd.

– Chce pan powiedzieć, że znaleźliście człowieka z czerwonej linii?

Po wymówieniu tych słów Jon zdał sobie sprawę, jak dziwnie brzmią. Wcisnął się w siedzenie drezwiny wiozącej go w kierunku odpowiedzi. Jeśli Czerwony Wariant znajdzie potwierdzenie, zmieni się cały system życia w metrze...

Sekretarz wiercił się w fotelu.

– Mówię przecież, że nie wiemy – odpowiedział. – Ale mamy podejrzenie, że właśnie pan pomoże nam to wyjaśnić.

– Ja? – Jon stłumił chęć, żeby przetrzeć oczy. – Kogo wy tam znaleźliście, dziecko?

– Nie – westchnął Arsenij. – Po prostu jeden z mieszkańców Datapolis zdołał rozpoznać nieznanego. I ten mieszkaniec... tak, sądzę, że absolutnie można nazwać go dzieckiem.

## ROZDZIAŁ 4

### Wróg zewnętrzny

Stalkerzy wciąż słyszeli krzyk grubasa w słuchawkach hełmów. Radio faktycznie działało doskonale.

Łopocząc skrzydłami i wydając przy tym niesłyszany dotąd świst, pterodaktyl doleciał do kościoła, gdzie zrzucił Baobaba przez jedną z dziur w dachu, obok sygnaturki. Sam natomiast usiadł na strzelistej iglicy jednej z dwóch wysokich wież, złożył skrzydła i znieruchomiał. Na tle neogotyckich linii świątyni wyglądał jak baśniowy, ale całkiem dobrze dopasowany element architektury.

Kondor w końcu wziął się w garść.

– Naprzód – powiedział. – Baobab jeszcze żyje.

– Co, pójdziemy tam? – zapytał Wróbel.

To nie był protest. Stalker po prostu uściślał szczegóły.

– Pójdziemy – odparł Kondor, uważnie obserwując jaszczura. – Kiedy tylko ten pelikan przestanie na nas patrzeć.

Stalkerzy przykucnęli za rogiem, śledząc pterodaktyla przez liczne pęknięcia w murze. Krzyk Baobaba przeszedł w słaby jęk. Jaszczur siedział na wieży jeszcze chwilę, aż skrył się pod dachem kościoła. Biorąc pod uwagę rozmiary drapieżcy, musiało mu tam być bardzo ciasno, mimo złożonych skrzydeł.

– Baobab, słyszysz mnie? – powiedział wyraźnie Kondor.

Baobab nie odpowiadał. Jego głośne jęki świadczyły jednak o tym, że jeszcze nie kopnął w kalendarz.

Kondor chciał już popędzić w stronę kościoła, kiedy poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i natychmiast się zatrzymał.

– Zaczekaj – ostrzegł go Feniks. – Zastanów się.

– Nad czym?

– Jaszczur go nie zabił, nawet nie zmiażdżył w szponach. Po co Baobab jest mu potrzebny żywy?



Kondor od razu zrozumiał, co tamten chce mu wytłumaczyć.

– Chce, żebyśmy przyszli na odsiecz i sami trafili do jego gniazda? – odezwał się. – Nierealne.

– Dowódcu, zastanów się.

– Już się zastanowiłem. Swoich nie zostawiamy.

– A kto proponuje, żeby zostawić? – Feniks uniósł brwi. – Mówię tylko, żebyś był ostrożny.

Feniks chwycił strzelbę i w kilka sekund pokonał odległość dzielącą ich od wrót kościoła.

– I w ogóle Baobab to nie swój – powiedział Wróbel, pędząc razem z pozostałymi. – Wszyscy swoi są tutaj. My tu gramy dogrywkę. Słyszysz, grubasie? Opuściłeś nas w pośpiechu! Leż spokojnie i się nie ruszaj. Idziemy po ciebie!

Wrota kościoła od czasu Katastrofy popadły w tak straszną ruinę, że Kondor nie mógł stwierdzić, czy w ogóle kiedyś były ozdobne. Pośrodku znajdowały się najzwyklejsze drzwi. Teraz były powyginane, na prawym skrzydle widać było ślady silnego uderzenia od wewnątrz. Nie dało się ich otworzyć.

– Jeszcze nas tu nie było – burknął Kruk. – Wpadniemy na herbatkę?

– Zapukaj – zaproponował Feniks. – Może ci otworzą.

Kondor spojrział w górę. Było cicho.

– Wróbel, zakładaj – poleciał, cofając się.

Wszyscy pochowali się w licznych wnękach w murze. Wróbel przerzucił automat na plecy, płynnym ruchem otworzył kieszonkę na pasie, wyjął niewielki piórnik – pomarańczowy futerał wielofunkcyjny. Starannie przykleił go do drzwi kilkoma kawałkami taśmy izolacyjnej. W nadtlenek acetonu stalkerzy nie zaopatrywali się na Peczerskiej – materiał wybuchowy wytwarzali jajogłowi w laboratoriach Placu Kontraktowego. Mieli też detonatory najprostszego typu. Żarówka z baterijką.

Ale Wróbel skorzystał z jeszcze prostszego sposobu. Przebiegł na przeciwną stronę ulicy, zdjął automat, wziął na cel piórnik.

– Salut – powiedział i pociągnął za spust.

Wybuch wysadził całe drzwi. Czy to uwidoczniły się zniszczenia budynku, czy to chemicy nakombinowali coś ze składem – nie

wiadomo. Dźwięki eksplozji i wystrzału zwały się w jedno orkiestrowe uderzenie, budynek zatrzęsł się, a z góry dał się słyszeć ryk jaszczura.

– Wchodzimy! – zawołał Kondor, wskakując do środka jako pierwszy.

Ocena wnętrza kościoła zajęła stalkerom parę sekund. Wszystko, na co należało spojrzeć w pierwszej kolejności, dzieliło się na żywe stworzenia i miejsca niebezpieczne dla zdrowia. Stworzeń stalkerzy nie widzieli, za to niebezpiecznych miejsc było pod dostatkiem. Posadzka popękała do tego stopnia, że nie wiadomo było, dlaczego rzędy poczerniałych ławek nie zniknęły jeszcze w głębinach wód podziemnych, które przesączały się do tuneli Śluzy z godną podziwu regularnością. Niektóre siedziska cudem ocalały, świecąc czerwonym aksamitem. W dawnych czasach musiało tu być bardzo ładnie.

Wysokie kolumny to potwierdzały. Wszystko było zaprojektowane w formie strzelistych łuków – otwory okienne, wystrój ścian, sklepienie. Takiej koronkowej roboty Kondor nie widział na żadnej stacji metra.

Na tym jednak całe piękno się kończyło. Jedna z kolumn złamała się przy samej bazie, zamykając drogę do środka nawy. Pozostałe całkowicie straciły swą wspaniałość. Walały się też dwa masywne żyrandole. Trzeci, podtrzymywany nie wiadomo jakimi siłami, wciąż wisiał pokryty gęstym mchem. Wszystko dookoła osnuwała tak zniechęcająca przez Kondora szarość. W półmroku prawie niczego nie było widać i stalkerzy błyskawicznie zapalili latarki. Patrolówki oświetliły wybrzuszoną się pod działaniem światła, kleistą zielonkawą masę na ścianach.

– Co to za świństwo? – zapytał powoli Kruk.

Było coś jeszcze. Kości. Dużo kości.

Feniks przytknął palce do hełmu w okolicy ust. Potem przeżegnał się i coś cicho wymamrotał. Kondor ledwie zauważalnie skinął głową.

– Feniks, dawaj briefing o miejscu – powiedział. – Tylko konstruktywnie.

– Kościół kiedyś był wykorzystywany jako magazyn i archiwum – zaczął Feniks, starając się nie deptać ludzkich szczątków. – Potem został przerobiony na salę koncertową dla orkiestry kameralnej. Widzisz tam, przed nami?

Kondor poświecił. Za rozbitym ołtarzem widniała masywna konstrukcja z pionowych rur.

– Co to? – zapytał.

– Organy. Odbywały się tu koncerty, huczały na cały kraj. Kiedy kościół znów zaczął pełnić funkcje religijne, odgrywał obie role: przyjmował łaknących słowa Bożego i na drugim etacie był salą koncertową.

Kondor nie przerywał opowieści. Stalkerzy posuwali się naprzód wzdłuż lewej nawy, do otworu w ścianie. Kiedyś było tu kilka par schodów prowadzących na górę. Obecnie nie zachowały się ani jedno. Trzeba się było wspinać po ich resztkach.

– Wierni próbowali usunąć organy – ciągnął Feniks, podsadzając Bociana. – Gniewali się, że świątynia to nie miejsce na występy. Ale nawet oni nie mieli tyle śmiałości, by rozmontować instrument. Organy stoją jak wrośnięte, do tego jest tu przecież magiczna akustyka. Poza tym świątynię przebudowano za pieniądze z muzyki, a nie kościelne. A przeniesienie organów w inne miejsce też kosztuje. Czescy mistrzowie wykonali instrument na miejscu, dostosowując go do charakteru i wyglądu kościoła. Niech to lichy, wybac mi, Boże, ale w Kijowie są tylko dwa takie instrumenty, tu i w Filharmonii Narodowej. Może udałoby się zebrać w całość ich ocalałe fragmenty i umieścić w metrze. Jak myślisz, Kondor, mnisi na Pocztownym by się zgodzili?

– Sam ich zapytaj – odparł Kondor, bezszelestnie wchodząc na poddasze. – I proszę konstruktywnie. Dobra, teraz nie hałasujcie.

Cichy warkot. Pterol siedział tu zgięty w chiński paragraf i prawie całkowicie blokował przejście do sygnaturki. Zdawało się, że drzemie, ale Kondor nigdy by w to nie uwierzył. Wierzył za to w przyspieszoną regenerację skrzydlatego stwora. Drapieżnik z pewnością przychodził do siebie po odniesionych ranach.

Tymczasem jęki Baobaba przeszły w niewyraźne rżenie. Niedobrze.

– Bocian, poszukaj innego dojścia do wieży – odezwał się Kondor, trzymając na muszce drżące, złożone błoniaste skrzydło. – Feniks, pomóż mu z wyborem trasy.

Jaszczur poruszył się, jego stawy zauważalnie się rozluźniły. Kondor był przekonany, że to właśnie pterodaktyl poszerzył przejście w transepcie, dostosowując je do swoich potrzeb. Najwidoczniej zdarzało się, że łąził po wszystkich zakątkach świątyni. Stalker po raz kolejny ucieszył się, że ma na twarzy maskę przeciwgazową. Niewątpliwie panował w tym miejscu straszliwy smród. Ptaszek z pewnością przechowywał tu jedzenie na zapas.

Bocian wydostał się na dach, przecisnąwszy się przez niewielką szczelinę. Kondor zaczekał, aż stalker zacznie wspinać się na górę. Wkrótce rozległ się hałas spadających kamieni.

Pterol od razu się poruszył. Spróbował się wyprostować i jak się zdawało, utknął.

– Bocian! – zawołał Kondor.

– Jest tu zejście do wieży, ale w jedną stronę! – odezwał się stalker. – Stąd nie dam rady... O, cholera!

– Bocian – powtórzył dowódca.

Jaszczur natychmiast odwrócił się w jego stronę.

Kondor padł na twarz, uchylając się od ciosu dzioba wycelowanego w niego niczym pika. Przez ułamek sekundy zdążył dostrzec oszalałe kule oczu pałających nienawiścią do ludzi. Z jakiegoś powodu zdawały się przez to bardziej rozumne.

Wróbel otworzył ogień nad głową dowódcy. Nie ma w metrze człowieka, który by nie musiał kiedyś strzelać w zamkniętej przestrzeni. Nie licząc obywateli Datapolis oczywiście. Tak więc doświadczenie podpowiadało każdemu, kto choć raz brał udział w boju, że trzeba za wszelką cenę unikać niecelnych strzałów, tak żeby nie było rykoszetu. Wszystkie kule Wróbla utkwily w mięsistym ciele potwora.

Kruk odciągnął Kondora do tyłu. Pterodaktyl oswobodził prawe skrzydło, machnął nim wprost przed twarzą Wróbla i o mały

włos wytrąciłby mu automat z dłoni. Potem obrócił się cały.

– Kondor, nie... nie uwierzysz, co tu leży! – darł się Bocian prosto do ucha dowódcy.

Kondor skrzywił się, wstając. Zaraz, przyjacielu, zaczekaj minutkę. Wejdzimy na dach i sami popatrzymy. Tylko najpierw skończymy z tym dzięciołem. Albo on z nami. Tak czy inaczej, jeśli się stąd nie wydostaniemy, to załatwi nas wszystkich.

Sycząc i wypuszczając z pyska żółtawy śluz, jaszczur spychał stalkerów w przeciwny kraniec korytarza. Stojący przy samej dziurze w dachu Feniks wciągnął Kruka na zewnątrz i obaj zniknęli. Wróbel i Kondor dali nura w stertę odłamków, które posłużyły im jako schody, i wrócili na dół.

Ładnie powiedziane, wrócili. Kondor gruchnął na plecy z wysokości trzech metrów. Wspaniale. Uratowały go plecak, hełm i doświadczenie w spadaniu. Wróbel zdążył chwycić w locie krawędź ocalałego żyrandola i wylądował na obie nogi. W ślad za nimi z przejścia wyłoniła się szponiasta łapa, która parę razy przecięła powietrze i znów zniknęła.

Pochylając się od nagłego porywu wiatru, Feniks patrzył na ruch w dziurze. Na wizjer jego maski przeciwgazowej spadła pierwsza kropla. Przekłęty deszcz zaczął jednak padać wcześniej, niż przewidywali. Zupełnie parszywie. Feniks płynnym ruchem uniósł ciężką strzelbę z bębnowym magazynkiem. Znów wyszeptał bezgłośnie modlitwę. Zaczekał, aż w dziurze pojawi się łeb. Wypalił ze strzelby prosto w otwarty pysk pterodaktyla, zmuszając go, by odskoczył do tyłu. Szybko dostał drugi nabój, znów nacisnął na spust. Przerzucił broń do lewej ręki, dołożył parę kul przez boczne otwory. Tak na wszelki wypadek. Potem odwrócił się w stronę dachu kościoła i pobiegł w górę po dachówkach, starając się nie poślizgnąć.

Bocian wciąż coś krzyczał, pokazując palcem na sygnaturkę. Feniks widział tylko nogę w gumowym skafandrze. Baobab.

Kruk stał już na górze i właśnie skończył przeładowywać, kiedy dach przebiło potężne uderzenie od środka. Stalker stracił równowagę i poturlał się w stronę krawędzi. Złapał za przerdzewiałą rynnę, urwał ją i spadł na miniaturowy balkon.

– Ożeż w mordę! – zazgrzytał zębami stojący na dole Kondor, potrząsając poobijaną ręką i znów wskakując na górę.

Wróbel rzucił mu drugi piórnik, tym razem z doczepionym granatem.

– Chłopaki, nie wychylajcie się! Na zewnątrz nie będziecie mieli szans. Zadziobie was w cholere! – krzyknął Kondor.

Feniks ze zdumieniem zauważył, że jaszczur uderzył głową. W nowej dziurze jako pierwszy pokazał się falujący grzebień, ale pterodaktyl spróbował precyzyjnie się w całości. Bocian natychmiast przestał wrzeszczeć, przygiął się przy wieżycy, wycelował z karabinu. Za późno. Drugie uderzenie niemal wyrzuciło go w powietrze. Stalker chwycił się sygnaturki i tylko dlatego nie upadł, zgubił jednak snajperkę. Feniks wcisnął się w dachówki, patrząc, jak jaszczur wydostaje się na zewnątrz.

– A do dupy z tobą – zaskakująco spokojnie powiedział Bocian, podnosząc automat Baobaba. – Szkoda na ciebie pieniędzy.

Wystrzał, drugi.

Kondor wydostał się na ciasne poddasze, ściskając futerał rękawicą. Pterol był prosto przed nim, dokładniej jego tylna część. Ogromne szpony gorączkowo skrobały po betonie, wypychając jaszczura na zewnątrz. Kondor wyciągnął nóż, wsunął go w otwór w wybuchowym piórniku, starannie wycięty przez Wróbla tydzień wcześniej, i gwałtownie wypuszczając powietrze, wbił stal prosto w plecy drapieznika, dokładnie pomiędzy wściekle bijącymi skrzydłami. Potem wyciągnął zawleczkę.

– Strzelam walutą! – wołał Bocian, przebijając skórę pterodaktyla jednym wystrzałem za drugim. – Spieprzaj do dziupli, pieprzona jaszczurko!

Czy to liczba ran wykończyła jaszczura, czy to przedwojenne naboje tak bardzo przewyższyły te robione ręcznie – tak czy owak, różnica okazała się mocno odczuwalna. Jakkolwiek było, monstrum znów skryło się pod dachem, tworząc dla sterczącego mu z pleców ładunku wspaniałą zamkniętą przestrzeń.

Kondor odskoczył od napierającego na niego cielska, wleciał do organowej części nawy. Przesadził leżącą kolumnę i ukrył się za

nią.

Całkiem produktywne cztery i pół sekundy.

Wybuch zatrzęsł całym kościołem. Kondorowi wydało się, że organy zagwizdały wszystkimi piszczałkami, ale mógł to być tylko skutek echa. Resztki wielobarwnych witraży ocalałe od czasów wojny rozpadły się na miliony odłamków. Kawałki stropów runęły, wzbijając białą chmurę. Powietrze w jednej chwili wypełnił cementowy pył. Na dół spadła oderwana łapa, za nią poleciała reszta. Pterodaktyl wydał przeciągły ryk i runął na ziemię, szybko tracąc gęstą bordową krew. Wciąż jeszcze żył i wił się dziko, waląc głową o rozbity parkiet.

Zza ołtarza wysunął się Wróbel z automatem. Ale nie trzeba już było strzelać. Jedna z pozostałych kolumn leniwie się zachwiała, złamała dokładnie w połowie i jej górna część wylądowała na broczącym krwią jaszczurze.

Kondor miał okazję słyszeć najróżniejsze dźwięki uderzeń – głucho, dźwięczne, klaszczące, a nawet jeden bomby jądrowej, który uważał dotąd za najbardziej ohydny. Odgłos kontaktu ciężkiej kolumny i pterodaktyla wydał mu się mokry. Po prostu mokre klaśnięcie. Stalker miał szczerą nadzieję nigdy więcej niczego podobnego nie usłyszeć.

Nastąpiła całkowita cisza, nie licząc dojmującego dzwonięcia w uszach.

Kondor zamknął oczy i znów je otworzył. Powoli nabrał pełne płuca powietrza, przytrzymał, wypuścił. Zrobiło mu się lżej.

– Wszyscy żyją? – zapytał.

Eter wypełniły krótkie słowa potwierdzenia.

– Bocian, co ty tam zobaczyłeś? – spytał Kondor, wychodząc z Wróblem z kościoła. Siedzący na balkoniku Kruk zamachał do nich na powitanie i znów usiadł, trzymając się za głowę. Eksplozja wyraźnie nie wyszła na dobre jego poprzedniej kontuzji.

– Jest tu Baobab – odparł Bocian, spoglądając na to co Feniks ze stężałą twarzą. – Żywy. Trzeba tam zejść, nie poradzimy sobie we dwóch. Ale to nie wszystko. Rzucę wam linę, wejdziecie i sami zobaczycie.

Kondor z niecierpliwością doczekał się sznura, którego koniec przywiązał wraz z Wróblem do żelbetowego słupa. Potem szybko wspiął się na górę.

– Co tam macie? – spytał, zbliżając się do wierzchołka dachu. – No, co tak milczycie jak...

Stalker urwał, spoglądając na sygnaturkę.

Baobab leżał prawie do góry nogami, nie mieszcząc się cały wśród starannie ułożonych kłód, kamieni i mchu naznoszonych przez jaszczura. Był poturbowany i drgały mu palce, jedna noga wystawała na zewnątrz. Jego skafander nie był nigdzie rozerwany, więc można było uznać, że grubasowi niesłychanie się poszczęściło.

Wokół Baobaba leżały trzy olbrzymie białe nakrapiane jaja.

– A żeby cię... – Kondor oparł się łokciem na ramieniu Feniksa, ale zaraz się otrząsnął.

– Wysiadywał potomstwo. – Bocian apatycznie machnął ręką. – Chronił pisklęta. I w ogóle, może to nie on, a ona.

Kondor milczał.

– Bierzemy Baobaba – polecił, chwytając za paski skafandra. – Na raz!

Ściągnięcie grubasa zajęło im jakieś pięć minut. Kondor usiadł na dachu tyłem do gniazda, patrząc na miasto i łapiąc oddech. Nic dziwnego. Co chwila nowość stulecia.

– Co teraz? – spytał Feniks.

– Skończ z tym – odparł Kondor, szykując się do zejścia.

Feniks przygotował strzelbę, ale nie zdążył wystrzelić. Głośny trzask skorupy sprawił, że Kondor podskoczył w miejscu.

Jakby wyczuwając zagrożenie, pisklę błyskawicznie uwolniło się ze skorupki. Było stosunkowo małe – jakieś pół metra wysokości. Czyli podobnie jak dawno wymarłe krokodyle, okazało się ze trzy razy większe od swojego jaja. Piór na jego błoniastych skrzydłach było o wiele więcej niż u rodzica, a szpony zdawały się znacznie dłuższe w proporcji do reszty ciała. Dwa czarne groszki oczu były umieszczone po bokach wydłużonej głowy ozdobionej niebieskawym grzebieniem.

– Strzelaj! – zawołał Kondor, naciskając na spust. Cholera,



zapomniał o bezpieczniku. Błąd został naprawiony w dwóch szybkich ruchach.

Feniks stał nieruchomo.

Młode rozpostarło skrzydła i wydało wysoki, głośny pisk. Potem chwyciło łapami oba pozostałe jaja, załopotalo skrzydłami i oderwało się od gniazda. Kondor stał jakby przyklejony do dachówek, patrząc, jak nowo narodzony pterodaktyl spokojnie leci na wschód, do rzeki, unosząc pozostałości swojej rodziny daleko od drapieżników. Od ludzi.

Kondor opuścił lufę.

– Fen, dlaczego nie wystrzeliłeś? – spytał cicho.

Stalkerzy wciąż stali na dachu kościoła Świętego Mikołaja pośrodku zmutowanego miasta niczym dwa zielone listki ocalałe z okrutnej suszy, która zniszczyła bezkresną puszcze. Krople deszczu wciąż padały, ściekając po hełmach.

– Nie mogę do dzieci, dowódco – odezwał się Feniks, spoglądając na schodzącą nad rzekę wilgotną mgłę. – Wybacz. No nie mogę...

\*\*\*

Pałac „Ukraina”.

Deszcz padał rześkie. Nad Browarami błyskały pioruny, przynosząc ponure, warkliwe grzmoty. Najwidoczniej ulewa miała trwać całą dobę. Na pewno wieczorem znów będzie trzeba wziąć się do pomp i połatać dziury, inaczej zaleje tunel do poziomu szyn. I drezyny Datapolis zostaną wtedy w blokach. Z tygodniową izolacją Śluzu i wszystkim, co z tego wynika.

Baobab utykał na jedną nogę, opierając się na ramionach Wróbla i Feniksa. Milczał. Kondor bardzo się z tego cieszył. Szok minie, na wyciąganie wniosków z tego, co się stało, jest jeszcze dla grubasa za wcześnie. Chociaż trzeba będzie poświęcić na administratora sto gramów, tak już jest. Po takiej historii nie żal.

– My się wilka nie boimy – zagwizdał Bocian po pojedynczym strzale z wintorieza.

Samotny chart, który pokazał się zza węgła, krótko zawył,

machnął ogonem i padł na wznak, przebijając łapami.

– Szybciej! – poganiał towarzyszy Kondor.

Pałac został z lewej. Jeszcze kilka metrów i ujrzą zejście do kolejki podziemnej. Dusza stopniowo zaczynała śpiewać. W powrocie z wypadu było coś cudownego. To był jedyny moment, kiedy Kondor naprawdę kochał metro.

I wtedy stalkerzy zamarli jak wryci.

– Wszyscy stać! – krzyknął idący jako pierwszy Bocian, podnosząc karabin.

– A żeby mnie świetlik zeżarł – powiedział powoli Kruk, wskazując naprzód palcami obu rąk. – Widzisz to, Baobab?

Baobab zobaczył. Poczł, jak nogi się pod nim uginają, i zwałił się na ziemię – stalkerzy przestali go podtrzymywać. Ale nie wypowiedział ani słowa skargi, chociaż przez ostatnie parę minut milczał wyłącznie przez dumę. Jego uwaga była przykuta do tego samego obiektu co u pozostałych.

Na kamiennych stopniach prowadzących do metra leżało ciało człowieka w skafandrze ochronnym. Nawet stąd było widać, że kombinezon był mocno sfatygowany.

Baobab obejrzał się i na wszelki wypadek przeliczył oddział. Potem jeszcze raz. Pięciu stalkerów. Wszyscy na miejscu.

– Co tu się, kurde, dzieje? – zapytał Bocian.

Kondor podszedł do ciała w milczeniu. Bardzo ostrożnie.

– To nie nasz skafander – powiedział. – I nie Metrogradu... Baobab! Popatrz no tu. No, popatrz, taka twoja mać!

Baobab runął na ziemię, czując, jak powoli traci przytomność z przerażenia.

– Kto... Kto to? – zapytał ze ściśniętym gardłem.

– Ty mi to powiedz – odparł Kondor, przewracając człowieka na plecy, podczas gdy czterej towarzysze stanęli wokół niego, trzymając broń w gotowości. – To nie nasze skafandry. Wy takie macie?

Baobab orientował się w takich rzeczach, nie narzekał też na wzrok. Jego głowa zatrzęsa się na tustej szyi.

– To nie nasz – wymamrotał. – Jak... Skąd? Nowi stalkerzy?

– Dowódco, spórz na twarz – poprosił Kruk.

- Nie mogę dojrzeć - odpowiedział Kondor, starając się przetrzeć wizjer hełmu nieznanego. - Zachlapane... krwią. Od zewnątrz. I to nie ludzką. Sam tu się pewnie doczołgał i próbował dostać do środka.

Stalkerzy zaczęli spoglądać po sobie. Baobab bardzo zechciał wrócić do gniazda pterodaktyla.

Czerwoni. Czerwoni.

Świat runął.

A za nim i Baobab, który ostatecznie zemdłał.

- Więc tak, bierzcie ich i do Śluzy - wydał dyspozycję Kondor, szybko schodząc pod ziemię. - Macie teraz dwa ciała do niesienia. Zorientujemy się na dole.

- Co za popieprzony dzień - mruknął Wróbel. W tunelu słyhać było głośny odgłos kroków. - Kondor, odpowiadam ci. Dzisiaj, że mucha nie siada.

Kondor wstukał kod na panelu zapory hermetycznej. Kiedy wraz z pozostałymi znalazł się w środku, błyskawicznie ściągnął hełm, potem maskę przeciwgazową i odetchnął pełną piersią, wdychając znajomą metaliczną woń tuneli, czując wyrzut adrenaliny.

- Zgadza się - odparł, spoglądając na twarz znalezionej osoby, któremu też zdjął hełm. - Dzień rzeczywiście przejdzie do historii. Inaczej być nie może.

Stalkerzy się nie mylili.

Mężczyzna z powierzchni istotnie nie był jednym z nich. Byli gotowi założyć się o ostatnią latarkę, że ani oni sami, ani ktokolwiek inny w metrze nie mógł go widzieć.

Nieznanomy przyszedł z zewnątrz.

## ROZDZIAŁ 5

### **Stolica**

Datapolis mogło się poszczycić wszystkim, co tylko miało w metrze jakąś wartość. Znużony wartownik na południowej strażnicy Placu Lwa Tołstoja zdawał sobie z tego sprawę, przeglądając w głowie wszystko, co wyróżniało stolicę. Przepych, oświetlenie, gęstość zaludnienia, porządek, poziom życia, poziom bezpieczeństwa.

Był szczególnie dumny z ostatniego punktu – dumny dlatego, że bezpieczeństwo stacji w nie najmniejszym stopniu zapewniał właśnie on, strażnik południowego posterunku Fiodor Dementiew. O ile wiedział, na innych stacjach dyżury w patrolach albo w wartowni odbywali wszyscy mieszkańcy Krzyża bez wyjątku. Fiodor uważał ten system za barbarzyństwo, przeżytek dawnych czasów, kiedy powierzano odpowiedzialne zadania niekompetentnym ludziom po prostu po to, by zmusić ich do roboty, by poczuli na własnej skórze, jak to jest zapieprzać w cudzych butach. Fiodor nie miał nic przeciwko samej idei, ale nie mógł zaakceptować tego, że stosuje się ją do tak ważnej sprawy jak ochrona. Nie wolno stawiać na warcie zwyczajnych ludzi.

Oto dlaczego Dementiew nie odsiadywał tylko dyżuru. Ochrona południowego posterunku Datapolis była jego podstawową i jedyną pracą przez ostatnie sześć lat.

Na swoich kilku metrach kwadratowych Fiodor znał każdy milimetr kamieni i stali, kurzu i piasku, znał kąt obrotu reflektorów i cekaemów, ciężar umocnień i stuk drewnianych desek poszycia poprzecznej kładki wznoszącej się nad szynami. Dwa razy dziennie chodził z latarką do pięćdziesiątego metra, starannie oglądał ściany i wracał wiernie na swoją ławkę, do ogniska i pary pocerowanych kołder. Fiodor uważał się za

najzamożniejszego mieszkańca Datapolis – pod kontrolą miał powierzchnię rozmiarów niewielkiego basenu. Południowy posterunek.

Dementiew nie musiał stać na warcie w pojedynkę – zwykle do jego dyspozycji było nawet czterech pomocników, którzy zmieniali się w ciągu doby. Sam Fiodor wolał mieszkać w bezpośredniej bliskości posterunku, w zasięgu wzroku. Gdyby mógł, przebudowałby placówkę tak, żeby przeprowadzić się tu i tylko z rzadka otwierać przejście.

Przecież w tej części tunelu niczego nie było.

Tylko Śluza. Pustelnia stalkerów Kondora.

Wiele nerwów stracono, tocząc spory z obywatelami stolicy o to, dlaczego aż czwarta część Krzyża została faktycznie oddana do wyłącznego użytku stalkerom. Olimpijska, Pałac „Ukraina” i Łybiedska – całe trzy stacje pod wspólną nazwą „Śluza” pozostawały zamknięte dla zwykłych śmiertelników. Nie było zebrania, na którym nie podnoszono by tej kwestii. Zwierzchnik tylko uśmiechał się z zakłopotaniem i uchylał od jasnej odpowiedzi. Ale Fiodor i tak wiedział dlaczego.

Przede wszystkim stacje były nie trzy, lecz dwie – Łybiedska dawno już zapadła się pod setkami ton wody w czasie szczególnie silnej powodzi. Gdyby nie Kondor, który wraz ze swoją drużyną zdążył wysadzić ściany, całą stolicę zmyłoby w cholere. Jednak polityka Cyprysa nie przewidywała wyjaśnień dla wyborców. Ptaki po raz kolejny uratowały metro i jak zawsze nikt się o tym nie dowiedział.

Śluza rzeczywiście stanowiła rezerwat, do którego nie było wstępu. Cyprys zawdzięczał swoją władzę między innymi temu, że miał pod ręką odpowiednie straszdyło w postaci chciwych, zachłannych stalkerów, którzy zagarnęli na własne potrzeby dwie stacje. Za jednym zamachem odgrodził się od linii południowo-zachodniej, przekształcając ją w ogniwo przejściowe między stolicą a powierzchnią, i przerzucił odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo na barki pięciu facetów. Mądra decyzja wyrachowanego tyрана.

Fiodor miał wobec Ptaków mieszane uczucia. Budzili jego

szacunek, jednak intuicja strażnika podpowiadała mu, że przez wszystkie te sześć lat chronił Datapolis właśnie przed stalkerami – albo przed tymi zagrożeniami, z którymi oni nie zdołają sobie poradzić. Jeśli do tunelu dostawał się jakiś stwór, mógł poleźć w obie strony – do stolicy albo Śluzy. Sądząc z rzadkich wystrzałów dobiegających gdzieś z dalekiego południa, to właśnie stalkerzy częściej musieli się bronić. To był znak, że Fiodor też powinien się przygotować – posadzić kogoś do miotacza płomieni, a samemu wyteńczyć całą uwagę i czekać na nieproszonych gości. W takich chwilach Fiodor czuł, że zwraca stalkerom dług za to, że szybko go ostrzegli.

A jednak obawiał się, że wcześniej czy później przyjdzie moment, kiedy będzie musiał bronić stacji przed samymi stalkerami. Co więcej, mgliście podejrzewał, że właśnie dlatego Cyprys przykładał taką wagę do utrzymania posterunku w gotowości. Przecież jeśli się zastanowić, to po kiego diabła ten cały posterunek jest w ogóle potrzebny? Przytargać tu wrota hermetyczne, postawić w ciągu doby – Fiodor sam przyspawałby je w trzy godzinki. Tak żeby otwierać drzwi tylko od wielkiego dzwonu. Nawet szczer się nie przecisnie, a tym bardziej coś większego.

Znajomy dźwięk od strony tunelu przerwał rozmyślenia strażnika. Fiodor błyskawicznie odciął się od odgłosów stacji, zaczął nasłuchiwać. Tak jest, cichy turkot. Czuł, że to znajomy dźwięk, ale nie od razu zdołał go rozpoznać.

Ktoś jedzie drezyną. W zasadzie nic w tym niezwykłego, jeśli pamiętać, że dwie godziny temu Baobab wyprawił się ze stalkerami na powierzchnię, tak więc powinien już wracać. Jednak sądząc z odgłosów, stołeczny pojazd jechał znacznie szybciej niż zwykle.

Fiodor zerknął na wiszący na łańcuchu dzwon i zawahał się. Dzwonić czy nie dzwonić? Słyszając alarm, zbiegną się wszyscy. Uznawszy, że na razie nie trzeba, strażnik usiadł przy cekaemie, klnąc w myślach, że akurat teraz nie ma nikogo pod ręką.

Plama światła pokazała się dość szybko. Dementiew za jednym zamachem włączył wszystkie reflektory – na taką ewentualność

miał oddzielny przełącznik. Jednocześnie u Cyprysa w gabinecie wzrosło napięcie. Taki skutek uboczny pojawił się w wyniku awarii, ale Fiodor jej nie naprawił, uważając go za dodatkową sygnalizację. Niech się szefostwo nie rozluźnia, kiedy czuwa południowy posterunek.

Po kilku chwilach drezyna zatrzymała się przy peronie i Fiodor natychmiast skierował na nią lufę cekaemu. Poznał Kondora, ale od razu zaniepokoiły go dwie rzeczy. Po pierwsze Kondor nigdy nie wjeżdżał na samą stację bez zaproszenia – zawsze zatrzymywał się na dziesięć metrów przed końcem tunelu. Po drugie na drezynie było za dużo ludzi.

– O co chodzi? – zawołał Dementiew.

Wróbel zeskoczył z drezyny na peron, pomagając wysiąść Baobabowi. Doradca Cyprysa był bardzo błądy.

– Wyluzuj, Fiodor, wszystko u nas w porządku – powiedział spokojnie Kondor. – Nie jesteście ścigani. Bądź kolegą, zawołaj Cyprysa.

Dementiew opuścił karabin, czujnie obserwując Baobaba.

– Dobra – burknął. – A dlaczego...

Słowa uwięzły strażnikowi w gardle, kiedy ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że na drezynie jest naprawdę za dużo ludzi.

– A to kto? – zapytał, patrząc na nieznanego mu człowieka.

Na grubo ciosanych deskach leżał materac, na którym spoczywało nieprzytomne ciało trzydziestoletniego faceta. Bocian i Feniks przynieśli je razem z materacem bliżej worków z piaskiem.

– Mamy tu obcego – powiedział Kondor i spojrzał strażnikowi w oczy. – Dawaj tu Cyprysa, żywo.

Fiodor zerknął na dzwon.

– Lepiej nie – uprzedził go Kondor. – Zacznie się panika. Nie radzę, Fiedia.

Taka obfitość nowych informacji to było dla strażnika za dużo. Znów chwycił za cekaem i wycelował w stalkerów.

– Do tyłu! – ryknął. – Wszyscy odejść na pięć kroków.

Ku jego zdziwieniu stalkerzy posłuchali – cofnęli się w głąb tunelu. Tak jakby brali pod uwagę taki wariant rozwoju

wypadków. Jednak Baobab wbił w Dementiewa osłupiały wzrok.

– Co ty, ocipiałeś?! – zabuczał grubas, trzymając się drezyny, żeby nie upaść. – Nie poznajesz mnie?

Fiodor zawahał się, skierował lufę wyżej, w sufit.

– Ani kroku, bo będę strzelać – zagroził. – Pana to też dotyczy, doradco. Przyjdzie zwierzchnik i się zorientuje.

– W czym się zorientuje? – zabrzmiał głos.

Zaskoczony Fiodor o mało nie pociągnął za spust. W tym momencie nie celował już w żywych ludzi, ale taki czyn i tak zniszczyłby mu reputację na zawsze.

Zwierzchnik stał i przyglądał się wszystkim przybyłym z pochmurną miną. Był to niemłody, ale w dobrej kondycji mężczyzna, którego wiek zdradzały tylko głębokie zmarszczki i lekka siwizna na skroniach. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i sądząc z wyprostowanej postawy, zdrowie go jeszcze nie zawodziło. Na prawym rękawie widniała szeroka biała opaska – oznaka najwyższej władzy. Posiadacz imienia drzewa.

– W moim gabinecie wysiadło światło – wyjaśnił spokojnie Cyprys. – Domyśliłem się, że Fiodor włączył reflektory. Co tu się dzieje?

Baobab głośno i ciężko oddychał.

– Mamy czerwonego! – zameldował. – Znaleźliśmy na powierzchni czerwonego!

– Nie – wtrącił pospiesznie Kondor. – Znaleźliśmy obcego człowieka, ale nie wiemy, czy to czerwony. Zwierzchnikowi, on jest nieprzytomny. Trzeba natychmiast go ocucić, żeby mógł odpowiedzieć na pytania. Ale najpierw trzeba go ukryć.

Zwierzchnik nie skomentował tej sugestii. Podszedł do mężczyzny, nachylił się nad nim. Baobab lekko drgnął. Fiodor wciąż jeszcze stał przy cekaemie, obserwując dziwny obrazek. Nie był gotowy na nadejście czerwonych i dopiero teraz udało mu się w pełni to sobie uświadomić, przez co miał ogromną ochotę się napić.

– Co tak milczysz?! – Baobab nie wytrzymał. – Musimy iść do lazaretu! Byłem w gnieździe mutanta!

– Cicho – polecił Cyprys i doradca usłuchał przestraszony.



Zwierzchnik uważnie przyglądał się twarzy mężczyzny, dotykając jej lekko palcami. Zajmował się tym co najmniej minutę. Potem znów się wyprostował.

– Tak – odezwał się i potargał brodę. – Nie jest dobrze.

– Mamy go tu zostawić? – spytał Kondor. – Baobab sam złoży meldunek.

Między nim a Cyprysem zaczęła się milcząca wymiana znaczących spojrzeń. Stalker potrafił odgadnąć, o czym myśli zwierzchnik. Pojawienie się czerwonych, jak zresztą każdego nowego człowieka z powierzchni, to oczywiście sytuacja nadzwyczajna, ale mimo wszystko można ją było przewidzieć. Stalker założyłby się o ostatni nabój, a na dodatek pasek od spodni, że Cyprys nie raz i nie dwa przerabiał w głowie taki kryzys. Wszyscy teraz rozumieli: trzeba za wszelką cenę uniknąć rozgłosu. Wystarczy drobnostka, jedna najmniejsza plotka, żeby wybuchła panika.

– Fiodor – odezwał się zwierzchnik.

– Tak?

– Idź do lazaretu. Powiedz doktorowi, żeby przygotował się na nasze przyście. Niech zabiorą stamtąd wszystkich pacjentów i personel. Ma zostać tylko sam lekarz.

– Tak jest!

– Zaczekaj, nie tak szybko. – Cyprys zrobił pauzę. – Potem wracaj tutaj i stój na warcie, póki osobiście nie przyprowadzę ci zmiany. Sam, nikogo więcej nie wzywaj.

– Tak zrobię, zwierzchniku.

– Z nikim nie rozmawiaj, trzymaj język za zębami. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Kondor, twoja drużyna jest mi potrzebna tutaj – oznajmił Cyprys. – Zostawcie długą broń i opancerzenie. Możecie wziąć tylko pistolety, jeśli takowe macie. Zachowujcie się jak cywile. Posuwamy się do lazaretu różnymi drogami. Wybierajcie najgorzej oświetlone. Nieście rannego tak, jakby był pijany.

– A dlaczego nie schować go w Śluzie? – pisał Baobab.

Zwierzchnik popatrzył na niego z ledwie uchwytną pogardą. Bocian lekko się uśmiechnął, nachylił do Kruka i wyszeptał:

- Trzymaj wroga blisko.
- Aha - skinął głową Kruk. - Tyle że to o nas.
- Dobra - powiedział Kondor, ściągnając pasek z automatem. - Feniks, załóż mu na głowę jakąś szmatkę. Zawiąż bandanę czy coś takiego.

Dwie minuty później zwierzchnik szedł przez stację sam. Przeludnienie Datapolis okazało się przydatne jak nigdy - w stolicy, z wyjątkiem specjalnie wyznaczonych miejsc na zebrania, nie było nawet skrawka wolnego miejsca, na którym można by było przyciągnąć czyjąś uwagę nietypowym zachowaniem ani czymkolwiek innym. Plac Lwa Tołstoja był tak gęsto zabudowany, że dawno już zamienił się w prawdziwy labirynt przepierzeń z dykty, niekończących się baraków, stelaży i segmentów mieszkalnych. Sąsiednia stacja - Pałac Sportu - była jej kopią, z tą różnicą, że tam zabudowa wznosiła się na dwa, a nawet trzy piętra. W takich miejscach trudno było prowadzić jakiegokolwiek życie społeczne, tak więc w godzinach umownie przyjętych jako dzień - rzecz jasna zgodnie z zegarem na stacji - wszyscy mieszkańcy stolicy zbierali się w korytarzach między obiema częściami Datapolis, przy pawilonach handlowych. Ale lazaret na szczęście znajdował się w takim miejscu, że rannego gościa można było przenieść w półmroku niezauważalnie.

Cyprys zdołał zamaskować się dość łatwo - narzucił na siebie kufajkę Dementiewa, która uczyniła jego wysmukłą postać cięższą, zasłaniając jednocześnie opaskę na rękawie. Zwierzchnik czuł się trochę głupio przez to, że musiał kryć się przed własnym elektoratem, jednak impulsywność nie mogła przeważyć nad ostrożnością.

Trochę z tyłu Kondor i Wróbel nieśli rannego, który niby to upił się do nieprzytomności. Bocian wyjął z kieszeni bejsbolówkę, nasunął na głowę, zawadiacko obracając ją daszkiem do tyłu, i od razu przybrał wyraz twarzy beztroskiego chłopaczka, po czym skrył się w cieniu baraków. Feniks i Kruk po prostu rozpułynęli się w powietrzu, jak gdyby nigdy ich nie było. Kondor nie miał pojęcia, jak konkretnie przedostaną się do lazaretu, ale wiedział, że potrafią to zrobić lepiej niż on sam.

Lazaret mieścił się w przeciwległym zakątku stacji. Był to już nie barak, lecz najprawdziwszy dom z oddzielnym piecykiem, ciągnącym się wysoko w górę zrobionym z rury kominem, a nawet z gankiem. Nie pożałowano na niego desek oraz kamieni. Kondor patrzył na lazaret z mieszaniną zazdrości i dumy. Prawie wszystkie materiały budowlane przyniosła z powierzchni jego drużyna. Żaden ze stalkerów nie miał jednak okazji się tu leczyć.

– Won mi stąd! – krzyknął Baobab na siedzącą na ganku umorusaną dziewczynkę.

Kondor wprost osłupiał, widząc takie chamstwo doradcy. Grubas odwrócił się w jego stronę.

– Miejskowa żebraczka – powiedział, nie potrafiąc ukryć drżącego podbródka. – I tak mnie nie rozumie, ma poprzesztawiane klepki.

– Więc tym bardziej nie ma powodu być grubiańskim – powiedział z rozdrażnieniem Wróbel. – Można ją po prostu stąd zabrać.

W drzwiach pokazała się młoda kobieta w białym kitlu.

– Przestańcie – odezwała się. – Jeszcze nas usłyszają.

Cyprys wyszedł w ślad za nią.

– Nie przejmuj się, Tatiana – poradził. – Baobab, milcz! Wnieście tu rannego.

Stalkerzy patrzyli na Tatianę z zachwytem.

– Dzień dobry, Tania. – Bocian uśmiechnął się lekko. – Pięknie pani wygląda w stroju lekarki.

– Jestem przecież dentystką. Co pana w tym dziwi? I do tego nauczycielką. Tak, i dlatego nie pozwolę krzywdzić Elzy. – Tatiana troskliwie wzięła dziewczynę za ramię i spróbowała odprowadzić ją na bok. – Chodźmy, kochana. Dam ci coś do jedzenia.

Dziewczyna zajęczała, ale nie stawiała oporu. Pod skorupą brudu nie dało się dojrzeć rysów twarzy. Jej łachmany bardziej przypominały szmatę do mycia filtra powietrza niż ubranie. Tylko oczy, przy całej pustce jej wzroku patrzące ufnie, po dziecięcemu, nie budziły wstrętu, a nawet były ładne.

Kondor zawlókł rannego do domu, ale ten niespodziewanie się

poruszył. Baobab odskoczył w bok, Kruk wyciągnął rewolwer z kieszeni. Cyprys chwycił za balustradę ganku tak, że palce zbieleły mu w świetle lampy.

Powieki rannego zatrzepotały. Mężczyzna otworzył oczy i wypatrywał czegoś przed sobą.

Elza powiedziała coś niewyraźnie. Dziewczynka wyrwała się Tatianie z rąk, podbiegła do obcego i uwiesiła się na nim. Takiego ciężaru Kondor nie mógł już utrzymać i stalkerzy chwycili go z dwóch stron naraz, nie dając mu upaść.

– Dawid – odezwała się dziewczynka, spoglądając na przybysza nieobecny wzrokiem. – Da-wid...

– Elza – wyrzęził ranny. – Co...

Znów stracił przytomność.

Cyprys nie wytrzymał, przesadził balustradę i odciągnął dziewczynę na bok. Elza szarpnęła się i zapiszczała w jego rękach.

– Kim ty jesteś?! – wysyczał zwierzchnik. – Mów, szybko!

– Proszę ją puścić – błagała Tatiana. – Przecież ona nie rozumie!

– On ją rozpoznał!

– To niech jego pan pyta! A ja nie pozwolę krzywdzić biednej dziewczynki!

Wściekły Cyprys puścił Elzę, ta wybuchła płaczem i zwinęła się w kłębek wprost na zimnej posadzce. Zwierzchnik odetchnął głęboko, otarł czoło rękawem kufajki.

– Posłuchaj. – Nachylił się nad Elzą. – Muszę się dowiedzieć, kim jest ten człowiek. Jak powiesz, to dostaniesz dużo smacznego jedzenia. Jesteś głodna.

Elza zapłakała jeszcze głośniej.

Zwierzchnik wyprostował się, klnąc na czym świat stoi.

– Trzeba ją rozgadać – oznajmił. – Potrzebny nam Jon z Łukjanowskiej.

## ROZDZIAŁ 6

### Dawid

Do chwili, gdy dreznina ze sztandarem zwierzchnika dotarła do stacji, Jon wciąż jeszcze nie mógł pojąć, w czym przyjdzie mu uczestniczyć. Wciąż jeszcze był myślami na Łukjanowskiej, na swoim miejscu w namiocie, przy czym nie wiedzieć czemu objaśniał dzieciom zakazany temat Czerwonego Wariantu. Krótki wykład, który właśnie wygłosił sekretarzowi, dla samego nauczyciela stanowił część ni to prawdziwej historii, ni to mitologii i w najśmielszych fantazjach nie przypuszczał, że będzie kiedyś mówić o czerwonej linii jako o czymś realnym, przerażającym, niezbadanym. Przez całe życie czerwoni byli dla niego dziecięcymi strachami, które postrzegał jako kolejne wyzwanie. Dla Jona perspektywa spotkania z czerwonymi, bycia świadkiem ich ekspansji w stronę Krzyża, była raczej zagrożeniem dla jego świata wewnętrznego niż ojczystej stacji. Na razie bajka o ocalałych zapewniała mu swego rodzaju komfort, dzięki nadziei, że za granicą metra przetrwało życie. Do tego tuż obok. Marzenia o jasnej przyszłości, w której – lichy wie – może czerwoni faktycznie obalą Cyprysa, chociaż Jon z całych sił sprzeciwiał się wszystkim agresywnym metodom. Zaczął chwycić się możliwości zebrania wokół siebie małych słuchaczy, podzielenia się z nimi swoim entuzjazmem. To właśnie Czerwony Wariant naprawdę wypełniał jego życie, dał impuls, by szukać, trzymać się i nie poddawać. Ale teraz cały dotychczasowy sposób życia należało zostawić na Łukjanowskiej.

Jon zbliżał się do Datapolis – stolicy, która tak często go drażniła. Odwiedzał ją tylko po to, by rozwiązywać różne problemy. Najczęściej zresztą bez powodzenia. I ani razu po to, by pohandlować, albo ot tak, dla przyjemności. W istocie każda wizyta w Datapolis była dla Jona równoznaczna z męczącą misją.

Opuszczał dom i jechał licho wie dokąd, żeby robić z siebie żebraka. Nauczyciela wytrącał z równowagi fakt, że każde zwycięstwo musiał wywalczyć. Wracając do domu, Jon coraz częściej podejrzewał, że jego chęć kontaktu z dziećmi nie jest wcale spowodowana marzeniami o świetlistej przyszłości, ale banalną nieumiejętnością znalezienia wspólnego języka z dorosłymi.

Stacja Pałac Sportu standardowo powitała Jona zamieszczeniem, atakując jego zmysły wszystkim, co miała. Gdyby nie stukot kół drezyny, Jon natychmiast usłyszałby dziką kakofonię dźwięków. Ze względu na specyficzną akustykę wszystkie odgłosy stolicy nakładały się na siebie, mieszały z sobą, odbijały od pylonów, aby wlecieć do tunelu w formie niepojętego hałasu. Potem pojawiała się woń ohydnych opał, ustępów, prochu, spalenizny, dymu. Jeśli zaś wędrowiec przybyły z dalekich zakątków Krzyża mógł wytrzymać podobne przyjęcie, to ostatecznie dobijało go oświetlenie. Nie dlatego, że na centralnych stacjach było więcej światła – tylko z powodu jego nierównomiernego rozmieszczenia. Względnie jasno było w pasażach. Najciemniejszymi miejscami stały się, rzecz jasna, baraki mieszkalne. Zamieszkująca pylony elita miała do dyspozycji znacznie więcej kilowatogodzin. Ale i tak je oszczędzała – jak przystoi każdemu bogaczowi. Najmocniej oświetlonymi punktami Datapolis były posterunki, może za wyjątkiem wyjścia do Śluzu. Tam zawiadywał osobiście Dementiew, który wolał nie zużywać prądu niepotrzebnie.

Jednak Jon przybył dokładnie z drugiej strony, od północy. Nauczyciel osłonił się rękami przed przenikającymi przez szpary w drzwiach drezyny promieniami światła, mając gdzieś, że z boku ten gest wygląda żałośnie. Zapomniał swoich okularów ochronnych – zostały w namiocie. Duma nie pozwoliła mu prosić o nowe.

- Jesteśmy – powiedział Arsenij, wychodząc na peron i nie kryjąc ulgi. Oczywiście, tu był przecież jego dom. Kto jak kto, ale sekretarz na pewno uważał jasne światło za coś, co rozumie się samo przez się. Ciekawe, czy potrafi cokolwiek dostrzec

w lokalach mieszkalnych?

Na stacji czekał już oczywiście komitet powitalny – sześciu ponurych ochroniarzy w kamizelkach kuloodpornych i z automatami. To wystarczyło, żeby Jon nie na żarty się przestraszył. Automaty – to jeszcze, ale kamizelki? Pancernik mówił o tym, że spodziewane zagrożenie ma zdecydowanie ludzki charakter. Kamizelka kuloodporna nie ochroni przed pazurami. Takich środków używa się do obrony przed wrogiem dwunożnym i rozumnym.

Przy przeciwległym tunelu krzątało się jeszcze z dziesięciu ludzi, pospiesznie wrzucających worki z piaskiem na specjalnie rozpiętą nad nim wąż kładkę. Widocznie po to, żeby można było zerwać podpory i zawalić tor do linii południowo-wschodniej. Nauczycielowi bardzo się to nie spodobało. Gapiów na razie nie było. Prawdopodobnie w najbliższej przyszłości ich nie będzie. Jon wiedział, że Cyprys lubił przeprowadzać ćwiczenia na wypadek pojawienia się nieproszonych gości i dla mieszkańców stolicy takie przygotowania nie były niczym osobliwym. Tyle że w przypadkowość organizowania takich ćwiczeń akurat dziś Jon nie wierzył.

– Arsenij – zwrócił się do sekretarza. – Czy na stacji wprowadzono już stan wyjątkowy?

– Jak dotąd nie – odparł sekretarz.

– Jak dotąd? To znaczy na coś czekacie?

– Cyprys nie podejmuje pochopnych decyzji. Rozważy wszystkie za i przeciw i wtedy się określi.

Jon ledwie nadał za Arsenijem w labiryncie zabudowań.

– W takim tempie przedwcześnie wzbudzicie panikę – ostrzegł nauczyciel. – W metrze sekrety mają krótkie życie. Zapomniał pan?

– Nie zapomniałem – odpowiedział sekretarz. – Właśnie dlatego mamy mało czasu. Czekają na nas w lazarecie.

Przejścia między częściami Datapolis Jon nie lubił najbardziej. Siedzący na schodkach żebracy jednym głosem zaczęli błagać go o „zetonik”. Jon kiedyś się dziwił, skąd wzięli się właśnie w Datapolis – miejscu mającym być ostoją praw obywatelskich.

Nijak nie wpisywali się w precyzyjny system administracyjny.

Z powodu przeludnienia od niedawna każdy, kto chciał się osiedlić w stolicy, mógł to zrobić tylko w jeden sposób – opracować plan optymalizacji warunków mieszkaniowych wszystkich pozostałych. Na dodatek realizacja tego planu miała się stać podstawową pracą jego autora, jego głównym płatnym zajęciem. Jeśli ktoś umiał budować, był zobowiązany na przykład do wdrożenia niestandardowego materiału budowlanego, z przeżutą tekturą włącznie, albo wymyślić oryginalny sposób łączenia desek bez metalowych części. Przy czym osiągnięcia miały się przysłużyć nie przyszłym pokoleniom, lecz generacji obecnej. Najlepszy hydraulik południowych stacji, chcąc osiedlić się w Datapolis, musiałby nie tyle stworzyć wodociąg dla całej stolicy, co cały czas łamać sobie głowę nad tym, jak przebudować system tak, by bogatsi mieszkańcy mieli wodę lepszej jakości. Odniesiony sukces mógł uczynić bogatym i samego hydraulika. A wtedy tylko patrzeć, jak zwolni się jeden z pylonów.

Inaczej mówiąc, możliwość przeprowadzki do stolicy miał każdy kreatywny człowiek, który zajmuje się czymś społecznie użytecznym i nie boi się ciężkiej pracy.

Jednak natura ludzka wzięła górę. Skomplikowane procedury meldunkowe zabiły szansę na jakiegokolwiek ulepszenia, zmuszając innowatorów, by z trudem szukali innych sposobów, by dogodzić gorze. W jednej chwili wszystkie plany „powiększenia potencjału stolicy” sprowadziły się do jednego – jak wygryźć konkurencję. W końcu za twórczy wkład można uznać nie tylko stworzenie czegoś nowego, czy choćby konkurencyjnego, ale i krytykę tego, kto już wcześniej wymyślił wszystko, co trzeba. Tak więc nowe, światłe idee były przez wszystkich oceniane pod względem swych niedoskonałości. Wkrótce po reformie stolica Krzyża zamieniła się w nieprawdopodobne kłębowisko rur, przewodów, kanałów, kładek i różnych węzłów – i cała ta plątana wymagała codziennej obsługi. W pogoni za postępem ktoś nie wziął pod uwagę, że każde twórcze podejście wymaga przestrzeni dla eksperymentów, a w takim zamkniętym systemie jak Datapolis



nie było już nawet metra kwadratowego, na którym można by było spokojnie odpocząć.

Kiedy się wyjaśniło, że obywatele zaczęli przeszkadzać sobie nawzajem, gwałtownie wzrósł poziom agresji. Cyprys polecił oczyścić ze wszystkich obiektów przejście między stacjami, przekształcając je w terytorium neutralne. Tak powstała swego rodzaju ziemia niczyja – strefa równości. Nierealna próba rozładowania napięcia nieoczekiwanie zakończyła się sukcesem, gdyż mieszkańcy stolicy, pomimo różnic, zgodnie drżeli o samą ideę stabilności systemu społecznego i silnego społeczeństwa, którego trwałość była ponad wszelkie wygody. W rezultacie obie stacje stały się tak przeludnione, że chętnych na przeprowadzkę do stolicy zrobiło się znacznie mniej. Miasto przestało się rozwijać, Cyprys obiecał nowe reformy. Lecz przy tym nikt, kto wyszarpał sobie pazurami miejsce w Datapolis, nie chciał go już opuszczać. W granicach miasta mieli szansę na lepsze życie. Po wejściu do któregośkolwiek z tunelów nie było żadnej.

Przedzierając się przez tłum, Jon niemal przeklinał się za to, że skorzystał z drezyny zwierzchnika. Powinien biec za nią. Teraz w oczach połowy mieszkańców stolicy nauczyciel był VIP-em, od którego można wyciągnąć pieniądze na jedzenie. Tym bardziej że sądząc z zapachu, jedzenie było tu całkiem niezłe. Jon nie wyczuwał już znajomego aromatu pieczonego mięsa. Przez lata życia pod ziemią ludzie nie utracili zmysłu piękna – a w każdym razie tego, co zwierzęcy instynkt kazał im tak nazywać. Oprócz grzybów, wieprzowiny i różnych parszywych, nie wiadomo z czego zrobionych kiełbas, nie było co jeść. Dlatego w ruch poszły przyprawy, sosy, barwniki i inne dodatki smakowe, używane, by zabić przebrzydły smak kiepskiej jakości jedzenia. Kiedy Jon tworzył swój osobisty ranking przydanych innowacji w metrze, to na równi z ręcznym oczyszczaniem filtrów powietrza postawił sosy. Zwierzchnik bez wahania oddałby jeden z pylonów temu, kto wymyśliłby sposób produkcji każdego możliwego sosu z surowców dostępnych w metrze. Jednak kuchmistrz-wynalazca pozostał nieznanym – zginął w tunelach po drodze na Kontraktową.

– Arsenij – Jon nie wytrzymał. – Skąd tu nędzarze? Po co wam oni?

– Jak to po co? – zdziwił się sekretarz.

– Oni tu pracują?

– Oczywiście. Żebrzą. To też praca. Wszystko, co przynosi dochód, można nazwać pracą. Poza tym płacą podatek. W zamian za to nie wyganiamy ich. W czym problem?

Jon chciał zaprzeczyć, ale nic nie przyszło mu do głowy. Tranzyt między stacjami Krzyża odbywał się bezpłatnie – był to jeden z postulatów, dzięki którym Krzyż mógł pozostać jednym państwem. Nikogo nie można było ot tak usunąć ze stacji albo zabronić mu wejścia, jeśli ten przestrzegał miejscowych praw. Mimo istnienia lokalnych organów władzy na każdej stacji cła i opłaty za przejście były surowo zakazane. Natomiast na prawo do pracy należało zasłużyć albo chociaż opłacić je z własnej kieszeni. Zwykle wszyscy właśnie tak robili – płacili, żeby mieć możliwość znów zarobić i znów wydać wszystko na miejscu. Jaki sens byłby pchać się do krainy światła, sosów i lśniących drezyn, jeśli nie po to, by coś stamtąd przynieść?

Widocznie żebracy znaleźli sposób na legalizację i obejście niektórych ograniczeń. Wejść na stację – proszę bardzo. Wyjść – nie ma problemu. Ale znaleźć na jej terytorium zajęcie – o to już trudniej. Bądź łaskaw zapłacić. Schemat prosty jak pusta łuska po naboju, ale działa.

Przybysze uważali za stosowne nie obrażać miejscowych. W zasadzie ta społeczna gra nie była jedyną, na której opierał się chwiejny porządek metra. Sam Jon z zasady nigdy nie dawał jałmużny żebrakom. A jednak, zdał sobie ze smutkiem sprawę nauczyciel, w oczach zwierzchnika to właśnie on, wyprasząc namiot dla szkoły, wyglądał na takiego żebraka. Brudni obszarpańcy na schodach byli dość znaczącym ogniwem lokalnego systemu ekonomicznego. On zaś, obcy z Łukjanowskiej, nie przynosił niczego poza kłopotami.

– Książki, skupujemy książki na rozpałkę! – krzyczał śniady zarośnięty facet z żyłastymi rękami. – Karty do gry, przedwojenne plakaty! Mamy *Florę* z sześćdziesiątą ósmą stroną!

Obok faceta błyskawicznie pojawiło się dwóch dyżurnych. Jeden z nich miał na rękawie cieką brązową opaskę – znak przynależności do korpusu podoficerów. Według hierarchii stacji Plac Lwa Tołstoja – prawie nic, młody człowiek z brązowym „jednym paskiem” nie miał nawet prawa odwiedzić Baobaba bez zaproszenia. A jednak miał władzę – na przykład prawo do zatrzymania i zabezpieczenia majątku na godzinę, póki nie pojawią się nowe informacje. Nie minęła nawet minuta i sprzedawcę opału wyprowadzono, podczas gdy wezwana dodatkowa para dyżurnych, tym razem bez opasek, związała trefny punkt handlowy.

– Patrzcie go, jaki cwaniak – pokręcił głową Arsenij. – Wykombinował, że będzie handlował fałszywą *Flora*. Pełnego wydania nie ma nikt, ale ludzie wciąż jeszcze są gotowi kupować te książki, nawet nie patrząc, czy jest tam odpowiednia strona. Na Majdanie Niezależności za pełny tom wciąż jeszcze oferują nowiutką drezynę z pozłacanym kadłubem i pełnym bagażnikiem naboju. Nic dziwnego, że fałszerze drukują podróbki. Sam widziałem nie mniej niż dziesięć i niektóre były zrobione po mistrzowsku.

– Co teraz będzie z handlarzem? – zapytał Jon.

– A nic szczególnego. Przez parę dni będzie czyścił wychodek. Chociaż jeśli już kiedyś wpadł, to może się to przedłużyć do miesiąca.

Głośny śmiech od strony izolatki obwieścił, że sprzedawca nie bał się brudnej roboty. Jon podejrzewał, że wcześniej czy później na pewno uda mu się sprzedać fałszywą książkę.

– No i jesteśmy na miejscu – powiedział Arsenij.

Przy wejściu do lazaretu stał jeden ze stalkerów. W przeszłości Jon miał okazję widzieć wszystkie Ptaki, stojąc w tłumie. Zapamiętał wtedy rysy każdego z nich, tak że teraz mógł bez trudu rozpoznać, kto jest kto.

– Pokój wam, dobrzy ludzie – powitał ich Bocian. – Zapraszamy.

Jon pochylił się i wszedł do środka. Zupełnie się nie spodziewał, że zobaczy tu takie zgromadzenie. Chociaż pewnie tak właśnie powinien był wyglądać sztab spiskowców. Ale tak dziwnego

zebrania wtajemniczonych nawet sobie nie wyobrażał.

Pięciu stalkerów, zwierzchnik, sekretarz i siedzący pośrodku pod jasno świecącą lampą nieznamy młody mężczyzna o mocnej budowie, przywiązany do krzesła. Jednak Jona najbardziej poraziła siedząca przy stole chirurgicznym dziewczyna zawinięta w prześcieradło. Jej mokre kasztanowe włosy były starannie uczesane, bił od niej mocny zapach szarego mydła. Stał przed nią talerz zupy ze standardowej racji żywnościowej Datapolis. Dziewczyna pochłaniała zupę dużą łyżką z godnym pozadzroszczenia apetytem. Nie zwróciła na Jona uwagi.

– Kto to? – spytał nauczyciel, zaskoczony, że właśnie takie pytanie przyszło mu do głowy w pierwszej kolejności. Z jakiegoś powodu dziewczyna zaciekała go najbardziej.

– To jest Elza – odpowiedział Arsenij. – Miejscowa bezdomna. Jest nienormalna.

– Elza? – dopytał Jon, domyślając się, po co go wezwano.

Kiedy Arsenij po drodze do stolicy powiedział, z kim będzie musiał rozmawiać, nauczyciel nawet nie pomyślał o Elzie. Czasem spotykał tę dziewczynę podczas swoich wizyt w stolicy. Wyglądała jak pozostali nędzarze, ale nigdy nie żebrała o żetony, choć nie odmawiała, kiedy je dostawała. Można było ją zobaczyć przy najcięższej fizycznej pracy, z jaką mogła sobie poradzić młoda kobieta szczupłej postury. I nawet w czasie wolnym nieustannie coś robiła. Elza najczęściej zajmowała się takimi głupstwami jak polerowanie podkładów kolejowych. Robiła wiele rzeczy, o które nikt jej w ogóle nie prosił. Ale przynajmniej jej nie przeszkadzano.

– Co wy, wykąpalicie ją? – spytał Jon, starając się wyobrazić sobie tę scenę.

– Nie my – odparł Wróbel. – Tatiana. Próbowwała też się z nią dogadać. Zanim pojechała do ciebie.

– Tak. – Jon przeniósł spojrzenie na jeńca. – I to jest ten wasz czerwony?

– Nikt nie powiedział, że to czerwony – poprawił go ostrożnie Feniks. – Chociaż...

– Ciszej wszyscy! – nakazał Cyprys. – Właśnie dochodzi do siebie. Posłuchajmy.

Wróbel dał Jonowi kuksańca łokciem.

– Słuchaj – powiedział. – To interesujące.

Jeniec lekko odchylił głowę do tyłu. Spojrzał w górę zupełnie rozumnym wzrokiem.

Stalkerzy ustawili się wokół niego.

– Rozumiesz mnie? – spytał Cyprys.

Jeniec zakasłał.

– Tak – odpowiedział.

– To dobrze. Wiesz, gdzie się znajdujesz?

– W metrze – odparł Jeniec.

Elza, szcękając łyżką, zakłócała tajemniczy nastrój tej sceny, jednak Jonowi taki układ się podobał. Żadnych konfliktów, normalnie rodzinna pogawędka.

– Kim pan jest? – spytał Jeniec. – Dlaczego tu jestem?

– Jestem Cyprys, naczelnik tej stacji. Jak masz na imię?

– Nazywam się... – Ranny umilkł na kilka sekund. – Ja... nie wiem.

– Próbujesz rznąć głupa? – zapytał zwierzchnik.

– Miał uraz głowy – uprzedził Kondor. – Naprawdę może niczego nie pamiętać.

– Tak? – Zwierzchnik zmarszczył brwi. – No, przypuśćmy. Co robiłeś na zewnątrz?

– Na zewnątrz?

– Na powierzchni. Co robiłeś na powierzchni?

– Nie wiem. Głowa mnie boli. Chcę się położyć.

– Pamiętasz cokolwiek? – spytał Wróbel. – Po prostu powiedz to, co pamiętasz. Podziel się wszystkimi wspomnieniami.

Jeniec spróbował wstać i szarpnął się.

– Dlaczego jestem związany? – zapytał. – Kim jesteście? Czego chcecie?

– Mnie wystarczy – powiedział Cyprys. Obrócił się do Elzy i jednym szarpnięciem poderwał ją od stołu. Dziewczyna krzyknęła, wciąż ściskając w dłoni łyżkę.

– A kto to jest? – spytał zwierzchnik. – Mówisz, że straciłeś

pamięć? Znasz ją?

- Elza - oznajmił jeniec.

- Skąd ją znasz? - zapytał Kondor. - Lepiej się przyznaj, chłopcze. Inaczej będzie bardzo źle.

- Nie pamiętam - wymamrotał jeniec. Było widać, że każdy ruch sprawia mu ból. - Nikogo z was nie znam. Nie pamiętam własnego imienia. Wiem tylko, że ona nazywa się Elza. Ale kim jest, tego nie wiem.

Dziewczyna popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

- Dawid - przemówiła i oblizała łyżkę. - Dawid, Dawid, Dawid.

- Co to znaczy? - spytał zwierzchnik. - Co to jest, imię?

- Bardziej przypomina sygnał wywoławczy - zauważył Wróbel.

- Raczej - zgodził się Feniks. - Jeśli ten facet był na powierzchni, to na pewno nie jest sam. Dawid to pewnie jego imię. No, albo prawie.

- Po co mu sygnał wywoławczy, jeśli nie miał radiostacji? - miał wątpliwości Kruk.

- Mówi ci coś imię „Dawid”? - zapytał Cyprys jeńca. - Słyszałeś o Metrogradzie? Jesteś jednym z ludzi Szestakowa?

Tamten pokręcił głową, kryjąc grymas bólu.

- Nie wiem - powtórzył. - Próbuję sobie przypomnieć, naprawdę. Ale nie mogę. Posłuchajcie mnie. Nie wiem, kim jesteście, ale nikomu nie zaszkodzę. Wypuście mnie i coś sobie przypomnę.

- Wolność, chłopcze, nie jest ci pisana - zaproponował Kondor. - Dopóki nie dowiemy się, kim jesteś i z której stacji.

- Co znaczy stacji? - zapytał jeniec. - Kim wy jesteście? Co ja zrobiłem? Gdzie mnie znaleźliście?

- Skończ te wygłupy, co? - skrzywił się Wróbel. - Znaleźliśmy cię na górze, w skafandrze ochronnym, nieprzytomnego. Możesz to jakoś wyjaśnić?

- W jakim znowu skafandrze? - Dawid nie zrozumiał. - O czym wy mówicie?

- Przestańcie - wtrącił się Jon. - Groźby tu nie pomogą. Cyprysie, mogę pana prosić na chwilę? Sam na sam.

- Oczywiście. - Zwierzchnik zgodził się i zdecydowanym

krokiem wyszedł z lazaretu. Najwidoczniej i jemu obrzydło to miejsce.

Na ganku nauczyciel zebrał myśli.

– Nie ściągnął mnie pan z Łukjanowskiej po to, żeby zdradzić mi wszystkie tajemnice – zaczął. – Zdaję sobie sprawę, że usłyszę tu tyle, na ile mi pan pozwoli. Ale mimo wszystko, po co mnie pan wezwał?

– Widziałeś Elżę? – spytał Cyprys. – Trzeba z nią porozmawiać. Dziewczyna ewidentnie zna tego człowieka. Ale ma umysł małego dziecka. Potrzebuję, żeby pomówił z nią ktoś, kto potrafi obchodzić się z dziećmi.

– I po to mnie pan wezwał? – zapytał z niedowierzaniem Jon. – Miał pan Tanię. Ona potrafi wszystko to, co ja. Tania już tu była, zna Elżę znacznie lepiej niż ja. Jest dobrym lekarzem. Poza tym jest kobietą. Więc w czym jestem lepszy?

– To wszystko nie takie proste – stwierdził Cyprys. – Nauczycielu, w rzeczywistości Tatiana potrafi znacznie mniej niż pan. Niech mi pan wierzy, gdyby wystarczyły nam usługi naszego miejscowego lekarza, pomyślelibyśmy o panu w ostatniej kolejności. I to nie pan ma porozmawiać z Elżą. Pańskie zadanie to dostarczyć ją do kogoś, kto może to zrobić.

– Niech pan to wyjaśni – zażądał Jon.

Zwierzchnik rzucił niespokojne spojrzenie w stronę drzwi.

– Przed chwilą byliśmy świadkami przesłuchania, tak? – zapytał.

– No, i co z tego? Dawid, czy jak mu tam, niczego nie powiedział.

– I w tym rzecz. To, co teraz powiem, może się panu wydać dziwaczne, ale... To nie było jego pierwsze przesłuchanie.

– Co?

– Przesłuchujemy tego faceta od czasu, kiedy wysłaliśmy po pana dreżynę. Za każdym razem wszystko przebiega według tego samego scenariusza. Budzi go światło lampy, nie poznaje nikogo wokół siebie i jednakowo odpowiada na te same pytania. Jego odpowiedzi zawsze mają identyczną intonację, nastrój, emocje. To przesłuchanie, które pan widział, było szóste z kolei.

– Chwileczkę – poprosił Jon. – Bo zaraz i ja zeświruję. Chce pan

powiedzieć, że ten facet nie pamięta nic z tego, co mówił pięć minut wcześniej?

- Tak, to chcę mniej więcej powiedzieć - potwierdził zwierzchnik. - Nie wiem, kogo tu mamy: czerwonego, miejscowego czy w ogóle ufoludka. Ale jest to człowiek, którego pamięć przeładowuje się za każdym razem, kiedy robi się ciemno.

- Ciemno?

- Ale nie na darmo postawiliśmy przed nim lampę. Starczy, że ją wyłączymy, i traci przytomność. Włączamy, budzi się i ni cholery, nic nie pamięta.

Jon powoli oparł się łokciami o balustradę ganku.

- A Elza? - zapytał.

- Elza, jeśli chce pan wiedzieć, mieszka w Datapolis od czterech lat. Gdy trafiła do nas, była już chora na umyśle. I te dwa świry, tam, w środku, skądś się znają. Nie możemy przebić się do głowy Dawida. Ale z Elzą mamy szansę. Matuzalem. Znachor ze stacji Boryspolskiej.

- To ten znachor od problemów z głową? - wydukał oszołomiony Jon.

- Właśnie ten. Najlepszy, jeśli nie jedyny, specjalista od psychiatrii w Krzyżu. Wiedział pan, że zdobył kwalifikacje jeszcze przed Katastrofą?

Jon stracił dar mowy.

Zwierzchnik otarł czoło ze wzburzeniem.

- Jon... - odezwał się i jego wzrok nieoczekiwanie złagodniał. - Nauczycielu. Wezwałem pana po to, żeby prosić o pomoc. Powierzyć panu niezwykle odpowiedzialne zadanie. Chcę, by zabrał pan Elzę do Matuzalema, żeby wydobyć z niej, skąd zna Dawida.



## ROZDZIAŁ 7

### Przygotowania

Z początku Jon nie zrozumiał, czego zwierzchnik chce od niego. Potem, spoglądając w pełną napięcia twarz Cyprysa, zdał sobie sprawę, że to nie żart...

– Mam iść z tą damą na drugi koniec metra? – dopytał. – Ciągnąć ją za sobą?

– Tak – potwierdził zwierzchnik. – Poradzi pan sobie.

Tłumiąc przebudzone poczucie odpowiedzialności cywilnej, Jon pomyślał o możliwej nagrodzie. Myśl o zmianie brezentu w szkolnym namiocie na ułamek sekundy przysłoniła wszystkie pozostałe.

– Dobrze – odparł Jon. – Jeśli sądzi pan, że tak trzeba...

– No i pięknie. – Zwierzchnik wypuścił powietrze. – Już się przestraszyłem, że spyta pan: „Dlaczego ja?” ...

– Dlaczego ja?

Na twarzy naczelnika stolicy zastygł półuśmiech. Jon pomyślał, że ten wyraz twarzy pewnie był typowy dla Cyprysa w czasach jego młodości, kiedy dopiero wspinał się na kierownicze stanowisko?

Zapanowała krótka cisza, zakłócana tylko przez postukiwanie łyżki, którą Elza wygrzebywała resztki polewki.

– W końcu jest pan specjalistą od komunikacji z dziećmi – odparł zwierzchnik. – Tyle razy używał pan tych słów, kiedy pan na mnie naciskał, wymuszając utworzenie szkoły. Pamięta pan, jak musiał argumentować? Że jakoby tylko panu w całym metrze dane jest się tym zajmować. No to proszę brać Elzę i zaprowadzić ją na Boryspolską.

– Ona nie jest dzieckiem. To dorosły człowiek z zaburzoną psychiką.

– Odmawia pan?

Jon ostatecznie się pogubił.

– Nie, nie odmawiam – powiedział. – Tylko... mam ją prowadzić piechotą? Własnymi siłami?

– Nie mamy teraz drezyny na kierunku południowym, ale na Kłowskiej może pan spróbować coś znaleźć. I rzecz jasna, nie będzie pan musiał radzić sobie własnymi siłami, pomożemy, w czym trzeba. Proszę mi dać swój paszport.

Nic nie rozumiejąc, Jon podał Cyprysowi złożony kawałek kartonu. Zwierzchnik wyjął z kieszeni pudełko z pieczętką i postawił znak na pierwszej stronie.

– To upoważnienie – wyjaśnił. – Od teraz jest pan członkiem administracji Datapolis. Serdecznie witamy.

Jon nie znalazł właściwych słów. Chowając paszport, poczuł, jakby nowy dokument skuł mu ręce i nogi niczym kajdany. Czyżby jego wyprawa była dla Cyprysa tak ważna?

– Arsenij przedstawi panu szczegóły – powiedział zwierzchnik. – Dziewczynę wkrótce wyprowadzą. Powodzenia. I niech pan jak najszybciej wraca.

Cyprys skrył się w lazarecie.

Jon stał dalej na ganku, czując się jak widz wyciągnięty z tłumu na scenę. Potem pospiesznie wyciągnął plan metra i zaczął się w niego wpatrywać.

Na pierwszy rzut oka wszystko zdawało się nieskomplikowane. Też mi coś – przejść przez względnie cywilizowane miejsca w granicach własnego państwa. Co on, nie chodził nigdy po tunelach ani nie rozmawiał z ludźmi?

Zrobiło mu się nieco lżej na duszy. Ożyło marzenie o podróżach, fantazja zabierała go daleko stąd. Powinien sobie poradzić ze wszystkimi przeszkodami – w końcu miał już okazję toczyć spory z samym zwierzchnikiem stolicy. Miałby nie znaleźć wspólnego języka z przedstawicielami władz? Albo zapomnieć, jaki kierunek wskazuje igła kompasu?

Potem zwałił się na niego cały ciężar tego, co go czeka. Konieczność mozolnej wędrówki przez dziesięć stacji, do miejsc, o których właściwie niczego nie wie, do tego w warunkach stresu i nadciągającego niebezpieczeństwa, pozbawiła nauczyciela

resztek zapachu. Jon nie wiedział prawie nic o południowej części metra. Od dziecka nie był dalej niż Peczerska. Północne rejony Krzyża były mu mniej więcej znane, ale południowe cieszyły się złą sławą. Jon nigdy się nie zastanawiał, skąd się wzięła ta reputacja, po prostu przyjął jako pewnik, że na południe lepiej się nie pchać. Do Sławutycza w ogóle nigdy nie dotarł – po drugiej stronie metromostu Krzyż nie miał już żadnych wpływów. A już na pewno nauczyciel nie podzielał entuzjazmu Cyprysa, który z taką pasją chciał wyjaśnić, skąd przybył Dawid. Co za różnica skąd? Dla Jona nie miało już żadnego znaczenia, czy czerwona linia jest aktywna, czy nie. Po tylu latach izolacji była mu tak odległa jak lodowce Arktyki z książek. Jeśli oczywiście wciąż jeszcze istniały.

Jon nie chciał poznać żadnej prawdy. To była obca prawda, z innego środowiska. Czy teoria Czerwonego Wariantu była prawdziwa, czy nie – nie wróżyło to niczego dobrego dla życia, do którego przywykł.

Obok niego pojawił się Kondor, który zdawał się nie mniej skonsternowany niż nauczyciel. W jego obecności Jon nie poczuł się lepiej. Przeciwnie, od razu opanowało go poczucie własnej beużyteczności, słabości, braku doświadczenia. Nie należał do świata metra, a ojczysty szkolny namiot znalazł się zbyt daleko, żeby czuć, że ma gdzieś dom.

Przywódca Ptaków skinął głową nauczycielowi.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Jon wzruszył ramionami.

– A co to jest porządek? – spytał.

– Dobrze pytanie – pochwalił stalker. – Wiesz, wciąż znajduję na nie różne odpowiedzi. I ani jedna mi się jeszcze nie spodobała.

– Czemu się tak denerwuję?

– Dlatego że to niewdzięczne zadanie. Idziesz nie po to, żeby rozwiązać problem, ale żeby się od niego uwolnić. Myślisz, że ten facet jest tu komuś potrzebny? Albo ta mała?

– W takim razie dlaczego wysyłają mnie samego? – zapytał Jon. – Nie mam żadnego doświadczenia w takich sprawach. Przecież nie jestem stalkerem i nie mogę swobodnie chodzić,

gdzie chcę. Mam inny pogląd na życie. To raczej pan mógłby wykonać to polecenie.

– Wątpię – zaoponował Kondor. – Sedno twojego zadania nie leży w tym, żeby dokąś dotrzeć, ale w tym, żeby przeprowadzić drugiego człowieka. Nam, stalkerom, kiepsko to wychodzi. Do tego w tunelach słabi z nas przewodnicy. I powiem tak: stuknięta kobita to zupełnie co innego niż to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. Stalkerzy nie improwizują. Żeby przeprowadzić Elzę na południe, potrzebny jest człowiek z bardziej elastyczną psychiką niż nasza. Ty masz dobrą reputację, poradzisz sobie.

– Żaden z pańskich ludzi ze mną nie pójdzie?

– Wybacz, ale nie. Nie jesteśmy lubiani. Bardzo kiepsko znamy te okolice. A w tych, które znamy, mamy wrogów.

Kondor zachęcająco klepnął nauczyciela po plecach.

– Ale to nie znaczy, że wyślemy cię bez broni. Cyprys powinien dać ci ekwipunek. Kiedy skończysz, podejdź do naszej drezyny. Dołożymy, co będzie trzeba.

– Dobrze. – Jon machinalnie kiwnął głową.

Kondor wstał i natychmiast zniknął między barakami. Jon ze zdziwieniem odkrył, że pięciu stalkerów również zdążyło rozpląnąć się w powietrzu. Nauczyciel poczuł zazdrość. Sam nigdy nie posiadał sztuki znikania w tłumie.

– Nauczycielu, proszę tu podejść – zawołał go Arsenij.

Jon nawet nie zauważył, kiedy pojawił się sekretarz. Otrząsnął się z rozmyślań i zbliżył do niego. Sekretarz bębnił palcami o balustradę ganku, spoglądając na zegarek.

– Elza będzie wkrótce gotowa – oświadczył. Słowa zabrzmiały nieprzyjemnie, jakby wypowiedziano je w kontekście kulinarnym. – Ma pan tu trochę pieniędzy. Niech pan idzie na targ, kupi, co potrzeba.

Na dłoni Jona wylądował cicho pobrzękujący woreczek. Wydawał słabą woń smaru rusznikarskiego.

– Naboje? – spytał z niedowierzaniem Jon. – Mam tym strzelać czy handlować?

– Jak pan woli – odparł niepewnie Arsenij. – To pańska sprawa. Pan lepiej wie, jak się przygotować.

Patrząc mu w oczy, Jon uświadomił sobie, że jakkolwiek śmiesznie to brzmiało, sekretarz mówi prawdę. Nawet szkolny nauczyciel z Łukjanowskiej znał się lepiej na sprawach wojskowych niż którykolwiek z pracowników administracji. I to biorąc pod uwagę fakt, że Jon nie miał pojęcia, czego się spodziewać po południowych stacjach. W administracji pracowały gryzpiórki, nie żołnierze. A i wojaków trudno było znaleźć w Datapolis. Wszyscy nadający się do noszenia broni pilnowali posterunków. Cyprys nie miał też wyszkolonych ludzi, których można by posłać w niebezpieczną podróż. Datapolis nie było gotowe na wyprawy w dalekie zakątki metra.

Z tą niespokojną myślą nauczyciel ruszył w stronę rynku. Teraz jak nigdy czuł iluzoryczność i kruchość stolicy opierającej się nie tyle na prawie, ile na ludzkim pragnieniu zachowania choćby pozorów porządku.

Tłum był gęsty – trudno było zrozumieć, dokąd wszyscy spieszą. Zdawało się, że rzeka ludzka po prostu przelewa się z jednej stacji na drugą i z powrotem. Przedzierając się przez tę masę, Jon ze wszystkich sił starał się nie zgubić w niej mentalnie, w miarę możliwości zachować trzeźwy umysł. Kiedyś pragnął rozplątać się w stolicy, pozwolić, by przepuściła go niczym przez maszynkę do mięsa, wyposażyła we właściwy sposób myślenia, dała przedsiębiorczość i zdecydowanie, które pozwolą mu znaleźć przepis na zaczepienie się w tym centrum cywilizacji. Dziś natomiast stolica denerwowała go do bólu.

Mijając podobne do siebie stragany, udekorowane szyldami i wystającymi spod nich przegniłymi belkami, Jon zatrzymał się przy stoisku z bronią. Obok, niby przypadkowo, stał strażnik z naszywką na rękawie, która zdradzała jego przynależność do „niebieskiej” części Datapolis, uważającej się za bardziej elitarną od części „zielonej”. Spoglądając na naszywkę, Jon zaczął jeszcze bardziej wątpić w jednolitość Krzyża. O jakiej wspólnocie stacji można mówić, skoro ukryty konflikt toczy się nawet między połowami stolicy?

– Czego ci trzeba, kolego? – zapytał ochryple, ale uprzejmie siedzący po turecku sprzedawca. – Noże, granaty pułapki,

kusze...

– Jest coś automatycznego?

– Automatów nie sprzedajemy – przemówił niespodziewanie strażnik. – Taki rozkaz.

Jon spojrział na niego z ukosa. Dlaczego niby człowiek ze służby bezpieczeństwa miałby się interesować handlem? Sam się uśmieł z tego pytania. Bo faktycznie, dlaczego miałby się nie interesować?

Jon zaczął przeglądać towar. Kusza z na wpeł przetartą cięciwą, nóż myśliwski w skórzanej pochwie, nawet stare shurikeny... bardzo stare, jakby przeleżały w ziemi kilka stuleci, a potem zostały starannie wyczyszczone...

– Ile za rację żywnościową? – spytał Jon.

Strażnik natychmiast przestał się nim interesować. Sprzedawca wzruszył ramionami i odpowiedział:

– Dziesięć naboju. Siódemka. Śrutu i snajperskich nie bierzemy.

Jon dotknął zielonej folii, w którą były zawinięte zestawy obiadowe wyciągnięte z nie wiadomo jakich magazynów. W zeszłym roku miał okazję spróbować jednego z nich. Odgrzana kasza nie pachniała oczywiście świeżością, ale dawała poczucie sytości. Gdyby nie absurdalnie wysoka cena, jadłby ją do końca życia.

– Cztery sztuki – powiedział Jon, odliczając czterdzieści naboju z wydanego mu przez sekretarza woreczka, który od razu zauważalnie stracił na wadze. Było mu oczywiście żal, ale lekko przyszło, lekko poszło.

Sprzedawca obejrzał wszystkie naboje, brakowało jeszcze, żeby je ponadgryzał. Chrząknął ze zdziwieniem i wyciągnął spod lady cztery zakurzone racje żywnościowe.

– Tak naprawdę należałoby jeszcze wydębić od ciebie pokrowce – powiedział. – Dawać tyle naboju bez magazynka to jakaś ściema!

Strażnik parsknął śmiechem. Jon w milczeniu zgarnął prowiant, dopiero teraz orientując się, że nie ma go do czego włożyć. Ale nie poprosił o torebkę – odwrócił się i odszedł, starając się nie

zgubić zakupionego towaru. Wystarczy, że upuści je na ziemię i racje żywnościowe natychmiast staną się własnością narodu, czyli niczyją, a to znaczy, że w mig podniesie je najbliższy przechodzień. Przecież nie pójdzie wtedy na skargę do zwierzchnika.

Można by jeszcze kupić świeżą wodę, ale nie miał ochoty być na rynku dłużej, niż potrzeba. Lepiej zaczerpnie w dreźnie Cyprysa – za darmo i jakość lepsza.

Jon przystanął jednak przy straganie rzeźnika, żeby nabyć dziesięć sztuk kotletów po pięć żetonów za sztukę. Pomyślał przez chwilę i dał jeszcze nabój za dwa pęki suszonych grzybów. A potem jeszcze dwa – za paczkę cukru w kostkach dla Elzy.

Nauczyciela peszyła myśl, że być może będzie musiał poskramiać dziewczynę metodami, którymi na Peczerskiej próbowali zwabiać oswojonego wespertyla, ale na wojnie wszystkie środki są dozwolone.

Po powrocie do lazaretu Jon zobaczył, że ganek opustoszał. Zawahał się przez chwilę i nie wszedł do środka – za to podszedł do posterunku, przy którym stalkerzy gadali o czymś między sobą.

Na dreźnie czekał już na niego Bocian – uśmiechnięty jakby szykował niespodziankę. Zdążył już wymienić się ze strażnikami czymś do palenia, co patrzącemu z boku wydawało się niekorzystne i bezsensowne. Sprzedawać drogocenne papierosy z powierzchni za tunelowe skręty? Jednak sam rytuał społeczny wzmacniający braterskie stosunki między stalkerami i ochroną Datapolis mógł się okazać na tyle korzystny, by przesłonić stratę finansową w wysokości paru nabojów.

– Co kupiłeś? – zainteresował się Bocian.

– Tylko jedzenie – przyznał się nauczyciel, kładąc zakupy na skrzynce z piaskiem.

– Dobrze zrobiłeś, sami ci tu wszystko przyszykowaliśmy. – Stalker zeskoczył na peron, unosząc z tylnej części drezyny kawałek brezentu. – Proszę.

Jon utkwiał wzrok w słabo połyskujących kałasznikowach leżących obok wyglądającego na nowy mundur jakichś służb

specjalnych z dawnych czasów.

– Cyprys wydał nam niedawno giwery, ale my mamy swoje – wyjaśnił Bocian. – Tak więc możesz sobie wziąć ten automat. Skafander jest z naszych zapasów. Bierz, nie bój się. Zakładaj prosto na swoje szmatki.

– To wszystko dla mnie? – zapytał Jon, nie wierząc w takie bogactwo.

– Tak. Sprawa jest poważna, skoro wszyscy tu stają na uszach. Chociaż szczerze mówiąc, ja osobiście nie mam pojęcia, skąd ta cała nerwówka. Strzelać umiesz?

– Umiem – odparł Jon, pospiesznie zrzucając kurtkę i zakładając skafander. Nowa tkanina koloru khaki dawała niezwykle poczucie bezpieczeństwa. – Na Łukjanowskiej wszyscy faceci służą w ochronie. Patrolowałem też tunele.

– Brawo. – Bocian rzucił Jonowi plecak przesycony zapachem naftaliny. – Bierz, to też ci się przyda. Od razu dostosuj paski, żeby nie tracić potem czasu. Masz tam też dozymetr, uważaj, nie rozbij.

Nauczyciel wrzucił do plecaka racje żywnościowe. Resztkę nabojów rozlokował po kieszeniach kombinezonu.

Bocian podał mu lśniący walec.

– Latarka marzenie – powiedział z zadowoleniem. – Legendarny megatorch od Ptaków Kondora! Nie śmieć się, z taką reklamą sprzedawaliśmy je kiedyś w cenie tego kałasza. Szły jak świeże bułeczki.

Jon włączył latarkę, przesunął snopem światła po sklepieniu. Było tak mocne, że przebijało nawet lampę sufitową.

– A teraz najciekawsze. – Bocian podał mu nieznanego przeznaczenia urządzenie przypominające krzyżówkę sekatora z zegarkiem. – Ładowarka do latarki. Nie upuść, to delikatna rzecz.

– Po co? – spytał nauczyciel. – Przecież są baterie.

– Na bateriach nie można polegać. Nigdy nie wiesz, kiedy padną. Lepiej co pół godziny pokręcić ładowarką. I jeszcze jedno, w tunelach bywa bardzo monotennie. A jak pokręcisz korbką, senność od razu się ulatnia.



Jon się nie spierał – wziął ładowarkę, podłączył do latarki, pokręcił. Wskazówka od razu podniosła się od połowy do maksimum.

– Szybka rzecz, co? – pochwalił się stalker. – Zawiesz ją gdzieś na wierzchu. Można przyczepić z tyłu do paska. Aha, idą...

Nauczyciel się obejrzał.

Zbliżali się do niego Arsenij z Elzą. Dziewczyna zmieniła się nie do poznania – jakimś cudem udało się ją przekonać, by założyła taki sam mundur, jaki miał Jon. Ale skąd Cyprys wziął damską wersję?

Elza zdawała się całkiem normalna – w każdym razie dopóki milczała. Wymyte przez Tatianę włosy były zebrane w koński ogon, starannie upchnięty pod wojskową czapkę z daszkiem. Rękawy kurtki okazały się nieco przydługie, tak że trzeba je było zakasać i podwiązać sznurkiem.

Czystą twarz można było teraz obejrzeć ze szczegółami. Okazała się dziecinna, wręcz niewinna, a stan psychiczny dziewczyny wyraźnie nie wpływał na jej rysy. Elza należała do osób, które od dzieciństwa prawie nie zmieniają się zewnątrz. Na jej nosie widniała ledwie zauważalna blizna, lewe ucho nosiło świeże ślady poparzenia. Zdarte paznokcie przypominały, że nawet w Datapolis mieli problemy z rękawicami ochronnymi. Niewykluczone, że nikt w stolicy po prostu nie zatroszczył się o taką kwestię jak odzież ochronna do prac fizycznych. Masek przeciwgazowych było w bunkrach pod dostatkiem, co więc przeszkadzało zamówić w Metrogradzie albo u Ptaków skrzynkę zwykłych rękawic?

Z bliska blond włosy dziewczyny nawet pod czapką zdawały się splątane. Dawniej mogły być olśniewające. Niewykluczone, że kiedyś ostrzyżono Elzę przemocą, żeby sprzedać je za butelkę obrzydliwego samogonu bogatej damie z Kontraktowej.

– Arsenij – zwrócił się Jon do sekretarza. – Co zwykle robi Elza? Siedzi pod lazaretem?

– Nie, teraz po prostu miała chwilę odpoczynku – odparł sekretarz, niezręcznie poprawiając Elzie czapkę. – Pomaga Tani w sprzątanii, w ogóle często pracuje na rozmaitych budowach.

– Jakich znowu budowach?

– Różnych. Nosi kamienie w tunelach. Czyści chłodnie z freonu i innych rzeczy i tak dalej. Bierze się za materiały, których obawiają się inni: azbest, wapno, wełna mineralna. Że tak powiem, kobieta pracująca. No, a czasem po prostu tu siedzi.

– Czyli należy do waszych brygad roboczych? – Jon nie dowierzał. – Żyje z budowlańcami i wali z nimi nalewki z grzybów?

Arsenij się uśmiechnął.

– Nie – odparł. – Nigdzie nie biorą jej za swoją. Ona po prostu nigdy się nie skarży.

– I co, żaden budowlańiec ani razu z nią...

– A co, już pan jest zazdrosny?

– Nie, po prostu...

– To w końcu stolica – wyjaśnił sekretarz. – Tutaj za takie rzeczy od razu wyganiają na południe i nie wpuszczają z powrotem. A ten, kto pierwszy nakabluje, dostanie jeszcze nagrodę. Współzycie trzeba legalizować, płacić podatek. Niech pan wierzy albo nie, ale nikt się jeszcze na tyle Elzę nie zainteresował.

Jon pokiwał głową, gubiąc się w domysłach. Bezmyślny wzrok Elzy sprawiał, że nauczyciel zadawał sobie pytanie: czy dużo więcej sensu jest w nim samym?

Niech to szlag, czym ona zajmowała się wcześniej? Zawsze była zaburzona czy miała normalne, na miarę Krzyża, dzieciństwo? Miała żywych krewnych? Jeśli tak, to co mogło zadać taki straszny cios jej psychice i skazać ją na samotność?

Elza nie mogła trafić do stolicy drogą dostępną dla pewnego rodzaju kobiet. Upadłe, otwarcie prostytutki się pijaczki po prostu by w metrze nie przeżyły. Dla zalegalizowanych „nocnych kobiet” wydzielono mieszkanie na Placu Pocztowym i na razie żadna z nich nie odeszła jeszcze dobrowolnie. Młode kobiety przyjeżdżały do Datapolis mieszkać i pracować, a nie skakać po „sponsorach” w ciągłym strachu przed deportacją. Nauczyciel w myślach przypisał Elzie prawidłową percepcję otaczającej rzeczywistości i wyszło na to, że ta dziewczyna praktycznie nie

miała poważnych defektów. Dlaczego żaden mężczyzna nie wziął jej pod swoje skrzydła? Młoda, fizycznie zdrowa, nawet sympatyczna, nie boi się żadnej pracy. I jedyna osobliwość – ciągle milczy. Dla wielu, których znał Jon, byłaby to tylko zaleta.

Przyglądając się Elzie, Jon zdał sobie sprawę, że nie może przestać myśleć o jej przeszłości. Tak jakby przybierając ludzkie kształty, a razem z nimi i osobowość, dziewczyna zamieniła się w chodzącą społeczną anomalię w wieku około dwudziestu pięciu lat, która pojawiła się znikąd w samym sercu stolicy.

– Gotowi? – spytał sekretarz.

– Wszystko załatwione – odparł stalker.

Jon tylko rozłożył ręce.

– No, to idziemy – westchnął Arsenij. – Odprowadzę was do wyjścia.

Bocian klepnął Jona po plecach, ten w odpowiedzi skinął mu głową. Wszystkie możliwe słowa w głowie nauczyciela bardziej przypominały pożegnanie, więc postanowił zachować je dla siebie. Założył plecak, powiesił sobie automat na ramieniu i ruszył w milczeniu.

Droga na Kłowską i leżące za nią południowo-wschodnie stacje zaczynała się na peronach Pałacu Sportu – w drugiej części Datapolis. Jon trzymał Elzę za rękę, co i rusz napotykał jej obojętny wzrok. Dziewczyna nie bała się tłumy – jak się zdawało, to miejsce było jej dobrze znane.

– Gotowa na przechadzkę? – zapytał Jon, sam nie wiedząc, czego właściwie się spodziewa.

Dziewczyna patrzyła na boki, jakby nie słyszała. Nauczyciel chciał znaleźć w jej oczach jakiś znak, że symuluje, ale na nic nie natrafił. Z przykrością musiał przyznać, że nie ma pojęcia, jak właściwie takie znaki mają wyglądać.

– Nie wiem, czy mnie rozumiesz – powiedział jej prawie na ucho. – Ale będziemy razem iść przez cały dzień. Przez niebezpieczne tunele. Jeśli możesz powiedzieć coś o tym facecie, lepiej zrób to teraz.

Elza popatrzyła przez niego jak przez szybę.

– Możesz po prostu dać jakiś znak – ciągnął nauczyciel. – Tylko

mnie. Wysłucham cię i jakby co, nie wydam. Obiecuję.

Jon był w swoich słowach szczery, jednak nie przyniosło to skutku. Wzrok Elzy był kompletnie nieobecny.

Nauczyciel nie powiedział już ani słowa aż do południowo-wschodniego posterunku.

– Nie możemy dać wam drezyny – tłumaczył się Arsenij. – Może na Kłowskiej wam pożyczą. Niech pan nie zapomina o pieczęcie w paszporcie, daje ona prawo przejścia przez wszystkie stacje. Powodzenia!

– Co będzie z Dawidem do naszego powrotu? – zapytał Jon.

– Nie mam pojęcia – odparł sekretarz. – Będziemy czekać, póki będziemy mogli.

– A jak długo będziecie mogli?

Arsenij zamrugał z zadumą.

– Czekajcie, póki nie wrócimy – powiedział Jon. – Przecież we mnie wierzycie, tak? Więc i ja będę wierzył w was.

Nauczyciel zapalił patrolówkę i poprowadził Elzę naprzód, przez tunel, pozostawiając stolicę za sobą.

## II

# WYPRAWA

---

### ROZDZIAŁ 1

#### Wyjście

Wrota zamknęły się, odcinając ostatnie promienie światła ze stacji. Wraz z nimi zniknęły dźwięki i zapachy. Zdumiewające, jak szybko potrafi odciąć człowieka od cywilizacji warstwa obojętnego metalu. Strach przed nieznanym jak zwykle ogarnął Jona i równie naturalnie uleciał. Po licznych wyjściach z Łukjanowskiej przywykł już do tego uczucia. Wszystkie jego wyprawy dotąd nie sięgały dalej niż kilka stacji i były to marsze w towarzystwie niezawodnej eskorty. Teraz zaś nauczyciel zetknął się z czymś, na co nie był gotowy.

Elza przeciwnie – była spokojna, zaczęła tylko trzeć oczy, przyzwyczajając się do słabego oświetlenia. Patrząc na nią, Jon sam zaczął się uspokajać.

Nauczyciel powiedział sobie twardo, że ma przed sobą dziecko, i nastawił się na wykonanie zadania. Zrobiło się trochę łatwiej. Chociaż nie miał jeszcze okazji prowadzić przez tunele dziecka. Pewnie połowa uczniów odwiedzających jego namiot sama mogłaby przeprowadzić go przez metro, a nie odwrotnie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Jon, czując się trochę głupio.

Dziewczyna milczała. To na pewno reakcja obronna na liczne szykany, które ją spotykają w stolicy. A może w ogóle nigdy nie rozmawiała. Musiały mieć z Tatianą jakiś system komunikacji.

Trzeba było się dowiedzieć jaki.

– Ale ty nie widzisz mojej twarzy – domyślił się Jon, odsuwając latarkę nieco w bok. – Tak lepiej?

Elza patrzyła na niego bez śladu zainteresowania.

– Na wszelki wypadek moja propozycja wciąż jest aktualna – powiedział nauczyciel. – Jeśli wiesz to, co chcą wiedzieć tamci, możesz mi powiedzieć. Jestem twoim przyjacielem.

Milczenie.

– Może włączymy twoją latarkę, dobrze? – Jon sięgnął do niewielkiej lampki wszytej w skafander dziewczyny i nacisnął przycisk. Przestrzeń przed Elzą wypełniło skąpe światło, niebieskawa dioda została wbudowana w kombinezon przez speców ze stolicy i była uważana za pozbawiony sensu, ale poniekąd jednak przydatny gadżet, który przyniósł jego twórcom zameldowanie w Datapolis. Jeszcze jedna latareczka, miniaturowa, tkwiła w obszyciu czapki, nad lewym uchem.

– Co ty tu masz? – spytał nauczyciel, spoglądając, jak Elza ścisza w dłoni niewidoczny przedmiot. – Coś ostrego? Pokaż no.

Elza odeszła w bok i zaczęła przyglądać się ścianie.

– Co robisz? – Jon podszedł bliżej. – Oho... skąd to wzięłaś?

Elza rysowała ołówkiem na ścianie. Jej ruchy były chaotyczne, ale czasem dało się w nich dostrzec pewien porządek umykający nauczycielowi. Grafit cicho skrzypiał, poddając się kierującej nim chudej rączce wyglądającej spod rękawa w barwach niepasującego do dziewczyny wojskowego kamuflażu.

Jon patrzył z zainteresowaniem.

– Masz ołówek – zauważył. – Dlaczego nie rysowałaś wcześniej? W lazarecie też jest ściana. I to biała. Tam byłoby wygodniej.

Dziewczyna oddychała w milczeniu, tworząc ołówkiem gryzmoły praktycznie niewidoczne na wysmarowanym, pokrytym sadzą betonie. Nauczyciel stał obok w milczeniu, obserwując rysunek najpierw oczami i mózgiem, potem sercem i duszą. Czuł, że patrząc na ścianę, zdoła zrozumieć jeśli nie sens obrazu, to chociaż charakter i osobowość dziewczyny – takiej... niedocenionej. Jon poczuł nagły wstyd, jakby to właśnie on był nie z tego świata, skoro nie umiał odkryć tajemnicy tych kresek.

– Ładnym rysunek, ładny – pochwalił Jon. – Chodźmy już.

Wydawszy kilka okrzyków, Elza odeszła na bok, gdzie było nieco więcej miejsca. Ołówek trafił w jeden z otworów w ścianie – pewnie stary ślad po kuli – i z cichym trzaskiem złamał się.

– No tak – westchnął nauczyciel. – Nie będziemy więcej rysować. Daj mi ten ołówek. I tak nic nie widać. Później znajdziemy ci lepsze miejsce. Dobrze?

Wyciągnął ołówek z dziury i zdziwił się, jak mocno był zużyty. Prawie do zera. Własnymi palcami nawet nie zdołałby go chwycić jak należy.

Elza znieruchomiła przed ścianą, jak gdyby pozbawienie narzędzia pracy zawiesiło jej program. Patrzyła na swoje bazgroły, jakby jej to nie dotyczyło.

– Chodźmy, artystko – powiedział Jon, chowając ogryzek ołówka do kieszeni, żeby później go wyrzucić. – Może potem znajdę zastępstwo dla twojego narzędzia. Kawałek węgla albo coś takiego.

Chwycił dziewczynę za przegub i poprowadził w głąb tunelu.

Odcinek do Kłowskiej był jedynym, przez który Jon miał okazję iść pieszo i samotnie. W praktyce było to terytorium Krzyża. Prawdopodobnie wcześniej czy później tunel zostanie zasiedlony. Przecież stolica będzie musiała się rozrastać. W dół iść nie można, na górze jest Metrograd. Terytorium, którego tamtejsi poszukiwacze tak łatwo nie oddadzą.

Stalkerzy Metrogradu odnosili się z czcią do ciasnych chronionych pomieszczeń górnego poziomu. To właśnie oni zachowali poczucie tego, co w odległych przedwojennych czasach nazywano słowem „ojczyzna”. W metrze Jon nierzadko słyszał to słowo. Coraz częściej wymawiano je z drwiną i coraz rzadziej z wilgotnymi oczami.

A jednak nazywać metrogradczyków sentymentalnymi byłoby błędem. Mieszkańcy kompleksu w swoim czasie przeszli te same fazy co obywatele Krzyża – od chaosu i bezprawia przez serię przypadkowych zdarzeń do tyranii, przez parę rewolucji do przemian, przez okres prób i błędów do stabilnego porządku.

Porządek skończył się wraz ze śmiercią generała Olszańskiego, a potem Metrograd znów się uspokoił. Jon mógł się tylko domyślać, ilu ludzi teraz tam mieszka. Ktoś na pewno tam jest, w końcu kanał wymiany towarów z Datapolis wciąż jeszcze działa...

W tunelu Jon spodziewał się spotkać straganiarzy, ale nie natrafił na żadnego. Dla scytyjskich kupców było to dość niezwykle. Bez strachu przemierzali tunele niemal codziennie. Czasem bez ochrony – od kiedy w najbliższych tunelach wybito całe plugastwo i zamurowano nawet najmniejsze szczeliny. Potem powieszono też żarówki co dwadzieścia metrów i chodzenie tunelami zamieniło się w spacer. W tym czasie chłopaki z Kłowskiej próbowali nawet urządzać przełaje – zawody w biegu tam i z powrotem. Po prostu dla utrzymania kondycji. Pomysł zgasł w zarodku, uznano, że to bezsensowna utrata energii. Administracja Kłowskiej wydała surowe upomnienie i posadziła chętnych na dodatkowe godziny na rowery stacjonarne, żeby pedałowali. Po co pocić się po próżnicy, skoro dzięki temu może płynąć prąd elektryczny?

W miarę jak Jon szedł naprzód, odświeżał sobie w pamięci zasady zachowania się w tunelu. Na wszelki wypadek sprawdził automat, ale nie wykrył żadnych widocznych wad, zawiesił go sobie na piersi lufą w dół, jak to było przyjęte przy wchodzeniu na stację. Przygotował paszport. Spojrzał na świeżą pieczętkę jak na niezrozumiałą fioletową plamę, a potem przypomniał sobie, że wstawiono mu jakąś adnotację. Cóż, uda mu się przynajmniej sprawdzić, na ile w tych okolicach rozprzestrzeniła się władza papieru.

– Co to był za rysunek? – spytał Jon. – Bardzo ładny. Nie opowiesz?

Elza patrzyła przed siebie, w ciemny tunel. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech. Jon wcale nie oczekiwał zrozumiałej odpowiedzi. Ale czuł, że powinien z tą dziewczyną rozmawiać. Choćby dla siebie samego – po prostu żeby jak najszybciej do niej przywyknąć. Gdyby tylko zdołał ją zrozumieć, zanim przyjdą na Boryspolską... tak, to by mocno ułatwiło zadanie. Na razie nie



pozostało mu nic innego jak tylko iść na Kłowską, a potem działać zgodnie z biegiem wydarzeń.

Skupiony na drodze do najbliższej stacji Jon wodził latarką po ścianach. Przypomniał sobie o ładowarce, wyciągnął ją, uważnie obejrzał. Widział już podobne urządzenie na rynku, a nawet zastanawiał się nad kupnem, ale cena pięciu nabojów wybiła mu z głowy wszelką na to ochotę. Jon przyłożył zacisk do tylnej części latarki i kilka razy szczęknął ładowarką. Wskazówka szybko doszła do skrajnej prawej kreski. Cyfry zdawały się na wół starte i nauczyciel nie dojrzał, w jakich konkretnie jednostkach ładowarka mierzyła poziom energii.

– Chyba działa – powiedział, widząc znacznie jaśniejsze światło. – Fajnie, prawda?

Na tle jasnej plamy lampka na czapce Elzy zniknęła. Mimo to Jon postanowił jej nie wyłączać. Nie wiadomo, gdzie dziewczynie zachce się poświecić. Ściany robiły się coraz czarniejsze i nauczyciel miał nadzieję, że Elzie nie przyjdzie do głowy przypomnieć sobie o rysunkach. Gdzie ona mogła rysować? I kiedy zdążyła tak zużyć ołówek?

Światło z Kłowskiej stawało się coraz silniejsze. Ale było to przyjemne, niemal czułe światło, znacznie łagodniejsze niż w Datapolis – które w opinii Jona było zbyt mocno oświetlone. Tu zaś było nawet podejrzenie łagodne. Nauczyciel pamiętał tę sztuczkę – zwabić białym neonem, pozwolić podejść bliżej, a potem chlasnąć reflektorem w twarz. Kupcy z południa znali ten trik i nieraz go stosowali. Jeśli gość odskoczy z przestraczem, zmruży oczy, chwyci za broń – to znaczy, że mają przed sobą nieokrzesanego włóczęgę z bogatych północnych stacji, którego nie grzech oskubać wygórowanym mytem za przejście. No, a jeśli to stary wróbel z południowych krain, to stanie w miejscu. Taki ktoś tylko wraca do domu, nie ma potrzeby mu przeszkadzać. Prościutki sposób określenia sposobu traktowania gościa – jeden klik włącznika.

Tak zdarzyło się i teraz. Na Kłowskiej tradycyjnie nie było ostrzeżenia – po prostu skierowali reflektor w stronę przybyszów. Nauczyciel stłumił chęć, by osłonić się ręką.

– Spokojnie, to swoi – odezwał się wyraźnie.

Snop światła płynnie zgasł. Ale nie do końca.

Z peronu zeskoczył bardzo młody chłopak w hełmie i kamizelce kuloodpornej. Sądząc po wyglądzie, sprzęt ten nie był dotychczas użyty w walce. Jeszcze czego. Z kim tu wojować z tej strony, jeśli oba tunele prowadzą do Datapolis? Kiedy już nadciągnie coś takiego, z czym nie poradzi sobie stolica, nic nie pomoże Kłowskiej utrzymać się nawet przez godzinę. Wystawione posterunki to była pokazówka, jeszcze jeden sposób, by uciąć niektóre pozycje finansowania. Chociaż wartownicy rzetelnie robili czasem groźne miny, jak powinni sąsiedzi.

– Dokumenty – zażądał chłopak.

Procedura sprowadzała się do formalności, jako że z tego kierunku nie można było przybyć skądinąd jak tylko z Datapolis, której biurokracja nie dawała szans, by znalazł się tam człowiek niepowołany. Strażnik chciał raczej pokazać, że działa zgodnie z regulaminem. Wątpliwe, żeby interesowało go, kto przylazł. A jednak Jon podsunął mu otwarty paszport pod oczy.

– Administracja Datapolis – powiedział.

Zaciekawiony strażnik porozumiał się wzrokiem z którymś ze swoich towarzyszy siedzących w drewnianej budce przy wyjściu.

– A to kto? – zapytał, patrząc na Elzę.

– Ona jest ze mną – odparł Jon.

Strażnik kiwnął głową z takim zrozumieniem, jakby nie pierwszy raz miał okazję widzieć przedstawicieli władzy w towarzystwie nieznanymi osobami płci żeńskiej. Chociaż najprawdopodobniej tak właśnie było. Jon wyobraził sobie, jak Arsenij długo i żmudnie pisze prośbę o wydanie rządowej drezyny i wyprawia się z młodymi zdobywczykami stolicy na południe.

– Dokąd się udajecie? – spytał chłopak.

– A tak, trzeba co nieco skontrolować – powiedział Jon.

Za plecami strażnika pojawili się ludzie. Mieszkańcy stacji z ciekawości patrzyli, kto tam przyszedł. Jon zdał sobie sprawę, co zaraz się wydarzy, i uśmiechnął się w duchu.

– Dobra, idźcie – powiedział strażnik. – Tylko niech pan trzyma

automat zabezpieczony, dobrze?

– Nie ma problemu – powiedział Jon, chowając paszport do wewnętrznej kieszeni. – Nawet nie jest naładowany. Na stacji wszystko w porządku?

– Tak, spokój.

– Dlaczego tak długo nie było kupców?

– Nie mam pojęcia. – Chłopak wzruszył ramionami. – Już od paru dni nie przychodzą. Mówią, że niespokojnie tam u nich.

– A słyhać coś o czerwonych?

– Jacy tam czerwoni? – Strażnik machnął ręką. – Nikt nie ma teraz głowy do bzdur. Są własne sprawy do załatwienia.

Jon postanowił skończyć rozmowę, zanim chłopak zacznie się rozgadywać o tym, jakie ma ciężkie życie. Mieszkańcy Kłowskiej tradycyjnie lubili biadolić, dlatego szybko się pożegnał i poprowadził Elzę naprzód.

Weszli po drewnianych schodkach na stację – wprost na spotkanie tłumu, który tylko czekał, aż goście znajdą się pod oficjalną jurysdykcją Kłowskiej. Przyskoczyło do nich od razu ze dwudziestu ludzi – przeważnie wychudłe kobiety, chociaż byli wśród nich i obrotni mężczyźni, i energiczne nastolatki. Wszyscy, pomimo dość nędznego wyglądu, byli całkiem żwawi, pełni sił.

– Nocleg! – wychrypiał czyjś głos.

– Noclegi do wyboru!

– Nabój za dobę!

– Sześć kwadratów!

– A idź ty z tymi swoimi kwadratami! Dwa kwadraty za rację żywnościową! Woda bezpłatnie! Żarówka dwadzieścia pięć watów!

– Czterdzieści watów! Materac nadmuchiwany, sprężynowy, hamak!

– Książki! Wentylator! Oddzielne kabiny!

Krzyki przstraszyły Elzę. Dziewczyna rozglądała się dookoła, nie rozumiejąc, po co cały ten hałas. Jon stłumił uśmiech i objął ją w talii, prowadząc nieco przed sobą. Gdyby Elza w tym miejscu uciekła, długo musiałby jej szukać. Jeszcze więcej czasu zesłoby na próby objaśnienia, czego chcą od nich wszyscy ci ludzie.

Kłowska żyła z wynajmu mieszkań. Co więcej mogła zaproponować stacja znajdująca się zaledwie jeden przystanek od stolicy i nieprodukująca niczego przydatnego? Jedynym przeznaczeniem stacji było dublowanie zasobów energetycznych Datapolis na wypadek jakiegoś kryzysu, czego tak naprawdę nikt się nie spodziewał. Nawet w znacznie cięższych latach Kłowska ani razu nie musiała brać na siebie roli akumulatora. Stacja wciąż była generatorem pracującym na jałowym biegu. Datapolis zabraniała sprzedawać elektryczność na południe, zresztą i tak nie wytrzymałoby konkurencji ze Scytią. Obie odnogi prowadzące na północ też zamykała Datapolis, tak więc Kłowska okazała się wprost skazana na stolicę i na jej względnie bogatych mieszkańców. Któż inny mógł chodzić przez Kłowską jak nie obywatele Datapolis z jednej strony i zamożni kupcy ze scytyjskich karawan z drugiej?

Z czasem okazało się, że wszyscy oni musieli zatrzymać się gdzieś na noc. Trudno było waletować w Datapolis, jeśli nie wiązał cię trwałe jak skała i mocny jak szyna kontrakt z ludźmi Cyprysa. Nielegalny wynajem mieszkań był karany utratą połowy własności przy pierwszym naruszeniu, po drugim następowała banicja z konfiskatą majątku i tylko nieliczni decydowali się kusić los. Ogromna liczba straganiarzy, migrantów, wojaków i innych awanturników nie miała więc możliwości zatrzymać się nigdzie poza Kłowską. Popyt stworzył podaż i mieszkańcy Kłowskiej zaczęli podnajmować i bez tego ciasną przestrzeń stacji. Przeważnie na doby. Biznes okazał się na tyle dochodowy, że szybko przesłonił funkcję energetyczną, przekształcając Kłowską w kurort, który nie produkował niczego szczególnie cennego. Zresztą po ustawieniu tu projektora kinowego atmosfera zrobiła się jeszcze miłsza. Kierownictwo stacji nie zarzynało kury znoszącej złote jajka, wolało ograniczyć się do niewygórowanych podatków. Z czasem zameldowanie na Kłowskiej samo stało się łakomym kąskiem obiecującym praktycznie darmowy biznes. W krótkim czasie stacja była przeludniona nie mniej niż Datapolis, jednak miejsc noclegowych nie ubyło. Przeciwnie, wyśrubowali ceny za kawałek podłogi, na którym można było się

położyć z wyciągniętymi nogami. Z początku brali więcej, potem niektórzy ryzykanci stopniowo zaczęli dumping. Stacja przeżyła okres okrutnych walk o przestrzeń i politykę twardej ręki, którą szybko zastąpiła ta niewidzialna, kiedy Cyprys przysłał swoich chłopców, zwróciwszy się o pomoc aż do Metrogradu. Na stacji szybko zaprowadzono porządek i od tej pory zapanował kruchy rozejm.

– Nie, nie potrzebujemy noclegu – mówił głośno Jon, popychając dziewczynę w stronę południowego posterunku. – Powtarzam, nie chcemy noclegu. Dziękuję wszystkim, jesteście wolni.

Jon przeszedł przez rwącą rzekę ludzi, minął względnie puste baraki i prawie tego nie zauważając, dotarł do przeciwległego krańca stacji. Tutaj powitał go drugi strażnik, podobny do pierwszego, tyle że jakieś dwadzieścia lat starszy. Rzecz jasna od południowej strony, zewnętrznej względem stolicy, na warcie stawiali ludzi doświadczonych, gotowych na przyjęcie potencjalnego zagrożenia z głębi ciemności. Nie było tu miejsca na głupie żarty z reflektorami, stały natomiast zawsze naładowane cekaemy, zapasy jedzenia i picia oraz kilka linii telefonicznych połączonych z najróżniejszymi węzłami stacji.

– Administracja Datapolis – powiedział Jon, pokazując paszport. – Tranzyt. Idziemy na południe.

– Wiem – powiedział strażnik. – Już mi przekazali.

Za jego plecami Jon zauważył aparat telefoniczny ze słuchawką wyglądający tak, jakby często rzucano nim o ścianę. O ważnym gościu zawiadomił go północny posterunek.

– Mam rozkaz was zatrzymać – oznajmił strażnik, trzymając automat lufą w dół. – Stójcie tu. Zorientujemy się.

– Nie rozumiem. – Jon zmarszczył brwi.

– Nie aresztować. Tylko zatrzymać. Chcą z wami porozmawiać.

– Ze mną? – Jon wskazał Elzę, dopiero teraz zauważając, jak głupio wygląda podświetlenie jej skafandra. – Czy z nią?

– Tego nie wiem.

– Kto ma rozmawiać? Jak rozmawiać? O czym?

Telefon na ścianie zadzwonił.

– Minutkę – powiedział strażnik, biorąc słuchawkę i podnosząc

ją do ucha. W jego oczach nie było widać agresji.

– Tu Leszczenko. Tak, słyszę. Dobrze. Proszę zaczekać.

Przycisnął słuchawkę do ramienia i powiedział:

– Ktoś idzie za wami ze stolicy. Proszą, żeby zaczekać.

Jon otarł czoło. Wyciągnął paszport. Pokazał strażnikowi tak, że wyraźnie było widać pieczętkę.

– Niech pan sprecyzuje – poprosił. – Czy ci ludzie mają takie same papiery?

Tamten przypatrzył się pieczęci.

– Sekundkę.

Strażnik powiedział coś do słuchawki, czekał na odpowiedź.

– Nie – powiedział. – Mają zwykłe paszporty. Wizy są w porządku.

– Nie są z administracji?

– Chyba nie.

– Czyli jestem wyżej od nich – powiedział Jon. – Wie pan co? Zatrzymajcie lepiej ich, a nie mnie.

– Jak to?

– Nie aresztować. Po prostu zatrzymać.

Strażnik zawahał się. Tu woleli jednak słuchać się urzędnika ze stolicy. Zresztą, pomimo wszelkich niebezpieczeństw, ciepła posadka strażnika była zbyt cenna.

– Załatwione – powiedział. – Proszę iść. Zatrzymamy ich tak długo, jak się da.

– Dziękuję – powiedział Jon, zeskakując na tory. – Wszystkiego dobrego.

Znajdując się znów w tunelu, Jon włączył latarkę, za późno przypominając sobie, że nie spytał w końcu o dreżynę. Jednak nieznani prześladowcy zaniepokoiili go do takiego stopnia, że wolał jak najszybciej opuścić stację.

## ROZDZIAŁ 2

### Demontaż

Jon czuł podejrzliwe spojrzenie strażnika na plecach. Szedł, nie odwracając się, starając się nie biec. Miarowo przestępował przez podkłady kolejowe, póki światło stacji nie zgasło. Dopiero wtedy pozwolił sobie na przyspieszenie kroku.

Elza chyba już do niego przywykła – starała się wychwycić jego rytm, poruszać się z tą samą prędkością.

– Ciekawe, kto to był? – odezwał się Jon półgłosem, żeby echo nie odbijało się od ścian tunelu. – Ktokolwiek tam szedł, mam nadzieję, że został na stacji.

Jon położył rękę na kolbie automatu i poczuł lekkie rozdrażnienie. Nie podobało mu się, że w jego zadaniu pojawiało się coraz więcej niewiadomych. Jeśli ktoś z Datapolis chciał go zatrzymać, to mógł po prostu dogonić ich na stacji albo wyjaśnić, o co chodzi, przez telefon. Jeśli to Cyprys wydał takie polecenie, to dlaczego nie wręczył swoim ludziom odpowiednich dokumentów, mocniejszych niż pełnomocnictwo nauczyciela? I kto w ogóle chciałby zatrzymać jego i Elzę? Po co wysyłać jednego, żeby za pięć minut słać drugiego?

Co prawda, to ostatnie nie było pozbawione sensu. Jon znał taki stary sposób użycia szpiegów. Kiedy jedno plemię chciało się czegoś dowiedzieć, wysyłało zwiadowcę, potem następnego, potem jeszcze jednego i jeszcze, i tak do czasu aż któryś nie wróci żywy. Być może w metrze zaczęli stosować tę samą praktykę. Przy okazji powalczą z przeludnieniem.

Jon odgonił te myśli. Do Cyprysa można było mieć mnóstwo pretensji, jednak zwierzchnik jeszcze nie miał demencji.

Po jakimś czasie Jon uznał, że popełnił błąd, pośpiesznie porzucając stację. Strach przed nieznanym okazał się zbyt silny. Nauczyciel zatrzymał się, poświecił latarką do tyłu. Kto, u licha,

za nim idzie i czego chce?

Pochylając się nad nim z obu stron ściany tunelu szybko wybiły mu z głowy wszelką chęć poznania tego kogoś. Ktokolwiek szedł ich śladem, Jon nie chciał z nim mówić w tunelu. Tylko przy świadkach. Na najbliższej stacji zatrzymają się, zaczekają i spokojnie porozmawiają.

– Idziemy – powiedział krótko Jon. – Chociaż nie, czekaj. Zaczekaj chwilę...

Wyłączył światelko na skafandrze Elzy, które już porządnie zaczynało go irytować.

– To model do prac montażowych, tak? – odezwał się nauczyciel. – Widziałem kombinezony z takimi lampkami. Używają ich do oczyszczania zalanych miejsc, żeby było cię widać, jeśli utoniesz albo stanie się coś podobnego. Ciągle się zastanawiałem, gdzie w stolicy go dostali. A on pewnie zawsze był twój?

Elza nie odpowiedziała, ale Jon wcale nie spodziewał się komentarzy. Nie wiedząc czemu, poczuł się winny.

Krótko potem dziewczyna kilka razy się potknęła. Nauczyciel poświecił w dół i zobaczył, że części podkładów nie było.

– Idź no bokiem – powiedział, przechodząc przez lewą szynę. – O, tak. Tylko nie wpadnij na ścianę. Szkoda skafandra.

Wkrótce Jon usłyszał stukot. Gwałtownie się zatrzymał, wyteżył słuch. Echo przyniosło dźwięk – ktoś walił młotkiem. Spokojnie, miarowo. Nauczyciel zdążył już trochę przyzwyczaić się do akustyki tunelu i wiedział, że od źródła dźwięku dzieli go odległość rzędu dwustu metrów. Na wszelki wypadek jeszcze raz podładował latarkę i pewnym krokiem poszedł naprzód, mając w pamięci, że jeśli słyszy on, to słyszać i jego.

Źródło dźwięku na pierwszy rzut oka wyglądało całkiem niegroźnie. Na szynach stała drezyna – mała, własnej roboty, jakich używają technicy Krzyża do pilnych wyjazdów w teren. Zespawana z kupy złomu, przypominałaby raczej gigantyczne koryto do wyparzania świń, gdyby nie asymetrycznie przykręcone koła i nieznanego pochodzenia silniczek.

Po prawej stronie drezyny stał umorusany sadzą dziadek



w pomarańczowym kasku z latarką. Miał na sobie ubranie robocze, przy pasie wisiała mu stara rękawica budowlana, z której wyglądało kilka okazałych rozmiarów kluczy nastawnych. Dwaj inni robotnicy walili młotami w szyny. Na widok Jona wszyscy przerwali pracę i wyprostowali się.

– Dzień dobry – powiedział Jon.

– Cześć – burknął brygadzysta.

– Co tu robicie?

Brygadier spojrzał z powątpiewaniem na jego automat. Nie chcąc wzmagać napięcia, Jon pokazał paszport. Pieczętka Cyprysa błysnęła w świetle latarki na kasku brygadzysty.

– A, Datapolis – powiedział brygadzysta z ulgą. – No, idźcie. Powiedzcie tam, że niedługo skończymy.

– Ale co wy tu robicie? – powtórzył Jon.

– Planowa rozbiórka podkładów kolejowych. Szyny będą stać, niech się pan nie martwi. Ponad normę nie zdejmujemy. Sprawdzimy, czy wszystko działa.

Jon nie zadawał dalszych pytań, chociaż nie zrozumiał do końca, co za diabelstwo tu odchodzi. Zagospodarowane tunele metra, oznaczone jako bezpieczne, zwykle były uważane za obiekty nietykalne. I w spisie nietykalnych elementów podkłady kolejowe mieściły się w pierwszej piątce. A jednak trójka robotników nie wyglądała na złodziei. Po krótkim namyśle Jon zdał sobie sprawę, że minął połowę tunelu między stacjami, znajduje się więc teraz na terytorium Peczerskiej. Ten odcinek podkładów stanowił zatem własność tej stacji. Z jakiego powodu kierownictwo Peczerskiej postanowiło zmniejszyć liczbę podkładów w tunelu – zagadkowa sprawa. Wnosząc z góry kamiennych sztab na drezynie i pewnych siebie min mężczyzn, prace trwały nie od dzisiaj. Na pewno wiedzieli o tym i w stolicy. Jeśli nie zabrali tak dużo podkładów, żeby jazda po szynach stała się niebezpieczna, to nie ma specjalnie czego zgłaszać. Zaczynasz analizować i sam utoniesz w papierach. Podkłady to cenny materiał budowlany. Czemu by ich nie zdjąć, jeśli na stacji nagle skończył się kamień?

Potem Jonowi przyszedł do głowy kolejny pomysł.

– Chłopy, a da radę podnając od was dreżynę? – zainteresował się. – Oddam na posterunku na Peczerskiej, wszystko wyjaśnię władzom.

– Wybacz, przyjacielu, ale nie. Nie oddamy dreżyny. Nie wiem już, co się tam u was wyprawia na górze, ale my, prości robociarze, nie mamy ochoty tracić pracy.

Jon nie upierał się. Biurokracja biurokracją, a kłócić się z prostymi ludźmi nie należy.

– No dobra, to do roboty – powiedział. – Tylko uważajcie, żeby szyny się nie zapadły.

– Na stykach nie ruszamy – odezwał się jeden z robotników. – Mamy jasne wytyczne. Starannie robimy...

Jon kiwnął mu głową i poszedł dalej, odkrywając, że przez cały ten czas bezwiednie trzymał automat gotowy do strzału. Zdenerwował się, przyspieszył kroku w nadziei, że w tył głowy nie wbije mu się zaraz zaostrzony pilnik. Nauczyciel wiedział już od mieszkańców Łukjanowskiej, jak dobrze latają takie rzeczy, jeśli ktoś ma wprawę.

Dalej podkładów było jeszcze mniej. Nie dało się już iść środkiem tunelu. Jon przeskoczył pod lewą ścianę i szedł za Elzą, nie wiedząc już, czy to on chroni ją przed możliwym atakiem z tyłu, czy ona jego – od napaści z przodu.

Po paru minutach z tyłu rozległy się głosy. Jon stanął, przyłożył sobie latarkę do brzucha, żeby ukryć światło. Wsłuchał się i wytężył wzrok.

Z robotnikami ktoś rozmawiał. Jon wytężył słuch, spróbował rozróżnić słowa. Jedno mamrotanie.

– Oni za nami idą – szepnął Jon. – Doganiają nas.

Popatrzył przed siebie i spróbował ocenić, ile drogi zostało do Peczerskiej. Tam bez problemu pomówiłby ze ścigającymi, tak jak planował. Tu zaś, w ciemnych tunelach, nie miał na to ochoty. Pewnie byłoby praktyczniej wrócić i porozmawiać z gośćmi w obecności montażowców, ale nie wiadomo, po której stronie ci ostatni staną w przypadku konfliktu...

Potem nowy dźwięk sprawił, że Jon drgnął. Znajomy odgłos, brzęczący.

Puszczony w ruch słabiutki silnik.

– Wzięli drezynę – powiedział Jon. – Doganiają nas. Jak to się stało, że oddali im wóz, jeśli nam odmówili?

Jon chwycił Elżę za rękę i popędził tunelem naprzód. Biegło się niewygodnie, dziewczynę trzeba było ciągnąć za sobą. Z jednej strony – nierówne podkłady, z drugiej – ostre kanty betonowej ściany. Miejsca, żeby przejść, było bardzo mało.

Nagle nauczycielowi rzucił się w oczy leżący na ziemi przedmiot. Jon chciał go przeskoczyć, biorąc przeszkodę za kawałek pręta zbrojeniowego, jednak otwór na końcu sprawił, że nauczyciel się zatrzymał.

Klucz do odkręcania podkładów. Widocznie wyrzucony albo zapomniany przez robotników.

– Zaraz, stop – powiedział Jon, pochylając się nad kluczem. – Mam pewien pomysł. Zostawiają styki, zgadza się?

Jon pochylił się i zaczął odkręcać śrubę. Nakrętki poddawały się łatwo – widać już je zdejmowano. Pewnie co jakiś czas rozbierali ten tor.

Po zdjęciu nakrętki Jon zabrał się za następną. Odgłos drezyny stawał się coraz głośniejszy. Nauczyciel wbił drugi, zaostrozony koniec klucza w styk między szynami i oparł się na nim całym ciałem. Po kilku szarpnięciach udało mu się rozkołysać szynę, przesuwając ją o jakieś trzy centymetry. Jon zostawił klucz w takim położeniu i upewnił się, że nie będzie go widać.

– Uciekamy – powiedział, szturchając Elżę. – Już niewiele zostało.

Nauczyciel poruszał się, starając się wstrzymywać oddech. Nie zauważył, ile minęło czasu, kiedy z tyłu rozległ się głośny łoskot. Silniczek popracował jeszcze na jałowym biegu, a potem zgasł.

– Wypadli z torów – mruknął z radością nauczyciel, sam nie wiedząc, z czego konkretnie się cieszy. – Wiesz co, nie będę na nich czekał na Peczerskiej. I tak mogliby mnie dogonić, gdyby chcieli. Na przykład kiedy rozmawiałem z robotnikami. Albo na Kłowskiej. Mogli, ale tego nie zrobili, rozumiesz? Nie chcieli spotykać się z nami przy świadkach. Chcieli złapać nas w tunelu samych.

Jon wyjął z kieszeni magazynkę, wsunął go do automatu i przeładował. Na Kłowskiej jego karabin wcale nie był gotowy, ale teraz nie chciał powtórzyć tego błędu. Wykolejona drezyna nie zatrzyma prześladowców na długo – znów zdołają postawić ją na szyny, chociaż będą musieli wyładować podkłady kolejowe. To nie takie proste, ale nauczyciel nie chciał już tracić czasu na próżno.

\*\*\*

Peczerska okazała się kopią Kłowskiej, tyle że w zbiedniałej wersji. A jednak było tu spokojnie. Ochrona bez problemu ich przepuściła, nie zadając żadnych pytań o Elżę. Teraz Jon pomyślał – a czy dziewczyna ma własne dokumenty? Nie ma pewności, czy na dalszych stacjach pieczętka Cyprysa zachowa funkcję „plus jeden”. Czy będzie mógł przeprowadzać inne osoby na własny paszport?

Tym razem nikt nie podbiegł do nich z ofertami wynajmu noclegu. Stacja była pochłonięta pracą, chociaż Jon nie mógł zrozumieć jaką. Sporo podkładów kolejowych ułożono w stosy. Było ich za dużo – widocznie sąsiedni tunel też rozebrano. Nikt nie próbował tu ukrywać rozbiórki torów.

Jon lawirował między konstrukcjami ze zbutwiałej dykty, przy okazji wsłuchując się w urywki rozmów dookoła.

– Z kim wy chcecie wojować? – zamartwiał się kobiecy głos. – Co będziemy robić, jak łupnie w stolicę?

– Kłowska wyłączy światło i co wtedy? Albo znowu podniesie ceny? Czym będziemy płacić, twoimi robakami? Przecież spadły już na wartości.

– Plecy sobie naderwałem – narzekał ktoś zza sąsiednich drzwi. – Nic tylko tachać te podkłady... nie mam już siły. Wańce jeden spadł na nogę. Stopę mu zgruchotało. Bydlaki siedzą na górze, żeby chociaż jedna swołocz tu zeszła. Pasą się, świnię, a prości ludzie niech zdychają...

Jon usłyszał dość. Kiedy dotarł do posterunku, skręcił w lewy tunel i wkrótce znalazł się przed wrotami. Z początku nie rozumiał, dlaczego pojawiła się przed nim ciemnoczerwona

przegroda, potem przypomniał sobie, że to rutynowa praktyka. Przyzwyczał się do otwartych tuneli w stolicy. Teraz zaś na jego drodze będą stawać hermetyczne zapory.

Po okazaniu dokumentu Jona niezwłocznie wypuszczono, uprzedziwszy, że wrócić można tylko na sygnał – cztery uderzenia i jedno drapnięcie. Nauczyciel podziękował i razem z Elzą opuścił stację.

– Oni nie zbierają tych podkładów ot tak. – Jon powiedział do Elzy, oglądając się za siebie. – Do czegoś się szykują. Może zamierzają postawić blokadę. Dzieje się tu coś niedobrego. Mam nadzieję, że to nie jest związane z tobą, dziewczynko?

Elza nie odpowiedziała i zupełnie nie dodało to nauczycielowi otuchy.

## ROZDZIAŁ 3

### Piecyk

Jon przeszedł tunel prowadzący do stacji Przyjaźni Narodów, praktycznie tego nie zauważając. Uważał, żeby dziewczyna mocno nie odstawała, podczas gdy sam oddał się niewesołym myślom.

Co to za ludzie za nim idą? Przyjaciele tak nie postępują. A wrogów nie umiał sobie wyobrazić. Nawet jeśli namierzyli go już w lazarecie, to komu i dlaczego mogła przeszkadzać Elza? Gdyby chcieli się z nimi spotkać, zrobiliby to już dawno. Nauczyciel przywykł, by rozwiązywać każde zadanie siłą umysłu, ale tym razem nie mógł opanować strachu. Po prostu szedł naprzód, świecił latarką i żeby radzić sobie z niepokojem, co i rusz ją podładowywał, kręcąc korbką niemal co minutę. Może dali mu to urządzenie właśnie dla uspokojenia? Coś podobnego widział u żołnierzy – syndrom, który kazał im przeładowywać broń po każdym wystrzelonym naboju.

Przypomniawszy sobie, że wcale nie ma tak dużo amunicji do automatu, Jon zrzucił plecak na środku tunelu i rozmieścił ekwipunek na nowo, wsuwając magazynki do kieszeni. Zapiął rzepy, upewnił się, że wszystko ma dobrze dopasowane. Znacząco niechlujnie przytroczony ekwipunek na pewno rzuca się w oczy, służy za jasny dowód, że stoi przed nimi dyletant, który przywykł załatwiać sprawy pieczętką w paszporcie i nosi skafander w panterkę i automat na ramieniu dla ozdoby. Nauczyciel spochmurniał. Pewnie tak właśnie ludzie przepadają w dolnych warstwach społeczeństwa stolicy – ponosząc porażkę przy próbie zdobycia szacunku prawdziwych starych wilków.

Droga minęła spokojnie, jeśli nie liczyć nerwowości nauczyciela. Jon nawet nie zauważył, kiedy doszli do stacji, póki nie zauważył wrót – dokładnej kopii zapory z Peczerskiej. Nauczyciel

przypomniał sobie kod i cztery razy zastukał, a raz przesunął krawędzią latarki po bramie. Zamigotała pomarańczowa lampka i drzwi zaczęły się otwierać. Jon zrobił krok do tyłu, przytrzymując Elżę za ramię.

Zza wrót natychmiast pokazała się skierowana w nich lufa.

– Kto tam? – warknął gruby brodac, ubrany w bezkształtną kufajkę z futrzanym kołnierzem. – Czego chcecie?

– Ładnie tu witacie gości ze stolicy – powiedział Jon, pokazując paszport. – Będą problemy?

– Tylko jeśli przywlokłeś tu kogoś za sobą. Dawaj szybciej, ciepło ucieka.

– A co się u was stało? – spytał Jon, patrząc na boki. Jego nos wyczuł słabą woń dymu. – Pożar czy co?

– Olej to. Mała reorganizacja.

– Jakaś rewolucja czy coś?

– Jaka znowu rewolucja? – Brodac niemal przeżegnał się. – Czego mi głowę zawracasz? Chcesz iść, to idź, albo spadaj.

Jon się nie spierał. Wszedł na stację, starając się nie stracić koncentracji.

O tej stacji wiedział mało. Przyjaźń Narodów to niczym niewyróżniające się miejsce, które obok przyjaźni nawet nie stało. Stacja w miarę możliwości żyła niezależnie, pobierając cło od kupców, czym sprawiała ogromny ból głowy Cyprysowi. Zgodnie z zawartą umową handlową scytyjscy kupcy powinni byli przechodzić przez stacje za określoną opłatą, ale płacić mieli nie więcej niż raz na całej trasie, gdziekolwiek szli, choćby do Złotych Wrót, albo jeszcze dalej na północ. Przy czym kupiec miał prawo samodzielnie wybrać stację, na której ją uiści. Tam otrzymywał odpowiedni papier i dalej mógł podróżować za darmo. Dokument był też ubezpieczeniem, dzięki któremu kupiec mógł otrzymać rekompensatę w przypadku grabieży albo utraty towaru z innych przyczyn.

Zamysł był taki, że jeśli kupcy sami będą wybierać stację, gdzie zapłacą cło, to będzie to oczywiście Datapolis. I rzecz jasna kupcy posłali zwierchnika razem z jego planami i papierami na drzewo, dlatego że biznes biznesem, ale przyjaźnić się trzeba

w pierwszej kolejności z najbliższymi sąsiadami. A najbliżej Wydubicz mieściła się Przyjaźń – formalnie taki sam punkt Krzyża jak i inne. Kupcy woleli więc bulić za przejście właśnie miejscowym i potem przechodzili z odpowiednim papierem przez Datapolis, nie zostawiając w nim ani naboju. Po utracie kilku ładunków i złożeniu wniosków o odszkodowanie Cyprys był zmuszony zrekompensować straty z kasy stolicy. Wyszło tak, że pieniądze trafiały do Przyjaźni, a zwracać je musiało Datapolis, co nie sprzyjało ich ciepłym stosunkom.

Scyтом przypadło do gustu, gdy dla minimalizacji ryzyka dawano im dodatkową ochronę na odcinku od Datapolis do Żółtych Wrót, obszarze o zwiększonym zagrożeniu, gdzie czasami wdzierały się różne bestie spłoszone przez stalkerów Metrogradu.

Przy tym wszystkim Przyjaźń dorabiała sobie barterem, pobierała myto za przejście w wodzie, filtrach, tkaninach i rozmaitych towarach spożywczych. Ale teraz, jak się zdawało, na stację przysłała czarna godzina. Napotkani przez Jona ludzie wcale nie wyglądali na sytych. Większość zdawała się wycieńczona, jakby stacja znajdowała się na granicy głodu. Grzyby im się psują czy co?

W Przyjaźni zwykle roiło się od imigrantów, którzy nie mogli zarobić na dalszą podróż. Tu też zatrzymywali się wszyscy ci, którzy musieli iść na południe – Wydubicze nie przyjmowały tak po prostu postronnych podróżnych z północy, nie chcąc ryzykować utraty monopolu na przewóz pasażerów przez metromost. Aby przejść przez stację w kierunku południowym, trzeba było dostać pozwolenie od mera, i cała ta kołomyja zdawała się Jonowi pozbawiona wszelkiego sensu. Choćbyś był zastępcą Cyprysa, i tak musisz mieć zgodę mera Przyjaźni Narodów. Różnica polegała tylko na poziomie trudności w zdobyciu drogocennej przepustki.

Merostwo mieściło się w budce o trzech kondygnacjach – wąziutkich, niziutkich, skleconych z twardego drewna, ale ozdobionych połączaną snycerką. Kompletne bezguście, co odnotował nawet nieuczony w tych sprawach Jon. Na wszystkich



piętrach paliło się światło, przed wejściem siedział strażnik strugający nożem figury szachowe. Sądząc ze stojących w szeregu gotowych wyrobów, wartownik czerpał ze swojego zajęcia dużą frajdę i był bliski ukończenia kompletu.

Jon podetknął mu paszport pod nos.

– Mam sprawę do mera – powiedział.

Strażnik odłożył figurkę w milczeniu. Wsunął nóż za pas, wytarł ręce w jakąś szmatkę, od której czuć było mazut. Ale nie dotknął paszportu – popatrzył tylko, zmrużył oczy, spojrzął Jonowi w oczy, kiwnął głową i wszedł na górę. Zniknął za drzwiami i długo o czymś opowiadał.

Elza gapiła się na boki, nie zatrzymując się wzrokiem na niczym konkretnym. W Krzyżu prawie wszystkie stacje były podobne do siebie.

– Przyjmie pana – oznajmił strażnik, wychodząc na zewnątrz.

– Dziękuję – rzucił Jon i poprowadził Elzę po schodach.

Dziewczyna kilka razy się potknęła.

Jon nie pukał – od razu wszedł do środka.

Najpierw poczuł zapach laku przebijający się przez woń popiołu. Przy drewnianym biurku, na wpół odwrócony do drzwi siedział grubas ze świecącą się gębą i małymi uszami – typ człowieka wkurzający Jona najbardziej na świecie. Obok połyskiwał piecyk-burżujka z zamkniętymi drzwiczkami. W kontekście bezpieczeństwa przeciwpożarowego merostwo stanowiło wzorzec debilizmu.

– Zapraszam – kiwnął głową tłuścioch. – Herbatki?

– Nie, dziękuję. Chociaż... ma pan cukierki?

– Nie – powiedział grubas ze szczerym żalem. – Sami nie mielibyśmy nic przeciwko temu, żeby znaleźć jakieś cukiereczki. He, he...

– Potrzebuję przejść na południe. Ja i ta dama. Da się załatwić?

– Z łatwością. Widzę, że urzędowy z pana człowiek, dogadamy się. Dla pracowników administracji wszystko.

Grubas wziął pieczęć, wyciągnął niewielki blankiet z pomarańczowego papieru, postawił wyraźny znak i dodatkowo napisał coś ręcznie. Jon wziął papiera, przeczytał.

– Tu jest napisane tylko o mnie – powiedział.

Nagle zaciekawiło go, co w tej chwili płonęło w burżujce. Jon był gotów się założyć, że w czasie, gdy wchodził na górę po schodach, grubas zdążył wrzucić plik przepustek, zachowawszy wziętą za nie łapówkę.

– Powiedziałem przecież, że potrzebuję przepustki dla nas dwojga.

– Proszę wybaczyć, nie mogę. – Mer rozłożył ręce. – Kobieta może tu zostać, poczekać na pana.

– Nie ma takiej możliwości.

– Rozumiem, jestem po pańskiej stronie. – Uśmiech grubasa z każdym trzaskiem ognia w burżujce stawał się coraz bardziej obleśny. – Ale, niestety, to nie ja ustalam zasady. Scytia żąda, żeby wszystkich sprawdzać. A kobiet do siebie nie wpuszczają.

– Więc są antykobiecty?

– Cóż, powiedzmy, że Wydubicze nie przyjmują teraz nikogo. Dla pana zrobiłem wyjątek, ale z dziewczyną niczego nie mogę zrobić. Możemy was wypuścić, ale nie dostaniecie się na Wydubicze. Bardzo żałuję.

Jon odwrócił się i wyprowadził Elzę na zewnątrz.

– Zaczekaj tu, dobra? – szepnął. – Zaraz wrócę.

I zamknął za sobą drzwi, pozostając w gabinecie.

– Ile? – zapytał.

Grubas spojrzał na niego rozbieranymi oczami.

– Dwa magazynki.

– To niepoważne.

– W takim razie nie mogę pomóc.

– Ma pan obowiązek okazać mi pomoc.

– Panu tak. Ale nie pańskiej towarzyszce. Jeśli i ona zdobędzie paszport z pieczętką, będę pomagać i jej. Bardzo mi przykro.

Jon przeniósł spojrzenie na burżujkę. Patrzył na nią długo, z rękami splecionymi na piersi. Grubas oddychał coraz głośniej, zaczynając mimowolnie pochrząkiwać. „Ciekawe, jak się nazywa? – pomyślał Jon. – Dobrze byłoby jakieś świńskie imię”.

– Wiesz, że to bardzo dobry piecyk? – zapytał. – Można w nim palić tylko węglem albo drobno pociętym drewnem. I ma pewną

szczególną cechę. Bardzo słabo pali się w nim papier.

– Nie rozumiem – zaniepokoił się mer.

– Założymy się, że jeśli otworzę teraz drzwiczki, to znajdę tam parę interesujących pomarańczowych karteczek? A nawet odczytam, co jest na nich napisane?

– Nie rozumiem...

– Proponuję zakład. – Nauczyciel zrobił krok w kierunku mera i ten niemal podskoczył. – Jeśli otworzę drzwiczki i znajdę tam papierek, zabieram go ze sobą. Jeśli papierka tam nie będzie, wracam na północ. Albo da mi pan teraz przepustkę dla dziewczyny i nie dotykam drzwiczek.

Grubas ciężko westchnął, wziął jeszcze jedną kartkę i wbił pieczętkę na okaziciela.

– Pokornie dziękuję – powiedział Jon. – Co do piecyka: zdaje mi się, że wszystko pomyliłem. Nie mogę znaleźć powodów, dla których w standardowej burżujce nie mógłby się palić papier. Widocznie się nie wyspałem albo coś zjadłem.

Jon przyłożył dłoń do czoła, zasalutował, uśmiechnął się i wyszedł, pozostawiając grubasa patrzącego ze zdumieniem na piecyk. Przyglądając się na zewnątrz nowiutkim wizom, Jon stłumił chęć, by wybuchnąć śmiechem.

– Ludzie na wysokich stanowiskach zawsze słabo kojarzą – powiedział do Elzy. – Do ciebie się to nie odnosi. Wierzę, że kojarzysz całkiem nieźle. Po prostu zapomniałaś, jak to się robi.

## ROZDZIAŁ 4

### Ewakuacja

Do przybycia na Wydubicze Jon zdążył się mniej więcej przygotować. Tunel go nie przerażał – od czasu pierwszych wypraw karawan Scytów było to miejsce dość oswojone. Dobre imię spółki nie było pozbawione podstaw. Tunel z Przyjaźni Narodów na Wydubicze był może jedynym w metrze, gdzie nigdy nie dochodziło do bandyckich napadów. Kupcy umieli bronić swoich ziem, jak przystoi na każdymu biznesmenowi zmuszonemu do pracy w ograniczonej przestrzeni. Dlatego w czasie podróży Jon czuł się stosunkowo spokojnie i nie chwycił już za ładowarkę latarki przy każdej okazji.

Elza szła cierpliwie, nie przejawiając oznak zmęczenia. Dziewczyna okazała się bardzo wytrzymała – zresztą na ciężkich robotach w Datapolis inni nie dawali rady. Słaby snop światła jej latarki błędził to tu, to tam, rzucając na ściany ogromny cień nauczyciela przypominający jakąś potworną postać. Były czasy, że tyle wystarczyło, by ludzie w tunelach otwierali ogień – ot tak, do jakiegoś cienia. Od tego momentu życie nie stało się szczególnie łatwiejsze, jednak człowiek adaptuje się do wszystkiego.

Do tego okazało się, że panuje tu ożywiony ruch. Po drodze napotkali dwie piesze karawany i paru samotników. Karawany składały się z małomównej ochrony i gadatliwych straganiarzy. Jon wiedział, że często była to jedyna różnica między pierwszymi a drugimi. Do prowadzenia handlu potrzebny był patent, podczas gdy świadczenie ochrony wymagało tylko ustnej umowy. Co się tyczy samotnych wędrowców, to pierwszym był ponury starzec z siedmiostrunową gitarą na plecach. Popatrzył na Elzę tak podejrzliwie, jakby dziewczyna miała zamiar z miejsca usmarować mu pudło instrumentu. Drugi wędrowiec był młody,

tyczkowaty, z rozpuszczonymi włosami i nieustannie palił. U boku dyndał mu bębenek, z głębokiej kieszeni na udzie wystawała para pałeczek. Jon skinął mu głową, nie wdając się w rozmowę – sam rozumiał, że napotkanie w ciągu pięciu minut dwóch różnych osób z instrumentami muzycznymi to nie przypadek. Wędrowna orkiestra była uważana za karawanę, muzyka – za komercyjną usługę, tak że już na wejściu na grupę były nakładane odpowiednie opłaty. Dlatego członkowie zespołu mijali posterunki pojedynczo, a czasem – jak teraz – pokonywali w ten sposób tunele, na wypadek spotkania z patrolem, któremu można było zapłacić mniej niż na stacji.

Wrota hermetyczne przy wejściu na Wydubicze były otwarte do połowy. Przed nimi, w poprzek torów, na boku leżała drezyna. Z początku Jon uznał, że ktoś po prostu wjechał w zaporę z pełną prędkością, nie uwzględnivszy drogi hamowania, ale potem zdał sobie sprawę, że drezynę położono specjalnie, żeby zablokować potencjalny wjazd. Prosty i efektywny sposób pozwalający zamknąć przejazd dla każdego pojazdu, ale nieprzeszkadzający w swobodnym przejściu – co Jon ocenił jako prawo do wejścia. Miał tylko nadzieję, że nie wezmą go z Elzą za karawanę handlową.

Przyciskając automat do boku, dał nura pod zaporą, prowadząc Elzę jak najbliżej siebie. Cokolwiek by się tam zdarzyło, chłopak z dziewczyną wzbudzą mniej podejrzeń niż sam mężczyzna. Wydało mu się, że strażników na posterunku było podejrzanie mało. Potem przypomniał sobie, że uniformy nie były na Wydubiczach wymagane. To właśnie ludzie w zwykłych łachach, niegdyś będących kurtkami i swetrami, byli ochroną stacji. Mieszkańcy mieli znacznie więcej swobody, która była tu uważana za luksus. Warta przy wejściu była nie tyle powinnością, ile przywilejem, i nie brakowało ochotników.

– Kto tam? – Przyskoczył do nich wujaszek w kraciastej koszuli wypuszczonej na spodnie. Nie miał broni, ale patrząc na jego mocne żylaste ręce, nie można było mieć wątpliwości, że w walce jeden na jeden załatwi każdego. – Czego chcecie?

– Jestem z Datapolis – odparł Jon, próbując kolejny raz tego dnia

wręczyć swój paszport.

Wujaszek powstrzymał go gestem.

– Wierzę, wierzę – powiedział. – Nie wyglądacie zbyt bojowo. Cywile. Czego tu szukacie?

Jon zdumiał się taką beztroską, kontrastującą ze zwykle szorstkimi manierami Scytów. Co oni, wpuszczają teraz kogo popadnie?

Później zauważył inne dziwne szczegóły. Pięciu stojących nieopodal ludzi w ogóle nie zwracało na niego uwagi – patrzyli na południową część stacji. Dalszy koniec tunelu był stąd doskonale widoczny. Mimo że na wszystkich stacjach Krzyża można było tylko marzyć o wolnej przestrzeni, Wydubicze stały się chyba jedynym miejscem, w którym oba tunele były całkowicie wolne od jakichkolwiek budowli, umocnień i innych konstrukcji. Po wjechaniu w którykolwiek z nich można było przejechać przez stację, nie zmniejszając prędkości, i popędzić dalej. Jedyne, co mogło powstrzymać, to hermetyczna zapora. W Datapolis taki układ byłby niemożliwy. Każdy wjazd kończył się po trzech metrach zderzeniem z realiami stolicy – wystarczyło dotknąć kołami świętej własności. Dalsza droga w gruncie rzeczy nie istniała. Żeby przejechać drogocenne sto dwa metry, trzeba było przejść z dziesięć kontroli. W stolicy zwyczaj blokowania torów przez ludzi z automatami i worki z piaskiem uważano raczej za zasadę niż wyjątek.

Teraz Jon mógł zaobserwować zupełne tego przeciwieństwo. Tor był wolny, chociaż na przeciwległym krańcu widać było zbiegowisko. Nie mniej niż pół setki ludzi stłoczyło się przy południowym wyjściu. Dobiegały stamtąd pełne oburzenia okrzyki.

– Co się stało? – zapytał Jon. – Powstanie czy co?

– W głównianym momencie przyszłście, dzieciaki – powiedział wujaszek. – Mamy tu wewnętrzną ruchawkę. Nic wam do tego.

– A gdzie mer?

– Zabity.

Jon nie znalazł słów, żeby odpowiedzieć.

– Jeśli przyszłście na handel, to dziś nie jest dobry dzień. Idźcie

z powrotem.

– My nie na handel. Chcemy iść na południe.

– Z tym będą problemy. Ale to nie moja rzecz. Możecie spróbować. Tylko wiesz, chłopcze... trzymaj giwerę pod ręką. Może się przydać.

W tym momencie nauczyciel uznał, że niepotrzebnie zmarnował zapasy swojego zdziwienia na wszystko, co było wcześniej. Na jakiej innej stacji miejscowy strażnik będzie go prosić, żeby biegał do woli z naładowanym automatem? Co to było – świadoma prowokacja czy zwykła beztroska? Jakkolwiek było, postanowił działać dokładnie odwrotnie: w nic się nie mieszać i działać jak najbardziej niepostrzeżenie.

Jon w milczeniu ruszył naprzód. Tym razem nie trzeba było ciągnąć Elzy za sobą – dziewczyna sama wczepiła się w rękę nauczyciela, mocno naciągając rękaw, boleśnie wpijający się w nadgarstek.

Zachowanie strażnika szybko znalazło wyjaśnienie. Jak się zdawało, stacja była w trakcie ewakuacji. Coś podobnego działo się już w Krzyżu kilka razy. Były cztery przypadki pożaru, dwie powodzie, jeden fałszywy alarm i raz jawna dywersja z cennymi butlami z propanem przyniesionymi z góry przez stalkerów Metrogradu. Na taką okoliczność na wszystkich stacjach obowiązywał ścisły regulamin – natychmiast otworzyć wszystkie wyjścia i w jak najbardziej zorganizowany sposób opuścić stację z minimalną liczbą rzeczy. Nakazać to było oczywiście łatwiej, niż wykonać. Z czasem każdy obywatel każdej stacji trwale zapamiętał, do którego wyjścia należy biec – do tego, które było najbliżej jego kwadratu zamieszkania. Przy tym w życie wchodziły specjalne rozporządzenia dotyczące szabrownictwa, chroniące drogocenny dobytek. Nie to, żeby Cyprys bardzo się przejmował bezpieczeństwem cudzych maneli, jednak ich właściciele z łatwością mogli wpaść w taki amok, że nie pomogłaby żadna ewakuacja.

To, co Jon mógł teraz zaobserwować na Wydubiczach, ewakuacji nie przypominało. Choćby dlatego, że nikt, absolutnie nikt nie szedł na północ. Co więcej, wujaszek w koszuli był

wyraźnie zdziwiony, że ktoś w ogóle postanowił przyjść do nich z północy.

Sama stacja lśniła przepychem. Wydubicze były uważane za być może najwspanialsze miejsce w Krzyżu, ustępując tylko Kontraktowej. I żadnych trzypiętrowych połączanych stodół. Kupcy ze Scytii wzniesli do poziomu luksusu najprostsze i wszystkim zrozumiałe rzeczy – na przykład czystość. Wydubicze były bardzo czystą stacją. Zawsze czuć tu było świeżą farbą. Posadzka pod stopami nauczyciela niemal piszczała. Miejscowi dbali o jakość noszonego obuwia, higieny osobistej, a filtry wody zmieniali już po podwójnym cyklu pracy, licząc od standardowego. Do tego mieszkańcy zameldowani na Wydubiczach nie musieli płacić za wodę – zawsze mieli jej pod dostatkiem. Sporo kosztowało tylko jedzenie, było za to lepszej jakości niż u sąsiadów. Kupcy nie próbowali budować potęgi wojskowej ani ekonomicznej. Handlowali czym innym – poziomem życia. Tutejsi obywatele byli zdrowsi – nie wiadomo dlaczego – bardziej rumiani i rześcy. I do tego dłużej żyli. Zasłużyć na zameldowanie na Wydubiczach można było najwcześniej po dziesięciu latach pracy w karawanach i trudno było opędzić się od chętnych. Sama Scytia pierwotnie stanowiła właśnie garstkę młodych przedsiębiorczych ludzi, którzy kiedyś uznali, że bliskość metromostu to idealne miejsce do umieszczenia targowiska z siecią kurierów. Kupcy dzielili się na dwie podstawowe specjalizacje. Jedni pracowali jako mrówki, chodząc przez metromost do regionów południowych, drudzy – jako straganiarze w Datapolis i północnych odnogach. Kiedyś Scyci mieli nawet własnych stalkerów, ale wszyscy polegli w wojnach z Metrogradem. Potem kupcy znali już swoje miejsce i trzymali się go z jak największą godnością, nie próbując rozszerzać swojej strefy wpływów.

To, co zobaczył Jon, nie wpisywało się w zwykły obraz życia tej stacji. Mieszkańcy próbowali siłą przedrzeć się na południe. Jon pamiętał, że metromost można było pokonać tylko na drezynie. Choćby dlatego, że solidny odcinek drogi trzeba było przebyć na powierzchni. Nie było co myśleć o tym, żeby przejść go pieszo



i bez przygotowania.

Jon wziął głębszy oddech i precyzyjnie przeszedł przez tłum. Elza nie odstawała.

Przy południowym posterunku stało co najmniej dziesięciu strażników obok dwóch mocno załadowanych drezyn. Żadna z nich nie miała dachu. Widocznie wszystkie hermetyczne odjechały już na południe. Cokolwiek się stanie, trzeba dogadać się co do przejścia. Błagania nie miały sensu, groźby też nie. Miejscowi ewidentnie zdążyli już wypróbować obie metody. Dlatego Jon wyszukał wzrokiem dowódcę, spokojnie podszedł i podsunął mu paszport pod nos.

– Pomogę z przeprawą na południe – powiedział z przekonaniem. – Jon, Datapolis, administracja Cyprysa. Przy okazji popracuję w ochronie i przy dźwigni.

Dowódca nie zastanawiał się długo. Spojrzał na paszport, potem Jonowi w oczy, potem na Elzę. Krótco kiwnął głową i wskazał na drezynę.

Jon wsiadł, robiąc minę, jakby był swój. Nikt się nie dął, że niby dlaczego on może, a my nie. Przeciwnie, tłum nieco się rozproszył, jakby miejscowi tylko czekali na posiłki z północy.

– Ruszamy – rozkazał strażnik i stuknął dwa razy w metalową barierkę.

## ROZDZIAŁ 5

### Metromost

Obie drezyny płynnie kołysały się na szynach, zagłębiając się coraz dalej w ciemną czeluść tunelu, walcząc z gęstniejącym mrokiem przy pomocy reflektorów. Rytm kołysania był tak miarowy, że drezyny szły, jakby połączone na sztywno, chociaż między nimi było około metra pustej przestrzeni.

Jon jeszcze ani razu nie widział tak zgranego działania i taka organizacja pracy była dla niego nowością. Strażnicy co chwilę spokojnie przechodzili z jednej drezyny na drugą, krótko rozmawiali, nachylając się do ucha towarzysza, omawiając coś, o czym wiedzieli tylko oni. Elza siedziała, zakutana w jakiś szal, tak że na zewnątrz wystawała jej tylko głowa ze zgaszoną, niepotrzebną już latarką na czapce. Wyglądało na to, że dziewczyna była zupełnie spokojna, trochę jakby morzył ją sen. Sam Jon zupełnie nie był śpiący – siedział, opierając się butami o grube deski, przez szczeliny, w których widać było uciekający sznur podkładów kolejowych. Na razie nie musiał „pompować” – strażnicy dawali sobie radę sami. Automat miał pod prawą ręką. Pasek huśtał się, uderzając o kolano. Boczne reflektory drezyny słabo świeciły na obie strony i tylko jeden wisiał nad ich głowami, rzucając jasne światło w przestrzeń przed nimi. Zdaje się, że kupcy nie oszczędzali też na elektryczności, chociaż Jon podejrzewał, że akumulator drezyny ładował się też od ręcznego poruszania dźwignią.

Rozkład ładunku i pasażerów z początku zdawał się nauczycielowi podejrzany. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy bez wyjątku kupcy rozsiedli się na pierwszej drezynie, niemal spychając się z niej nawzajem, podczas gdy na drugiej znajdował się tylko on, Elza i trzech strażnicy. Zaczął szukać widocznych różnic w budowie obu wagoników i zdał sobie

sprawę, że tylna drezyna jest przeznaczona do tego, żeby w razie czego pchać przednią. W tym celu dźwignią napędową musiały pracować dwie, trzy osoby.

Oprócz Jona i Elzy, kupców i strażników znajdowali się tu też inni ludzie. Wszyscy siedzieli w pierwszym pojeździe – ponurzy, niespokojni, zakutani w pledy. Czy to reakcja obronna, czy w tunelu rzeczywiście było im zimno? Jon żadnego zimna nie czuł – przeciwnie, był przyzwyczajony do zatęchłych stacyjnych przeciągów, które niosły się po korytarzach w rejonie Łukjanowskiej. W odczuciu nauczyciela było tu dość ciepło. Zwróciwszy na to uwagę, Jon zamyślił się nad faktem, że bogate stacje żyły w znacznie cieplejszych warunkach. Czyżby nie dostrzegały tego dzieci, które mu przyprowadzano? Czy nie było im na Łukjanowskiej zimno? Oto naprzeciwko niego siedzą dorośli obywatele Wydubicz, którzy przeciąg z tunelu znoszą gorzej...

– Ej, pomóż no machać – odezwał się do niego jeden z kupców.

Jon przysunął automat do Elzy, chwycił za wytarte rękonożki dźwigni. Miał nadzieję, że stan umysłowy dziewczyny pozostanie dla kupców tajemnicą. Nie każdy musi wiedzieć, że nie jest tylko zwykłą cichą pasażerką.

Odbłyśki bocznych lamp nagle zniknęły – smugi światła rozplynęły się w nieznannej pustce. Stukot kół stał się głośniejszy. Jon nie od razu zdał sobie sprawę, że wyjechali na otwartą przestrzeń.

– Co to? – zapytał, kiwając głową w stronę zagadkowych kolumn.

– Nigdy nie widziałeś „perliczki”? – zapytał strażnik.

– Kogo?

– To Teliczka – odezwał się spokojnie wąsaty facet naprzeciwko niego. – Nieukończona budowa z dawnych czasów, taka jej mać...

Nauczyciel zrozumiał, o czym mowa. Tym razem zawiodła go pamięć. Stacja Teliczka, porzucona jeszcze przed wojną, i w zasadzie niezbudowana. Nie mógł pojąć, jaki był sens porzucać tego rodzaju projekty w połowie. Żeby teraz w Krzyżu ktoś dobrowolnie rezygnował z przestrzeni mieszkalnej?

Teliczka mało przypominała przestrzeń mieszkalną. Wszędzie ciekła woda – najwidoczniej pompy nie działały tu od zawsze. O jeden z pokrytych pleśnią słupów opierał się szkielet w strzępach zbutwiałego granatowego materiału. Jon nawet nie pytał, kto to mógł być. Wątpliwe, żeby ktoś z obecnych mógł go znać. Ze wszystkich stron wiało niepojętą zgrozą. Nauczyciel nie mógł zrozumieć, co przerażało go bardziej: fakt, że ktoś wyzionął tu ducha w całkowitej samotności, czy obojętność Scytów na los tego biednego człowieka.

W Krzyżu uważało się, że jeśli umarłeś w metrze w samotności, to umarłeś na darmo. Wszystkich szlachetnych rzeczy dokonywano tylko w grupie. Umrzeć w metrze można było z mnóstwa powodów, ale wszystkie one przydarzały się w kolektywie. Stalkerzy, jeśli już umierali, to wśród towarzyszy. Straganiarze w tunelach ginęli całymi karawanami, a epidemie kosiły dziesiątki ludzi. Śmierć w metrze nigdy nie szukała samotnej ofiary. Ludzie w metrze mieli podobne życie i jeszcze bardziej podobną śmierć. Samotna śmierć oznaczała samotne życie.

Czarne myśli przypomniały Jonowi, że przynajmniej on na pewno nie umrze całkiem sam. Elza bardzo szybko pójdzie w jego ślady. Nauczyciel zgubił rytm, zaczął pompować mocniej, drewna przyspieszyła i lekko stuknęła w pierwszy pojazd. Bufory zgodnie zazgrzytały, witając się nawzajem.

– Ej ty, wolniej – zasyczał na niego wąsacz.

Kupcy zadrżeli, niektórzy spojrzeli na Jona z nienawiścią. Nauczycielowi zrobiło się wstyd, jakby złamał bardzo ważną regułę.

– A ty na pewno jesteś z Datapolis? – zapytał strażnik.

Jon obejrzał się na milczącą Elzę i postanowił nikogo nie udawać.

– Ona jest z Datapolis, tak – powiedział. – A ja z Łukjanowskiej. Pracuję dla Cyprysa od niedawna.

– I co tam robisz?

– Jestem nauczycielem w szkole.

Jon spodziewał się, że w odpowiedzi na swoje wyznanie usłyszy

szydarczy rechot. Nie pierwszy raz. Czasem trafiali mu się ludzie, którym trzeba było specjalnie wyjaśniać wartość szkoły. Ale kupcy przyjęli jego wyznanie spokojnie.

– I czego tam uczycie?

– Jak przeżyć. I jak przy tym pozostać człowiekiem.

– W metrze kuli wszystko jedno, czy jesteś człowiekiem, czy nie. I mutantowi wszystko jedno, kiedy pożera twojego trupa. Robakom też wszystko jedno, kogo zjadają. Wiesz, my tu wszyscy swoją szkołę przechodzimy.

– Dobra tam, Sania, nie przynudzaj. – Wąsacz machnął ręką. – Powiedz lepiej, bratku, czy czytacie tam już *Florę*.

– Czytamy.

– I wszystkie stronicy są na miejscu?

– Gdybym miał *Florę* ze wszystkimi stronicami na miejscu, kupiłbym waszą firmę.

Śmiech, który mu odpowiedział, był zupełnie spodziewany. Jon wpatrzył się w twarze kupców z pierwszej drezyny. Twarze nigdy nie kłamały. Kupcy raczej nie byli podatni na powszechną histerię z powodu mitycznego kompletnego podręcznika. Ale na pewno go szukali, jak i wszystkiego, co mogło się dobrze sprzedać. Wszystko, co miało w metrze wartość, było dla Scytów towarem. Z konkretnym priorytetem, ceną i poziomem ryzyka. Ciekawe, co by zrobili, gdyby u Jona znalazła się pełna wersja książki? Kupcy niby nie zajmowali się bandytyzmem, choć może nie znalazł się nikt, kto mógłby na własnym przykładzie dowieść, że jest odwrotnie.

– Puść – polecił nieoczekiwanie wąsacz, zaczynając pompować nieco lżej.

Jon nawet nie zauważył, że zwolnili – zdawało mu się, że przednia drezyna przyspieszyła.

– Co się stało? – spytał nauczyciel.

Nikt mu nie odpowiedział, póki drezyna całkiem się nie zatrzymała.

– A tak, mała naprawa – odparł strażnik, zeskakując na ziemię i pochylając się przy przedniej części pojazdu. – Trzeba zerknąć na hamulec. Chyba go przegrzaliśmy...

– To moja wina? – spytał Jon, przypomniawszy sobie zderzenie.  
– Nie, była już trochę kopnięta. Zaraz podkręcimy i ruszymy dalej.

Automat wciąż jeszcze leżał obok Elzy. Jon, gdyby tylko chciał, mógłby do niego dosięgnąć. Ale nauczyciel nie robił gwałtownych ruchów i zamiast tego zapytał:

– Co się tam stało na waszej stacji?

– To znaczy?

– Dlaczego ludzie od was wyjeżdżają? Boicie się niebezpieczeństwa z północy?

Oddech wężacza stał się nieco cięższy. Strażnik Sania przy przednim hamulcu mamrotał coś pod nosem i dalej kręcił kluczem, wydającym miarowe skrzypienie.

– Mówią, że Metrograd się awanturuje – odpowiedział wężacz. – Coś się tam u nich stało. To ciebie trzeba pytać.

– Mnie akurat nikt nie spytał – stwierdził Jon. – Dlatego pytam ja. Może coś wiecie. Po mojemu w centrum jest spokojnie.

– Cóż, skoro spokojnie, to nie ma się czym martwić. Sania, skończyłeś tam?

– Zaraz – powiedział strażnik, dalej kręcąc kluczem. – Zakręcimy i pojedziemy dalej.

Jon odczepił od pasa bidon, łyknął wody. Pochylił się nad Elzą i dał jej się napić. Wciąż nie ruszał automatu.

– O tak – powiedział czule, wycierając jej usta skrajem szala.

– Gotowe. – Strażnik wskoczył na dreżynę. – Pompujcie, bracia.

Jon dalej siedział obok Elzy. Wężacz silniej nacisnął na dźwignię. Dreżyna długo rozpędzała się ze stanu spoczynku.

– Nie chcesz pomóc? – zapytał wężacz.

– Przecież gubię rytm – odparł Jon. – Nabierzcie prędkości, wtedy dołączę.

Strażnik patrzył na chłopaka posepnie, jakby coś rozważał.

– Czyli Metrograd – odezwał się Jon. – A czym wy z nimi handlujecie? A, no tak, tajemnica... Nawiasem mówiąc, dobrze tam przykręcałeś tę nakrętkę. Przy hamulcu.

– Że co? – nie zrozumiał Sania.

– I jak zdążyłeś cokolwiek rozebrać i potem złożyć? To dwa

różne procesy. A sądząc z odgłosów, kręciłeś nakrętką w jedną stronę. I to bez gwintu.

Zapadła ciężka cisza.

– Masz rację, bratku – powiedział wąsacz. – Wiesz, handlujemy nie tylko towarami. Rynek usług też kwitnie.

Strażnik z przodu rzucił się nagle na Jona, wyciągając po drodze nóż. Nauczyciel nie wstał ani nie sięgnął po automat. Broń i bez tego odegrała ważną rolę, odciągając uwagę, co pozwoliło nauczycielowi pociągnąć dźwignię hamulca, unieruchamiając ją w położeniu postojowym. Drezyna gwałtownie szarpnęła, zaczęła zwalniać. Strażnik stracił równowagę. Jon natychmiast zaatakował i silnym pchnięciem zrzucił go z drezyny. Nóż zadzwonił, podskakując na podkładach. Strażnik wrzasnął, kiedy jego ręka trafiła pod koło.

Jon wyrznął wąsacza w nos, próbując trafić w oczy. Sania uniósł automat, ale nie zdążył wycelować i kula trafiła w ścianę. Jon podbił lufę broni swobodną ręką, rzucił się do pierścienia rozrusznika na podłodze, szarpnął go. Motor zaryczał – cała machina przeszła na drogi napęd silnikowy. Drezyna znów zaczęła przyspieszać.

Wąsacz puścił bezużyteczną dźwignię, rzucił się na Jona, złapał go za gardło. Elza krzyknęła, skuliła się jeszcze bardziej. Sania zaparł się nogą o boczną ramę drezyny, znów uniósł automat, celując w głowę Jona...

Oślepiające światło!

Zabójcze światło!

Tunel nagle się skończył, jakby rzeczywistość odcięła gigantycznym nożem, odkrawając zimne, ale żywe metro. Drezyna wyjechała na most.

Szoku otwartej przestrzeni doznał chyba nie tylko Jon. Sania chciwie złapał powietrze ustami, wypuścił automat, natychmiast chwycił się za gardło i drżącymi rękami zaczął odpinać sobie od pasa maskę przeciwgazową.

Wąsacz nie od razu zdał sobie sprawę, że próbując zabić Jona, przegapił koniec tunelu. A może silnik drezyny okazał się znacznie bardziej rączy, niż wszyscy oczekiwali. Uścisk na gardle

Jona zelżał i jakby z woli koła fortuny węsacz sam ze wszystkich sił wstrzymał oddech. Tłumiąc przymus nabrania powietrza, Jon odepchnął strażnika od siebie.

Spanikowany Sania zbyt późno zauważył niebezpieczeństwo. Uderzył skronią o wystający gdzieś z boku kawałek metalu i zleciał z drezyny, pozostawiając na niej maskę, której ostatecznie nie zdążył założyć. Nauczyciel rzucił się do niej, przytknął do ust, wziął głęboki wdech. Węsacz coś krzyknął, jego słowa utonęły w łoskocie kół. Jon chwycił swój automat i wystrzelił mu w brzuch. Odrzut prawie zrzucił go z pojazdu.

Węsacz oparł się o dźwignię drezyny i ciężko usiadł na deskach. Jon pospiesznie założył Elzie maskę, drżącymi rękami poszukał zapasowej w apteczce. Kiedy tylko umocował ją sobie na twarzy, drezyną rzuciło.

Tor w tym miejscu się urywał. Kupcy Scytii złazili tu z drezyny i wspólnymi siłami przenosili ją na drugi tor. W miejscu pierwszego ziała szeroka przepaść.

Nachyliwszy się nad Elzą, Jon objął ją ramionami, starając się przy tym trzymać poręczy.

Drezyna zazgrzytała na stercie zardzewiałego złomu, spadła z mostu i po dwóch nieznośnie długich sekundach runęła w wody Dniepru.



## ROZDZIAŁ 6

### Odblask

Zawroty głowy minęły, kiedy tylko słońce zaczęło przenikać przez powieki. Coś dziwnego uciskało Jonowi policzki. Nauczyciel otworzył oczy.

Elza siedziała przed nimi, przyciskając mu maskę tlenową do twarzy. Jon zamachał rękami, niemal trafiając dziewczynę, chwycił maskę, odsunął ją od swojej twarzy, wypuścił powietrze. Od razu znów ją przytknął i zaczął głęboko oddychać.

– Co się dzieje? – wymamrotał, rozglądając się dookoła w panice. W głowie mu huczało. Zbawcze obłoki zasłoniły słońce. Nauczyciel zerwał się na równe nogi, zachwiał – plecy przeszył mu silny ból. Znów usiadł, starając się nie spaść do wody, i zaczął się rozglądać oszalałym wzrokiem.

Elza i on wciąż jeszcze znajdowali się na zrzuconej z mostu dreźnie, do połowy pogrążonej w wodzie. Dookoła pływały lub częściowo wystawały z wody manatki kupców. Nieco dalej, jakieś pięćdziesiąt metrów, Jon zauważył ciało wążacza. Prąd już go niósł w dół rzeki.

Elza siedziała naprzeciw nauczyciela, miarowo oddychając przez maskę. Jej wzrok nie miał więcej życia niż zwykle. Jon zebrał się w sobie, wziął głębszy wdech i jednocześnie sprawdził, czym on właściwie oddycha. Od maski szedł karbowany wąż prowadzący do przymocowanej do drezyny butli. Widocznie był to scytyjski system ochrony na wypadek przejazdu przez most. Jakże w porę atakujący go kupcy przegapili wyjazd na powierzchnię.

Kiedy Jon złapał trochę tchu, zdjął maskę w nadziei, że ręce przestaną mu się tak mocno trząść. Wziął dziewczynę za ramiona, lekko nią potrząsnął, uważnie spojrzął jej w oczy.

– Symulujesz? – zapytał. – Skąd wiedziałaś, co robić z maskami?

Nie kłam, proszę. Za daleko zaszliśmy. Teraz muszę wiedzieć.

Elza patrzyła na niego tak jak zawsze. Na chwilę Jon wpadł we wściekłość i miał ochotę ją uderzyć. Może nawet wepchnąć jej głowę pod wodę, żeby wycisnąć z niej jakikolwiek strzęp informacji. I nieważne, że woda promieniowała jak nic innego w okolicy. Dobrze jej tak. Jon już prawie się zdecydował wykonać swój plan, choćby w formie małego blefu, kiedy nagle ochłonął.

– Przecież zajmowałaś się w Datapolis oczyszczaniem różnych skażonych miejsc – przypomniał sobie. – Umiesz obchodzić się z maską oddechową. Wychodzi ci to już automatycznie. Nauczylili cię. Wybacz mi, dziewczynko.

Wstał i rozejrzał się już spokojniej. Sylwetka miasta rysowała się w oddali. Nauczyciel spróbował oszacować jej prawdziwie rozmiary. Nie miał wcześniej okazji patrzeć na cokolwiek, co znajdowałoby się dalej niż sto metrów od niego, i czuł wyraźny brak doświadczenia w takich sprawach. Nakazał sobie postrzegać otaczający go świat jako jeszcze jedną stację, tyle że bardzo dużą. Po prostu odnosić się do wszystkiego jak do gigantycznej światowej stacji, żeby zachować resztki zdrowia umysłowego.

Nie bardzo mu wychodziło.

Otwarte drezyny Scytii nie były pozbawione pewnych środków bezpieczeństwa. Do pojazdu przymocowano między innymi skrzynię techniczną. Po jej otwarciu Jon uważnie zbadał zawartość. Wyciągnął dwie pary okularów ochronnych, jedno założył dziewczynie, drugie sobie. Było tam jeszcze miejsce na cztery maski tlenowe z dołączonymi butlami. Dwie z nich były puste, z trzeciej korzystała Elza. Sądząc z na wpół wytartych napisów, butla powinna była wystarczyć na czterdzieści minut, ale kto wie, ile powietrza naprawdę do nich wtłoczono...

Jon postanowił porządnie zamocować butlę Elzy za jej plecami. I jednocześnie założyć jej maskę jak należy. Okazało się to trudniejsze, niż myślał. Elza odmawiała zdjęcia jej z twarzy, potrząsała głową. W końcu udało mu się zrobić wszystko prawidłowo. Nauczyciel mógł mieć tylko nadzieję, że nie będzie jej za ciężko.

– O, tak, moja droga – powiedział czule. Musiał mówić w krótkich przerwach między oddychaniem. Starał się ograniczać do podstawowych fraz i zdawał sobie sprawę, że w tym momencie być może to życzliwość była podstawą.

– Teraz wytrzymamy pół godziny – powiedział. – Najważniejsze to zorientować się, co możemy robić.

Nauczyciel bezradnie zajrzał w zimne radioaktywne wody. Drezyna znajdowała się dokładnie pod mostem. Zwisająca nad nimi gigantyczna konstrukcja ciążyła na psychice. Jon pospiesznie odwrócił wzrok. Najważniejsze to nie wyobrażać sobie, że most spadnie im na głowę, bo a nuż tak właśnie będzie...

W tym miejscu rzeka nie wydawała się zbyt głęboka. Drezyna stała stabilnie na dnie, wyglądając z wody na parę centymetrów. Tyle w zupełności wystarczało, żeby poczuć się jak na skrawku stałego lądu. Nieopodal znajdowała się niewielka porośnięta roślinnością wysepka. Prawdziwy ląd był znacznie dalej.

– Ugrzęźliśmy – powiedział Jon, obracając dozymetrem na wszystkie strony. – Nie możemy wejść do wody. Nie mamy rady się potem obmyć. Ale coś trzeba robić. Cholera.

Nauczyciel przekopał całą drezynę i nie znalazł ani jednego kawałka sznura. To zrozumiałe: po co sznur na drezynie? W roli balastu? W tunelach nie ma szczególnie czego wiązać. Była za to apteczka. Jon na wszelki wypadek wziął trochę lekarstw. I wyciągnął z plecaka wąsacza parę magazynków z nabojami.

Ciekawe, co powie Scytom, jeśli kiedykolwiek wróci na stację Wydubicze?

Przypomniawszy sobie o zabitym przez siebie człowieku, nauczyciel nie wpadł w przygnębienie, a raczej przeciwnie – nabrał nieco otuchy. W porę zastawił pułapkę i podjął odpowiednie środki. Może i pomogło im szczęście – najważniejsze, że przeżył walkę z trzema napastnikami, nie tracąc przy tym dziewczyny. Kondor by go pochwalił.

Tak, zachować pogodę ducha i myśleć dalej. Oderwać deski i zrobić tratwę? Nie ma liny. Do tego grube deski drezyny przesyczone nie wiadomo czym mogą pójść na dno jak kamień. Sytuacja bez wyjścia.

Jon dał sobie jeszcze pięć minut, żeby pomyśleć, zanim będzie trzeba przeprowadzać eksperymenty dotyczące wyjścia z tego położenia, włącznie z improwizacją. Dobra, dziesięć minut. Ale nie więcej.

Wyciągnął ładowarkę, pokręcił jeszcze przez chwilę. Ręce już prawie mu nie drżały.

Elza przyłgnęła do niego, kładąc mu głowę na ramieniu. Jon wzdrygnął się od tego gestu. Najwidoczniej to Tatiana uspokajała ją w taki sposób. Jon objął Elzę, położył podbródek na jej głowie, obserwując wszystko wokół i słuchając jej oddechu.

Siedem minut.

Sześć.

Jonowi rzuciło się w oczy coś jasnego. Potrząsnął głową. Słońce stopniowo wychodziło zza chmur i okulary tłumiły jego blask.

Jeszcze jeden blik. Czyżby złapał gdzieś zapalenie siatkówki?

Potem nauczyciel zobaczył źródło światła.

Na małej wysepce stał człowiek. W porządnym skafandrze ochronnym i hełmie z maską przeciwgazową – wyraźnie lepszą niż u Jona. I machał jedną ręką. W drugiej trzymał lusterko, puszczając bliki nauczycielowi w twarz. Widząc, że udało mu się zwrócić jego uwagę, nieznajomy zaczął rozwijać zwój liny z obciążeniem na końcu. Jon przeszedł na środek drezyny, pociągając dziewczynę za sobą.

Lina poleciała w ich stronę. Jon pozwolił kamieniowi na jej końcu uderzyć o poręcz, natychmiast rzucił się naprzód, chwycił ją i przywiązał do ramy.

– Chyba będę musiał oderwać deskę – zabuczał nauczyciel przez maskę. – Trzymaj się.

Udało mu się odczepić kawałek drewnianego poszycia, który zanurzył się w wodzie, wzbijając fontannę bryzgów. Jon przeprowadził jakoś dziewczynę na zaimprovizowaną tratwę, po czym sam położył się na niej, zapierając się rękami i nogami o krawędzie desek i dodatkowo przesuwając plecak z automatem dla lepszej równowagi.

Nieznajomy zaczął ich ciągnąć. Nawet z takiej odległości Jon widział, jak regularne i pewne są jego ruchy. Nauczyciel nie

wiedział, jak długo płynęli, ale wkrótce tratwa zatrzymała się na gliniastym brzegu. Jon uniósł się, spoglądając na nieznanego.

Z bliska nie wyglądał na tak barczystego. Albo otwarta przestrzeń, do której Jon był nieprzyzwyczajony, zniekształcała mu całą perspektywę i pojęcia czasu i przestrzeni. Przed nauczycielem stał zwykły człowiek, różniący się od strażników na Łukjanowskiej co najwyżej hełmem i olbrzymim nożem przypominającym maczetę. Spod maski na policzek wychodziło stare oparzenie.

– Cześć – powiedział wybawca przez maskę oddechową. – Pamiętasz mnie?

Jon wyteżył pamięć.

– Jesteś jednym ze stalkerów Kondora – przypomniał sobie.

– Feniks.

– Właśnie. Cholera, skąd się tu wzięłeś? Jak nas znalazłeś?

– Żadnych przypadków – odparł Feniks, jego intonacja wskazywała, że stalker się uśmiecha. – Mieliśmy was na oku.

– To znaczy? Jak to? Gdzie?

Feniks wskazał na ładowarkę nauczyciela.

– Dawno tym kręciłeś? – zapytał.

Jon ostatecznie się pogubił.

– Co chwila.

– No tak. Ukryliśmy w niej nadajnik. Przez cały czas wysyłałeś nam sygnał.

– Co?

– A to. Myślałeś, że wyślemy cię bez ubezpieczenia?

Jon miał ochotę wrzucić ładowarkę do wody. Zdaje się, że Feniks zrozumiał wyraz jego oczu nawet przez zachlapane okulary.

– Nie warto – powiedział stalker. – Nie wyrzucaj rzeczy, które dobrze działają. Jeszcze się przydadzą.

– Śledziłeś nas!

– Uspokój się! Myślisz, że to podpucha? Nie mogłem wiedzieć, że wasza drezyna spadnie. Co się z wami stało? Skąd się tu wzięliście?

Nauczyciel wziął się w garść.

– I od dawna tak za mną chodzą? – zapytał.

– Nie chodzimy. Nie pchamy się do tuneli. Nasze miejsce jest na powierzchni. Wiedzieliśmy, że po drodze na Boryspolską będziesz musiał przejść przez most. Niebezpieczne terytorium. Postanowiliśmy was asekurować.

– Dlaczego po prostu sam nie wzięłeś Elzy?

– To niebezpieczne.

– Niebezpieczne? Spacerować po powierzchni jest dla was, stalkerów, którzy wiedzą, jak to robić, bardziej niebezpieczne niż iść przez stacje, gdzie zabijają naczelników?

– Tak – spokojnie odpowiedział stalker. – Ciągnięcie za sobą balastu na powierzchni jest zawsze bardziej niebezpieczne niż wszystko, co może się przydarzyć na dole. Wiem, o czym mówię. Cokolwiek było z wami w tunelach, było prostsze od tego, co czasem zdarza się tu, na powierzchni. Chociaż widzę, że nieźle was trzepnęło.

– Napadli na nas – powiedział Jon, wciąż jeszcze nie wiedząc, czy powinien zupełnie otworzyć się przed Feniksem. – I nie rozumiem dlaczego. Co ja takiego zrobiłem? Pokazywałem papier z pieczątką Cyprysa i wszyscy mnie przepuszczali. A teraz... pewnie postanowili nas ograbić. Chociaż z cennych rzeczy mam tylko automat.

– Scytowie biorą do siebie różnych ludzi – powiedział Feniks. – Zresztą jak wszędzie w metrze. Chyba nie spodziewałeś się, że każdy będzie się z tobą po stalkersku bratał? Weszliście komuś w drogę, oto odpowiedź. Albo wydaliście się smacznym kąskiem. Życie ma teraz niską cenę.

– Do tego ktoś za nami szedł. Dwaj albo więcej. Próbowali dopaść nas w tunelu, ale na stacjach zostawali w tyle. Wychodzi na to, że to byli wasi. Nawet nie wiedziałem.

– Zaczekaj. – Feniks zmarszczył brwi. – Jacy „nasi”? Nikt nie mógł za tobą iść. Kondor odesłał mnie, żebym osłaniał was z mostu, nic więcej. Gdyby szedł za wami ktoś z naszych, wiedziałbym o tym.

– Dobra – powiedział Jon i rozejrzał się wokół. – Co mamy teraz robić? Ty tu teraz dowodzisz.

– Na to wygląda – zgodził się Feniks. – Tak w ogóle to nie byłem

gotowy na to, że spotkam was na dole. Myślałem, że przejdziecie przez most. Że być może trzeba będzie odegnąć od was parę mutantów. Nic więcej. Teraz nie wiem, co o tym myśleć. Będziecie kontynuować zadanie?

– Tak, będziemy. Musimy dostać się na Boryspolską. Doprowadzisz nas chociaż do wejścia do metra?

Feniks wbił wzrok w metromost.

– Nie wciągnę was znowu na tory. Tam nigdzie nie ma schodów. I nie zarzucę tak wysoko liny. Jeśli musicie wrócić do tunelu...

– Nie, nie mówię o tunelu – powiedział Jon. – Doprowadź nas do najbliższej stacji.

– Odważny jesteś – pochwalił go Feniks. – Tylko odwaga nie zawsze ma podstawy. Jak długo jesteś na powierzchni? Dziesięć minut? Dwadzieścia? I chcesz już zasuwać przez miasto do stacji?

– Nie chcę. Ale tak trzeba.

– Trzeba. Sprawdziłem tylko, czy sam zdajesz sobie sprawę z tej konieczności. Słuchaj, sprawa wygląda tak. Najbliższa nam stacja to Sławutycz, ale tam nie pójdziemy. Kiepskie miejsce. I nadkłada się drogi... lepiej ruszymy od razu na Osokorki.

Jon postanowił nie sięgać po plan metra, żeby sprawdzić. A mapy powierzchni i tak nie miał. Uznał, że uwierzy stalkerowi na słowo.

– No, chodźmy – powiedział nauczyciel. – Jak dostaniemy się na brzeg?

– Mam tu łódkę.

– Łódkę?

– Prostą. Drewnianą. Przez te lata zrobiliśmy tu z chłopakami trochę skrytek.

– A dlaczego od razu nie przytrzymałeś do nas łódkę?

– Tam, gdzie trafiliście, mogłem nie dopłynąć. Zmieniła się rzeźba dna. Można wpaść na mieliznę. Niebezpieczna rzecz.

Jon szedł za stalkerem, przytrzymując Elzę i uważając, żeby dziewczyna nie upadła. Buty na nienawykłych nogach zapadały się w glinie i piasku. Elza szła skulona tak, że bardziej się nie dało, jakby starając się przed wszystkim ukryć. Nie czuła się dobrze na powierzchni. Nauczyciel nie wiedział, czy dziewczyna

zdawała sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje, i co byłoby dla niej lepsze – rozumieć to czy nie.

– No i jak ci się podoba powierzchnia? – spytał Feniks.

– Wiesz co, nie jest aż tak strasznie. – Nauczyciel chciał być odważny. – Tak, czuję się oczywiście trochę nieswojo, ale jeśli na krótko... nawet nie wiem. Teraz żałuję, że nie wychodziłem wcześniej.

– Na powierzchni trzeba umieć chodzić. Nie jest strasznie tylko wtedy, kiedy się nie wie, gdzie jest niebezpieczeństwo i skąd nadleci. I kiedy trzyma się stalkerskich ścieżek. One są tu pisane krwią.

– Waszą?

– Prędeż chłopaków z Metrogradu. Teraz tu nie chodzą, nawet dla nich jest zbyt niebezpiecznie. Nawiasem mówiąc, czy to nie Metrograd mógł złożyć na was zamówienie u kupców?

– Możliwe. – Jon pomyślał i uznał, że to prawdopodobne. – Tam, na dole, jeden ze Scytów pytał, jak tam Metrograd. Wtedy pomyślałem, że po prostu postanowili nas stuknąć dla kałacha. Albo Elza im się spodobała. A wiadomo, co tam u niech jest w cenie...

– Nie słyszałem o czymś takim – powiedział Feniks z powątpiewaniem. – Przestali tu gnębić baby już w pierwszym roku, kiedy stało się jasne, że bez nich się nie da. Rozumiesz, przyjacielu, do budowy całkowicie patriarchalnego społeczeństwa w metrze jest po prostu za mało ludzi. Nie, jeśli o to chodzi, to możesz zapomnieć. Za to Metrograd... można się tego spodziewać. To mogli być oni. Nie wiadomo tylko, czego im trzeba.

– Czy mogą zaatakować metro?

– Tego nie wiem. Ale wiedzą, że znaleźliście tego faceta, jak mu tam... Dawida.

– To ich człowiek?

– Wątpię. Znam wszystkich ich chłopaków. I Dawid na pewno do nich nie należy.

– A jednak ktoś nie chce, żebym dotarł z Elzą do Boryspolskiej – stwierdził Jon. – Żeby Elza mogła opowiedzieć, skąd zna tamtego.



Posłali swoich ludzi, by dopaść nas w tunelu. A kiedy ci zostali w tyle, zapłacili Scytom za zorganizowanie zamachu. Choć w takim razie... jak mogli się z nimi skontaktować...?

– Jak to jak... mają łączność telefoniczną.

– Scytia z Metrogradem? – zdumiał się Jon. – A to ci dopiero...

Nauczyciel spróbował wyobrazić sobie pełny obraz.

– Słuchaj – powiedział. – A co, jeśli Dawid to rzeczywiście czerwony?

– W sensie: z zaginionej linii? To niemożliwe.

– Dobra. Cholera... Dałbyś radę doprowadzić nas do Boryspolskiej? Żebyśmy w ogóle nie schodzili na dół?

– Pewnie by się dało. Mają tam chyba służbę... Ale nie dam rady. Słabo znam te okolice. I do tego niedługo zaczniesz padać.

Jak tylko stalker wypowiedział te słowa, na okular Jona spadła pierwsza kropla. Nauczyciel uniósł wzrok i popatrzył na przesuające się szybko chmury.

– Na Sławutycz też nie możemy?

– Tam mogą na was czekać kupcy. Pasują nam teraz tylko Osokorki. No, chodźmy.

Jon szedł za stalkerem krok w krok, trzymając dziewczynę blisko siebie i zerkając na boki. Obtłuczony i przekrzywiony znak drogowy informował, że idą ulicą Truskawiecką. Stare domy towarzyszyły im w milczeniu, emanując betonowym chłodem.

– Feniks, mieszkałeś tu? – zapytał Jon. – Mieszkałeś w Kijowie?

– Była taka historia.

– Pamiętasz coś?

– Przecież byłem mały. Pamiętam to samo, co wszyscy. Święta. Ulicę Mostową. Wiesz, ja nie tęsknię.

– Jak to?

– Za powierzchnią tęsknią ci, co siedzą na dole. Po prostu zaczyna się u nich syndrom odstawienia. A ja go nie mam. Przecież bywam na powierzchni każdego dnia.

– Każdego dnia... – Jon zamyślił się. Świat dookoła był mu znany w większości ze starych fotografii i opowieści innych ludzi. Na ich podstawie całymi latami rekonstruował w swojej głowie dawne czasy. I mimo to miasto było dla niego porażające.

W pierwszej kolejności przez swoją prawdziwość, podczas gdy obraz miasta w duszy Jona był przede wszystkim wyobrażony, choć mnóstwo szczegółów się zgadzało. Nauczyciel wyobrażał sobie powierzchnię jak baśń, a rzeczywistość okazała się zbyt prozaiczna. I to właśnie było wstrząsające.

– Deszcz się nasila – powiedział Feniks. – Dawaj na Dnieprowskie Nabrzeże. Potem na południe.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie jest Dnieprowskie Nabrzeże?

Jon słabo pamiętał dalszą drogę do Śluzy. Było zdecydowanie za dużo wrażeń. Słońce zdawało się zbyt jasne nawet przez chmury, powietrze w butli – wyraźnie rozrzedzone, do tego miało nieprzyjemny posmak. Od nadmiaru informacji kręciło mu się w głowie. Jon przestał cokolwiek zapamiętywać, póki nie trafił na wrota śluzy.

– Pójdiesz ze mną, Feniks?

– Nie – powiedział stalker. – Nas tam nie wpuszczają. Takie są zasady. Ale was tak. Dogadam się. My też mamy tu umówiony sygnał.

## ROZDZIAŁ 7

### Bank

Kiedy wewnętrzne dosadzki. Elza spróbowała go podnieść i nauczyciel stwierdził, że musi teraz wyglądać kompletnie idiotycznie. Ale miał to gdzieś. Znowu znajome ciasne pomieszczenia, znowu sufity z jarzeniówkami! Co za radość!

– Maski zdjąć! – nakazał głos.

Jon oderwał się od radosnych myśli, wstał. Powoli zdjął okulary, potem maskę. Uniósł głowę.

Patrzyło na niego co najmniej pięć luf automatów. Nauczycielowi to nawet trochę pochlebiało.

– Kim jesteście? – zapytał dowódca. – Skąd?

– Z powierzchni – odparł Jon. – Nie jestem szpiegiem.

– Co, po prostu żeś spacerował?

– Po prostu zabłądziłem.

Poderwali Jona szarpnięciem z ziemi. Lufa utkwiała mu w szyi poniżej podbródka.

– Nie dowcipkuj mi tu, klaunie! – warknął dowódca. – Jeszcze raz, po kolei! Ktoś ty?

– Nauczyciel z Łukjanowskiej. – Jon teraz nie na żarty się przestraszył. – Prowadzę dziewczynę na Boryspolską. Potrzebny jej lekarz, który tam mieszka. To pilna sprawa. Umówiłem się na przejazd ze scytyjskimi kupcami na Wydubiczach, ale nasza drezyzna spadła z mostu. Jeśli pan nie wierzy, niech pan pójdzie i sprawdzi, wciąż jeszcze tam leży. Pokażę panu na mapie, jeśli trzeba.

Przez ułamek sekundy Jonowi wydało się, że przesarżował. Niewykluczone, że dowódca zaraz osobiście popędzi sprawdzać prawdziwość jego słów i znajdzie tam trupa z kulą w brzuchu. Ale jednak obeszło się bez tego.

– Dobra. – Dowódca polecił pozostałym opuścić automaty. –

Pewnie natykaliście się promieniowania?

– Nie mam pojęcia.

– Zaczekaj, sprawdzimy. Roma, przynieś instrument.

Chudy i tyczkowaty Roma przebadał Jona dookoła urządzeniem przypominającym odkurzacz. Nauczyciel jeszcze nie widział takiego skanera. Tę samą operację Roma przeprowadził z Elzą.

– Chyba w normie – powiedział dowódca. – Możecie uznać, że mieliście szczęście. Romka, przeprowadź ich na południe. Upewnij się, że przeszli, i zamknij za nimi wrota w cholerę.

– Dziękuję – powiedział Jon. – Jesteśmy zobowiązani.

– A co, panna nie rozmawia?

– Nie. Mówię przecież, że prowadzę ją do lekarza.

– Dobra.

Dowódca zachowywał się tak, jakby codziennie przychodzili tu nieznajomi. Chociaż kto wie – a nuż faktycznie się pojawiają? W końcu powinien być jakiś powód, dla którego Feniks zdecydował się tu nie wchodzić. Do tego te umówione kody. Najwyraźniej stosunki łączące Ptaki z Osokorkami były długie i skomplikowane. W końcu musieli mieć możliwość znoszenia z tego fragmentu miasta znalezionych „cymesów”, choćby cukru.

– Za mną – nakazał Roma, idąc przez stację. – Jeśli znikniecie, będą was szukać jak bandytów. Uprzedzam.

– A to dlaczego? Co tu się stało?

Roma nie odpowiedział. Jon rozejrzał się wokół i zdał sobie sprawę, co właściwie go niepokoiło.

Stacja Osokorki była obdarta. Dosłownie. Wszystko, co służyło kiedyś za ozdobę i mogło się do czegokolwiek przydać, zostało zdemontowane, i to dobrze, jeśli nie młotkiem. W dawnych czasach stacja była mocno minimalistyczna w wystroju, ale teraz wyglądała nie lepiej niż na wpół mityczna Teliczka. Płytek na ścianach nie było i brudny, zagrzybiony beton wprost krzyczał o swojej nieprzyzwoitej nagości. Z sufitu, między mocowaniami wiszących tam kiedyś lamp, tu i tam zwisały kawałki pociemniałego plastiku, po którym bezlitośnie przejechało szlifierką. Elektroniczną tablicę zamieniono na dziecięcy zegar ze wskazówkami z podobiznami fioletowych hipopotamków.

Patrząc w drugą stronę, Jon zobaczył na miejscu drugiej tablicy rysowany plakat z reklamą burdelu na Placu Pocztowym. Z plakatu uśmiechała się Azjatka w tradycyjnej ukraińskiej wyszywance.

Jon zebrał się już, żeby zapytać, co za smok tu plądrował, kiedy zdał sobie sprawę, że nie zauważył najważniejszego.

Na stacji nie było mieszkańców.

– A gdzie są wszyscy? – zapytał tylko.

– Wszystko jest w porządku, są w tunelach – odparł Roma. – Sami zobaczycie. Tylko nie machaj tam automatem. Oni też mają broń.

– Przecież nie jestem niebezpieczny.

– Za to oni mogą być. Giwery kosztują teraz duże pieniądze. Czyli jesteś z Łukjanowskiej?

– No tak.

– Znasz mojego Dimkę?

– Jakiego Dimkę?

– Nikiforowa.

– Jasne, że znam – zdziwił się Jon. – Chodził do mnie w zeszłym roku. Ładnie lepił z gliny. A skąd wy się znacie?

– Bo to mój chłopak – odparł Roma.

– Niemożliwe – wyrwało się Jonowi. – Do mnie przychodzą tylko z bogatych stacji. Bez urazy. No albo z najbliższych.

Roma tylko się roześmiał.

– Nie no, wszystko się zgadza – powiedział. – Jego matka, Swietka, siedzi na Kontraktowej. Ochajtała się z jakąś tamtejszą szychą i zabrała Dimkę. A ja zostałem. Tylko raz byłem w stolicy. Spotkałem syna. Opowiadał mi o nauczycielu. Z Łukjanowskiej. Bardzo cię chwalił. No, daj łapę...

Sploszony Jon, nie wiedząc co powiedzieć, uściśnął mu dłoń. Czyli co? Na swoim jedynym spotkaniu z ojcem Dimka stracił drogocenny czas na opowieści o nauczycielu – słabo mu znanym człowieku, który jedynie udostępnił namiot, w którym Dima mógł zapomnieć o świecie metra i po prostu polepić figurki z gliny.

– Jak zobaczysz Dimkę, pozdrów go ode mnie – powiedział Roma.

– Na pewno – obiecał nauczyciel. Czuł się niezręcznie. Jak dotąd

trafiał po drodze na różnych ludzi. Byli tacy, którzy życzyli mu udanego przybycia na miejsce przeznaczenia, i tacy, którzy chcieli mu w tym przeszkodzić. Ale po raz pierwszy spotkał człowieka, który życzył mu szczęśliwego powrotu do domu.

– No dobra, to co się u was dzieje? – spytał Jon. – Dlaczego nie ma tu ludzi? Z Wydubicz też wszyscy dokądś uciekali.

– Nie wiem, jak na Wydubiczach. Nie mieliśmy z nimi kontaktu. Tylko miejscowych czasem wyprowadzamy ze stacji na dzień, dwa. Mają za to płacone. Jeśli nie wierzysz, pogadaj tam z ludźmi. Wszystko jest w porządku.

– Za co ich tam wyganiacie? – spytał Jon, kiedy Roma dawał ochronie sygnał, żeby otworzyła zaporę.

– Widzisz te skrzynki po prawej?

Jon obrócił głowę i zobaczył rząd pudeł starannie ułożonych na sąsiednich torach. Jeśli tylne rzędy nie ustępowały wysokością przednim, czego Jon nie mógł ocenić na oko, to skrzynek było dużo. Bardzo dużo. Starczyłoby na niezły magazyn. Obok nich przechadzali się czterej ludzie w żółtych maskach, z nietypową, ale jednak spotykaną czasem bronią – strzelbami o krótkich lufach. Niezawodna ochrona przed dwunogim przeciwnikiem.

– Widzę. Co to takiego?

– Oszczędności Cymerii.

– Cymerii? Zaczekaj no. Mówisz o tej samej Cymerii, która przechowuje aktywa Scytii?

– No tak.

– Jasne – mruknął Jon, przypominając sobie o ekonomicznej specyfice południa. – Jasne...

W świecie metra wiele zostało z dawnych czasów, ale jeszcze więcej – z odwiecznych stereotypów. Ciąg wojen o przedwojenne zasoby składowane w bunkrach Datapolis i Żółtych Wrót, migracja ludności, kataklizmy naturalne w rodzaju pożarów i powodzi – wszystko to porządnie tasowało dobra ocalałych, również materialne. W próbach utworzenia jakkolwiek działającej ekonomii i handlu przypomniano sobie stare, nieaktualne teorie. Bładzi aktywiści z rozpalonymi oczami sypali dziwnymi nazwiskami typu Smith, Keynes i Maslow, chociaż sami

wyczytali je z podręczników wiszących w toaletach na postrzępionym sznurku. Przypomnieli nawet takie pojęcia jak „kryzys nadprodukcji”, zakończony pomorem świń na Mińskiej, i „podział pracy”, przez który Drogożycze znalazły się w pełnej zależności od liczby torebek herbaty produkowanych na Pietrowce. I dopiero względnie niedawno w Krzyżu pojawiła się instytucja, zdawałoby się tak niezbędna, że jej brak w pierwszych latach wyglądał na kolejny spisek. Ta instytucja to bank.

Bank Cymeria. Grupa osób, przeważnie starszego pokolenia, które nie miały już siły błąkać się po stacjach z drobnicą, ale które wciąż jeszcze pamiętały, jak przyciągnąć klienta. Nazwali się na cześć prehistorycznego płaskowyżu, który znalazł się na dnie oceanu, ponieważ nie lubili zbędnych ruchów i ustanowili w Sławutyczu swoją siedzibę. A potem i skarbiec.

Jon uważał, że jeśli odrzucić plewy w rodzaju poziomu życia i jakości obsługi, to Cymeria stanowiła przykład subtelnej walki z Datapolis jej własną bronią – biurokracją. Przypadkowy włóczęga był w stolicy kandydatem do wypędzenia, ale włóczęga z papierem dowodzącym, że posiada rachunek w banku – to już klient, z którym trzeba się liczyć. Szczególnie jeśli jest winien bankowi mnóstwo środków – pozbawienie go szansy spłacenia długu oznaczało konflikt z trzecią stroną.

Bank oferował usługi motywujące do wiary w nastanie lepszych czasów. W odniesieniu do prostego śmiertelnika znaczyło to, że monter z Łukjanowskiej może pożyczyć siedem naboju do strzelby teraz i zwrócić dziewięć po miesiącu. Dama z wyższych sfer Kontraktowej złoży swoje brylanty do firmowego sejfu i nikt ich stamtąd nie zabierze, nawet monter ze strzelbą i siedmioma nabojami. Miejsce noclegowe sklepikarza na Kłowskiej posłuży za zastaw pożyczki w wysokości dwustu żetonów, za które można wydzierżawić łóżko sąsiada, żeby podnając je damie z Kontraktowej za dwieście pięćdziesiąt w chwili, kiedy będzie tamtędy przejeżdżać, żeby złożyć brylanty. Lista dostępnych usług rosła jak na drożdżach i z czasem poziom napięcia społecznego zauważalnie się obniżył. Ludzie dostali możliwość planowania i nauki. Kiedy Cymeria zaczęła się też zajmować

ubezpieczaniem, liczba straganiarzy w tunelach gwałtownie się powiększyła, a wraz z nimi przybyło biznesmenów w Scytii.

I teraz Jon obserwował nowe aspekty wpływu banku na sąsiednie stacje.

– Przecież oni chyba byli na Sławutyczu – powiedział nauczyciel. – Skąd się u was wzięli ich majątek?

– Cóż, byli, tak. Mamy z nimi umowę. Jeśli Scytia ma problemy, Cymeria tymczasowo przenosi swój bank do nas. A my stajemy się tu jakby skarbcem. Za hojne wynagrodzenie. No i oczyszczamy stację z cywili.

– Teraz wszystko jasne. – Jon skinął głową. – Zamiast bronić się przed wrogiem, pomagacie mu w czarną godzinę i zostajecie jego przyjacielem, jednocześnie stając się strefą działań wojennych. Ale to was, jak rozumiem, nie martwi.

– Cóż, w końcu za coś trzeba żyć. – Roma wzruszył ramionami. – Wojny zawsze są prowadzone na terytorium słabszego. Przecież wszystko rozumiesz.

– Rozumiem. – Jon jeszcze raz spojrzął na ponure ślady zerwanych tablic. – Faktycznie rozumiem.

– Tak – powiedział Romka z lekkim smutkiem.

Jon i Elza szybko pokonali posterunek.

– Powodzenia – powiedział nauczyciel.

– Dziękuję – odparł Roma. – Jakby co, postaram się ocaleć. Dla mojego Dimki. Nie umrzemy, żyć będziemy.



## ROZDZIAŁ 8

### Myszy i ludzie

Znalazłszy się w tunelu, Jon stwierdził, że tu mieści się właściwa stacja, a dotąd był w jej niezwykle długim przedsionku. To, co zobaczył za wrotami, przypominało ożywiony bazar. Kontrast z opustoszałą stacją był tak jaskrawy, że nauczyciel aż przetarł oczy.

Tunel okazał się jasno oświetlony i ściśle wypchany ludźmi – nawet gęściej niż w łączniku między stacjami Datapolis. Większość z nich siedziała wzdłuż ścian, coś jadła, piła, paliła, opowiadała dowcipy. Inni snuli się tu i tam, bardzo rozluźnieni. Jon widział nawet, jak wokół latały papierowe samolociki i rozmaite drobne śmieci. Dziesięć metrów od zapory, prosto na torach stały ruszty, na których piekły się kawałki aromatycznej wieprzowiny. Obok wędziły się rozpląszczone tuszki szczurów nabite na drewniane patyczki. Na przewodach na ścianie wisiały równe rzędkie suszonych grzybów, ciągnące się przez co najmniej dwadzieścia metrów. Nieopodal parował destylator do samogonu. Obok stało kilka wiader z wodą i parę pustych. Ściany były przeważnie obwieszane kocami, pod którymi chrapali śpiący ludzie. Prawie nikt nie zwracał na Jona i Elzę uwagi. Tylko z rzadka mieszkańcy kończyli rozmowy, ucinając w pół słowa i spoglądając na parę przybyszów. Ale były to spojrzenia leniwych, sytych ludzi.

– Dzień dobry, pięknotko – zadudnił grubas zajądający jakiegoś suchego blina.

– Ona jest ze mną – uprzedził Jon.

– Się wie, brachu. Wszystko gra, wszystko git.

– A co tu się u was dzieje?

– Jestem Dżek. – Grubas podał mu łapsko.

Jon krótko kiwnął głową, nie mając ochoty go dotykać. Zupełnie

niespeszony Dżek cofnął rękę.

- Walicie na „charki”? – spytał.
- Na Charkowską, a potem dalej.
- Jest tam teraz na co popatrzeć. Ucieszą się tam na wasz widok.
- A co tam się stało? Kanibale czy co?
- Wypluj to! Ciszta tam panuje, spokojni ludzie.
- Dżek, a dlaczego siedzicie w tunelu?
- Taka nasza praca – odparł Dżek, chrupiąc blina.
- Praca? To ma być praca?
- Aha. Na pewno nie chcesz grzybka?
- Na pewno. Co to za praca?
- Siedzieć w tunelu i czekać. – Dżek uśmiechnął się krzywo. – Co, u was na północy za to nie płacą?
- Nie całkiem rozumiem, komu w ten sposób świadczyce usługę.
- Kiedy siedzimy w tunelu, to nie siedzimy w domu. – Dżek uniósł palce. – Prosta matematyka. Zwalniamy swoje miejsca i przeprowadzamy się tutaj. Mniej więcej raz w miesiącu.
- Na jedną dobę?
- Mniej więcej. Wydzielają nam wodę, żarcie, czasem naboje. Książki różne dają.
- A Cymeria przechowuje tam swoje graty?
- I dzierżawimy im na to ziemię.
- I nie masz nic przeciwko temu, że w twoim łóżku śpi obcy człowiek?
- Nikt nie śpi w moim łóżku – zaproponował Dżek. – Zabieramy swoje łóżka ze sobą. Cały swój majątek. I jeszcze odsypują nam z góry cymesów. Posiedzimy dzionek i do domu. Co może się stać, kiedy jesteśmy tu wszyscy razem?
- Nie boicie się, że wytrują was gazem?
- Nie trafiłeś, miły człowieku. Z początku się baliśmy, fakt. Przecież nie jesteśmy idiotami. Tyle że nigdy nie zamykają tu zapory do końca. Tylko kiedy ogłaszają stan wojenny. A jeśli będzie trzeba, sami zwalimy wrota. Futryny są tu miejscami mocno cherlawe. Trzeba wiedzieć, jak i gdzie stuknąć. Jeśli najdzie nas ochota, sami możemy się zamknąć. A oni przed nami

nie. Co tu złego? Jak nas przypili, przeczekamy w tunelu. Na cudzym żarciu. A w tym czasie nasze terytorium będą ochraniać wyszkoleni ludzie. Symbioza ekonomii i natury. Piękna rzecz!

– I co, wszyscy się na to godzą? – spytał Jon.

– No, jak widzisz, wszyscy. – Grubas uśmiechnął się szeroko.

– Widzę. Natomiast tych, co się nie zgadzają, wyganiacie do drugiego tunelu?

Twarz Dżeka od razu spochmurniała.

– Won mi stąd – nakazał. – Prowokator pieprzony. Ja z nim jak z człowiekiem, a on...

Nauczyciel poszedł dalej, opuszczając bazar. Dżek prawie miał rację. To prawdziwy obieg świniny w przyrodzie.

Wkrótce tłum zaczął rzednąć, potem oznaki cywilizacji się skończyły, ustępując miejsca zwykłemu widokowi pustego tunelu. Jon włączył latarkę, zachęcająco poklepał Elżę po ramieniu. Dziewczyna spojrzała na niego pytająco.

– Ci, którzy gardzili tobą w stolicy za to, czym się zajmujesz, to kompletni kretyni – powiedział Jon. – Jesteś warta szacunku za uczciwą pracę. To najważniejsze.

\*\*\*

Jon sam nie zauważył, kiedy dotarli do Pozniaków. Ze stacji dobiegał hałas jak zazwyczaj, ale tym razem inny, Jon nigdy takiego nie słyszał. Podeszedł bliżej.

– Kim jesteście? – spytał głos, kiedy wychodzili z ciemności. – Nie strzelajcie!

Jon aż się spieszył na takie spotkanie.

– Nie mam zamiaru – powiedział. – A wy mi z niczego nie wygarniecie?

– Nie mamy czym. A wy to kto? Wyjdźcie do światła, proszę.

Jon zgasił latarkę, podeszedł bliżej.

Stacja Pozniaki była jeszcze mniej interesująca niż droga do niej. I to było w dwójnasób zadziwiające, jeśli wziąć pod uwagę jej niezwykłą wysokość.

Kiedyś żyło tu bardzo dużo ludzi. Tak dużo, że stacja pobiła wszystkie rekordy w liczbie kondygnacji – na niektórych

działkach udało im się wcisnąć po sześć poziomów. Właśnie na Pozniakach Cymeria chciała stworzyć swoją bazę, jednak mimo wszystko została, dzieląc ze Scytią relatywnie nieduży Sławutycz. Oficjalnie – ponieważ nie można było wysiedlić mieszkańców Pozniaków, którzy z łatwością mogli wypełnić dwie albo i trzy inne stacje. Według wersji nieoficjalnej, pomimo niewielkiej pojemności, magazyny Sławutycza były lepiej umocnione i możliwe do obronienia mniejszymi siłami.

Jednak mało kto pamiętał, że Cymeria kiedyś zainwestowała w całkowite przekształcenie Pozniaków, żeby zwiększyć liczbę pięter na stacji do dziesięciu, zamieniając dobrą jej połowę w hotel kapsułowy. Ponieważ w tej części metra zupełnie nie było czego oglądać, hotel wydawał się głupim pomysłem i tylko nieliczni decydowali się mówić głośno o analogii z klatkami dla niewolników.

Ale ta wersja upadła – Cymeria w zasadzie nie potrzebowała taniej siły roboczej, jako że bank niczego nie produkował. I żadna inna frakcja nie mogłaby rozwinąć masowej produkcji w tak małej odległości od banku i kupców – oczywiście bez ich finansowego i wojskowego wsparcia. Okazać takie wsparcie mogliby co najwyżej szaleńcom, którzy poważyliby się na odtworzenie hermetyczności metromostu, ale ludzi z supermocami na razie w metrze nie zaobserwowano. Tak więc pytanie o to, dla kogo gęste zaludnienie stacji było korzystne, pozostawało otwarte.

Powyzsze przypuszczenia z czasem trafiły na biurko Cyprysa i po paru nadzwyczajnych i niespecjalnie tajnych naradach wygrała wersja, że Cymeria ze Scytią są rzeczywiście zdolne do rządzenia całym południowo-wschodnim metrem i jeśli tego nie robią, to najwidoczniej nie mają poparcia szerokich mas ludowych. Nic dziwnego, że Datapolis nabrało ochoty, żeby przeszkodzić Pozniakom wyrosnąć na alternatywną stolicę. Fantazja, dzięki której sekretarze wymyślili podatek od wysokości stacji, ustępowała tylko uporowi, z którym narzucili ten podatek Pozniakom, i można było tylko pozazdrościć dyplomatycznych talentów Baobabowi, który przepchnął projekt

bez rozlewu jednej kropli krwi.

W ten sposób stacja okazała się nieinteresująca dla Cymeryjczyków, zaczęli udawać, że nic się nie wydarzyło, i pozostawili miejscowym niemal już gotową koncepcję wielopoziomowości, a także kilka ton niezłych materiałów budowlanych. Jednak mieszkańcy Pozniaków odczuli na własnej skórze, jak nieprzyjemnie jest znaleźć się między młotem a kowadłem, i szybko wyemigrowali, rozplływając się przeważnie w Datapolis i Sławutyczu, jakby próbując odgryźć część tej siły, która omal nie zmiażdżyła ich samych. Wielu odeszło na wschód i już wtedy na stacji mało kto mieszkał. Bankierzy Cymerii, rozumiejąc, że migrację wywołała panika wojenna i dlatego nosi charakter tymczasowy, znów zaczęli powolutku skupować bloki kapsuł noclegowych, żeby potem sprzedać je po wysokiej cenie, i wtedy stację zaczęli opuszczać ci, którzy wcześniej zdecydowali się zostać – teraz już nie porzucając swojego domu, ale korzystnie go sprzedając. Szczególnym szczęściarzom udało się osiąść na Majdanie Niezależności. Teraz na Pozniakach mieszkała najwyżej jedna piąta dawnej populacji.

Wszystko to przypomniał sobie Jon, spoglądając na ziejące pustką otwory okienne, w których nie paliła się ani jedna lampa. Kapsułowa konstrukcja kojarzyła się z gotową do spalenia kostnicą. Nauczyciel wyobrażał sobie to nieco inaczej. Myślał, że demontaż budynków będzie przebiegać stopniowo, poczynając od zdjęcia dodatkowych pięter. Okazało się, że hotel demontowano warstwa za warstwą, zaczynając od cenniejszych materiałów budowlanych, nie zastanawiając się, czy górna część się nie zawali. Dobrej jakości, nieprzeżartego zgnilizną drewna prawie już w nim nie było. Oczywiście żadnym szkłem nawet nie pachniało. Po prostu był to zbutwiały pomnik zbutwiałych idei.

Do wejścia podbiegła jakaś kobieta w chustce. Widząc Elżę, nieco się uspokoiła.

– Kim jesteście, dzieciaki? – zapytała. – Dokąd idziecie? Jesteście z Osokorków?

– Idziemy ze stolicy – powiedział Jon. – Mamy sprawy na południu. Co tu się u was dzieje? Dlaczego uznała pani, że będę

strzelać?

– A nie będzie pan? Nazywam się Masza. Jestem tu kierowniczką.

– Kierowniczką czego? Posterunku?

– Nie, stacji.

– Jasne. – Jon spróbował odtworzyć sobie w głowie ogólny obraz życia stacji i zrozumieć, jak łączą się między sobą. Wychodziło na to, że Datapolis to nie jest najbardziej obłąkane miejsce w metrze.

– Masza – zwrócił się do kobiety. – Jesteśmy zwykłymi, spokojnymi ludźmi. Idziemy na Boryspolską. Nie będzie z tym problemów?

– Ależ żadnych. Czyli prowadzi pan tam dziewczynę?

– Tak.

– Słusznie pan robi, młody człowieku. Bardzo słusznie. Niech pan ją zabiera jak najdalej od wojny. Od wszystkich nieszczęść.

– Ale co się u was wyprawia?! Czego się wszyscy tak boją? Jakaś wojna?

– Widzisz wrota?

Jon odwrócił się za siebie.

– Nie – powiedział. – Nie widzę żadnych wrót.

– Bo ich nie ma! Zdjęli je! Przyszli cymeryjscy z bronią i zdjęli! Powiedzieli, że to nasza grzywna. Czego oni tylko nie wymyślą...

– I jak teraz będziecie żyli bez zapory?

– Nijak. Widzieliście tamtych? Żrą jak świnie. Bekają i robią pod siebie! A jeśli im nie otworzą własnej stacji? Rzucają się na nas! A drugim tunelem pójdzie już zupełnie inny oddział z bronią!

– Dlaczego tak pani myśli?

– W takim razie po co Cymeria zamyka drzwi, hę? Nie dadzą rady wrócić do siebie!

– A mnie mówili, że dadzą. Że niby rama jest tam słaba.

– Teraz rama jest słaba, a co będzie potem? Zaganiają ich tam do tunelu jak bydło! Co miesiąc! Cały czas się boimy, że kiedyś nie wpuszczą ich z powrotem. Skończy im się jedzenie i pójdą na nas! A my nie będziemy mieli się dokąd cofnąć! Charki nas do siebie nie wpuszczą.

- Dlaczego? – spytał nauczyciel. – Co jest na Charkowskiej? Będziemy musieli przez nią przejść.
- Ani razu tam nie byliście, dzieciaki?
- Nie.
- Och – pokręciła głową Masza. – Cóż, myślę, że młodą parę przepuszczą.
- Ale co tam w ogóle jest?
- Trudno to opisać. Sami zobaczycie.
- Niebezpieczeństwo?
- A skąd – powiedziała Masza, machając strażnikowi na posterunku, żeby ich przepuścił. – Ludzka głupota. Sami zobaczycie. No, idźcie w pokoju, dzieciaki.

## ROZDZIAŁ 9

### Muzeum

Za Pozniakami Jon szedł niespokojnie. Od celu podróży dzieliły go tylko dwie stacje – drobnostka w porównaniu z tym, przez co przeszedł wcześniej. Jednak wszystko, co się wydarzyło przez ostatnie kilka godzin, przyniosło mu więcej wrażeń i doświadczenia niż cały ostatni rok. Za dużo jak na jeden dzień. Nauczyciel zazdrościł Elzie, po której, jak się zdawało, wszystko to spływało. A jednak zapamiętała Jona na tyle dobrze, żeby wyróżniać go z tłumu, co mocno nauczycielowi schlebiło. Akurat on chętnie zapomniałby wiele z tego, co dziś widział. Na razie nie mógł sobie pozwolić na taki luksus. Może w przyszłości, kiedy pamięć zacznie go zawodzić...

Po powrocie na Łukjanowską koniecznie weźmie dzień wolny od pracy z uczniami i porządnie się napije. Wybierze coś z asortymentu remontowców, z aromatem trzech rodzajów grzybów. Albo jednego, za to w trzech butelkach. Choćby musiał potem przez cały poranek myć podłogę. A na razie trzeba się zebrać i wykonać ostatni skok przez te dwie stacje.

Po tym, co zobaczył, stwierdzał, że świat Krzyża trzymał się na słowo honoru. Władza i porządek Datapolis tu nie sięgały. Jeszcze gorsze było to, że granice jego wpływów okazały się zbyt rozmyte, żeby od razu to zauważyć. Zadziwiające, że cała struktura jeszcze się nie zawaliła. Względnie dobre stosunki między stacjami na południu opierały się nie tyle na szacunku wobec sąsiada, co na wspólnym strachu przed nieznanym, które zawsze przychodzi w ślad za wojną. A jak dotąd rozejm trzymał się na kruchej, chybotliwej, nie do końca zrozumiałej ekonomii. Jon pojął, że na następnej stacji natrafi na coś, co wprost się do tej ekonomii odnosi.

I nawet sobie nie wyobrażał, jak bardzo będzie miał rację.



Charkowska powitała go, zanim jeszcze wszedł na jej terytorium. Przed wrotami, wprost w tunelu, stało biurko – niczym widmo przeszłości ze szczególnie wypaczonym poczuciem humoru. Jon aż przetarł oczy. Rzeczywiście, najzwyczajniejsze biurko – z lampą, stosikami brudnych papierów, niewielkim zegarem. Przy biurku stał taboret na trzech nóżkach, na którym zasiadał zwyczajnie wyglądający dziadek, w którym Jon rozpoznał naczelnika. Wszyscy naczelnicy stacji, nie licząc Maszy, byli do siebie podobni – zarówno zwierzchnicy, merowie, jak i jacyś inni prezydenci.

Tylko po jaką cholere sterczy po zewnętrznej stronie wrót?

Nawiasem mówiąc, naczelnik nie siedział tu sam. Warta też była ulokowana po tej stronie. Nauczyciel nie zdecydował się nazwać tego „odbywaniem służby”, bo za takie odbywanie Fiodor Dementiew po prostu wyrznąłby kolbą w kark. Strażnicy wylegiwali się na materacach pod ścianą. Co prawda, dwaj z nich różnili się od pozostałych: w jakichś dziwacznych mundurach z guzikami, w czapkach z otokami stali na baczność, trzymając automaty przyciśnięte do uda lufą w dół. Taka pokazówka nie miała praktycznego sensu, gdyż te poprzebierane manekiny nie spojrzały na Jona nawet jednym okiem.

Jon uznał, że znów wzięli go za kogoś innego.

– Witamy drogich gości. – Naczelnik uśmiechnął się. W jego uśmiechu było coś nieznośnie wstrętnego. – Witamy na stacji Osokorki.

– Osokorki? – dopytał Jon.

– Zdziwiony? – szczerzył się dalej naczelnik. – Wejście pięć naboju.

– Że co? – wytrzeszczył oczy Jon.

– Dobrze, dam zniżkę. Zbiję cenę do jednego naboju na osobę za wycieczkę.

– Jaką znowu wycieczkę?! Niepotrzebna nam wycieczka! Musimy dostać się na Boryspolską.

– Nie ma problemu. Południowe wyjście jest dostępne. Dwie kulki za otwarcie proszę.

Jon postanowił w milczeniu odliczyć naboje i nie łamać sobie na

tym głowy. Naczelnik od razu włożył je do małego drewnianego pudełeczka z pokrywką obciągniętą skórą.

– Skąd jesteście? – zainteresował się.

– Z Datapolis.

– O, goście ze stolicy! Takich dotąd tu nie było. Można rzec, że tym szczególniejsze będą wasze wrażenia! Zapraszamy!

Machnął ręką i strażnicy w mundurach zaczęli otwierać wrota. Jon spodziewał się uchwycić standardowy szum – gwar rozmów, hałas pracy, tupot nóg.

Zamiast tego usłyszał nagrany na taśmę ryk pociągu metra.

Tłumiąc zdumienie, Jon wszedł na stację, jak zwykle pozwalając Elzie, by trzymała go za rękę. Naczelnik towarzyszył im ze służalczym uśmiechem portiera.

Z początku Jonowi wydało się, że oszalał. Znalazł się na ogromnej, idealnie czystej stacji – z tych, które mógł widzieć tylko na starych zdjęciach i w przewodnikach po metrze. Czysty biały sufit, połyskująca marmurowa posadzka. Przepiękne ściany z lśniącymi kafelkami, wypolerowane na wysoki połysk szyny. I światło. Dużo światła. Więcej niż w Datapolis. Gdyby Jon nie był niedawno na powierzchni, pomyślałby, że takie światło w przyrodzie nie występuje.

Elza zasłoniła sobie oczy rękami. Jon założył jej okulary ochronne. Sam wolał obchodzić się bez nich.

– Co to? – wydusił.

Naczelnik milczał ze złośliwym uśmiechem. Jon postanowił też o nic nie pytać. Ostatecznie, gdziekolwiek się znajdował, dwa naboje za oglądanie takiego piękna to bardzo niewygórowana cena. Praktycznie za darmo.

Na jednym z torów stał cały pięciowagonowy pociąg lśniący świeżą farbą. Wzdłuż równych linii jaśniał napis „Kijów”. Naprzeciw drzwi mieściły się ławeczki, na których siedzieli ludzie – kobiety w kolorowych sukienkach, mężczyźni w marynarkach, prostego kroju spodniach i krawatach. Wszyscy czysti i wyprasowani. Na widok Jona zaczęli prowadzić z przejęciem najróżniejsze rozmowy.

Na stacji nie było ani jednej budowli. Żadnych baraków, knajp,

straganów i tak dalej. Absolutnie nic. Idealna czysta stacja z przedwojennych czasów. Jon odwrócił się i zobaczył na drugim końcu stacji tablicę świetlną odliczająca czas do przyjazdu następnego pociągu. Siedem minut. Dokładnie taka sama była z drugiej strony, dokładnie przed nim.

– Pociągu oczywiście nie puszczamy – powiedział naczelnik, widząc zainteresowanie Jona. – Kiedy minutnik dochodzi do zera, rozlega się dźwięk wjeżdżającego pociągu. I zegar włącza się od nowa.

Jon gapił się dookoła, nie wiedząc, na czym zatrzymać wzrok. Potem zastępnął przed wielkimi złotymi literami na ścianie: „Osokorki”.

– Co do cholery? – odezwał się zaskoczony. – Osokorki?

Wydało mu się, że gdzieś w okolicy Pozniaków skręcił z Elzą w niewłaściwy tunel i wrócili na poprzednią stację. Może Masza wysłała ich nie tam, gdzie trzeba. I przyszli na Osokorki – tylko jakieś inne Osokorki, nie te, na których mieścił się bank Cymerii.

– Co tu się dzieje? – powiedział nauczyciel. – Chcę to zrozumieć. Niech pan mi wyjaśni.

– Znajdujecie się w muzeum Osokorków – objaśnił naczelnik. – Chociaż rzeczywiście jest to była stacja Charkowska, zgadza się.

– Przerobiliście swoją stację na inną?!

– Otóż to – potwierdził naczelnik. – Stacja Charkowska była w opłakanym stanie. Żadnej wytwórczości, żadnej siły wojskowej... I postanowiliśmy zrobić z niej muzeum przedwojennego metra, biorąc za wzór Osokorki.

– Po co?

– Turystyka. Proszę mi szczerze powiedzieć, czy nabój za osobę to taka wysoka cena?

– Praktycznie za darmo – zgodził się Jon.

– Czysto umowna opłata. Po oficjalnym otwarciu cena wzrośnie i będzie wynosić dziesięć naboju. Można też będzie płacić jedzeniem. Mamy przewidziane dwanaście wersji barteru.

– Więc jeszcze nie otworzyliście?

– Jesteśmy praktycznie gotowi. Nie afiszowaliśmy się przed stolicą ze swoim pomysłem. Na razie nie mamy w ogóle łączności

z Datapolis. Po oficjalnym otwarciu ludzie będą tu walić drzwiami i oknami.

– Możliwe – skinął głową Jon. – Kim są ci, którzy siedzą na ławkach?

– Tutejsi. Odgrywają swoją część rekonstrukcji. W tym przypadku grają pasażerów.

Jon spojrział na naczelnika. Teraz nie wydawał się już nauczycielowi standardowym świniokształtnym z mentalnością ciecia. Być może on też po prostu odgrywał swoją rolę.

– Skąd wzięliście materiały? – zapytał Jon.

– Kupiliśmy w prawdziwych Osokorkach.

– Więc dlatego wszystkie ściany były tam zdemontowane – domyślił się Jon. – Zerwaliście stamtąd wszystkie dekoracje i przynieśliście tutaj.

– Nie zerwaliśmy, tylko uczciwie kupiliśmy. I to tylko część dekoracji. Ponad połowę stworzyliśmy własnymi siłami.

– A dlaczego nie odtworzyliście własnej stacji?

– To zbyt trudne. Stacja Charkowska z przedwojennych czasów to zbyt skomplikowany model do rekonstrukcji. Odtworzenie Osokorków było znacznie prostsze. Jak pan widzi, wszystko się udało!

– Mogę tylko was pochwalić – przyznał Jon. – Chociaż nie rozumiem, po co to wszystko było potrzebne. Jeśli to tylko biznes oparty na poczuciu piękna... niech to szlag, dlaczego by nie?

– Otóż to. – Naczelnik kiwnął głową. – Dlaczego by nie, do cholery! Zresztą, jeśli czas na was...

Jon odwrócił się za siebie. Elza gdzieś zniknęła.

– Ej – zaniepokoił się Jon, idąc dalej. – Gdzie jesteś?

I wtedy ją zobaczył. Elza siedziała pod zachodnią ścianą, na torach, i rysowała coś z przejęciem na ścianie.

Naczelnik natychmiast spurpurowiał.

– Niedobrze – burknął. – Bardzo niedobrze. A ja was wziąłem za porządných ludzi.

– Sam jestem zdziwiony. Chwileczkę...

Jon zeskoczył z peronu, wziął Elzę za ramiona. Ta zajęczała i zaczęła się wyrywać. W rękę ścisnęła kawałek węgla, którym

próbowała kontynuować rysunek stanowiący mieszankę niezrozumiałych krzywych linii.

– Skąd wzięłaś węgiel? – spytał nauczyciel, próbując wyrwać jej rysik. – Tu nie wolno!

Usłyszała kroki za plecami. Odwrócił się.

Naczelnik stał w asyście trzech uzbrojonych ludzi.

– Wandalizm w muzeum – orzekł. – Rysunki na ścianach... Nie uprzedzałem, że to zakazane, bo sądziłem, że mądrzy ludzie powinni sami rozumieć.

– Ona jest chora – spróbował się usprawiedliwić Jon. – Nie rozumie, co robi. Proszę pana. To nieporozumienie. Więcej się nie powtórzy.

– Zepsuliście nam ścianę – obstawał przy swoim naczelnik. – Węgiel nie zmywa się z tych kafli tak łatwo. Zapłacicie mandat, inaczej zostaniecie aresztowani.

Jon spojrzał bezradnie na rysunek.

– Jaki mandat? – zapytał, patrząc na nagromadzenie kresek na ścianie.

– To droga ściana. Nabojami się nie wykręcisz.

– Więc ile?

– Pański automat. Cały.

Jon długo się nie zastanawiał.

– Może być – powiedział.

Naczelnik uniósł brwi. Zdaje się, że oczekiwał targów.

– Ale da mi pan kawałek papieru i ołówek, żebym mógł przerysować ten rysunek – dodał nauczyciel. – Automat jest wasz.

– Umowa stoi – powiedział naczelnik. – I rzecz jasna będziecie musieli zmyć ten rysunek ze ściany. To długo potrwa, tak więc...

– Przed wojną ludzie też rysowali na ścianach – odezwał się nauczyciel. – Niech pan to uzna za część waszej rekonstrukcji. Zbliżenie do rzeczywistości.

Jon nie miał pojęcia, czy ludzie rysowali dawniej na ścianach metra, ale niespecjalnie się tym martwił.

– Dobrze – powiedział niepewnie naczelnik. – Cieszę się, że chociaż pan okazał się rozsądny.

Minutę później Jon już przerysował bazgroły Elzy, wsunął kawałek węgla do kieszeni i pogładził dziewczynę po plecach, starając się ją uspokoić. Automat otrzymany od stalkerów przeszedł już na własność muzeum.

– Dziękuję – powiedział naczelnik. – Proszę o opuszczenie stacji.

– Chodźmy – powiedział cicho Jon, pchając Elzę przed sobą. – Wszystko w porządku. Idziemy.

Minęli tajemnicze muzeum Osokorków i wkrótce znaleźli się w ciemnym południowym tunelu. Sto metrów dalej Jon przystanął, wziął Elzę za ramiona i oparł ją o ścianę.

– Zdaje mi się, że zrozumiałem, dlaczego tam rysowałaś – powiedział. – Potrzebne ci było światło, zgadza się? Potrzebowałaś wyjątkowo dobrego oświetlenia, żeby znów zacząć rysować.

Elza patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, nie mrugając.

– Wtedy, przy wyjściu ze stolicy, prosiłem cię, żebyś rysowała. Ale tego nie zrobiłaś. Dlatego że było tam ciemno. Było ciemno nawet przy dwóch latarkach. Na powierzchni nie miałaś ani węgla, ani ołówka, a słońce chowało się za chmurami. I dopiero tutaj oświetlenie było wystarczające. Coś sobie przypomniałaś, zgadza się? Co oznaczały te rysunki, Elza?

Dziewczyna dalej milczała. Mimo to Jonowi zaświtała nadzieja.

– Dobra – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Mądra z ciebie dziewczynka. Chodźmy, została tylko jedna stacja. I będziemy na miejscu.

## ROZDZIAŁ 10

### Sto dwa metry

Kiedy muzeum zostało za nimi, Jon uznał, że popełnił błąd, oddając broń. Pewnie można było się umówić na jakieś inne sposoby spłaty kary. Odmalować na nowo pociąg, odczytać swoim głosem obwieszczenia na stacji, wreszcie popracować jako cholerny dyspozytor z promiennym uśmiechem. Ale nie oddawać automat. W najgorszym razie zagrozić strasznymi sankcjami ze strony władz stolicy. Ale co się stało, to się nie odstanie. Jeśli od razu tam wróci, okaże słabość. Jon mógłby nawet na to przystać, gdyby miał choć najmniejszą nadzieję, że automat zostanie mu zwrócony. Ale teraz zwyczajnie nie wpuszczą go z powrotem. I będzie dobrze, jeśli nie zaczną do nich strzelać.

I wszystko to przez jakiś rysunek!

Jon wyciągnął kartkę, przypatrzył mu się w świetle latarki. Nic nie przychodziło mu do głowy. To pewnie tylko proste bazgroły. Miejscami były to znaki przypominające szereg linii prostych i okręgów. Zera i jedyнки?

– Możesz rysować tylko przy konkretnym oświetleniu – powiedział nauczyciel. – Nie za mocnym i nie za słabym. W Datapolis czasem udawało ci się je znaleźć. I dlatego rysowałeś, zgadza się? I nie ma znaczenia, czym rysujesz. Węgiel nie ma nic do tego.

Jon odwrócił kartkę do góry nogami. Tak też niczego nie dało się zrozumieć. Znów jedyнки i zera. Może to nałożone na siebie drukowane litery?

Nowa myśl sprawiła, że zadrżał.

– Tamten facet, Dawid, też budził się wtedy pod lampą w jakimś innym stanie – powiedział z ożywieniem. – Jego pamięć aktywowała się na nowo za każdym razem, kiedy włączali

i wyłączali światło. Jego stan był bezpośrednio zależny od oświetlenia. Tak samo jak u ciebie. Z wami obojgiem coś się stało. Byliście gdzieś razem, tak? Byliście gdzieś i coś widzieliście, coś takiego, co odebrało wam obojgu świadomość. I zapamiętaliście tylko, jak każde z was wygląda i ma na imię.

Jon patrzył beznadziejnie w niczego nierozumiejące oczy dziewczyny.

– Dawid – wypowiedział wyraźnie. – Pamiętasz Dawida?

Żadnej reakcji.

– Gdzie mogliście widzieć tak jasne światło jak w muzeum? – Jon nie ustawał. – Nawet w stolicy nie wszędzie takie jest. Możliwości jest mało. Dużo światła bywa tylko na bogatych stacjach, w rodzaju Kontraktowej. Może na Złotych Wrotach? Chociaż jest jeszcze inny wariant... Czerwony.

Elza mrugnęła. Być może przypadkiem.

– Czerwony Wariant – wypowiedział Jon. – Czy to możliwe, że przebywaliście na czerwonej stacji? Może znalazłaś się kiedyś na powierzchni, zlokalizowałaś wejście i spotkałaś Dawida? Czy sama stamtąd pochodzisz? Jesteś z czerwonej linii? Gdybym wiedział, ile masz lat... Może jest jakieś hasło, które wyprowadzi cię z transu? Co wy tam widzieliście? Coś niewyobrażalnie straszego?

Jon zdał sobie sprawę, że faktycznie rozmawia sam ze sobą, i umilkł. Pomyślał jeszcze przez chwilę, ale nie doszedł do żadnych wniosków. Za dużo zmiennych.

– Niech to szlag – mruknął. – Chodźmy. Bez automatu czuję się niezbyt, ale trudno...

Teraz szedł wolniej, wpatrując się w napięciu w ciemność. Co powie Kondor? Czy stalker wiedział, że gdzieś w metrze kałacha można wykorzystać co najwyżej jako walutę?

Tunel dławiał nauczyciela mocniej niż wszystkie poprzednie razem wzięte. Czy to autosugestia związana z utratą broni, czy naprawdę kryło się tu zagrożenie? Do stolicy było stąd rzeczywiście daleko. Na pewno już od wielu lat nie gościł tu nikt z północnych rejonów Krzyża oprócz straganiarzy Scytii, którzy chodzili wszędzie i zawsze – ale do tego trzeba było mieć



szczególny charakter. A przy tym rozwiniętą intuicję.

Feniks mówił mu, że na powierzchni te okolice są mało znane nawet stalkerom. Drużyna Kondora rzadko się tu zapuszczała. Na powierzchni, jak widać, jest prawdziwa ulewa, a tutaj, na dół może się przesączać wszystko. Albo każdy.

Jonowi zdawało się, że suną w głąb Ziemi, na spotkanie z rozpalonym jądrem. Mimo że budowę planety wyobrażał sobie bardzo mgliście. Chociaż kto przed wojną znał podobne rzeczy...

Zgubił rytm marszu. Jon uznał, że dziewczyna się potknęła, ale ta całkiem stanęła, cofnęła się z przestraszeniem.

– Nie chcesz iść? – wyszeptał nauczyciel. – Tak, ja też. Ale trzeba. Jest tam człowiek, który może ci pomóc. Jeśli on w ogóle istnieje...

Na myśl, że nie ma żadnego Matuzalema, nauczyciel nie tyle zaczął się bardziej bać – to raczej samopoczucie pogorszyło mu się do skrajnie niskiego poziomu, pociągając za sobą pewność siebie. Przez całą podróż Jon ani razu na poważnie nie zwątpił w istnienie magicznego doktora, który przez nałożenie rąk przywróci Elzie zdrowie i nie zażąda za to żadnej zapłaty. Ale teraz przyszła pora, by pochylić głowę i dobrze się zastanowić. Skąd by się tacy czarodzieje mieli wziąć w metrze? Skąd Cyprys może wiedzieć, że dziewczynie ktoś zdoła pomóc?

Jon odegnał grobowe myśli. Już za późno na powrót i nawet jeśli rezultat jego wyprawy będzie negatywny – zawsze to lepiej niż nic. Nie mógł wrócić bez odpowiedzi. Nie wyniknie z tego nic dobrego ani dla niego, ani dla szkoły na Łukjanowskiej.

Akurat tunel naprawdę trafił im się wyjątkowo parszywy. Strasznie śmierdziało pleśnią. W półmroku połyskiwały jakieś oślizgłe rośliny, miejscami natrafiali na istne kurtyny pajęczyn. Tylko ciągnące się szyny mówiły im, że przynajmniej co jakiś czas ktoś tędy przejeżdża. Czyli to miejsce nie było aż tak opuszczone. Natomiast to, co zobaczyli potem, nie dodawało otuchy.

Martwe ciało w skafandrze ochrony Scytów było przyciśnięte do ściany. Zdawało się, że zawisło na przebijającym mu głowę zardzewiałym haku. Hełm zsunął się na bok, nie pozwalając zobaczyć szczegółów, z czego nauczyciel tylko się cieszył.

Nieopodal leżał drugi trup. W łachmanach dało się rozróżnić zielonkawy sweter i granatowe spodnie. Leżące twarzą w dół ciało nie miało butów. Jon spróbował się domyślić, co tu się stało, i zrozumiał tylko, że napastnik odznaczał się ogromną siłą i prawdopodobnie nieprzeciętnym wzrostem. Brak butów dawał słabe pocieszenie, że przynajmniej był to człowiek. Po tych krótkich rozważaniach Jon zauważył, że sam widok ciał już go nie porusza. W zasadzie słusznie – bać się trzeba żywych, nie martwych.

– Chodźmy – szepnął Jon.

Przeciągnęte wycie gdzieś przed nimi sprawiło, że nauczyciel skulił się. Stłumił chęć, by upaść i przyłgnąć do ziemi. Udało mu się opanować tylko dlatego, że wstręt na myśl o leżących obok trupach okazał się silniejszy. Być może właściciel skradzionych butów też postanowił tak kiedyś upaść i to kosztowało go życie.

– Naprzód – powiedział Jon, ciągnąc Elzę za sobą i zdumiewając się własną reakcją. Każdy rozumny człowiek na jego miejscu zwiąby z powrotem i zaczął łomotać we wrota muzeum. Ale nauczyciel odkrył, że po wizycie na powierzchni zaczął reagować na potencjalne niebezpieczeństwa zupełnie inaczej niż kiedyś. Teraz wszystko to, co nieznane, przede wszystkim budziło w nim ciekawość. Pozostała w nim jeszcze głęboko zakorzeniona ostrożność, niemniej spadła na drugie albo i trzecie miejsce na liście priorytetów.

Stacja Wyrlica znalazła się przed nim nagle – ciemna, olbrzymia w porównaniu z tunelem. Całkowicie bezludna. Było tu też bardzo wilgotno. Jon szybko skojarzył: nie ma ludzi – nie ma prądu – pompy nie pracują. Z pewnością na powierzchni leje i woda ścieka tutaj. Muszą się tu zdarzać podtopienia i stacji nie zalało tylko dlatego, że woda może przesączać się niżej.

Jon wyłączył latarkę, nie wiedząc, co robić dalej. Na stacji z pewnością było pełno zwierzyny. W końcu coś tam ryczało. Ale czy te stwory boją się światła, czy przeciwnie – reagują na nie agresywnie?

Elza znieruchomiała, była cicha i niewidoczna. Jon z całych sił wycęzał słuch. Z sufitu padały gęsto krople wody. Do tego

w oddali coś mlaskało. I jak na złość, nie ma automatu. Chociaż czy nie w tym leży ich ratunek? Tamci ludzie, w tunelu, z pewnością byli uzbrojeni. Nie bardzo im to pomogło. A ci, którzy ściągnęli trupowi buty, uciekli bez jednego wystrzału.

I naczelnik muzeum, oczywiście, o niczym go nie ostrzegł. Żeby tylko się stąd wydostać, opowiedzieć Cyprysowi, jak to wszystko wygląda...

Nauczyciel odkrył, że wystarczy przez kilka godzin nosić przy sobie paszport z pieczętką, żeby zacząć myśleć jak klasyczny lizus. Zacisnął zęby z irytacji. Dobra, na pewno uda im się po prostu po cichu przejść. Żeby tylko psy ich nie zwęszyły. Jeśli oczywiście to były tylko psy, a nie charty.

Jon nie wiedział, jak wyglądała Wyrlica. Odgrzebał w pamięci wszystko, co wiedział o tej stacji. Wyjaśniło się, że wiedział boleśnie mało. Nie mógł sobie przypomnieć, czy ktokolwiek na Łukjanowskiej mówił, że na Wyrlicy nikt nie mieszka. Gdzie wszyscy mogli zniknąć? Włączywszy latarkę na minimum i czując, jak bije mu serce, Jon ruszył. Jeśli drapieżniki ich zauważą, wykona krok pierwszy – wyłączy latarkę i zastygnie. Jeśli to nie pomoże, wykona krok drugi – włączy światło na maksa i skieruje drapieżnikowi w pysk. I przy okazji zobaczy, co można wykorzystać w charakterze broni. Pałkę, pręt zbrojeniowy, kawałek deski, cokolwiek. Jedyne, czego Jon mógł być pewien, to odległości do końca stacji. Klasyczne sto dwa metry jak wszędzie w metrze. Przeszli już jakieś dwadzieścia kroków, a potem...

Elza chlupnęła w kałużę, straciła równowagę. Nauczyciel zdążył ją złapać, ale nie udało się uniknąć plusku. Z drugiej strony stacji dał się słyszeć ryk. Jednak psy. Ale jakie dokładnie? Czworonodzy zabójcy z powierzchni czy miejscowe stróżujące, nawykłe do człowieka?

Coś przytruchtało w ich stronę. Jon nie wytrzymał, podkreślił moc latarki. Snop światła padł na ślepy pysk psiska. Szkliste gałki oczne słabo lśniły. Pies przystanął, zawarczał, powiódł pyskiem na boki. Za nim pokazało się jeszcze kilka takich samych.

Nauczyciel nie zdołał rozróżnić, co ma przed sobą – tunelowe

plugastwo czy jednak psy ze stacji. Teraz było mu wszystko jedno. I z jednymi, i z drugimi można sobie było poradzić. W rejonie Datapolis dawno już wytrzebili całe diabelstwo, dziury zostały skutecznie załatane. Tutaj, jak się zdawało, cywilizacja kończyła się w muzeum.

Psy nie reagowały na światło, za to na dźwięk jak najbardziej. Jon płynnym ruchem położył dłoń na miękkich ustach Elzy, starając się mocno nie naciskać. Lekko pochylił głowę, przycisnął skroń do jej karku, usiłując ze wszystkich sił emanować ojcowską miłością, choćby w takim kształcie, w jakim sobie ją wyobrażał.

Dziewczyna nie wydała nawet dźwięku. Ona i nauczyciel wciąż jeszcze stali w wodzie. Jon spojrział w dół, dokładając starań, by się nie przesuwac plamy światła na ziemi. Wokół nich leżało i pływało mnóstwo śmieci.

Najprostsze metody są najskuteczniejsze. Jon pochylił się ostrożnie, podniósł z peronu kamień i cisnął go w drugi koniec stacji. Kamień uderzył o coś twardego, upadł z lekkim echem. Psy podskoczyły, rzuciły się w stronę źródła dźwięku. Jon od razu stanął obiema nogami na peronie, pociągnął Elzę za sobą. Żeby dziewczyna nie hałasowała, nauczyciel po prostu podniósł ją i postawił obok. W tym celu musiał się nachylić i plecy odpowiedziały krótkim ukłuciem bólu. Poprowadził Elzę dalej, starając się nie wydawać dźwięków i z latarką w oszczędnym trybie.

Do końca zostało jakieś trzydzieści kroków.

Dwadzieścia.

Już niedaleko.

Za plecami usłyszał znajomy warkot. Nie oglądając się za siebie, Jon pochylił się, podniósł jeszcze dwa kamienie, rzucił za siebie, szczególnie licząc na sukces. Coś odpadło mu od pasa, ale nauczyciel nie zdążył zauważyć, co konkretnie zgubił. Z boku pokazała się mordą psa, otworzyła się czerwona paszcza. Jon rzucił brukowcem prosto w nią, pies odskoczył na parę kroków.

Jon dalej szedł naprzód, wypychając Elzę do tunelu. Psy nie opuściły stacji, rycząc, pozostały w tyle.

## ROZDZIAŁ 11

### Doktor

Za granicami Wyrlicy tunel nie był ani trochę lepszy niż wcześniej, ale Jon niemalże już tego nie zauważał. Po prostu szedł, machinalnie stawiając nogi i nie zwracając uwagi na znużenie. Elza też się zmęczyła, ale nauczyciel nie pozwolił jej usiąść. Niewykluczone, że przyjdzie jej do głowy zasnąć zaledwie o krok od celu. Lepiej już dotrzeć do końca, cokolwiek będzie ich czekać na Boryspolskiej.

Jon rozglądał się coraz rzadziej. Sam nie zauważył, kiedy dowlókł się do wrót, i omal nie krzyknął, kiedy na nie wpadł. Nauczyciel nie od razu zdał sobie sprawę, że ma przed sobą wejście na stację – uznał, że wszedł w ślepą uliczkę i trzeba zawrócić, szukać właściwego tunelu. Potem przekonawszy się, że rzeczywiście stoją przed zaporą hermetyczną, Jon przyłgnął do niej uchem, starając się dosłyszeć jakiś dźwięk z drugiej strony.

Ludzkie głosy. Szybkie, ale nieagresywne.

– Ej, otwórzcie drzwi! – zawołał nauczyciel, łomocąc we wrota pięściami. Dźwięk okazał się zaskakująco głośny i Elza odeszła o dziesięć kroków do tyłu. Nauczyciel od razu poczuł się osamotniony. Prawdopodobnie dziewczyna nie odchodziła od niego tak daleko od chwili ich pierwszego spotkania.

– To tutaj – powiedział Jon, trzymając ją za rękę. – Wszystko w porządku. Doszliśmy... otwierajcie, taka wasza mać! Potrzebujemy pomocy!

Wrota rozwarły się szybciej, niż się spodziewał. W Elzę i nauczyciela wycelowano trzy pistolety. Widocznie mieli broni krótkiej pod dostatkiem.

– Oszczędzajcie naboje, chłopaki – powiedział żywo Jon, wpychając dziewczynę do środka i wsuwając się za nią. – Nie trzeba ich na nas marnować.

Tym razem warta nie zadawała żadnych pytań. Młodziutki chłopak wciąż trzymał pistolet, opuścił tylko lufę nieco niżej. Jego partner poświecił latarką w głąb tunelu, dał znak, a trzeci człowiek zamknął zaporę.

– Co wy, z Wyrlicy? – spytał chłopak ze zdumieniem.

Nauczyciel nie odpowiedział, tylko spoglądał na stację. Bał się, że znajdzie pustkę jak na poprzedniej. Ale tu żyli ludzie. Było nawet bardziej przytulnie niż w fałszywym muzeum i czyściej niż na Łukjanowskiej. Na torach stała drezyna bez kół załadowana workami z ziemią. Z miejsca, w którym stał, Jon widział zwykłe życie zamieszkanego stacji, szczególnie odnotowując ciekawskie dzieci – czytelną oznakę pokoju. Na terenach działań wojennych dzieci się nie bawiły. Czy nie dlatego, że chyba każdy na stacji chodził z rewolwerem przy biodrze?

Zbliżała się do nich cała delegacja. Kobieta po pięćdziesiątce z siwymi kudłami, dwoje młodszych i trzy kobiety w wieku około czterdziestu lat. Nauczyciel popatrzył na Elżę i zachęcająco wziął ją za przegub, mając nadzieję, że jego palce nie wydadzą się dziewczynie lodowate.

– Kim jesteście? – spytała kobieta. – Co tu robicie? Jesteście z Wyrlicy?

– Nie. Z daleka – powiedział Jon. – Czy to Boryspolska?

– No tak, Boryspolska. A co jeszcze może być?

Po muzeum Jon niczego już nie był pewien. Mógłby uwierzyć, że przed nim jest albo jeszcze prawdziwa Wyrlica, albo już Chutor, czy w ogóle jakaś zaginiona stacja czerwonej linii. Teraz mógł uwierzyć we wszystko.

– Nazywam się Jon, jestem z Datapolis – powiedział nauczyciel. – Pokazać paszport?

– Nie trzeba. Na innych stacjach nie znajdują się tacy głupi, żeby tu przyjść. Nie jesteście kupcami. Co tu robicie?

– Potrzebny nam Matuzalem – powiedział nauczyciel, nie wierząc we własne słowa. Czyżby w końcu dotarli na miejsce, gdzie można już szukać konkretnego człowieka?

Na moment wydało mu się, że usłyszy całkiem prawdopodobne „Nie ma go tu” albo „Nigdy nie słyszeliśmy tego imienia, idźcie do

domu i przekazcie Cyprysowi, że dostawy wosku spóźniają się w tym sezonie”. Ale odezwała się spokojnie:

– Znachor? Po co wam on?

Jon położył ręce na ramieniu Elzy.

– Mam pacjentkę – powiedział. – Słyszałem, że wasz człowiek może jej pomóc. Może pani nas do niego zaprowadzić? Proszę.

– Jeśli wciąż jeszcze tu jest. Mam na imię Ksenia.

– Jestem Jon. To jest Elza.

– Jon? Co to za imię?

– Termin fizyczny. – Nauczyciel postarał się uśmiechnąć. – Sprzed wojny.

Twarz Ksenii nieco się rozjaśniła. Ona na pewno pamiętała tamte czasy, w odróżnieniu od nauczyciela, który znał je z cudzych opowieści. Być może zdążyła nawet chodzić na lekcje fizyki w szkole.

– Chodźcie – powiedziała. – Namiot Matuzalema jest na drugim końcu stacji.

– Co się stało z Wyrlicą? – zapytał Jon. – Jest tam jedynie zgraja psów, żywych ludzi brak. Tylko ciała w tunelu do muzeum.

– Skoro są ciała, to znaczy, że Scytowie próbowali się tam dostać – odparła Ksenia. – A na Wyrlicy już od dawna nikt nie mieszka. Wcześniej też było tam mało ludzi. W tamtym roku wszyscy, którzy pozostali, przeszli tutaj.

– A co tam się stało?

– Zatopiło ją. Z czasem wody same opadają, ale z góry przesączają się nowe. Tam na górze jest trudny teren. Próbowali odpompowywać, potem zgniły im rury. Później zaczęły się problemy z elektrycznością i przeprowadzili się do nas.

– A wy macie swoją elektryczność?

– My wszystko mamy swoje – odparła Ksenia. – Można powiedzieć, że mieszkamy na końcu świata. Tu nawet stalkerzy się nie zapuszczają. Kupcy mają zaporowe ceny. Więc stopniowo sami wszystko zorganizowaliśmy. Chcecie zwiedzić?

– Nie trzeba. Naprawdę bardzo potrzebujemy spotkać się z Matuzalemem.

Jon szedł po tak czystej posadzce, że sama ta czystość

wstrząsała nim do głębi duszy. A może tak odbijał się przeżyty wcześniej stres? Buty zostawiały mokre ślady.

– Dlaczego u was tak czysto? – zapytał Jon. – Macie dużo wody?

– Deszcze spływają i do nas. Na bieżąco oczyszczamy wodę. Czasem można ją nawet wykorzystać do picia. Nad nami jest specyficzna gleba, inna niż na Wyrlicy. A reszta... nie będziemy jej przecież tak po prostu wylewać? Można umyć stację. W czystym domu mieszka się przyjemniej.

Dochodząc do połowy stacji, Jon zwolnił kroku. Przed nim znajdowała się tajemnicza konstrukcja, w której nauczyciel rozpoznał odrestaurowaną kolumnę. Na jej szczycie umieszczony był ogromny zegar. Sądząc po wskazówkach, wciąż działał. Kolumna była ozdobiona rysunkami i napisami. Obok znajdował się stary stół na metalowych nóżkach. Stał na nim niewielki kaganek z ledwie tłącym się płomykiem.

– To pomnik? – spytał nauczyciel. – Pamięci poległych na Wyrlicy?

– To jest, można powiedzieć, nasz dom kultury – odparła Ksenia ze smutkiem. – Teraz jest tu pomnik na cześć naszego Żeńki. Dobry był z niego chłopak. Niech mu tunel czystym będzie.

– A co się z nim stało?

– Wiele lat pilnował tu zegara, ale kilka dni temu zniknął. Cała stacja pogrążyła się w smutku.

Co się tyczy pilnowania zegara, Jonowi nie trzeba było długo wyjaśniać. Sam świetnie wszystko rozumiał.

Działający, dokładny zegar był obiektem strategicznym praktycznie na każdej stacji, często wymagającym ochrony. Wandalizm był surowo karany. Pilnowanie zegara było uważane za pracę może i niezbyt ciężką, ale ważną. Jon wyobraził sobie, że na przestrzeni wielu lat tego konkretnego zegara pilnował jeden człowiek, i stwierdził, że on sam nie wytrzymałby takiego jednostajnego życia.

– Pewnie lubiliście waszego Żeńkę – powiedział nauczyciel.

– Jak tu takiego nie lubić – westchnęła Ksenia. – On by muchy nie skrzywdził. Kilka lat temu podjął się pilnowania zegara, od razu po kontuzji. Przebił sobie bok gdzieś w tunelach, ale prawie



się nie leczył, uznał, że chociaż do tego pilnowania się przyda. I w końcu się nie wyleczył... a kilka dni temu bandyci z Czerwonego Chutoru postawili nam ultimatum. Przeprowadzili dywersję, odcięli światło całej stacji. Żenia poszedł je naprawiać razem ze wszystkimi, nie wziął ze sobą broni. Myślał, że wśród swoich jest bezpieczny.

– Umarł?

– Zniknął. Szukali go i szukali, ale nie znaleźli. Ci dranie go zabili, nie ma innego wyjaśnienia.

– A więc bandyci z Chutoru – powiedział Jon. – Czyli wy też macie tu swoje utrapienia.

– Wszędzie są jakieś nieprzyjemności. Wszędzie i zawsze. Na całej planecie, jeszcze przed wojną. Ale tak czy owak, walczyć trzeba. Inaczej po co ocaliliśmy? Zaczekajcie, sprawdzę.

Ksenia stanęła przy szerokim namiocie, zajrzała do środka, wysunęła się z powrotem.

– Wasia – zawołała. – Doktor już pojechał?

– Tu jest. – Dało się słyszeć zza namiotu. – Co się stało, chrzestna? Zamierzaliśmy już jechać.

– Zaczekaj – Ksenia machnęła nauczycielowi ręką, żeby szedł za nią. Jon jednak nie wytrzymał i zajrzał do środka.

– A więc istniejesz – mruknął. – I mieszkasz tu. Zobaczmy...

Mała przestrzeń była wypchana wszelakimi rupieciami, jak to się czasem zdarzało w segmentach mieszkalnych, które od dwudziestu lat nie zmieniały lokatora. Złożone w rogu znoszone ubranie, prostokątne kosze z zakurzonymi gratami, stos brudnych czasopism. Po prostu historia życia.

Pośrodku, przykryte kocami, stało tajemnicze zardzewiałe urządzenie o długości półtora metra. Na siłę mógłby się w nim zmieścić człowiek. Jednak przeznaczenie maszyny było wyraźnie inne, dalekie od kapsuły noclegowej. Jon odwrócił się, wszedł do środka, przyjrzał się bliżej. Cokolwiek to było, z urządzenia został tylko stary szkielet, który teraz mógł co najwyżej służyć za łóżko. Wiszące na resztkach przewodów fragmenty cewek i kondensatorów wskazywały na to, że było to urządzenie elektroniczne. Zachowała się na nim tabliczka

z wygrawerowanym napisem: „...nerator torsyjnego szu...”. Nie dało się odczytać dalszych liter.

Nauczyciel wyszedł z namiotu pogrążony w niespokojnych rozmyślaniach. W zasadzie nie było nic dziwnego w tym, że stary doktor, w młodości zajmujący się chorobami psychicznymi, teraz przejawia zainteresowanie wszelkiego rodzaju techniką.

Jon i Elza podeszli do drezyny, na której siedziało siedem osób. Byli to mocno zbudowani mężczyźni, raczej w zaawansowanym wieku. Wszyscy mieli broń – starą, sfatygowaną, zużytą w bojach. Drezyna była skierowana dziobem na południowy wschód, w stronę Czerwonego Chutoru.

Jon popatrzył w twarz każdemu po kolei. Tak, to już nie stolica. Prawdziwi ludzie pracy. Trudno było się zorientować, kto z nich był naprawdę stary. Wszyscy mieli brody i zmarszczki, zacierające rysy twarzy.

– Matuzalemie – odezwała się Ksenia. – Zejdz, proszę. Jesteś nam potrzebny.

– Co się stało? – burknął Wasilij. – Chrzestna, wybieramy się w drogę. Przecież mamy poważną sprawę.

Jeden z facetów powoli wstał, z napięciem spojrzał Jonowi w oczy. Potem na Elzę. Zeskoczył z drezyny na twarde kafle stacji. Jego ruchy były nieco spowolnione, jakby niepewne. Bez wątpienia nie był młody. Poza tym nie różnił się od swoich towarzyszy.

– Przyszli do nas nowi ludzie – powiedziała Ksenia. – Szukają cię. Mówią, że mają do ciebie sprawę.

– Jaką sprawę? – huknął z drezyny Wasilij. – Każdy człowiek jest u nas na wagę złota. Akurat teraz musicie to załatwić?

– Zaczekaj no – machnęła na niego ręką Ksenia.

Matuzalem patrzył uważnie na Jona, nie mówiąc ani słowa. Nauczyciel podał mu rękę.

– Szukaliśmy pana – wyjaśnił. – Jestem Jon z Łukjanowskiej, to jest Elza z Datapolis. Pokonaliśmy długą drogę, żeby tu dotrzeć. Powiedziano nam, że może pan pomóc. Dziewczyna ma coś z głową. Czy to z pamięcią, czy z nerwami. Nie jest sobą. Może pan ją obejrzeć?

– Mówi pan, że dziewczyna nie jest sobą? – zapytał Matuzalem, nerwowo poruszając dłońmi.

– Nie wiem. Czasami coś rysuje, jeśli jest wystarczająco jasno. Nigdy nie mówi. Koniecznie muszę ją wyleczyć. Proszę pana o pomoc.

– Tak, tak. – Matuzalem skinął głową z roztargnieniem. – Zerknąłbym, tylko mamy teraz swoje sprawy.

Wasilij wyprostował się i ten ruch był dość jasny, żeby poznać w nim dowódcę oddziału.

– Chrzestna, zróbmy tak – powiedział. – Żeby nie tracić czasu, młody człowiek pojedzie z nami w miejsce doktora. Doktor zostanie tutaj i załatwi sprawę z dziewczyną. Może być?

Ksenia spojrzała pytająco na Jona.

– A co trzeba robić? – spytał nauczyciel.

– Opowiem po drodze – odparł Wasilij. – Usługa za usługę. Doktor pomaga wam, a pan pomaga nam. Stoi?

– Wszystko w porządku. – Ksenia położyła nauczycielowi rękę na ramieniu. – Niech pan jedzie. Matuzalem to dobry człowiek. Cała stacja przychodzi do niego po pomoc.

Jon skinął głową i spojrzał Elzie w oczy.

– Zostań tu, dobrze? – powiedział. – Niedługo wrócę. Zostań z doktorem, a kiedy znowu się zobaczymy, mam nadzieję, że uda nam się porozmawiać. Dobrze?

Elza patrzyła na niego z niepokojem. Ksenia wzięła ją za rękę, żeby dodać otuchy.

Jon wszedł na drezynę i zajął miejsce Matuzalema między uzbrojonymi mężczyznami, czując się wśród nich jak żółtodziób. Wasilij dał sygnał i drezyna zaczęła się rozpędzać. Cokolwiek czekało go na Czerwonym Chutorze, nauczyciel był gotów zapłacić każdą cenę, jeśli zdołają pomóc Elzie.

## ROZDZIAŁ 12

### Decyzja

Wasilij milczał, póki stacja nie została za nimi. Potem od razu zwrócił się do Jona:

- Dlaczego nie masz broni?
- Co? A, no tak. Tak wyszło.

Nauczyciel postanowił nie mówić, że miał automat, bo jeszcze zapytają, jak udało mu się go stracić. Niech lepiej myślą, że błąka się bez broni z własnej woli. W jakimś stopniu jest to prawda.

- A umiesz chociaż strzelać?

- Umiem. Stałem czasem na posterunku na Łukjanowskiej. U nas wszyscy się tym zajmują.

- Byłeś w prawdziwym boju?  
Spadająca z mostu drezyzna...

Jon pokiwał głową i odpowiedział:

- Zdarzało się. Tylko nieszczególnie jest się czym chwalić.
- Jak i nam wszystkim. Jegorka, wydaj mu instrument.

Płowowłosy facet na skraju drezyzny skinął głową, położył sobie automat na kolanach. Wyciągnął zza pleców skróconego kałasznikowa i podał go Jonowi. Nauczyciel patrzył na niego, nie biorąc podarunku.

- Ot tak sobie? - zapytał. - Oddajecie mi swoją broń?  
- Za takie kwestie odpowiada u nas Jegor. A przypadki bywają zupełnie różne. Bierz, to nie parzy.

- Skoro tak, to powiedzcie mi chociaż, po co jedziemy na Chutor. - Jon wziął automat. - Dalej jest przecież tylko Czerwony Chutor, tak? O co się z tamtejszymi pokłóciliście?

- No, jak by ci to powiedzieć... to końcowa stacja.

Jon przywołał w pamięci plan metra. Czerwony Chutor właściwie nie był ostatnią stacją. Ale tylko według starych, przedwojennych projektów. W rzeczywistości do chwili

Katastrofy nie zdążyli zbudować nic za nią. A jeśli nawet, to wszystko całkowicie się zawaliło. Mimo to słowa „stacja końcowa” nic konkretnego mu nie mówiły.

– Specyfika stacji końcowej – wyjaśnił Wasia, widząc niezrozumienie nauczyciela. – Rozumiesz, na wszystkich stacjach są jakby dwa wyjścia. W jedną stronę i w drugą. A na końcowej tylko w jedną. No tak, jest tam zajezdnia i tak dalej, ale czysto psychologicznie, nikt tam nie mieszka i nie ma tam nic do roboty. Co do Chutoru, to kiedy zaczęła się wojna, zajezdnię od razu wysadzili. Może przypadkiem. Może zapalił się jakiś gaz. My sądzimy, że zadziałał tam system ochrony. Było tam coś takiego, czego nie wolno było ludziom zobaczyć. Przedwojenne tajemnice. Z Czerwonego Chutoru idzie teraz tylko jedna droga, do nas. I właśnie nią jedziemy.

Wasilij usiadł wygodniej.

– Słuchaj dalej – powiedział. – Kiedy rąbnęło po raz pierwszy, ludzie zaczęli kryć się przed bombardowaniem. W Czerwonym Chutorze zrobił się większy ścisk niż w Datapolis. Dlatego że, jak już mówiłem, to stacja końcowa. To znaczy kraniec miejskiej cywilizacji, domy są tańsze, a to znaczy, że i ludzi jest więcej. Jest tam ulica Staroboryspolska, rejon Charkowski, nieopodal Darnica, pełno osiedli-sypialni. Do tego najbliższej tam było z Bortniczej, jeśli uciekać przez park. Gdybyś, północny, miał dziesięć lat więcej, sam byś to zobaczył. Chociaż to i lepiej, że nie widziałeś.

– Na dół zeszło za dużo ludzi? – domyślił się Jon.

– Tak. Więcej, niż stacja mogła pomieścić. A nie było dokąd iść. Epicentrum było na północy, tam mieli problemy. Chutor przyjmował ludzi do ostatka, kiedy stało się już jasne, że muszą iść po ciałach tych, którzy zesзли jako pierwsi. Jeden nazwie to głupotą, drugi odwagą. Ale Czerwony Chutor trzymał wrota otwarte dłużej niż inne stacje. Ludzie byli tu upchani jak naboje w magazynku. Rozumie się, że wpuścili też więcej radiacji. I nie mieli gdzie się podziać. W rezultacie coś się tam u nich stało na schodach. Pewnie ktoś wniósł broń albo bomby. A potem wysadzili i same schody. Do tego czasu u nas, na Boryspolskiej,

zrozumieliśmy już, co i jak, i wystawiliśmy twardą obronę od strony Chutoru. Inaczej po prostu by nas zmiotli.

– Czerwony Chutor został odcięty od reszty metra?

– Cóż, czy odcięty... Ekonomicznie tak, w wielu aspektach. Nie mogli tam niczego produkować. A głodnych pysków dużo i niektóre kłają. Stację ogarnął taki chaos, że w pierwszym roku przeżył tylko jeden na piętnastu. Pozostałych pożarły szczury. Jak oni tam z tymi szczurami walczyli, to odrębna historia. Dopiero w szóstym roku schowaliśmy miotacze płomieni.

– Okrutne – pokręcił głową Jon. – Miotacze płomieni na ludzi.

– Rozumiesz, chłopcze, że inaczej nikt by nie został? Na naszej stacji dużo jest starych ludzi. A dlaczego? Dlatego że troszczyliśmy się o każdego mieszkańca. Tylko to niemożliwe, jeśli od razu się nie zdecyduje, kto zostanie. No, a cała młodzież odeszła do stolicy. Zresztą co ja ci wyjaśniam? Sam przecież rozumiesz.

– I co jest teraz na Czerwonym Chutorze? – zapytał Jon.

– Więzienie – odparł Jegorka. – Jaka była zawsze kara w Krzyżu oprócz trzymania w klatce albo kuli w potylicę? Banicja. A dokąd się wygania? Na peryferie. Stamtąd jeszcze dalej i tak aż do samego końca. A stacja końcowa to ślepa uliczka.

– I z czego oni tam żyją?

– A z tego, co wszyscy, z handlu. Są tam plantacje grzybów w okolicy starej zajezdni. Handlują grzybami w zamian za elektryczność.

– A teraz jakie macie z nimi problemy? Konkretnie dziś. Po co tam jedziemy?

– Zdecydowali się na otwartą konfrontację – powiedział Wasilij. – Dwa dni temu odcięli nam światło. Nie wiem, jak mogli. Przekradli się któregoś dnia i zepsuli transformator. Pewnie chcieli go wysadzić, ale w porę ich znaleźliśmy.

– I co zrobiliście?

– Jak to co? – Wasilij wzruszył ramionami. – Położyliśmy dwóch na amen. Pozostali odpowiedzieli ogniem i uciekli. Dobrze chociaż, że niczego poważnie nie zepsuli. Udało się naprawić. Tyle że zniknął nasz Żeńka. Widziałeś tam pomnik ku jego czci?

– Widziałem. Lubiliście go tu.

– Chłopak był jak złoto, nie ma co – westchnął Wasilij. – Stał i pilnował zegara, niczego więcej nie chciał. Mieszkał też obok niego. Rozumiesz, był dla nas symbolem wytrwałości. Powiesz, że to lekka robota? Otóż nie. Żeńka pilnował porządku. Brał się za każdą robotę na stacji. Żeby tylko zegar był obok.

– Jak długo tak pracował? – zapytał Jon.

– Trzy lata. Czy może cztery? Teraz już nie wiadomo. Nie pamiętam. Jeśli ktoś na stacji potrzebował obliczyć czas, zwracał się do Żeńki. Rzadko opuszczał swój posterunek. A za stację nie wychodził nigdy. Zdaje się, że dwa dni temu wyszedł po raz pierwszy, sprawdzić ten przekłety transformator.

– Myślicie, że go zabili?

– Obawiam się, że tak. Tak po prostu by nie odszedł.

– Jeśli ludzie z Chutoru go stuknęli, to wyrzniemy całą stację – zagroził Jegorka.

– Spokojnie – powiedział Wasilij. – To jednak ludzie. Choćby i bandyci, ale teraz jedziemy się dogadać. Trzeba rozwiązać problem. To jednak dziwne, że zaczęli się stawiać. Przecież są od nas uzależnieni. Powiedzmy, że zepsuliby nam elektryczność. I co dalej? Sami zginą bez naszych dostaw.

– A jeśli nie zginą? – zasugerował Jon. – Mają przecież plantacje. Mówicie, że woda sama leje się z góry, i jak powiedziała Ksenia, filtry sobie z nią radzą i można ją pić.

– Ale nie ma stąd dróg na powierzchnię. Przecież wszystkie są zasypane.

– To, co zasypane, można oczyścić.

– Ach tak? Chciałbyś kopać pięćdziesiąt metrów do góry? Gdyby wszystko było takie proste, dawno przebilibyśmy się do czerwonych. Choćby w jednym miejscu.

– A mnie się zdaje, że nic tam po nas – powiedział Wasilij. – Więcej stacji to więcej kłopotów.

Jona zaniepokoiły te rozmowy. Wynikało z nich, że na Boryspolskiej sporo dyskutowano na temat czerwonej linii. Tak daleko od centrum wciąż jeszcze zajmuje ich ten problem?

Tymczasem drezyzna zwolniła.

– Więc tak, panowie, teraz ciszej. – Wasilij przeszedł na półszept. – Wowa, przygaś trochę światło. Tak żeby nikogo nie spłoszyć, ale żeby nas widzieli. Koniec, chłopaki. Miejcie automaty w gotowości, ale bez wygłupów. Jegorka, ty zostajesz na drezynie. Jakby co, wal do tyłu, my cię dogonimy.

Jegorka skinął głową.

Drezyna powoli wjechała na stację. Jon spodziewał się, że zobaczy chaos i zaniedbanie. Ale stacja okazała się niemal kopią Boryspolskiej, tyle że zbiedniałą.

Pod sufitem wisiały słabe żarówki. Do ścian przykleiły się liczne balkoniki, na każdym od biedy mógł się zmieścić człowiek. Kiedyś podobne miejsca noclegowe były wykorzystywane w Datapolis, ale potem z nich zrezygnowano, uznając, że lepiej, gdy ludzi jest mniej, a warunki są lepsze.

Tu zaś balkony były mocno przegniłe, trzymały się na słowo honoru. Dla Jona było to nawet nieco pocieszające – nie przypominało to obronnych stanowisk ogniowych. Każda kula przeszyje na wylot kruchą konstrukcję, a zarazem i strzelca na niej.

Jona bardziej zadziwiły dwa kompletne pociągi na torach. Kolejki na stacjach Krzyża były rzadkością. A tu – od razu dwa. Co prawda, teraz przedstawiały żałosny widok. Jon nigdy by nie pomyślał, że można do takiego stopnia rozgrabić wagony, a przy tym zachować ich dawny wygląd. Jeszcze bardziej dziwiły sięgające sufitu nadbudówki nad wagonami. Pospiesznie sklecone z dykty, podzielone na sekcje, ze stojącymi w środku lampami naftowymi, z którymi, jak się zdawało, nie obchodzono się szczególnie ostrożnie. Dwie najbliższe sekcje całkowicie spłonęły. To zrozumiałe, biorąc pod uwagę stały ciąg powietrza z otwartego tunelu.

Ale to miejsce najbardziej przygnębiało dlatego, że było mało ludzi.

Budowle wprost krzyczały o tym, że powinno tu być o wiele więcej osadników. I teraz Jon widział wystraszonych mieszkańców, których głowy wystawały z dziur w ścianach zastępujących okna. Patrzyli na przybyszów z Boryspolskiej –



jedni z niepokojem, inni ze strachem, jeszcze ktoś wrogo. Niektóre twarze były niewidoczne przez rozwieszone na sznurkach na długości całej stacji szmaty.

Delegację z Boryspolskiej witało stadko obszarpańców, inaczej nie można tego nazwać. Mieli bardzo przygnębione miny. Żaden z nich nie miał broni – przynajmniej w rękach. Chociaż mogli celować z ukrycia. Wasilij chyba wszystko rozumiał i starał się nie wykonywać gwałtownych ruchów.

– Czołem, koledzy – kiwnął głową. – Gdzie wasz herszt?

– Herszta zabiliście – powiedział jeden z witających. – Nowego jeszcze nie wybraliśmy.

– Skoro zabrałeś głos, to znaczy, że będę mówić z tobą. Jak się nazywasz?

– Jestem Igor – odparł obszarpaniec. Wyraźnie nie podobała mu się jego nowa rola.

– Posłuchaj, Igorek. Chcę zapytać, dlaczego wyłączyliście nasz transformator.

– Nic o tym nie wiem – powiedział Igor. – Zostawcie nas. Niczego nie zrobiliśmy. Jeśli nasz herszt coś wiedział, to już nie żyje.

Wasilij splunął na posadzkę stacji, znacząco pobujał automatem, wciąż trzymając go lufą w dół.

– Coś kręcisz, Igorek – powiedział. – Co, akurat nie ma tu nikogo odpowiedzialnego? I w ogóle nikt oprócz waszego umarlaka nie myślał o władzy? Nie wierzę.

Igor nie odpowiedział.

– A więc stacja nie ma naczelnika – odezwał się Wasilij. – I nikomu już nie jest potrzebna. A więc jest niczyja. Tak? Wobec tego dlaczego mielibyśmy potrzebować was?

Jon już się nie zastanawiał.

– Chwileczkę – powiedział, powoli podchodząc do Igora. – To Czerwony Chutor, zgadza się?

– No i?

– Zalicza się do stacji Krzyża?

– Niby tak – powiedział Igor.

– Czyli pod nieobecność naczelnika stacji jesteście

podporządkowani Datapolis.

Igor popatrzył na swoich towarzyszy, potem gdzieś do tyłu i w górę, jakby spodziewał się, że odpowiedź przyjdzie z sufitu.

– Powiedzmy – odparł.

– W takim razie władzę reprezentuję ja – oznajmił Jon, pokazując pieczętką Cyprysa w paszporcie, tak żeby wszyscy widzieli.

– Co? – wytrzeszczył oczy Wasilij. – Co jest, kurde?!

– Będę mediować w waszym konflikcie – odparł Jon spokojnie. – Jeśli trzeba, będę reprezentował interesy stacji Czerwony Chutor. Przynajmniej dopóki tu jestem. Kiedy będziemy jechać z powrotem, będziesz mógł powiedzieć wszystko, co myślisz. Ale teraz bądź tak dobry i wyjaśnij, na czym polega problem.

– Nie spodziewałem się po tobie czegoś takiego.

– Czego dotyczy roszczenie? – powtórzył surowo Jon.

– No dobra. Masz tu całą listę. Opóźnienia w dostawach jedzenia, to raz. Wodę dają nie dość czystą, to dwa. Kradną elektryczność, trzy. Próbowali zepsuć nasz transformator, cztery. Trzeba czegoś więcej? Mam kontynuować?

– Kontynuuj, jeśli masz coś do dodania.

– No dobra. Zabili Żeńkę, to pięć. To wszystko, skończyłem. Co, chcesz za nich odpowiadać? Jak się w ogóle nazywasz, miłośniku żuli?

– Nazywam się Jon.

– Nie słyszałem o takim drzewie. – Wasilij wyszczerzył zęby. – Jeśli jesteś z administracji Cyprysa, to dlaczego nie masz „drzewnego” imienia? Wszyscy się tam jakoś specjalnie nazywacie.

Jeśli dowódca grupy liczył na wymianę uszczypliwości, to nauczyciel nie dał się sprowokować.

– Ogółem pięć punktów – powiedział Jon, patrząc na Igora. – Masz coś do powiedzenia? Dlaczego spóźnialiście się z dostawami jedzenia? Gdzie się podziała cała woda?

Igor długo nie chciał odpowiadać. Wsunął ręce do kieszeni, zadreptał w miejscu.

– Myśl szybciej – przynaglił go Jon. – Nadstawiam tu karku za

was wszystkich. Pomóż mi.

– Mało mamy jedzenia – powiedział Igor. – Mogę pokazać plantacje, jeśli nie wierzycie. Wszystkie grzyby zebraliśmy. Cztery świnie pozostały przy życiu. Filtry są zużyte, nie nadążamy z czyszczeniem.

– A prąd?

– Rusłan z dziewiątego bloku próbował podłączyć przedłużacz – przyznał Igor. – Wykryliśmy to na drugi dzień. Ale zapłaciliśmy za to karę. I zabraliście nam przewody.

– Po co poszliście do transformatora?

Igor ostatecznie się zmieszał.

– Dlaczego chcieliście go wysadzić? – zagrział Wasilij. – Gadaj, inaczej...

– Ciszej. – Jon wystawił rękę. – Bez przemocy.

W odpowiedzi Wasilij tylko głośno zasapał.

– Metrograd – wyszeptał Igor ledwie słyszalnie.

– Co? – Jon nachylił się do niego. – Głośniej.

– Był tu Metrograd – powtórzył Igor. – Zmusili nas...

– Metrogradzcy tu zesli? – Wasilij wybuchnął śmiechem. –

I dawno już wywiercili do was dziurkę?

– Niczego nie wiercili. Stąd nie ma wyjścia na powierzchnię.

– Więc jak się do was dostali?

– Od was.

– Że co?

– Przyszli tunelem. Nic więcej nie wiem.

– Boryspolska nigdy nie przyjmie stalkerów z Metrogradu! – zaryczał Wasilij. – Nigdy nie pozwolimy im przejść na nasze tyły naszym własnym tunelem!

– Zdaje się, że zrozumiałem – powiedział Jon. – Igor chce powiedzieć, że gdzieś w rejonie Boryspolskiej jest wyjście na powierzchnię. Bo jest, tak?

– No, i co z tego?!

– To, że stalkerzy Metrogradu przeszli tamtędy do Czerwonego Chutoru. Narzucili im haracz, zabrali wodę, wzięli jedzenie i próbowali dokonać dywersji w waszej maszynowni. Ale im się nie udało, bo ich przyłapaliście i zabiliście. I to oni zmusili

naczelnika Chutorzan, żeby im pomagał. Ale on też się na was nadział. I to wtedy zniknął wasz Żeńka. Podkreślam: nie zginął, lecz zniknął. Przecież nie znaleźliście ciała.

– Metrograd jeszcze ani razu nie brał niczego w metrze siłą – powiedział Wasilij z wściekłością. – Nigdy. Metrogradzcy są potrzebni do tego, żeby nam coś dostarczać. Wszystko, co cenne w metrze, jest też na zewnątrz. A czego nie ma, to można kupić i zapłacić tym, co tam, na powierzchni, wykopią. No dobra, przypuśćmy, że przyleźli tu jakoś przez wejście na Boryspolskiej. Czego chcą?

– Sprowokować was do napaści na Chutor – odparł Jon. – Nie wybiegałeś tak daleko wprzód?

Na twarzy Wasilija malowała się burza myśli.

– Niech będzie – powiedział wreszcie. – W takim razie kto mógł wpuścić ich na dół? Nie ma u nas tak głupich ludzi, żeby się z nimi zadawać. Nie, nie wpuścimy do siebie metrogradczyków. Po to właśnie tam zawsze stoi na warcie ktoś z naszych.

– A kto stał tamtej nocy dwa dni temu?

– Nikt inny jak tylko nasz lekarz.

– Matuzalem? – spytał Jon, wciąż jeszcze nie czując wagi tych słów.

– No.

Nauczyciel myślał, że Wasilij coś doda, ale ten uznał swoją odpowiedź za wystarczająco zrozumiałą.

– Matuzalem odpowiadał tamtej nocy za przejście z powierzchni?! – zawołał Jon niemal z przerażeniem. – Ten sam, z którym zostawiłem Elzę?

– Ale czego ty się boisz? Nasz lekarz to porządny chłop.

– Odwieźcie mnie z powrotem – polecił Jon. – I to szybko. Jak wrócę do Datapolis, zamelduję o waszej współpracy. Masz jakieś pytania?

– Na razie nie – odparł Wasilij, spoglądając na Igora z nienawiścią. – A te, które mam, na razie zostawię dla siebie.

– Żadnych wojen z Czerwonym Chutorem, jasne?

– Dziękuję – powiedział Igor nieomal z zachwytem.

Jon kiwnął mu głową i poszedł do drezwiny, czując na plecach

spojrzenia niczego nierozumiejących mieszkańców obu stacji.

- Aha, jeszcze ten automat. - Jon wskazał kałasznikowa. -  
Rekwiruję go. To wszystko, jedziemy.

## ROZDZIAŁ 13

### Pościg

Droga powrotna wydała się krótsza. Wasilij już się uspokoił, ale wciąż mienił się na twarzy – to czerwieniał, to bladł, nie podejmując rozmowy z nauczycielem. W końcu utkwiał wzrok w podłodze drezyny i zamyślił się. Pewnie nie był z niego żaden dowódca. Raczej zwykły robociarz z Boryspolskiej, prosty chłop i jak wszystkie chłopcy – człowiek orkiestra. Tu rury przykręcić, tam świnkę wyczyścić, a tu pogrozić automatem bezbronnemu przestraszonemu chłopczkowi. Do roli przywódcy grupy bojowej nadawał się nie bardziej niż Jon.

Kiedy pokazały się światła Boryspolskiej, Wasilij, jak się zdawało, podjął decyzję.

– Muszę cię przeprosić – powiedział ponuro do Jona. – Nie pomyślałem o prowokacji Metrogradu. Myślę, że ten Igorek nie zmyślał.

– Bywa – odezwał się Jon, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć.

– Cóż, nie myślałem, że ktoś z naszych może wpuścić do tunelu obcych, za plecami Kseni.

Wasilij najwyraźniej pluł sobie w brodę.

– Znajdźcie mi Matuzalema, a ja załatwię sprawę – obiecał Jon.

Drezyna stuknęła o obitą gumą barierkę. Jon wysiadł jako pierwszy, ani myśląc oddawać automat. Zresztą nikt go o niego nie poprosił. Jak oni w ogóle przetrwali przy takiej służalczości wobec stolicy? Stacja wydawała się na tyle autonomiczna, żeby w ogóle nie liczyć się z Cyprysem. Chociaż kto w ciężkich czasach dobrowolnie robi sobie wrogów?

– A dlaczego nikt nas nie wita? – spytał Jegorka. – Gdzie Kseniusza?

Z zachodniego rogu stacji dobiegał niespokojny gwar. Jon wyczuł, że stało się coś niedobrego, i rzucił się naprzód,

roztrącając mieszkańców łokciami. Przebiegł przez całą stację, przeskakując przez rulony polietylenu i zwoje stalowych lin, aż znalazł się przy niewielkiej odnodze prawego tunelu. Stłoczyli się tu zaniepokojeni ludzie.

– Co się stało? – spytał nauczyciel. – Przepuście mnie.

Pod sufitem leniwie bujała się lampa, słabo oświetlając wrota służy. Na posadzce leżały zwinięte dwie postacie. Jedną był całkiem młody chłopak z przestrzeloną głową. Druga to była Ksenia, zwinięta w kłębek w kałuży krwi.

– Co to? – spytał Wasilij, podbiegając.

– Matuzalem – odpowiedział ktoś krótko. – Wziął skądś automat, zabił ich...

– Gdzie on jest? – zapytał Jon, czując, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Znał już odpowiedź.

– Tam. – Chłopak drżącą ręką wskazał na wrota służy. – Uciekł z jakąś dziewczyną.

– Jak uciekł? Bez skafandra?!

– W służie są maski. Może je wzięli, nie wiem. Ksenia próbowała ich powstrzymać, on zaczął strzelać...

W tłumie zrobił się szum.

– Ranili mojego Wowę! Będzie teraz kuleć.

– Mojej Lence ucho odstrzelili! Kto ją teraz zechce na żonę?

Jon obrócił się do Wasilija.

– Idę za nim – powiedział. – Pomożesz?

– Za Kseniuszę bym poszedł – oznajmił poblady Wasilij. – Poszedłbym w każdej chwili. Ale jeśli jej nie ma, to teraz ja dowodzę. Nie wolno mi zostawiać stacji. Może któryś z chłopaków...

– Dobra, nie trzeba – powiedział Jon. – A czy w służie są maski?

– Jest skafander ochronny. Na ciebie może być trochę za mały.

– Do diabła ze skafandrem – rzucił Jon, przypominając sobie ekwipunek Feniksa. – Potrzebuję zamkniętego hełmu z butlą tlenową.

– Załatwione. Tylko dogoń drania.

Maskę rzeczywiście przynieśli szybko. Na Jona pasowała w sam raz.

Odmówił gumowanego kombinezonu i ograniczył się do dwóch butli, które zarzucił sobie na plecy. Dodatkowo wziął trzy magazynki do automatu i nowe rękawice, żałując, że nie może wezwać Ptaków na pomoc. Gdyby tylko nie stracił ładowarki na Wyrlicy!

– Nie czekajcie na mnie – powiedział Jon. – W każdym razie w najbliższym czasie. Ale jeśli zdołam znaleźć starego, to na pewno go przyprowadzę.

– Mam nadzieję – powiedział Wasia, całkiem już upadły na duchu.

W służbie Jon jeszcze raz naprędce sprawdził ekwipunek, czując, jak rośnie w nim wściekłość. Jeśli ten stary piernik zrobił coś Elzie...

Tylko po co ją zabrał?

Czyżby zdołał dotrzeć do jej umysłu?

Jeśli tak – czy dziewczyna przypomni sobie nauczyciela przy kolejnym spotkaniu?

Coraz więcej zbiegów okoliczności, które rosły jak kula śniegowa. Jon czuł, że przeoczył coś bardzo ważnego. Coś, co może wyjaśnić cały ten zwariowany dzień.

\*\*\*

Kiedy wrota się otwały, Jonowi zaparło dech. Całkiem zapomniał o upływie czasu.

Na zewnątrz było ciemno. Ulewa przesunęła się dalej na północ. Przed nauczycielem wyrosło ciemne miasto, przeszywające niebo wieżowcami, widocznymi na ułamek sekundy w świetle błyskawic. Nocne powietrze chłodziło odsłonięte fragmenty skóry, budząc z trudem tłumioną chęć, by nim odetchnąć – żeby po raz pierwszy w życiu poczuć jego prawdziwy smak.

Jon włączył latarkę, próbując określić kierunek pościgu. Instynktownie posuwał się na zachód, zdając sobie sprawę, że Matuzalem nie mógł wyprowadzić dziewczyny poza znaną strefę metra. Czerwony Chutor odpadał i Jon ucieszył się, że znajduje się na obrzeżach swojej cywilizacji. Przynajmniej wie, gdzie jest jej środek.



Pisk dozymetru nie obiecywał łatwej drogi, ale nauczyciel nie zamierzał wracać. Jeszcze ani razu żadne dziecko nie potrzebowało jego pomocy tak bardzo jak Elza teraz.

Jon nigdy nie był dobrym tropicielem. W tym momencie nie było to nawet potrzebne – od chwili, kiedy znalazł pierwszy znak. W błocie pokrywającym drogę widniały dwa rządki śladów. Jedne większe, drugie mniejsze. Przynajmniej do czegoś się przydał ten deszcz. Jon poszedł tym tropem, trzymając automat w gotowości.

Po niecałych pięciu minutach zobaczył przed sobą krótki błysk światła i pospiesznie zgasił własną latarkę. Nauczyciel pochylił się i szedł dalej, starając się nie hałasować. Po drodze natrafiał na kamienie i rosnące między nimi krzaki. Droga wydała mu się istną męką, ale nie odrywał wzroku od źródła światła, póki nie dostrzegł czterech postaci.

Elzę zauważył od razu.

Dziewczyna stała nieruchomo, Jon widział ją od tyłu, ale czuł, że jest kompletnie zagubiona. Matuzalem był tuż obok – zgarbiony, jednak przewyższający dziewczynę wzrostem. Starzec przytrzymał ją, jak się zdawało Jonowi, drżącymi rękami.

Przed nimi stało dwóch potężnych facetów w stalkerskich strojach. Ale od ludzi Kondora różnili się tym, że mieli hełmy i kamizelki kuloodporne.

Metrograd.

Jon podkradł się bliżej. Palce w rękawicach to zaciskały się na lufie automatu, to rozluźniały, gładziły bezpiecznik. Jon czuł, że zaczyna mu się to podobać.

Zdaje się, że Matuzalem negocjował coś z metrogradczykami, ale ze swojego miejsca nauczyciel nie mógł rozpoznać ani słowa. W końcu jeden z żołnierzy brutalnie złapał Elzę za ramię i mocno pociągnął. Przy szarpnięciu dziewczyna obróciła nieco głowę i Jon dojrzał, że na szczęście też ma na twarzy maskę ochronną. Widocznie dziewczyna była im potrzebna żywa.

Nauczyciel zastanawiał się, co ma robić – czy dalej ich obserwować, czy się wmieszać. Kiedy stalker chwycił dziewczynę za ramię, Elza spróbowała się wyrwać, i wtedy drugi uderzył ją

dłonią w potylicę, nie kryjąc szyderstwa.

Jon dłużej się nie wahał: wycelował i posłał mu kulę w nogę.

Za pierwszym razem chybił i prawie ogłuchł od wystrzału. Kula świsnęła o asfalt. Żołnierze też nie tracili czasu na darmo: jeden zasłonił się Elzą, drugi padł na ziemię i puścił stamtąd serię przed siebie.

Jon wystrzelił jeszcze trzy razy, pojedynczymi. Dwie kule trafiły leżącego w ramię, trzecia wbiła się w szyję. Żołnierz od razu wypuścił automat. Jego głowa przechyliła się nienaturalnie, a hełm oparł o ziemię.

Drugi żołnierz, zasłaniając się dziewczyną, wodził lufą przed sobą, ale wtedy wmieszał się Matuzalem – chwycił Elzę za rękę, pociągnął w swoją stronę. Żołnierz wystrzelił mu z przyłożenia w brzuch, samemu się przy tym odsłaniając.

Jon szybko wypuścił powietrze i nacisnął spust. Kula weszła żołnierzowi w środek twarzy, rozbijając maskę i odrzucając go w tył.

Jon rzucił się naprzód do drżącej Elzy i osuwającego się na drogę znachora. Wiedział już, że żołnierze Metrogradu nie dysponowali żadną grupą osłonową. Gdyby mieli snajpera, ten już by się włączył. Ledwo nauczyciel zdążył się zdziwić, że przychodzą mu do głowy takie detale, kiedy Elza zobaczyła go i wyciągnęła do niego rękę.

Jon objął ją, wpatrywał się w jej oczy, na tyle, na ile pozwalały wizjery masek. Z początku wydało mu się, że widzi przebłysk rozumu, ale dziewczyna wciąż była w tym samym stanie, w którym ją zostawił. Nie tyle płakała, co ryczała. Maską tłumiła prawie wszystkie dźwięki i od tego serce jeszcze bardziej rozboleło nauczyciela.

– Już, jestem z tobą – powiedział i popatrzył na doktora.

Ten umierał. Nie było żadnych szans, żeby zawlec go na Boryspolską.

Jon zerwał mu z twarzy niepotrzebną już maskę i nachylił się nad nim.

– Po co ją zabrałeś? – zapytał. – Czego się dowiedziałeś? Odpowiadaj!

- To ona - wyrzucił znachor, chwytając Jona za ochronną nakładkę na kolanie. - To Elza.

- Skąd ją znasz? Kim jest Dawid? Co się z nimi stało? Co to za rysunki? Pomóż mi, starcze. No, dawaj!

Znachor spojrział na niego, zebrał ostatnie myśli.

- *Flora* - powiedział. - Znajdź kompletny podręcznik.

- Co? - zapytał Jon w zdumieniu.

- *Flora* - powtórzył Matuzalem.

Doktor wymówił ostatnie słowo, powoli wypuszczając powietrze. Zaczął szcząkać zębami od przedśmiertnego zimna.

- Nie umieraj - błagał Jon, biorąc jego głowę w dłonie. - Pomóż mi, proszę.

Matuzalem znieruchomiał.

Jon delikatnie położył głowę lekarza na drodze, podniósł się i odwrócił dziewczynę od widoku trzech martwych ciał.

- Koniec - powiedział. - Wszystko się skończyło. Co on z tobą zrobił? Co oni chcieli z tobą zrobić?

Elza wparła mu się maską w pierś. Ponad jej głową Jon bezradnie patrzył na nocne miasto, tak obce i niebezpieczne, czując, jak kończą mu się siły.

## ROZDZIAŁ 14

### Patrol

Deszcz wciąż kropił.

Pierwszy odruch był prosty: schować się. Skryć się pod ziemią. Pod ziemią jest bezpiecznie. Ojczysty świat metra, który niegdyś zdawał się duży, teraz wyglądał na mały i niezgrabny, ale to była ciasnota własnego łóżka.

Nauczyciel się odwrócił. Wracać na Boryspolską? Gdyby nie Elza, tak właśnie by zrobił. Ale jak teraz wyjaśni nieobecność Matuzalema? Jak wyjaśnić, że starca nie ma wśród żywych? Znowu pojawią się pytania, na które nie będzie znał odpowiedzi.

Dziewczyna patrzyła na nauczyciela. Wyraźnie czekała, że ten wskaże, dokąd dalej iść. Że ją poprowadzi.

„Zabiłem trzech ludzi na moście – pomyślał Jon. – I jeszcze dwóch tutaj. Razem pięciu...”

Nauczyciel potrząsnął głową, odganiając grozę tej statystyki. Pięć trupów, a on nawet nie znał żadnego z nich, chociaż każdy w metrze ma swoją historię. Historię, która zapuści korzenie głęboko wzdłuż tuneli, dochodząc do Łukjanowskiej. Czy znowu będzie się teraz zajmować szkołą? I czy nie za wcześnie na takie pytania, przecież i tak trzeba na początek jakoś dostać się na dół...

Nauczyciel zdał sobie sprawę, że ulega panice. Tak, będziemy rozwiązywać po jednym problemie naraz. Istotnie trzeba dostać się na dół i tam dopiero się zastanawiać. Najprostszy sposób to wrócić na Boryspolską i liczyć na to, że ich wpuszczą. Nauczyciel bał się jednak pokazać tam z samą Elzą, bez Matuzalema. Po śmierci Kseni Wasilij pragnie zemsty, a na kim jej dokona, jeśli znachor nie żyje? Zresztą nie wiadomo, co tam z samym Wasilijem – czy nie przeprowadził przypadkiem błyskawicznych reform, a może stuknęli go w ciągu kilku minut.

Misja Jona była właściwie wypełniona. Doprowadził dziewczynę do Matuzalema, a ten nie zdołał lub nie zechciał jej pomóc.

„Ale niech mnie kule biją, jeśli nie znał dziewczyny!”

Co robił, kiedy był z nią sam na sam? Po co odesłał Jona? O co chciał ją wypytać? Przecież tu, na górze, czekali już na niego ludzie Metrogradu.

Nawiasem mówiąc, co to za ludzie?

Przewyciężając wstręt, Jon podszedł do trupa, nachylił się, przeszukał mu kieszenie. Nic oprócz zapasowych nabojów. Oczywiście to Metrograd, tak jak myślał. Nikt w metrze nie chodził w „ulicznym” pancerzu obliczonym na wszystko, tylko nie na ciasne tunele. Żaden z Ptaków takiego nie nosił.

Przeszukanie drugiego też nic nie dało.

Pozostał prosty plan: iść przed siebie. Chociaż łatwo było powiedzieć – iść. Jon nie miał tyle wiary w siebie, żeby zasuwac aż do Datapolis po powierzchni. A nawet jeśli tam dotrze, to co zobaczy oprócz bazy Metrogradu? Stolica jest przecież głęboko pod nim i w bok i nie ma swojej naziemnej śluzu.

Iść do bazy Ptaków? Podobno jest jeszcze dalej i wątpliwe, żeby zdołał ją odnaleźć. Nikt nie wiedział, gdzie tam jest zejście. I czy jest tam w ogóle z drużyny Kondora, czy w ogóle otworzą mu drzwi...?

Znów na Osokorki? Tam mają swoje problemy. Gdyby miał ładowarkę do latarki... dobra, niech ją szlag, nie ma co myśleć o przeszłości!

– Idziemy, maleńka – powiedział nauczyciel, trzymając Elzę za rękę.

Latarka oświetlała kałuże. Padające na nią krople wody były coraz gęstsze. Patrząc na nie, Jon przypomniał sobie o rzece.

– Łódka – powiedział nauczyciel. – Jeśli Feniks jej nie zabrał, to jakoś przepłyniemy. Postanowione.

Sam się sobie dziwiąc, nauczyciel zrobił krok naprzód, prosto w nocny Kijów.

Próbował trzymać się znanych sobie realiów. Metro jest gdzieś tutaj, w dole, obok. Trzeba iść wzdłuż zielonej linii. Jeśli znajdzie

się kryjówka, która będzie wyglądać solidnie, to można spróbować przeczekać noc. Chociaż do rana zwyczajnie skończy im się tlen w butlach, a nie był przekonany, czy zwykłe maski przeciwgazowe dość długo będą sobie radzić z powietrzem na zewnątrz.

Jedno było dobre: zielona linia w tej części miasta prowadziła wzdłuż prostej ulicy. Nauczyciel pamiętał nawet jej nazwę: Bażana. Nie wiedział, co było wcześniej – ulica czy metro i co dobudowano do czego. Wielu rzeczy nie wiedział o przedwojennym Kijowie. Praktycznie niczego ważnego, choć od dziecka chciwie słuchał opowieści starsuszków.

Jon zgasił latarkę, żeby poczuć ducha okolicy, ale zrobiła się taka ciemnica, że znów pstryknął włącznikiem. Stosowana w metrze taktyka „wrastania w ciemność” tutaj nie działała. Zmysły nie odpowiadały. Brakowało ścian ze wszystkich stron. Cokolwiek zrobisz, będziesz się tu czuł zagubiony.

Smuga światła padała na wraki samochodów. Każdy z nich przerażał go coraz bardziej. Nauczyciel ze wszystkich sił starał się zachowywać spokój, ale tego prawie już nie pozostało.

Minęli zmurszałą ciężarówkę ze strzępami gumy na kołach. Jeszcze pięćdziesiąt metrów dalej Jon nie mógł pozbyć się uczucia, że ciężarówka patrzy w ślad za nim.

Elza niczego się nie bała – pewnie nie rozumiała, gdzie są. Albo przeciwnie, rozumiała, gdzie nie ma niebezpieczeństwa. Nauczyciel sam chciałby znaleźć się w stanie całkowitego oderwania od rzeczywistości i wiedzieć, że ktoś prowadzi go za rękę.

Chociaż podejrzewał, że jego akurat prowadzą, tyle że nie wiedział, kto to konkretnie jest. Wokół niego działo się coś niedobrego i drażniło go, że nie mógł dogrzebać się do wszystkiego własnym intelektem. O tej okolicy wiedział tylko jedno: stalkerzy Kondora się tu nie zapuszczali. Powody mogły być prozaiczne – na przykład Metrograd już dawno wszystko stąd wyniósł...

Na jednym z domów poruszyło się coś wielkiego. Jon poświecił tam i zauważył masywne cielsko, które od razu zniknęło.

Natychmiast przyczał się za kolejnym wrakiem, chwycił automat, mocno przycisnął go do siebie.

Co za potwór mógł się tam znajdować? Zwykłe zwierzę czy mutant? Jon czekał, aż przestaną mu się trząść dłonie. Jak to mówił Feniks? Miasto jest pełne bezpiecznych miejsc, po prostu stalker, w odróżnieniu od nowicjusza, wie, gdzie ich szukać. Czy próbowali jakoś oznaczać bezpieczne przejścia?

Cholerny Feniks! Mógłby przynajmniej napomknąć, czego konkretnie się obawiać. Bestii, człowieka, ptaka, pogody, promieniowania, potrzasków, możliwych anomalii, min przeciwpiechotnych, granatów pułapek. Gdyby chociaż coś wskazywało bezpieczną trasę. Chociaż stadko szczurów.

Dobra, stwierdził nauczyciel, będzie trzeba poczuć się stalkerem. Jak pierwsi stalkerzy znajdowali bezpieczne przejścia?

Poprawka, pomyślał od razu Jon. Początkowo, kiedy pył wojny nieco opadł i pierwsi śmiałkowie wyleźli na zewnątrz, byli przecież tubylcami i doskonale znali miasto. On zaś nie znał go w ogóle. Nauczycielowi nie uśmiechało się znaleźć w sytuacji, w której nawet skazany na śmierć miał więcej szans na przeżycie niż on. Jeśli nawet ludzie, których kości dawno już ogryzły psy, orientowali się w mieście lepiej od niego, to co może zrobić on – człowiek, który spędził całe życie w zamkniętej przestrzeni?

Odpowiedź była prosta: zachować większą uważność. Jon posuwał się metr za metrem, starając się trzymać rytm. Kręcił głową na wszystkie strony, próbując filtrować informacje, oddzielając te ważne. Nie podbijał nowych przestrzeni – jedynie się przez nie przedzierał.

Ciekawe, czy Ptaki prowadziły kogoś nocami po powierzchni? Czy stalkerzy pozwalali iść za sobą, czy gnali prowadzonych przodem, żeby przyjęli na siebie pierwszy atak?

Nauczyciel zauważył drogowskaz na stację Osokorki i zatrzymał się, patrząc na niego ze zdumieniem. Czyżby doszedł tak daleko? Czyżby, krok po kroku, pokonał całą tę drogę, przemakając przy tym do nitki? W ogóle nie miał tej świadomości.

Było nieco za wcześnie, żeby się cieszyć. Dalej jest Sławutycz,

gdzie mieszkają kupcy, którzy próbowali go zabić. Złożyli na niego zlecenie wyłącznie załodze drezyny, czy też wszyscy żołnierze Scytii byli wtajemniczeni? Wówczas cała stacja byłaby przeciwko niemu.

Nie. Lepiej byłoby iść dalej, spróbować dotrzeć do łodzi Feniksa i znaleźć coś do wiosłowania. A potem tylko przedostać się na drugi brzeg. To już będzie terytorium, gdzie paszport z tą durną pieczętką coś znaczy.

Elza stuknęła nauczyciela w plecy. Odwróciwszy się, Jon podążył za jej wzrokiem i zobaczył na swojej piersi czerwoną kropkę. Elza natychmiast nakryła ją dłonią i punkt przesunął się na nią.

Celownik. Laser. Snajper!

Jon objął dziewczynę za szyję, pociągnął za sobą na ziemię. Wystrzał nie nastąpił. Zamiast tego oślepił go silny snop światła.

– Rzuć automat – odezwał się ktoś. – Stój spokojnie.

– Kim jesteście? – zawołał Jon, podnosząc ręce.

Strzelec, sądząc po świetle latarki, nie był wcale tak daleko. Dwaj mężczyźni stali parędziesiąt kroków od nich. Najlepszym wyjściem było zrobić to, czego Jon, jak sądził, potrzebował najbardziej – poprosić o pomoc.

– Zabłądziliśmy – powiedział. – Musimy zejść na dół, skryć się. Pomóżcie.

Jeden z tamtych podszedł do niego, przełączył latarkę na słabszy tryb pracy. Nauczycielowi udało się przyjrzeć jego strojowi. Nic wspólnego z Metrogradem, ale to też nie Ptaki.

– A kim jesteście? – zapytał Jon.

– Prawobrzeżny pododdział Scytii – odparł mężczyzna.

– Scytii?

– Weszliście na terytorium Sławutycza. Oddajcie broń i chodźcie z nami.

– Sławutycz... – Jon wstał, opuszczając ręce. – Wysyłacie zewnętrzne patrole?

Mężczyzna zabrał mu automat, cofnął się, przyjrzał się Elzie i jemu. Przekonawszy się, że nie mają broni, krótko kiwnął głową.



- Chodźcie z nami – powtórzył. – Do wyjaśnienia.
  - Ale to terytorium Osokorków.
  - Osokorki nie mają zewnętrznego terytorium. Idźcie naprzód.
- Pamiętajcie, że wszystko widzimy.
- Jon ciężko westchnął. Teraz rozumiał, czego konkretnie obawiał się Feniks.

## ROZDZIAŁ 15

### Przesłuchanie

Jon szedł, nie próbując nawiązać rozmowy z eskortującymi go mężczyznami. Myśli o ucieczce nawet nie przychodziły mu do głowy. Chodziło nie tyle o Elzę, ile o to, że nauczyciel czuł potrzebę jakiegokolwiek pomocy, choćby tak dziwnej. Potrzebował odrobinę świeżych informacji.

Dziewczyna wczepiła się w nauczyciela, ściskając mu lewą rękę aż do bólu. Był dla niej ratunkiem, a ona była ratunkiem dla niego.

Jon czuł się jak uczestnik gry w karty, w której nie był graczem, lecz kartą. I w tej talii Elza była kartą nieznaną. Może siódmką, a może jokerem. Sobie przypisywał nie więcej niż czwórkę. Sam raczej nie był potrzebny Metrogradowi.

Jeden strażnik szedł przodem, drugi z tyłu. Wszystko zgodnie z regułami konwojowania. Nauczyciel w myślach pożegnał się już ze swoim automatem. Oczywiście nie dostanie go z powrotem, tak jak poprzedniego. Może to i lepiej. I tak nie będzie miał z niego pożytku, tylko plecak obciąża. Może i czasem służył mu jako narzędzie ataku, jednak nauczyciel postrzegał automat w pierwszej kolejności jako środek obronny.

Doszli do wejścia na Sławutycz i wtedy nauczyciel zdał sobie sprawę, że jemu i Elzie bardzo się poszczęściło.

Idący przodem strażnik zdemontował trzy kolejne pułapki, ostrożnie zdejmując z nich granaty, z których każdy był starannie zapakowany w nierzucający się w oczy plastik. Drugi strażnik prowadził przy tym obserwację okolicy. Gdyby nauczyciel z Elzą nie natknęli się na patrol, ich droga zakończyłaby się znacznie wcześniej.

Samo wejście na stację nie było szczególnie ukryte, przeciwnie – oświetlili je. Jaki był sens ukrywać zejście do obiektu, który

pierwotnie zaprojektowano do obsługi milionów ludzi? I teraz nad wejściem świeciły słabe lampy, jakby mając każdego chętnego, by szedł przebojem i wpadł w pułapkę.

Weszli do środka. Teraz, w zamkniętej przestrzeni, Jon mocniej czuł na plecach wycelowaną w siebie lufę automatu. Trudno będzie w niego nie trafić.

Do tego było tu zadziwiająco dużo osób. Pięciu ludzi pod bronią. Nie wyglądali na zawodowców – zwykłe chłopy na dyżurze. Co prawda, żeby rozstać się z życiem, wystarczą i tacy. Dementiew z Datapolis też nie robił dużego wrażenia, ale nie dałby szans żadnemu młodziakowi.

– Oleżka, to ty? – Jeden z facetów zmrużył oczy. – Kogo wy tam macie?

Popatrzył ze zdziwieniem na Elzę, potem na Jona.

– Czerwoni? – zapytał.

Nauczyciel zamarł. Pytanie zabrzmiało tak, jakby czerwonych rozstrzeliwali tu całymi setkami, kiedy tylko złapią jakichś kręcących się w pobliżu. Zaraz ich tu załatwią. Jon nie zdążył się odwrócić, kiedy wszyscy obecni zarechotali, sprawiając, że dziewczyna drgnęła.

Jasne, czerwoni tu będą łązić. Dobry dowcip. Na twarz Jona zaczął wychodzić zdradziecki uśmiech, ale nauczyciel się opanował.

– Prowadź ich do Bobra, Oleg – wydał rozkaz ten sam facet.

Nauczyciel przestraszył się jeszcze bardziej. Jaki znowu bóbr? Jakiś krwiożerczy dzik na miejscowej arenie, którego kły wkrótce zacisną się na świeżym mięsie? Czy to nazwa wyrafinowanego, sadystycznego narzędzia tortur?

Członkowie patrolu zostali przy wejściu, Jon nie słyszał już, o czym rozmawiają. Nauczyciela z dziewczyną poprowadzili w dół ruchomymi schodami – rzecz jasna wyłączonymi. Jeśli nawet lampy na zewnątrz mogły służyć jakiemuś celowi, to tracić drogocenną energię na schody byłoby po prostu głupie. Choć Jon nie wątpił, że te pewnie działały. Sławutycz był uważany za stację zamożną, mógł sobie pozwolić na wiele.

Zeszli i znaleźli się tuż przed wejściem na samą stację. Wejście

to stanowiły masywne wzmocnione wrota. Konwojent nacisnął przycisk ukryty za kolumną. Nad wrotami zapaliła się czerwona żarówka. Zwyczajny elektryczny dzwonek.

Drzwi otworzyły się mniej więcej do połowy.

– Wejdźcie – powiedział patrolowy.

I nauczyciel wprowadził Elżę do środka.

Tutaj, według standardów Łukjanowskiej, było już całkiem jasno. Tu też Jon zdał sobie sprawę, że poprzednie drzwi nie były ostatnie i trafił nie na stację, ale do poprzedzającego ją westybulu. Przed nimi widniała jeszcze jedna zaporą – szeroka, każde skrzydło miało ze trzy metry, z dużymi otworami, zaciągniętymi grubą metalową siatką. Zza niej wyglądała już prawdziwa stacja Sławutycz z paroma setkami mieszkańców. Zza zapory przebijało się też naprawdę jasne światło. Jon widział tylko zarysy kolumn, których wspaniałości nie mogła skryć siatka. Stamtąd też przenikały przepyszne, wprost oszałamiające zapachy najrozmaitszych potraw. Rozlegały się pozbawione agresji okrzyki – piski maleńkich dzieci i odgłosy zwykłej stacyjnej egzystencji.

– Czekajcie tutaj – nakazał konwojent, wciąż stojący obok.

Jon czekał z niejasnym smutkiem. Spodziewał się napotkać tu cały garnizon zabójców, gotowych chwycić za broń. A Sławutycz okazał się tylko jeszcze jedną stacją, na której mieszkali najzwyczajniejsi ludzie. Przy czym byli to ludzie szczęśliwi.

Otworzyły się jedne z bocznych drzwi. Ukazała się w nich wysoka postać. Metr dziewięćdziesiąt, co najmniej. Mężczyźni popatrzyli na niego z szacunkiem. Był barczysty i przy tym mocno nabity, jakby mógł być jeszcze większy, ale ciągną biegająca mocno go wysuszyła. Niemłody i niestary. Po prostu doświadczony facet, który wiele w życiu widział.

– Hej, Bóbr – powiedział patrolowy. – Zgarnęliśmy tych ludzi na powierzchnię.

A więc to był Bóbr.

– Światło – rozkazał krótko dowódca.

Zahuczał reflektor. Jon musiał zmrużyć oczy.

– Stój spokojnie – poprosił Bóbr cicho. – Macie dokumenty?

Jon w milczeniu pokazał paszport, z nadzieją, że teraz papierek zadziała jak trzeba. Bóbr uważnie przestudiował każdą linijkę, obrócił paszport, żeby przeczytać napis na pieczętce Cyprysa. Zwrócił dokument nauczycielowi.

– Wchodźcie pojedynczo – powiedział. – Dziewczyna pierwsza.

– Ona nie może mówić – powiedział Jon.

– Powiedzieli ci, żebyś czekał tutaj – odezwał się konwojent, łapiąc Jona za ramię.

Nie było rady. Nauczyciel łagodnie uwolnił się z uścisku Elzy. Ta popatrzyła na niego pytająco. Jon popchnął ją lekko w stronę drzwi.

Kiedy znalazła się z Bobrem w środku, nauczyciel wyteżył słuch. Zza drzwi dobiegała przemowa Bobra. Jego słowa zagłuszały odgłosy życia stacji i nauczyciel prawie niczego nie usłyszał.

Po chwili drzwi znów się otworzyły. Tym razem naczelnik okazał zniecierpliwienie.

– Może tłumaczyć? – zapytał.

– Ona nie mówi – przypomniał nauczyciel. – Ale mogę odpowiedzieć za nią na wszystkie pytania. Ufa tylko mnie i cała komunikacja z nią przechodzi przeze mnie.

– Dobra, ty też wejdź. – Bóbr machnął ręką.

Jon wszedł. Pokój był urządzony prosto: kilka krzeseł, stół, jakby ochrona stacji spokojnie rżnęła tu w karty, kiedy nie było nic do roboty. Cały wystrój był skromny, nawet ubogi.

– Kim jesteście, dokąd idziecie? – zapytał Bóbr.

Jon uznał, że nie ma potrzeby opowiadać wszystkiego szczegółowo. O Metrogradzie na pewno niczego nie powie, dopóki wprost o to nie zapytają.

Wersji odpowiedzi też nie było wiele.

– Jesteśmy z Boryspolskiej – powiedział. – Dziewczyna jest chora umysłowo. Jeden z mieszkańców próbował ją porwać, ranił swojego człowieka, ukradł maski i wyszedł z dziewczyną na powierzchnię. Tam próbował ją komuś przekazać. Ruszyłem na pomoc. Doszło do starcia, w którym ten mieszkaniec zginął. Napastnicy się ukryli i nie wiem, kto to był.

– Jak nazywał się zabity?

– Matuzalem.

Sądząc z miny Bobra, to imię nic mu nie mówiło. Jon patrzył niespokojnie na Elzę i nagle domyślił się, co konkretnie nie podobało się naczelnikowi posterunku – jeśli rzeczywiście Bóbr kierował ochroną posterunku, a nie całą stacją. Elza była mu niepotrzebna, podobnie jak nauczyciel. Po prostu przypadki porywania ludzi z pewnością nie były dla niego nowością. Możliwe nawet, że w tej kwestii Bóbr był po stronie Jona.

– Więc nie wiesz, komu chciał przekazać dziewczynę? – zapytał Bóbr.

– Nie wiem.

– A co robiliście tak daleko od Boryspolskiej?

To było pytanie, które mogło mocno utrudnić mu życie.

– Jeśli jesteście z Boryspolskiej, to skąd się wzięliście obok Sławutycza? – powtórzył naczelnik.

– Powiedziałem przecież, że ścigałem porywacza – odparł nauczyciel. – Dogoniłem ich tu, niedaleko.

– To twoja odpowiedź?

– Innej nie mam. Myślę, że po prostu zabłądziliśmy. Jeszcze nigdy nie byłem na Bażana, ale gwarantuję, że do was nie zśliśmy. Nie mamy żadnego związku ze Sławutyczem. Niczego nam tu nie trzeba.

Bóbr dalej o czymś rozmyślał.

– Dokąd mogliśmy iść? – ciągnął Jon. – Przecież dalej jest tylko rzeka.

– Czyli co? – zapytał Bóbr. – Proponujesz, żebyśmy dostarczyli was z powrotem na Boryspolską?

Taki układ nie podobał się Jonowi, ale to było lepsze niż coś innego. Zresztą jaki mieli wybór? Ochrona i tak nie zaprowadzi ich do samej Boryspolskiej tylko po to, żeby się przekonać, że nie kłamie. I nie jest jeszcze pewne, czy w ogóle ich doprowadzą – może po prostu wypchną na powierzchnię albo w najgorszym razie do wschodniego tunelu. Może nawet zwrócić mu automat. Jona urządziło w zasadzie jedno i drugie.

Najśmieszniejsze, że serdeczne przyjęcie skończyłoby się dla Elzy i niego znacznie większymi nieprzyjemnościami – gdyby

wpuścili ich na stację. Tam akurat nie wolno im było iść. Dokładnie za tą siatką znajdowali się uchodźcy, razem z którymi przeprowadzał się przez metromost. Ktoś z pierwszej drezyny mógł ich rozpoznać i powiedzieć za dużo. A potem zaczęłyby się nieuniknione pytania mające na celu wyjaśnienie, gdzie przepadła druga drezyna i trójka „naszych”.

– Fajnie by było wrócić na Boryspolską – powiedział Jon z nadzieją w głosie. – A może pan pomóc?

Bóbr pomyślał. Już miał ogłosić decyzję, ale Jon nigdy się nie dowiedział, co zdecydował naczelnik.

Brzęknął telefon na stole. Bóbr podniósł słuchawkę. Połączenie było dość głośne, Jon mógł słyszeć głos niewidocznego rozmówcy.

– Mamy tu problem – powiedział ktoś. – Przestał milczeć. Teraz śpiewa *Ocean Elzy*.

Jon nie zrozumiał, co to znaczy. Jaki znowu ocean? Jaka znowu Elza? Wtedy go zmroziło – przecież to imię siedzącej obok niego dziewczyny – i otworzył usta ze zdumienia.

Na szczęście Bóbr w tym momencie nerwowo oglądał blat stołu ze słuchawką przyciśniętą do ucha i niczego nie zauważył.

– Na wszelki wypadek popilnuj go tam – powiedział, zaciekle pocierając nos. – Może coś powie.

– Zorientujemy się.

– Chociaż nie. Czekać. Sam wyjdę.

Bóbr wyprostował się, wyciągnął pistolet. Jon skulił się, przygotował, by w razie czego poderwać krzesło i przygrzać nim naczelnikowi w głowę. Szacował właśnie, której części krzesła żaden Bóbr nie przegryzie, kiedy zdał sobie sprawę, że naczelnik nie zwracał na niego uwagi – pistolet nie był dla nich.

– Siedźcie tu – polecił naczelnik. – Zaraz wrócę.

Wyszedł i zamknął drzwi od drugiej strony. Nauczyciel usłyszał szcęknięcie zasuwki. W milczeniu patrzył na Elzę, nie wiedząc, co dalej robić.

Potem ze szpary pod drzwiami zaczął lecieć dym.

Jon zerwał się, chwycił z drewnianego haka białą sfatygowaną kurtkę – najwidoczniej należącą do Bobra. Na ile było to możliwe,

zatkał nią szczelinę pod drzwiami.

Wybuch.

Huk.

Seria wstrząsów.

Elza krzyknęła i Jon od razu wepchnął ją pod stół, gdzie sam też się schował. Tam czekał, nasłuchując ze wszystkich sił i nie odrywając wzroku od drzwi.

Doszło do krótkiej strzelaniny, potem drzwi się otworzyły. Nad leżącą kurtką bił dym, w którym pokazały się czyjeś buciory.

– Panowie – zabrzmiał nieznajomy głos. – Czymkolwiek się tam zajmujecie, czas spadać do domu.



## ROZDZIAŁ 16

### Wariant

Wypchnęli Jona i Elzę na zewnątrz – bezceremonialnie, ale bez przesady. Elza zaczęła płakać. Jej płacz mieszał się z kaszlem i Jonowi było jej nieznośnie żal. Ale jednak miał poczucie, że nagła interwencja nieznajomych nie pogorszy ich sytuacji. Ucieszył się nawet, że nie widzi miny dziewczyny, bo ta – wyraźnie z przyzwyczajenia – zasłaniała twarz. W Datapolis przy czyszczeniu skażonych fragmentów stosuje się mnóstwo różnych świństw. Prawdopodobnie właśnie Tatiana nauczyła dziewczynę prostych metod ochrony i teraz nauczyciel był jej za to wdzięczny.

Dym trochę gryzł w oczy, ale Jon wiedział już, że nie był trujący. Najprawdopodobniej prymitywny granat dymny, wykorzystany, miał nadzieję, by bezpiecznie podejść.

Na prawo od schodów ruchomych na posadzce leżały zwinięte dwa ciała. Jeden ranny ścisnął przestrzeloną nogę, drugi – przedramię. Starcie było błyskawiczne.

Jona prowadzili dalej, na powierzchnię. Mniej więcej w połowie schodów przycisnęli go do poręczy i Jon odkrył, że towarzyszących mu ludzi było tylko trzech.

– Posłuchaj no – wycedził jeden z nich, nachylając się bliżej. – Macie dwadzieścia sekund, żeby założyć maski. Inaczej was tu zostawiamy.

Wsunął nauczycielowi w dłoń dwie maski – tym razem bez żadnych butli, z prostymi filtrami. Jon poświęcił piętnaście sekund, żeby założyć maskę Elzie. Drugą po prostu przyłożył sobie do twarzy, mając nadzieję, że przeszedł test. Broni mu nie dali, ale to byłby już nadmiar luksusu.

Stojący przed nim człowiek kiwnął głową i ruszyli dalej w górę.

Znów nocny Kijów. Jonowi już się poplątało, gdzie jest

bezpieczniej – na dole, na górze, z lewej, z prawej.

– Za nami.

Jon usłyszał polecenie i ruszył za tamtą trójką.

Tym razem za jego plecami nie było zamykającego. Być może Elzę i jego zostawili za sobą właśnie na wypadek strażów w plecy.

Trzej nieznajomi podążali na wschód po śladach patrolu wchodzącego do środka. Tylko ta grupa szła znacznie szybciej. W ich ruchach było coś znajomego, coś, co nauczyciel widział zupełnie niedawno.

Idący przodem wskazał ręką w stronę domów. Wszyscy skręcili w tamtym kierunku.

– Dobra, stop – powiedział prowadzący i pozostali dwaj jego ludzie znieruchomieli, tak że wszyscy razem tworzyli trójkąt równoramienny.

Jon i Elza znaleźli się w jego środku.

– Kim jesteście? – spytał nauczyciel.

– Jak to kim? – zdziwił się przywódca trójki. – Nie poznałeś nas czy co? Jesteśmy stalkerami. Ptaki Kondora. Ja jestem Bocian, to jest Kruk i Wróbel.

Dowódca skierował sobie światło latarki na hełm, trzymając ją nieco z boku. Jon i tak nie mógł dojrzeć jego twarzy, ale ocenił gest jako gwarancję uczciwości.

– Teraz sobie przypomniałeś?

– Tak – powiedział Jon i poczuł silną ulgę. – Przepraszam, nie zapamiętałem wtedy waszych twarzy... Nie miałem do tego głowy. A jak nas znaleźliście? Miałem jeszcze jeden nadajnik?

– Nie. Nawiasem mówiąc, gdzie twoja ładowarka? Zgubiłeś?

– Zgubiłem – przyznał Jon. – Na Wyrlicy.

– No jasne – westchnął Bocian i filtr jego maski zasyczał ze skargą. Widocznie był już zużyty. – Dobra, słuchaj. To, że was znaleźliśmy, możesz uważać za duży fart. Dlatego że, jak sam rozumiesz, nie szliśmy wcale po was. Szliśmy po Kruka.

– Więc to jego przetrzymywano na Sławutyczu. – Jon obejrzał się na Kruka.

– Tak jakby. Wyjaśnię wszystko w skrócie. Metrograd rozrabia

i grozi Datapolis wojną. Na razie raczej wymachuje automatami, niż strzela. Spacerzy po powierzchni są teraz bardziej niebezpieczne niż zwykle. Wszyscy są nerwowi. Sławutycz wysłał patrole. Mieli rozkaz łapać każdego, kogo zobaczą. Mieliście szczęście, że nie zastrzelili was na miejscu.

– Spotkałem dwóch metrogradczyków przy Boryspolskiej – powiedział Jon. – Chcieli zabrać Elżę i musiałem z nimi walczyć. Położyłem obu. Tak.

– Daleko się zapuszczają, dranie – powiedział Wróbel.

Zdawało się, że żaden z trójki Ptaków nie zwrócił najmniejszej uwagi na fakt, że zwykły chłopak bez przygotowania, zajmujący się staromodnym nauczaniem, zabił dwóch żołnierzy. Nie podali nawet w wątpliwość jego słów.

– Nawiasem mówiąc, nie wyjaśniliście, kim jest Dawid – dociekał nauczyciel.

– Niezbyt się orientuję. Nie mamy o nim żadnych wiadomości. Ale chodzi taka wersja, że Metrograd wariuje właśnie przez tego waszego faceta. Może to dla nich ktoś ważny? Może go nasłali? Może jeszcze co innego. Powiedzmy, agent, który wpadł przez misję na powierzchnię. Albo zbieg. Możliwe, że dziewczyna też jest im potrzebna. Ale jak tam wasza sprawa? Nie wyjaśniłeś, co ona wie?

– Dotarłem do lekarza – powiedział Jon. – Ale dziwnie się zachował. Wykorzystał mój udział w misji na sąsiednią stację i postanowił wydać Elżę Metrogradowi. Nawet postrzelił paru mieszkańców stacji. Wyraźnie miał kontakt z Metrogradem, jakoś ich przecież wezwał. A oni podejrzanie szybko przyszli.

– Aha. Co dalej?

– Odbiłem Elżę, ale... doktor też zginął w zamieszaniu.

– Cholera jasna – westchnął Bocian. – Znów jesteśmy w punkcie wyjścia. Krótko mówiąc, słuchaj, co zrobimy. Trzeba ruszać do domu, wszyscy razem. Wspólnie dojdziemy. Droga jest długa, ale trzeba dotrzeć na miejsce przed świtem.

– A co będzie o świcie? Metrograd zaatakuję?

– Nie. Po prostu od rana zaczną latać pterol.

– Kto?

– Pterodaktyl. Jeden z nielicznych stworów, który śpi w nocy. Więc tak. Idziemy do północnego mostu. Potem...

– Nie musimy iść przez most – powiedział Jon. – Tu niedaleko jest łódka Feniksa. Oczywiście jeśli sam nigdzie nią nie popłynął.

– Że co? Feniks ma łódkę?

– No tak. Teraz jest gdzieś tutaj, na brzegu.

– Ciekawe. Chodźmy, pokażesz, gdzie jest.

\*\*\*

Jon szedł dokładnie po śladach stalkerów. Lewa ręka bolała go już od siniaków, które pozostawiała trzymająca się go kurczowo Elza. Nauczyciel czuł, że jeszcze za tym bólem zateśni.

Kiedy dotarli do łodzi, ta była na miejscu, nakryta kawałkiem brezentu, z parą wiosł na dnie i leżącym pod nią bosakiem. Kruk z Wróblem szybko doprowadzili drewniany stateczek do stanu gotowości.

– Wsiadamy – burknął Kruk przez maskę. – Damy przodem.

Po minucie łódka już powoli płynęła przez ciche wody rzeki.

– W wodzie są potwory? – zapytał Jon.

– Cholera wie. – Wróbel wzruszył ramionami. – Nie wierz za bardzo w te strachy, odnosiły się do wcześniejszych lat. Mało co z tego plugastwa przeżyło. Ale woda i tak mocno promieniuje.

– Słuchaj, zarysuję krótko sytuację – powiedział znów Bocian. – Cyprys umówił się z Kondorem na wzajemną pomoc na wypadek gorącej fazy wojny z Metrogradem. My jesteśmy jego oczami i uszami na powierzchni. On daje nam wsparcie z dołu i tymczasową bazę w stolicy, w razie gdybyśmy stracili naszą Ślužę. A Metrograd ma sojusz ze Scytami. A więc z Cymerią też. To znaczy, że po ich stronie jest Kontraktowa, Złote Wrota, Poczta i Taras, aż do Pietrowki. Dalsza północ zachowuje neutralność. Do Datapolis, oczywiście, nie będą się pchać. Dlatego sojusznicy Metrogradu na dole to Scytia i Cymeria. I to oni zaczęli kaptować Sławutycz, dodatkowo wykorzystując uchodźców z Wydubicz zarówno jako zakładników, jak i potencjalną siłę bojową.

– To dlatego Scytowie zastawili na nas pułapkę – stwierdził

nauczyciel. – Myślałem, że Metrograd dał zlecenie, ale mogli sami to uknuć. Uznali, że jesteśmy prowokatorami ze stolicy. Że jedziemy podburzać do powstania.

– Był na was zamach? Gdzie?

Nauczyciel opowiedział o epizodzie na moście.

– Tak – zgodził się Bocian. – Mogło być i tak.

– A co się działo na Sławutyczu? – zapytał Jon.

– Ja wyjaśnię – powiedział Kruk, wciąż wiosłując. – Między Scytią i Cymerią jest sojusz ekonomiczny, zgadza się? A więc wojskowy też. Faktem jest, że podsycali nastroje na całej południowo-wschodniej odnodze. Teoretycznie mogą zagarnąć wszystko na wschód od Sławutycza. Nie ma tam kto stawiać oporu, zresztą nikt tego nie chce. Broni na stacjach prawie nie ma. Mieszkańcy przywykli, że wszystko mają gotowe. Sławutycz jest ich doskonałą bazą przeładunkową. Jeśli razem rąbną w Datapolis, to pójdzie taki huk, że zwałą się wam wszystkie drzewa w stolicy.

– Właśnie – przytaknął Bocian. – Cyprys wprowadził nas w sytuację. Poprosił o pomoc. Nie chce prowadzić otwartej wojny ze Scytią. Ale pozycje Cymerii na Sławutyczu należało podkopać. Jest zresztą dobry powód, bez pozwolenia Cyprysa nie mieli prawa się zbroić. Nie na darmo pozwalano im bezpłatnie przechodzić przez stolicę. Poprosili więc nas, żebyśmy załatwili sprawę.

– Jeśli Sławutycz przycichnie, Scytowie zrobią to samo – powiedział Wróbel. – Nasi zyskaliby czas na dogadanie się z Metrogradem. A wtedy podciągną sojusznicy z północy.

Jon w końcu pogubił się w politycznych intrygach metra. A jednak przypomniał sobie o ważnym szczególe.

– Postanowiliście zaatakować Sławutycz, żeby uderzyć na tyły Scytii?

– No, powiedzmy, że zgodłeś – powiedział Bocian. – Ale od razu zaatakować? Przecież żaden z nas nie jest Rambo.

– Kim?

– Nieważne, zapomnij. Słowem, postanowiliśmy zorganizować małą dywersję. Kruk przeniknął tam za dnia, żeby unieszkodliwić

broń. Nie pytaj jak.

– A potem go wykryli? – zapytał Jon.

– Mieli go wykryć. Gdyby go nie schwytali, znalazłby się na stacji wśród mieszkańców, skąd nie ma łatwego wyjścia. Znacznie lepiej było siedzieć w karczerze przy ruchomych schodach.

– Bocian i ja czekaliśmy na zewnątrz na wyznaczoną godzinę – powiedział Wróbel. – I mocno się zdziwiliśmy, widząc, jak prowadzą was pod lufami pistoletów. Powinniście być w drodze na Boryspolską. Lepiej dla was było tam zostać, póki konflikt się nie uspokoi. Za to patrol zdjął swoje granaty-pułapki, przez co zaoszczędzili nam mnóstwo roboty.

– I wtedy postanowiliście zaatakować?

– Postanowiliśmy wejść, kiedy przyjdzie pora, żeby Kruk był gotowy. Wasze pojawienie się było nam na rękę, odciągnęliście ich uwagę.

– To dlatego Kruk śpiewał piosenkę – powiedział Jon. – Wiedziałeś, że po ciebie przyjdą. Nawiasem mówiąc, co ma do tego Elza?

– To znaczy?

– Ochrona mówiła, że śpiewałeś o jakimś oceanie i była tam też Elza.

– Po prostu był kiedyś taki zespół – powiedział Kruk. – Pewnie nie pamiętasz, albo w ogóle cię jeszcze nie było. Zresztą syn ich perkusisty dorabia teraz na Kontraktowej jako bard. Gdzieś na Obołoniu orałby przy tokarce. A na Kontraktowej można choćby kręcić się na głowie, zawsze zarobisz.

Łódka wciąż powoli ślizgała się po rzece. Przez gęste chmury ledwie przesączało się światło księżyca. Jon odkrył, że ani razu nie widział prawdziwego księżyca, ale przy tym zupełnie nie był zdziwiony. Prawdopodobnie reakcja pojawi się później, kiedy wróci na Łukjanowską. Oczywiście, jeśli wróci.

– Udało ci się zepsuć ich broń? – zapytał Jon.

– Nie. Wstyd się przyznać, ale jej nie znalazłem. Może potrzeba było więcej czasu.

– Czas by nie pomógł. Na Sławutyczu nie ma broni.

– Jak to? Skąd wiesz?

– Wywieźli ją dalej na południe. Już w ciągu dnia skrzynie z bronią były na Osokorkach.

– No jasne – powiedział zmieszany Bocian. – A my nie wiedzieliśmy. Są o krok przed nami. Niedobrze.

– Słuchajcie – zwrócił się do nich Jon. – Po co w ogóle Metrogradowi metro? Postanowili rozrastać się w dół? Mają przecież do dyspozycji cały Kijów.

– Nie mam pojęcia – pokręcił głową Bocian. – To nie ich pierwsza próba. Wiem, że kiedyś chcieli zająć stację czerwonej linii. Ale im się nie udało.

– Jak to zająć? – Jon nie zrozumiał. – Przecież tam nie ma dostępu. Ani jednego wejścia. Gdyby było, wszyscy od razu by się o tym dowiedzieli. Czegoś takiego się nie ukryje. No i nikt nie wie, co się stało z czerwonymi.

– Nie wie? – odezwał się Wróbel.

– A wy to niby wiecie?

Stalkerzy spojrzeli po sobie.

– A co wy tam w ogóle w metrze wiecie o czerwonej linii? – spytał Bocian. – Co u was na dole o tym mówią?

Nauczyciel odkopał w pamięci wszystko, o czym postanowił kiedyś nie opowiadać dzieciom.

– Znamy teorię Czerwonego Wariantu. Po wojnie wszystkie zejścia i korytarze prowadzące na czerwoną linię okazały się zasypane na amen. Tam, w dole, nikogo i niczego nie ma. Poza tym minęło tyle lat. Może nie ma tam już nawet pustej przestrzeni. Czy jest coś, o czym nie wiem?

– Chłopcze, los czerwonej linii kijowskiego metra jest dobrze znany – stwierdził Bocian. – Tak najogólniej. Tym, którzy są w temacie. Ale nie dziwi mnie, że nie powiedzieli o nim prostym obywatelom.

– Jak to? – Jon nie uwierzył.

– A tak to. Masz rację, że wszystkie przejścia są zamurowane i za naszej pamięci nikt się tam nie przedostał. Ale nie masz racji, twierdząc, że nikt nie wie, co właściwie się tam wydarzyło. Bo możesz mi wierzyć, akurat o tym wiadomo bardzo dobrze.

I tłumaczy to wiele z obecnych działań Metrogradu.

Jona zmroziło. Poczuł się małym trybikiem w gigantycznej maszynie, do tego jedynym trybikiem, który nie wie, po co się to wszystko kręci i jakie konkretnie jest jego przeznaczenie.

– Możecie mi powiedzieć, co się stało z czerwoną linią? – zapytał, nie mając pewności, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Wybacz – odparł Bocian. – Nie możemy ci powiedzieć. Ścisłej, możemy, ale po prostu nie mamy prawa. Zadzaj te pytania Cyprysowi po tym, jak wrócimy.

– Opowiedz mi. Proszę.

– Chłopcze, zrozum, mamy sojusz z Cyprysem. Nie możemy ujawniać tego, co chciałby zachować w tajemnicy. Wybacz. Jeśli zwierzchnik stolicy Krzyża chce ukryć prawdę, musimy to uszanować. Jednocześnie nie mniej szanujemy twoje pragnienie jej poznania.

– Sam z nim pomów – powiedział Wróbel.

– Ale... – Jon potarł czoło. – Jeśli przez cały ten czas los czerwonych był znany, to po co to ukrywali? Mam na myśli sam fakt, że wiedzą. Nie trzeba było zasnuwać wszystkiego taką mgłą. Wymyśliliby coś na odwal się. Na przykład, że wszyscy wylecieli w powietrze. Ale konstruować teorię spiskową... po co? W pierwszych latach może i było to potrzebne. A teraz po co?

– Myślę, że były powody – powiedział Bocian. – Ale mogę ci dać delikatną podpowiedź. Pomyśl, co jest w ogóle potrzebne, żeby nagle zniknęły wszystkie drogi prowadzące do całej linii metra, z setkami otwartych i technicznych korytarzy, o których większość cywili nie ma pojęcia? Przecież wątpliwe, żeby w mieście była chociaż jedna osoba, która znałaby dokładnie wszelkie przejścia, a do tego sposoby, żeby zablokować je wszystkie co do jednego.

Jon słuchał uważnie, sądząc, że Bocian powie coś jeszcze, ale stalker umilkł.

Łódka łagodnie uderzyła o brzeg.

– Koniec, można odetchnąć. – Wróbel zeskoczył na piasek. – To już, można powiedzieć, nasza ziemia. Jesteśmy tu jak w domu. Ale nadstawiamy uszu. Możemy tu spotkać metrogradczyków.



Chociaż zwykle się tu do nas nie pchają...

– Idź za nami – polecił Bocian. – I zastanów się nad tym, co powiedziałem.

Nauczyciel objął Elzę za ramiona i odezwał się:

– Posłuchaj, mam jeszcze jedno pytanie. Na Boryspolskiej powiedzieli mi, że muszę znaleźć pełny egzemplarz *Flory*. Wtedy dowiem się, co się stało z Elzą. Nie macie przypadkiem kompletnego podręcznika? Zdaję sobie sprawę, że to cenna rzecz, ale oddam.

– Nie. – Bocian roześmiał się. – Gdybyśmy mieli, wymienilibyśmy go. Na przykład na dwadzieścia skrzynek nabołów. Wiesz, szukaliśmy tej książki.

– Po co?

– Cóż, ma swoją wartość, a waży niewiele.

– Szkoda – westchnął nauczyciel. – Myślałem, że chociaż wy będziecie mogli pomóc.

Jon naprędce przypomniał sobie wszystkie ważne wydarzenia ze swojej podróży, w myślach zdając już meldunek zwierzchnikowi. Wciąż nie mógł zrozumieć, czy wyprawa zakończyła się sukcesem czy fiaskiem. Jakkolwiek było, jeśli Elza i on wrócili żywi, to było już coś. I teraz wiedział chociaż, jakie ma zadawać pytania.

### III

## WYJAŚNIENIE

---

### ROZDZIAŁ 1

#### Werdykt

Łódkę Feniksa zostawili na piasku przykrytą tym samym kawałkiem brezentu. Jon nie odwracał się w jej kierunku, jakby łódź przypominała mu o tym, czego nie zdążył albo nie chciał zrobić podczas swojej wyprawy.

Miasto coraz bardziej go przerażało. Opóźniona reakcja na stres okazała się jednak nie dość opóźniona. Jon starał się trzymać, póki starczało mu sił. Szedł, przyciskając Elzę do siebie. Idący przodem stalkerzy o czymś rozmawiali, ale Jon prawie ich nie słuchał. Stopniowo zaczął go przytłaczać nadmiar informacji.

Wabił go świat na dole, wabił świat na powierzchni. Czuł, że nie może połączyć ich obu. Układ nerwowy z każdym krokiem coraz dobitniej przypominał mu o swoim znużeniu. Jon miał nadzieję, że nie upadnie na miejscu i nakazał sobie trzymać się do końca. Postarał się wziąć przykład z Elzy i też odłączyć się od wszystkiego dookoła – tym bardziej że mieli przewodników.

Kiedy doszli do Kłowskiej, nie zaczęło jeszcze świtać i nauczyciel poczuł niemal ulgę. To byłby pierwszy świt w jego życiu i nie chciał oglądać go w takim stanie.

Stalkerzy zaprowadzili Elzę i Jona do tunelu. Nauczyciel już dokładnie nie pamiętał, czy na Kłowskiej była działająca śluza, czy też przejście okazało się sekretem Ptaków. Znajome zapachy

metra nieco go uspokoiły. Nauczyciel aż się zdziwił: okazało się, że tunel metra nieprzyjemnie ziębi.

Powitał ich znajomy Dementiew. Wieczny strażnik na tym krańcu stolicy wyglądał obco i nieco dziwacznie. Tylko poważne niebezpieczeństwo grożące stacji mogło zmusić starego Fiodora, żeby porzucił swój południowo-zachodni posterunek i przeniósł się na południowy wschód. Niewykluczone, że pozostanie tu na długo.

Dowódca placówki długo wpatrywał się, kto tam przyszedł, ale w końcu odsunął reflektor i westchnął z ulgą. Spojrzał na Jona, jakby go nie poznawał. Nauczyciel uśmiechnął się tylko ze skrzępowaniem, czując, jak od tego prawie zapomnianego wyrazu twarzy na policzku pęka mu warstwa brudu. Czyżby aż tak się zmienił?

– Wróciliście – powiedział Dementiew.

– Tak – potwierdził nauczyciel. – Cyprys jest u siebie?

– Zaraz mu zamelduję. Posiedźcie gdzieś tutaj, dobrze?

– Nie chciałbym tutaj – powiedział Jon. – Może lepiej...

Spojrzał na Elzę. Przyglądała się znajomej stacji z otwartymi ustami, i z jakiegoś powodu przypomniał sobie o Tatianie.

– Zaczekamy w lazarecie – powiedział Jon.

Bocian klepnął go po plecach.

– Powodzenia, braciszku – powiedział.

– Dziękuję – kiwnął głową Jon. – Jeszcze się zobaczymy.

Jon poszedł do lazaretu, zauważając, jak Elzie wyraźnie poprawia się nastrój. Niepotrzebne już okulary ochronne dyndały jej na szyi. Te należące do nauczyciela wciąż wystawały mu z kieszeni na piersi. Teraz jaskrawe lampy Datapolis nie były już dla niego straszne. Znajomy gwar też nie wydawał mu się na tyle głośny. Pojęcie o komforcie dawno mu się zmieniło i nauczyciel uznał, że może to i lepiej.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy w domu – powiedział nauczyciel do Elzy. – Chciałbym pomóc ci bardziej. Wybacz, że mi się nie udało.

Elza nawet nie patrzyła na niego, tylko dalej przyglądała się kolumnom.

– Światło – przypomniał sobie nauczyciel. – Trzeba będzie poprosić kogoś, żeby przydzielili ci jasny pokój. Będziemy siedzieć i włączać lampy, aż znajdziemy odpowiednie oświetlenie. Może wtedy coś mi narysujesz, dobrze?

Przy lazarecie nikogo nie było. Nauczyciel zajrzał do środka i odkrył nagromadzenie pustych łóżek.

I znajome biurko, przy którym siedziała Tatiana. Miała na sobie wciąż ten sam biały kitel. Wyglądała tak samo jak wczoraj. Być może zdążyła nawet zająć do siebie do pylonu i wyspać się.

Tatiana zobaczyła ich, jej brwi uniosły się ze zdziwieniem. A niech to, czyżby naprawdę się zmienił?

– Wy tutaj! – zawołała Tatiana, podbiegając do Jona i Elzy i obejmując ich.

– No, przecież cię nie zostawimy – roześmiał się Jon. – Długo by opowiadać. A gdzie Dawid?

– Nie wiem. Byłam u siebie, a kiedy wróciłam, już go zabrali.

– Były jakieś zmiany?

– Nie, nie poprawiło mu się. Elzo, dziewczynko moja! Znów cała jesteś umorusana! Gdzie wyście poleźli? Co żeście widzieli?

– Och! – Jon usiadł na łóżku i sprężyny zajęczały żałośnie. – Może najpierw złożę sprawozdanie Cyprysowi, dobrze? Potem wpadnę do ciebie na herbatę i wtedy pogawędzimy.

Elza tymczasem dowlokła się do kąta i zawinęła się w jakieś szmaty leżące na podłodze. Przypominały one resztki kołder, którymi mieszkańcy czasem owijali rury. Na te strzępy materiału było teraz nieprzyjemnie patrzeć.

– Co ona robi? – zapytał Jon.

– Zwykle tu śpi.

– Tak nie można – wzburzył się nauczyciel. – Trzeba dać jej normalne łóżko. Trzeba o nią zadbać, trzeba...

– I o tym porozmawiasz z Cyprysem. Przecież teraz cię wysłucha, na to liczę.

– Nie widzę powodu, dla którego miałby to zrobić. Chociaż było dobrze. Umówiliśmy się z nim, że pomoże mi z lepszą organizacją szkoły.

Jon popatrzył na puste łóżka.

– Wiesz co? – spytał. – Lubię ten widok.

– Jaki widok?

– Puste łóżka szpitalne. To znaczy, że nikt nie potrzebuje teraz pomocy. Wszyscy są zdrowi i szczęśliwi. W stolicy to na pewno rzadkość.

– Ja mam odwrotnie – powiedziała Tatiana. – Lubię, kiedy jest chociaż jeden. Jeśli człowiek się leczy, to znaczy, że znalazł na to czas i środki. To znaczy, że ma chwilę spokoju. Puste łóżka zdarzają się zwykle przed wojną albo przy alarmie. Wtedy ludzie zbierają ostatki energii i po prostu nie mają sił, żeby dbać o zdrowie.

Po tych słowach Jon też zechciał się położyć. Zamierzał już tak zrobić, kiedy do środka wszedł Cyprys – tak samo wyprostowany, choć już nie tak świeży jak wczoraj.

– Wróciliście – stwierdził. – No, jak tam? Jest postęp?

– Zależy, co za taki uznać – odparł nauczyciel, ciesząc się, że ma możliwość ominąć zwykły rytuał powitania.

– Rozumiem. Tania, nie zostawiłabyś nas samych?

– Zostawiłabym – powiedziała Tania, zdejmując kitel.

– Weź Elzę – poprosił nauczyciel.

– Dokąd? – zdziwił się Cyprys. – Po co?

– Nie można jej trzymać w takim brudzie.

– Dobrze, na razie wezmę ją do siebie – powiedziała Tatiana. – Prześpi się u mnie w pyłonie. Mogę iść?

– Tak, Taniusza, idź. Na dziś jesteś wolna.

Kiedy Tatiana i senna Elza wychodziły, za drzwiami mignęli uzbrojeni ludzie. Jon przyjął to w milczeniu. To zrozumiałe. Cyprys raczej nie przyszedł sam. A przecież całkiem niedawno nie potrzebna mu była ochrona, żeby poruszać się po własnej stacji.

Cyprys usiadł w fotelu, do którego przywiązany był Dawid, i odsunął lampę. Profil zwierznika ostro rysował się w jej świetle. Zdawało się, że patrzy na nauczyciela z nadzieją.

– No, opowiadaj – powiedział zwierznik, przechodząc na jawnie poufały ton. No jasne, nie na takie rzeczy można sobie pozwalać za drogocenną pieczętkę w paszporcie.

– Proszę zaczekać – powiedział Jon. – Wszystko mi się płące pod kopułą. Nie wiem, od czego zacząć.

– Nie spiesz się. Spróbuj krótko opowiedzieć, co widziałeś.

– Krótko mogę. Znaleźliśmy Matuzalema, ale ten nie chciał leczyć Elzy i prawie od razu po naszym spotkaniu zginął.

– Co?

– Zabili go żołnierze Metrogradu w mieście, na powierzchni.

– Na powierzchni?

– Tak. Powiedziałem przecież, że muszę to wszystko ogarnąć w głowie. Sam nie wiem, co tam się stało.

– Tak. – Zwierzchnik potrząsnął głową. – Dobra, raport zaczeka. Co powiesz tak od siebie?

Jon zamyślił się.

Pytanie rzeczywiście nie należało do łatwych. Na jego przygodach nawet wespertyl złamałby dziób. Co było najważniejsze?

Widok nocnego miasta? Obraz otwartego świata? Sylwetka na dachu? Upadek z mostu w dreźnie? Psi pysk w świetle latarki? Oczy zabitych przez niego najemników? Dziesiątki zwróconych w jego stronę przestraszonych twarzy na Czerwonym Chutorze? Siniaki na ręce od uścisku Elzy?

Wszystko było jednocześnie i symbolem, i istotą rzeczy. Co takiego powinien sobie przypomnieć, jeśli wszystko sprowadza się do jednego – że Jon, siedząc w swoim namiocie na Łukjanowskiej, uczył dzieci poznawać świat, sam porządnie tego świata nie znając?

– Nie udało mi się wyjaśnić niczego w sprawie Elzy – powiedział. – Starłem się, jak mogłem. Jeśli Elza naprawdę zna Dawida, to nie rozwikłamy tej tajemnicy, dopóki coś nie zmieni się samo z siebie.

– To mogą być czerwoni?

Nauczyciel patrzył na zwierzchnika w milczeniu.

– No? – nalegał Cyprys. – Mogą? Ta panienska i chłopak z powierzchni, czy mogą pochodzić z czerwonej stacji?

– Wie pan co, zwierzchniku? – zaczął Jon. – Bardzo mi się podoba pańskie pytanie. Brzmi tak, jakby zakładało możliwość

odpowiedzi twierdzącej. Przypuśćmy, że moja odpowiedź będzie twierdząca. Zdziwiłby się pan?

Zwierzchnik zebrał myśli.

- Być może - powiedział. - Na pewno bym się przestraszył. Chociaż nie powtórzę tego przy ludziach. Mam nadzieję, że rozumiesz, o czym mówię.

- Rozumiem bardzo dobrze - powiedział Jon. - Bez urazy, Cyprysie, ale pańska pozycja w metrze jest zagrożona. Scytia ma swoją władzę, Cymeria swoją. Czerwony Chutor ma kosę z Boryspolską. Osokorki są teraz w dwóch egzemplarzach. Po tunelach łążą ludzie podobni do stalkerów Metrogradu, a na powierzchni może spacerować nawet połowa wschodniej części metra. Szczególnej lojalności wobec Krzyża może pan nie oczekiwać. Nieprzyjemnie będzie panu to słyszeć, ale za granicami stolicy ludzie mają tyle własnych problemów, że po prostu wisi im kalafior, czy życie na czerwonej linii istnieje, czy też nie. I tak teraz tu siedzę, rozmawiam z panem, wspominam wszystko, co widziałem, i nie mogę sobie przypomnieć ani jednego człowieka, któremu nie dawałaby spać myśl o czerwonych. Widziałem ludzi, którzy dobrowolnie zrezygnowali z własnego domu w zamian za możliwość napchania sobie brzucha. Widziałem takich, którzy zrezygnowali z napychania brzucha po to, żeby odzyskać dom albo umrzeć, próbując. Widziałem matkę, która zamartwiała się, że nikt nie ożeni się z jej córką, bo ktoś odstrzelił jej ucho. Widziałem młodych siedzących na ławce w przedwojennych fatałaszkiach i czekających na nieistniejący pociąg, chociaż wiedzieli, że nie przyjedzie. Widziałem samotnego ojca, który całymi latami przemierza metry kwadratowe posadzki tam i z powrotem, z bólem rozmyślając, jak tam żyje jego syn na drugim końcu metra, gdzie nie może go odwiedzić z powodu ogromnej opłaty za przejście. I wie pan co? Żadnego z tych ludzi, po prostu żadnego, nie interesowało, czy przyjdzie do nich ktoś z czerwonej linii. Dlatego że cały ten wasz Czerwony Wariant, zwierzchniku, to nic tylko zbiorowa halucynacja waszej oszalałej z przeżarcia, skupionej tylko na sobie stacji. Mówił mi pan przed

wyjściem, jak ważne jest odkrycie prawdy. Znalezienie odpowiedzi na pytanie, czy na czerwonej linii ktoś przeżył. Nie mogę dać panu tej odpowiedzi, zwierzchniku. Mogę uwolnić pana od pytania. Zapewniam, nikogo po drugiej stronie waszych posterunków ten temat nie rusza. Niech pan zostawi w spokoju Dawida i Elżę. Niech pan pozwoli im żyć tak jak wszystkim. A potem zobaczymy, dokąd nas to doprowadzi.

Zwierzchnik myślał długo. Bardzo długo.

– Dziękuję za szczerość – powiedział. – Chyba jednak dałeś mi odpowiedź. I ja ją zrozumiałem. No cóż, moje zadanie to spełnić obietnicę. Twoja szkoła na Łukjanowskiej dostanie pełne wsparcie w rozsądnych granicach. Każdy przydział i finansowanie, jakie uznasz za stosowne.

– Dziękuję – powiedział Jon, nie czując żadnej euforii po tym, co usłyszał. – Mogę wrócić na swoją stację?

– Możesz. Ale jeśli chcesz, możesz też otrzymać niewielką nagrodę. Dzień socjalny.

– Oho – wyrwało się nauczycielowi. – Całe dwadzieścia cztery godziny przedwojennego życia?

– Takiego życia, które jest do niego maksymalnie zbliżone. Będzie o czym opowiadać uczniom.

– To cieszy – powiedział Jon, teraz już czując rosnący entuzjazm. Faktycznie, czemu by nie odpocząć? Na Łukjanowskiej jest oczywiście jego dom, ale teraz nie dadzą mu spokoju. A nauczyciel czuł silną potrzebę pobyć w samotności.

– Dokąd mam iść?

– Zaprowadzę – powiedział Cyprys.

Jego spojrzenie padło na stertę kołder w kącie.

– Zaprzyjaźniłeś się z tą dziewczyną, tak?

– Nieraz mnie ratowała – odparł nauczyciel. – Chciałbym odpłacić jej tym samym.

Wyszli na zewnątrz. Zwierzchnik powiedział coś do swoich ludzi. Ci schowali automaty, skinęli głowami jak jeden mąż i rozplłynęli się w tłumie.

Jon wolał zdziwić się w milczeniu. Nieźle, Cyprys wziął ochronę, na wypadek gdyby nauczyciel chciał stwarzać mu problemy.



- Co do Matuzalema - powiedział Jon, ledwie nadążając za Cyprysem. - Skąd pan wiedział, że taki lekarz istnieje? Znalście się?

- Kiedyś, bardzo dawno, jeszcze przed wojną. Ale to nic szczególnego, nie pracowaliśmy razem i prawie nie mieliśmy kontaktu.

- I nawet nie próbował zrobić kariery w Datapolis?

- Jakiej kariery? Przecież to nie do końca był lekarz. Prędeż teoretyk psychiatrii. Chociaż przypominam sobie, że kilka lat temu próbował się tu zaczepić. Zajmował się zbieraniem w metrze książek, by skompletować bibliotekę Datapolis.

- Dlaczego uznał pan, że będzie potrafił leczyć choroby umysłowe? Czym zajmował się przed wojną?

Cyprys popatrzył na nauczyciela i wzruszył ramionami.

- Jakimiś zleceniami od rządu - powiedział. - Dokładnie nie pamiętam. Hipnoza i takie różne. A co?

- Nic - odparł Jon. - Taki człowiek i nie znalazł miejsca w stolicy.

Cyprys odwrócił się, ale Jon zauważył, że zwierzchnik smutno się uśmiecha.

- Tu trzeba leczyć wszystkich i każdego - powiedział zwierzchnik. - Tyle że...

- Wiem, nie powtórzy pan tego publicznie.

- Właśnie.

## ROZDZIAŁ 2

### Kroniki

Jon słyszał o dniu socjalnym już jako małe dziecko, i raczej nie mogło być to prawdą. Historia zaczęła się od projektu muzeum dawnych czasów, powołanego po to, by utrwalić zwykłe przedwojenne życie prostego obywatela. W ciasnej przestrzeni Datapolis planowano zagospodarować kilka metrów kwadratowych, gdzie nie przenikałby nawet pyłek z zewnątrz. Przeciwnie, miała tam panować atmosfera znana już tylko starcom. Kompletna imitacja mieszkania przeciętnego kijowianina z kuchnią, sypialnią, czymś na kształt salonu i pełnowartościową techniką sanitarną.

Zresztą to od techniki sanitarnej wszystko się zaczęło. Cyprys chciał, żeby ta była kompletnie sprawna, co wymagało przerobienia rur. Potem okazało się, że jeśli jest miejsce, w którym zachował się nietknięty sedes, to po skorzystaniu z niego byłoby też przyjemnie poczytać prawdziwą książkę, pooglądać prawdziwą telewizję, poleżeć na normalnym prześcieradle. Tak idea własnego klozetu przekształciła się w projekt „bunkra w bunkrze”.

Nie chodziło nawet o to, że w tym pokoju zawsze trzymano zapasy świeżego jedzenia, najlepszych konserw i tego, co można było przynieść z powierzchni i bez obaw zjeść. Znacznie większe znaczenie miała strona psychologiczna, kiedy okazało się, że nawet zwykłe wodzenie odkurzaczem po dywanie dawało człowiekowi zastrzyk energii na długie tygodnie, pomagając znosić trudy życia na stacji z nadzieją na powrót dawnych czasów. System działał, nawet kiedy z pokoju korzystali ludzie młodzi, którzy słabo pamiętali albo w ogóle nie wiedzieli, co dokładnie symbolizowało to pomieszczenie. Tak też zaczęto to miejsce nazywać – Pokój.

Prawo, by się w nim znaleźć, dostąpiło zaszczytu osobnej nazwy – Nagroda Dnia Socjalnego dawała możliwość spędzenia w Pokoju najpierw stacyjnego dnia, a potem pełnych dwudziestu czterech godzin, czyli standardowej doby.

Była to najwyższa forma nagrody w Datapolis i w całym Krzyżu. Możliwość przeżycia doby w maksymalnym, na lokalną miarę, komforcie była bardzo wysoko ceniona. Ten kawałek tortu mogli otrzymać tylko wybrani.

Nie istniały ściśle kryteria przyznawania upragnionej nagrody i obrosła ona mnóstwem plotek – w większości nieprawdziwych. Faktem było, że obcych wpuszczano do Pokoju tylko w skrajnych przypadkach. I przypadki te zazwyczaj sprowadzały się do zadań specjalnych na rzecz administracji – na przykład szpiegostwa przemysłowego. Dowiesz się, ile kilowatów energii naprawdę wypracowano na Kłowskiej przez ostatni miesiąc – witamy w ciepłej pościeli z pilotem od magnetowidu. W końcu świadczyć specjalne usługi stolicy może tylko ten, kto zawsze pamięta, dzięki komu metro wciąż jeszcze istnieje. Dzięki stolicy, oczywiście, i dzięki reżimowi Cyprysa. I właśnie za tę „pamięć” nie mogło być lepszej nagrody niż właśnie prawo, by zapomnieć. Choćby na dwadzieścia cztery godziny.

Mimo zmęczenia Jon nie miał złudzeń co do powodu, dla którego prowadzą go właśnie teraz do Pokoju. Jasna sprawa, Cyprys zwyczajnie próbuje go kupić. Być może już teraz uważa go za kupionego. I tym Pokojem po prostu składa podpis pod ich tajną umową. W gruncie rzeczy kupił go za obietnicę pomocy szkole jeszcze przed wyprawą.

Zwierzchnik stanął przy metalowych drzwiach z zamkiem szyfrowym. Wstukał kod na panelu. Jon zdał sobie sprawę, że nigdy nie wiedział, gdzie konkretnie znajduje się wejście do pokoju. Świat administracji był dla niego miejscem niemal mitycznym, złożonym ze skrytych lamp i luster. Wszystko okazało się prozaiczne – nierzucające się w oczy drzwi gdzieś pod samym sufitem stacji z wąskimi drewnianymi schodkami prowadzącymi do nich z poziomu posadzki.

– Od wewnątrz drzwi otwierają się po naciśnięciu klamki –

powiedział Cyprys. – Udanego wyciecznika, nauczycielu. Jeszcze raz dziękuję.

– Ja panu też, zwierzchniku – powiedział Jon, wchodząc do środka.

Drzwi zamknęły się za nim. Dał się słyszeć szcęk zamka.

Pierwszą rzeczą, którą Jon poczuł, był pisk w uszach od nagłej ciszy. Do pokoju nie przedostawały się żadne dźwięki z zewnątrz. Przez to zrobiło mu się aż nieprzyjemnie. Jon stał w ciasnym pomieszczeniu, nie wiedząc, co dalej robić.

Widok puszystego dywanu na podłodze skłonił go do zdjęcia butów. Oswobodzone z obuwia nogi od razu zaczęły boleć. Włoski przyjemnie kłuły w pięty. Zapach starej dykty łaskotał nozdrza. Jon zdjął kurtkę, ruszył naprzód, zaglądając w każdy kąt. Mniej więcej połowa przedmiotów była mu dobrze znana, pozostałe mógł rozpoznać z mglistych wspomnień, obrazków i opowieści innych.

Stary magnetofon wcale nie był dla niego reliktem poprzedniej epoki, tak jak stało się to na przykład z odtwarzaczami cyfrowymi, które nie przeżyły nawet pięciu lat bez konserwacji. Gdzieś przetrwały gramofony, ale naprawdę długowieczne były właśnie kaseciaki. Dla Jona były nie historią, ale teraźniejszością.

Cały Pokój stanowił kombinację właśnie tego rodzaju przedmiotów – mieszaninę działających i zepsutych sprzętów, przy czym nie miało to żadnego związku z rokiem ich produkcji. Jon widział już na przykład taki sam magnetofon na Łukjanowskiej kilka lat wcześniej. Wtedy zbadał każdy fragment pokrywającej go naklejki, słuchając chrypiącego głośnika, póki baterie ostatecznie nie padły. W tamtym czasie nie udało się znaleźć odpowiednich zapasowych.

Szklane okna były, rzecz jasna, dekoracją. Zaraz za nimi wisały obrazki imitujące widok miasta. Nauczyciel nie zauważył, by były szczególnie realistyczne, i od razu uśmiechnął się do własnego sceptycyzmu. Jeszcze wczoraj patrzyłby na te obrazy z otwartymi ustami, a dziś z miną znawcy, który z własnego doświadczenia świetnie wie, jaki naprawdę jest świat zewnętrzny, krytykuje je

za niewiarygodność. Obrazy przedstawiały świat sprzed Katastrofy, a jak się zdaje, wyglądał on wtedy inaczej.

Jona znacznie bardziej zainteresowała prawdziwa szyba. Jeśli coś było w metrze rzadkością, to właśnie zwyczajne szkło. Ze szklanych przedmiotów ocalały co najwyżej nieliczne szklanki.

Jon otworzył okno, poruszał nim w przód i w tył, słuchając skrzypienia zawiasów. Przesunął po nich palcem, potarł, powąchał. Zapach przypominał smołę, ale to było coś innego.

Nauczyciel długo chodził po pokoju, dotykając szafy, łóżka, ścian pokrytych dziwnym papierem. Po co oklejać ściany papierem? Jon nigdy nie widział niczego podobnego. Zaczął obmacywać ścianę centymetr po centymetrze, aż przy samej listwie znalazł napis „tapeta papierowa duplex”.

Jon podrapał się w głowę. Trzeba będzie zapytać facetów z Łukjanowskiej, co to takiego tapeta i dupleks. Pierwsze z tych słów parę razy słyszał, ale nie wiedział, co znaczy. A przecież kiedyś spytają go o nie młodzi.

Potem Jon zajrzał za wszystkie drzwi. W składziku znalazł rupiecie w postaci mopów i łopat i niemal się na ten widok ucieszył – co jak co, ale to były znajome sprzęty. Za drugimi drzwiami znajdowała się łazienka – umywalka, muszla klozetowa i prysznic. Jon długo nie mógł oderwać wzroku od umywalki. Z sedesu w ogóle nie miał ochoty korzystać zgodnie z przeznaczeniem – żał było brudzić coś tak pięknego. Ale prysznic nie odmówił.

Gorąca woda nie była dla niego nowością, chociaż już nie pamiętał, kiedy ostatnio takiej używał. Do chwili, gdy Jon zakręcił wodę, nabrał już dość śmiałości, by skorzystać z ogromnych ręczników, a także z czystej bielizny, której paczka leżała na półce.

Przesunął ręką po zaparowanym lustrze, długo patrzył na swoje odbicie. Widok własnego zarostu był znajomy, ale jego kolor nie. Przez ostatnią dobę miejscami posiwiął.

– Jak szaleć, to szaleć – mruknął Jon, biorąc z półeczki groźną brzytwę.

Niedługo potem wyszedł z łazienki i skierował się do kąjaka

kuchennego, chcąc zorientować się we wszystkim samodzielnie. Dużo konserw, najróżniejszych. Były i całkiem egzotyczne rzeczy – kasza sojowa, duże pudełko z niezrozumiałym słowem „chipsy”, zakurzone butelki, w których pewnie był alkohol. Dobra rzecz, chociaż na razie na to za wcześnie. A obok butelek – cukier! Dużo cukru, miejscami nawet białego.

Kuchenka gazowa wzbudziła duże wątpliwości i ograniczył się do stojącej obok maszynki spirytusowej. Niewykluczone, że kuchenka też była dekoracją. Dlatego nauczyciel postanowił nie robić eksperymentów i zagotował wodę znanym sposobem, przypatrując się, jak krystalicznie czysta ciecz stopniowo wiruje coraz szybciej.

Zanim woda zaczęła wrzeć, Jon poczuł atak chandry. Cholera wie, czy ten pokój faktycznie przypominał przedwojenne czasy, ale najprawdopodobniej tak właśnie było. Czy to znaczy, że żyli tak wszyscy ludzie przed Katastrofą? Nie grzebali w ziemi w poszukiwaniu szczurów albo chrząszczy, nie palili się nawzajem miotaczami ognia, nie próbowali strzelać do pierwszego lepszego nieznanego?

Jon oderwał się od kuchenki, odszedł do rogu pokoju, włączył lampkę biurkową, popstrykał palcem w abażur, nie wiedząc po co. Z Dnia Socjalnego zostało mu jeszcze dwadzieścia trzy i pół godziny, a on już czuł, że ma dość.

Jon usiadł na łóżku. Tak, to nie lazaret. Nie skrzypiały pod nim żadne sprężyny. Miał pod sobą prawdziwy materac, o grubości jedynej zachowanej na Łukjanowskiej z dawnych czasów poduszki, tylko znacznie szerszy.

Kiedyś przyjdzie chwila, gdy będzie musiał przekazać tę wiedzę. Trzeba będzie albo wymyślić nowe słowo dla każdego niezrozumiałego dla niego szczegółu, albo o nim zapomnieć.

Woda się zagotowała. Jon podszedł do maszynki spirytusowej, wyłączył ją, zrobił sobie herbatę. Dosypał więcej mieszanki do parzenia niż zwykle i nie żałował cukru. Wrócił z kubkiem do łóżka, usiadł, przyglądając się pokojowi z rosnącym smutkiem. Zaskakująco zachciało mu się na powierzchnię, do otwartego miasta, i pospiesznie siorbnął łyk gorącego napoju, odganiając tę

myśl. Sparzył się, odstawił kubek na porysowany blat, niemal rozlewając herbatę.

Znów podszedł do kaseciaka, startł ręką kurz. Przypomniał sobie, które przyciski trzeba naciskać i co robią. Przejrzał pobieżnie kasety – część z nich była zapakowana w plastikowe, półprzezroczyste pudełeczka – przeczytał tytuły. Nazwisk wykonawców nie było, tylko gatunki. Kasety „Więzienny śpiewnik 8” i „Więzienny śpiewnik 9” stojące między „metalem” i „wolnymi” świadczyły o tym, że przynajmniej siedem kaset ktoś gwizdnął.

Zapach plastiku i taśm magnetycznych trącił czymś sugestywnym, historycznym. Może dlatego wzrok Jona zahaczył o niepozorną kasetę z napisem na przyklejonym kawałku plastra: „Kroniki Krzyża, 1-36”.

Jon zmarszczył brwi, zastanawiając się, co by to mogło znaczyć. Wsunął kasetę do magnetofonu i nacisnął przycisk „odtworzenie”, ale od razu włączył pauzę i zaczął grzebać w pudłach, wyobrażając sobie, co może się tam skrywać.

Znalazł rzutnik slajdów.

Spoglądając na lekką metalową skrzynkę z wystającym obiektywem, Jon uświadomił sobie, że widział już taką rzecz, ale nie mógł sobie dokładnie przypomnieć, gdzie i kiedy. Może we wczesnym dzieciństwie.

Jon wydobyl projektor z pudełka, obejrzał go, postawił obok kaseciaka i wcisnął wtyczkę do gniazdka, mając nadzieję, że daje ono wymagane dwieście dwadzieścia woltów. Tam też, w pudełku, znalazł przeźrocza wsypane do plastikowej torebki jak niepotrzebny złom, który żał wyrzucać. Slajdy były jednak starannie oznakowane przy pomocy przywiązanych do nich skrawków papieru, tak że Jon szybko znalazł odpowiednie przeźrocze.

Do tego czasu przypomniał już sobie, skąd wiedział o slajdach. Kiedyś na Łukjanowskiej trafił na pokaz starych bajek. Pamiętał, że w tamtym momencie przemknęło mu nawet przez głowę, żeby gwizdnąć rzutnik dla siebie, ale używanie go bez świadków i tak było niemożliwe, i marzenie trzeba było odłożyć do lepszych

czasów.

Jon wstawił slajd do projektora, nacisnął przycisk, utkwiał wzrok w rozmytym kwadracie skierowanym na ścianę. Wyraźnie coś przegapił.

A, no tak, biały ekran.

Jon podszedł do przyczepionego poziomego rulonu i pociągnął go w dół za sznurek, rozwijając białe płótno. Wrócił i wyregulował ostrość. O, teraz lepiej.

Od pierwszego kadru miał pewność, że trafił na właściwy slajd.

Obraz ukazywał leżące w szeregu trupy. Jon patrzył na nie, odgadując, kim są wszyscy ci ludzie. Potem wyłączył pauzę w odtwarzaczu. Magnetofon zaszeleścił, z zadowoleniem wprawiając w ruch taśmę:

– Kronika Krzyża, rok pierwszy – oznajmił męski głos, który mógł należeć do pozbawionego trosk człowieka w wieku około czterdziestu lat. – Przed państwem rezultaty operacji likwidacji grup przestępczych ze wschodnich stacji.

Jon myślał, że głos powie coś jeszcze, ale komentator uważał to objaśnienie za wystarczające. Bandy przestępców został unieszkodliwione, czego jeszcze chcecie?

Na widok anonimowych martwych ciał pamięć Jona nie podsunęła żadnych skojarzeń. Co to za polowanie na czarownice się tu odbyło? Wiedział, że kiedyś, przed oficjalnym zjednoczeniem stacji, zbrojne naloty na sąsiadów były raczej regułą niż wyjątkiem. Nie znał tylko szczegółów. Bo kiedy zaczniesz się dowiadywać, szybko się okaże, że większość uczestników walk wciąż żyje i może mieszka na twojej stacji, o dwa metry od ciebie, za ścianką z tektury. Ludzie nauczyli się zapominać tego rodzaju rzeczy dla własnego dobra. Ale, jak widać, przynajmniej ich nie przemilczali. Element społeczny został zlikwidowany, dlaczego by tego nie utrwalić?

W takim wypadku dla kogo, do cholery, był przeznaczony ten slajd? Może tą sprawą zajmował się sąd albo jakiś trybunał? Jon miał wątpliwości. Raczej po prostu ktoś polecił utrwalić obraz kaźni, żeby móc go potem użyć: zdrzecie z nami i rozmowa będzie krótka. Widocznie zasada ta zadziałała idealnie, bo od tej



pory o bandach niemal się nie wspominało.

Następny kadr ukazywał radośniejsze wydarzenie w życiu metra – uroczyste otwarcie magazynów.

– Po podpisaniu rozejmu odkryto nowe składy żywności – oznajmił ten sam głos na kasecie. – Jedzenie potaniało...

Rzeczywiście, Jon to pamiętał. Czyżby minęło już sześć lat? Już wtedy zdawał sobie sprawę, że otwarte magazyny absolutnie nie były nowe. Były jeszcze starsze od tych, których zapasy żywyły metro w pierwszych latach. Mówiąc ściślej, tego dnia otwarto składy jeszcze z czasów ZSRR. Naturalnie stan i jakość produktów budziły duże wątpliwości, dlatego pewien mądry człowiek postanowił przetestować jedzenie na ludziach. Stąd też darmowe rozdawanie. Gwoli sprawiedliwości, tabletki na zgagę też rozdawali całymi paczkami. Przydały się także ubrania i prześcieradła, zwłaszcza z lnu i bawełny.

Jakkolwiek śmiesznie to brzmi, to też był eksperyment. Władze stacji po prostu chciały zobaczyć, co ludzie będą robić z całym tym badziewiem – i to dowodziło, że w kierownictwie znalazły się kompletnie nienadające się do tego osoby. Okazało się, że w pojęciu przeciętnego obywatela najlepszym zastosowaniem dodatkowego prześcieradła było podarcie go na pasy, z których można następnie zrobić coś praktycznego. Wtedy to nastąpiła moda na hamaki, sieci, zasłony, a nawet dekoracyjne dzianiny. Był to dziwny okres. Ludzie targali wszystko bez opamiętania, jakby rozładowywali stres. Może dlatego nikomu nie rozdawali filtrów powietrza, bo jeszcze zrobiliby z nich sobie odblaski na namiotach. Tym bardziej nie rozdali ludziom dodatkowej broni, chociaż Scytia jakoś ją zdobyła. Kałasznikowy z czasów ZSRR działały wcale nie gorzej od współczesnych. Broń masowo rozprzestrzeniała się po stacjach również po utworzeniu Krzyża, oficjalnie podającego się za pokojową wspólnotę. Ale to nie znalazło się w kronice.

Trzeci kadr wydał się Jonowi dziwny. Kilku ludzi w gabinecie. Dwaj ściskali sobie dłonie z cynicznymi uśmiezkami, trzej kolejni podpisywali jakieś papiery, jakby brali udział w mistrzostwach w pisaniu synchronicznym. Kim były strony?

Przedstawiciele band podpisują rozejm? A kto tam klęczy z pistoletem przy skroni? Na czym polega jego rola przy podpisywaniu papierów? I co się z nim stało potem? Od razu go stuknęli?

Jon przyjrzał się ludziom na zdjęciu dokładniej, ale żadnego nie poznał. A przecież to było siedem lat temu i uczestnicy spotkania z pewnością wciąż mają wpływy w metrze. Jon znów nacisnął przycisk magnetofonu, widząc, że bez wypowiedzi nie uda mu się zrozumieć, co za cholerstwo właściwie widzi.

– Przed państwem moment utworzenia Krzyża – oznajmił lektor. – Przedstawiciele stacji podpisują porozumienie o połączeniu w jedno państwo z zachowaniem autonomii wszystkich stron.

Jon zakrztusił się herbatą, klepiąc się po klatce piersiowej.

– Autonomia, a jakże – burknął Jon, przewijając kadr do czwartego.

To chyba wybory prezydenta. Albo mera. Albo najwyższego adepta. Na ile Jon pamiętał, w tamtych czasach długo ustalano, jak właściwie nazywać osobę na szczycie władzy we właśnie przyjętym systemie. Rozważano wszystkie warianty włącznie z carem-batiuszką i archontem. W rezultacie zaczęto go nazywać prezydentem, od razu dając do zrozumienia, że podziemny Kijów to już nie miasto, ale państwo rozbite na regiony. Ciekawe, jak właściwie prezydenta wybrano? Jon nie pamiętał głosowania, chociaż biurokracja była już wtedy mocno rozwinięta. Gdyby przyniesiono im na Łukjanowską urnę z kartami do głosowania, na pewno by to zapamiętał. Musiało być tak, że jacyś mocni ludzie wsadzili tam swojego człowieka, nie pytając o zdanie ludu. Czyli żaden z niego prezydent. Niejasna kwestia etyczna.

Chociaż kto był przeciw? Pewnie ten, kto na poprzednim kadrze klęczał z lufą przy skroni. Czy dużo szczęścia dał mu ten opór?

Piąty kadr.

– W wyborach lidera wspólnoty zwyciężył zwierzchnik Dmitrii Kożewnikow! – powiedział lektor.

Jon wyobraził sobie, jak ten ociera łzy szczęścia. Nauczyciel nie przypominał sobie żadnego zwierzchnika o tym imieniu

i nazwisku.

Czyżby to był on, prezydent Krzyża siedem lat temu? Jeśli tak, to nie tylko wybrali go potajemnie, ale też postanowili ukryć przed ludźmi fakt, że mają teraz prezydenta z twarzą i nazwiskiem.

Nauczyciel pokiwał głową. Być może w Datapolis wiedzieli, kto teraz rządzi. Może wiedzieli i na północnych stacjach. Ale do Łukjanowskiej te nowiny nie docierały. Natomiast Scytia oczywiście zawsze wiedziała wszystko. Musieli jak najszybciej się dogadać, żeby handlować z nowo upieczoną stolicą na solidnych podstawach prawnych.

Jon próbował odnaleźć w pamięci jakiegokolwiek rządowe dekrety albo reformy z tamtych czasów, ale nie przypomniał sobie nic konkretnego. Najwidoczniej pan Kożewnikow nie podejmował wiekopomnych decyzji lub też postanowił zacząć kraść od pierwszej minuty. Nawet jeśli tak było, zawsze jest jakaś opozycja, która mogłaby zdyskredytować najważniejszą osobę w państwie.

A jednak nic podobnego nie miało w tamtym czasie miejsca. Łukjanowska znajduje się o dwa przystanki od stolicy, a wiadomości do niej nie docierają. Jeśli więc kupili wszystkich, którzy mieli prawo do wyrażania opinii, to śmierdziało tu znacznie poważniejszym spiskiem niż jakiegokolwiek Czerwony Wariant.

Być może następny kadr wszystko wyjaśni.

Tak jest. Na ekranie odbywało się przekazanie władzy. Dmitrij Kożewnikow odszedł chicho, bez skandalu i na czele Krzyża stanął niejaki Anton Kożewnikow.

Krewny? Najprawdopodobniej brat.

Jon przypatrzył się i uniósł brwi ze zdziwieniem. A to dopiero, Cyprys we własnej osobie. Więc tak się nazywasz, obywatelu Antonie. Czyli wiadomo, dlaczego nikt nie pamiętał twojego brata. Ten po prostu musiał posiedzieć na stołku jako zasłona dymna, żeby wziąć na siebie wszystkie kukuśnice od społeczeństwa wywołane przez wprowadzane zmiany i odejść po zapewnieniu komfortu rządzenia swojemu następcy. Jeśli tak, to gdzie jest teraz Dmitrij? Jon nie pamiętał takiego człowieka

wśród władz północnych stacji. Zabili go? Uciekł? Został skierowany do przekładania papierków z kupki na kupkę i obliczania wysokości podatku od luksusu?

Prezydent był, ale się zmył, przekazując władzę odpowiedniemu człowiekowi. Cóż, byli carowie mają tendencję do popadania w niepamięć. Zapomnienie to kara za skromność na tronie.

Następny kadr pokazywał sytych obywateli, co Jon stwierdził na pierwszy, pobieżny rzut oka. Tłum sytych ludzi zawsze odróżniał się od tłumu głodnych – mają inną mowę ciała. Inne są pozy, chód, spojrzenia. Tym razem aparat po prostu utrwalił grupę zadowolonych ludzi. Nie zapłacono im raczej, by defilowali przed obiektywem – oni naprawdę byli najedzeni i zadowoleni. Nauczyciel nie mógł zidentyfikować miejsca, ale przez ostatnią dobę nauczył się na pamięć właściwości oświetlenia stolicy niczym długości standardowej szyny. To oczywiście Datapolis. Żeby mieszkańcy mieli nie być syci? Jeszcze czego.

Po co zrobiono to zdjęcie i jaka była jego wartość dla historii? Być może planowano wykonać z niego plakaty reklamujące jakość życia w stolicy, żeby wysłać je na południe?

Śmieszne. Nikt w stolicy nie potrzebuje agresywnych darmozjadów, z których nie będzie pożytku w pracy.

Jon długo patrzył na znieruchomiałych ludzi. Poczuł niezrozumiały wstręt, drgnęło mu ramię. Chcecie, żeby sąsiedzi zazdrościli wam sytości? Nakarmcie sąsiadów i zdobędziecie znacznie więcej.

Ósmy kadr. Święto rocznicy utworzenia państwa. I znowu tłum, tym razem spoglądający ponuro. Wszędzie morze jedzenia, ale żadnego zadowolenia. Widocznie było to święto tylko z nazwy. W kadrze znalazła się budka z darmową zupą, przy której zrobił się tłok. Z odpowiedniej perspektywy każdą dobroczynność łatwo pomylić z dobrobytem. Z pewnością z okazji święta do stolicy przybyli nie tylko goście, ale i straganiarze, nawet pomimo podwyższonej opłaty za wstęp. W taki dzień handel z pewnością będzie kwitnąć. Datapolis musiało zarobić krocie.

Co ciekawe, tamtego dnia, jak się zdaje, nikt nie wspominał o ludziach z pierwszej fotografii, którzy zginęli rok wcześniej.

Podczas święta nikt nie potrzebował wspomnień o żołnierzach, którzy oddali życie za nowy porządek.

Dalej następował proces urządzania stolicy na nowo. Wszędzie kipiała praca, ze wszystkich stron zwieziono deski, ale ich nie wykorzystano, składując je w magazynach, a przy remoncie ograniczono się do kładzenia starego materiału. Jon pamiętał, że w tym roku w Krzyżu przestali palić drewnem, którego deficyt był już wtedy mocno odczuwany. Problem ogrzewania rozwiązano dzięki dostawom węgla organizowanym przez stalkerów i Scytyę. Wszyscy przesiedli się na burżujki, które same z siebie nie były tanie, a podłączenie ich do wspólnej sieci wentylacyjnej kosztowało szalone pieniądze. Ewentualnie można było ogrzać swój dom za dwanaście miesięcy pracy w nadgodzinach.

Prowadzono wtedy wojny handlowe. Bank Cymeria chciał wykupić burżujki od ludności, co było oczywiście pomysłem śmiesznym, niedorzecznym i naiwnym. Szczególnie skandaliczna była afera ze sprzedażą lipnych przyrządów mierniczych, aby namieszać ludziom w głowach i zmienić wzorzec metra. Jak zmusić obywatela, by zmniejszył swoją przestrzeń życiową o pięć procent? Przekonać go, że niczego się nie zmniejsza, ale przywraca sprawiedliwość. Poza tym jeśli pierwotnie miał odrobinę więcej, niż należało, to nie tylko dobrowolnie się ścieśni, ale też zapłaci grzywnę za wykroczenie. Taśmy miernicze były przy tym skracane niską temperaturą i nauczyciel oddałby ostatni nabój za odpowiedź, jak to, do cholery, zrobili, skoro w metrze nie dało się tak po prostu znaleźć ciekłego azotu.

Kadr dziesiąty. Generał Olszański w Datapolis.

Wciąż trzymając palec na przycisku magnetofonu, Jon patrzył na zdjęcie pokazujące ważny, a nawet przełomowy moment w historii Krzyża. Przywódca Metrogradu zszedł w dół, do Datapolis, żeby odbyć spotkanie z miejscową ludnością i pogawędzić z Cyprysem o różnych różnościach. Jon pamiętał, że zorganizowano wtedy nawet rozdawanie ubrań, które asysta generała przyniosła z góry. To był naprawdę bombowy dzień i żadna rocznica Krzyża nie mogła się z nim równać. Ciuchy

z sowieckich składów były oczywiście praktyczne, ale pozbawione indywidualności, bezbarwne, przypominały raczej uniformy robocze, którymi w istocie były. A tam, na powierzchni, w centrum handlowym, było pełno szykownych ubrań we wszystkich kolorach tęczy.

Niektórzy obawiali się, że pojawienie się Olszańskiego przed mieszkańcami podziemi jest zbyt niebezpieczne – mogą zorganizować na niego zamach nawet bez powodu. Ale obeszło się bez tego. Ciekawe, że sam generał obstawał podczas tego spotkania za wolnym obrotem bronią palną na dole. Może liczył na rebelię i anarchię? Kto by się połapał w pomysłach tych, co dzierżą władzę. Bardziej interesujące było to, czego generał zażądał od Cyprysa w zamian za odzież. Z pewnością zabrał coś w zamian. Nauczyciel pokombinował: czego w tamtym czasie zaczęło w metrze brakować?

Jakkolwiek było, reputacja Metrogradu w oczach mieszkańców się poprawiła. U ludzi pojawiła się nawet wiara, że metrogradzcy szukają bezpiecznych dróg wyjścia na powierzchnię. Gwoli sprawiedliwości, generał Olszański zajmował się tą kwestią na równi ze wszystkimi innymi. Teraz generała nie było już wśród żywych, ale reputacja pozostała.

Nowy kadr ukazywał słynnego terrorystę z Pietrowki. Ataki terrorystyczne zdarzały się w Krzyżu skrajnie rzadko i, rzecz jasna, wspomnienia o nich przywoływały smutny ciąg przyczyn i skutków.

Terrorysta z Pietrowki zapisał się w pamięci właśnie tym, że został uwieczniony na fotografii na ułamek sekundy przed wybuchem. Właśnie to zdjęcie widział teraz na ekranie nauczyciel. Mężczyzna z wykrzywioną twarzą, obwieszony samodzielnie zrobionymi bombami. Ciekawe, w jaki sposób fotograf znalazł się na miejscu zdarzenia? I że też przyszło mu do głowy, żeby właśnie w tej chwili nacisnąć spust migawki. Dlaczego sam nie ucierpiał? Prawdopodobnie zamachowiec po prostu go uprzedził, szczerze informując o swoich zamiarach. Był to wystarczający powód do zastanowienia się nad smutnym faktem, że znajdujący się we właściwym miejscu i czasie reporter

miał w dłoniach aparat fotograficzny, a nie pistolet. Mógłby zapobiec wybuchowi i śmierci ośmiu ludzi.

Przyczyny i motywy pozostały nieznane, ponieważ zamachowiec zginął razem ze swoimi ofiarami. Jeśli to zemsta, to po co odbierać życie niewinnym? Przecież nikt nie zakazał na Pietrowce swobodnego noszenia broni. Nauczyciel sądził, że żadnej urazy nie było, po prostu człowiek z bombą bardzo chciał przejść do historii. Jakimś cudem nie wysadził w powietrze sklepienia stacji i nie pogrzebał całej jej ludności pod tysiącami ton kamieni i piasku.

Dwunasty kadr ujawniał innowację wprost związaną z atakiem terrorystycznym. U zwierzchnika Datapolis pojawiła się ochrona osobista. Od dwóch do sześciu goryli z automatami, w zależności od stopnia napięć społecznych. Kadr był zainscenizowany, lecz mimo to fantastyczny z artystycznego punktu widzenia. Wysoki Cyprys o pół głowy przewyższał potężnych facetów wyposażonych jak na wojnę. Kamizelki taktyczne i kuloodporne, broń krótka, widać rękojeści przypiętych do kamizelek noży i do tego po kilka latarek o różnych kształtach. Po co to wszystko zwierzchnikowi? Prawdopodobnie zabieg wizerunkowy. Kiedy tylko lud przyzwyczał się do myśli, że zwierzchnik ma ochronę, Cyprys zaczął chodzić bez niej. Być może jemu samemu zaczęła ciążyć jej wieczna obecność za plecami. Albo po prostu nie chciał, żeby uznano go za paranoika. Poza tym po eksplozji na Pietrowce w Krzyżu zaostorzono reżim paszportowy. Doszło do tego, że na stacjach, gdzie sama idea dowodów osobistych z zameldowaniem była uważana za bzdurę, teraz nie widziano już w niej niczego złego.

Oczywiście takie środki nie mogły zapobiec potencjalnym zamachom, ale przynajmniej dochodzenie po kolejnym takim zdarzeniu byłoby łatwiejsze. Chociaż z drugiej strony – po co? Martwym jest już wszystko jedno, a żywi mają dość własnych problemów.

Być może utrzymywanie powszechnego porządku byłoby łatwiejsze dzięki specjalnie wyszkolonym psom. Ale z nimi akurat były problemy. Zamawiano je nawet specjalnie

u stalkerów, tylko gdzie na powierzchni znajdziesz nadającego się do tresury szczeniaka? Wszystkie burki dawno zdziczały i zamieniły się w maszyny do zabijania.

Scytowie trzymający rękę na pulsie wydarzeń też nie zostali w tyle i wymyślili dla swoich plecaków nowy dizajn, ułatwiający kontrolę zawartości. Pójdą na wszystko w imię zaoszczędzenia kilku minut, by sprawniej prowadzić biznes.

Kolejny kadr: mur z kamieni, przez który przesączają się strużki wody. Wiszące obok ubrania robocze, narzędzia. Skutki wybuchu? Czyżby kolejny zamach terrorystyczny? Jon postanowił posłuchać komentarzy na kaseciaku.

– Stacja Łybiedska – powiedział lektor. – Po całkowitym zasypaniu już na zawsze pozostanie martwa. Wspólnym wysiłkiem udało nam się uporać ze skutkami katastrofy.

I tyle. Sucha informacja niewyjaśniająca kto, co, po co albo dlaczego. Ale Jonowi tyle wystarczyło. Pokopał w pamięci i przypomniał sobie, że Łybiedska znajdowała się zaraz za Śłużą stalkerów. Czyli było to już gniazdo Ptaków. Po powodzi na Łybiedskiej drużyna Kondora ledwo zdążyła wysadzić tunel. Lub też, jak wyraził się lektor, „uporać się ze skutkami katastrofy”. Czyli stalkerzy, ryzykując życiem, zasypali tunel, a potem łatali przecieki przez kilka godzin, jeśli nie dni. Mówiło się, że wybuch był odczuwalny nawet w stolicy, ale nauczyciel w to nie wierzył – zbyt duża odległość.

O tym wypadku specjalnie się nie rozgadywano, żeby nie straszyć ludzi, tak więc niezwykle było to, że do zawału dopuszczono fotografa. I ten, podobnie jak każdy, kto uważa się za stratega, gdy widzi bitwę z boku, postanowił uwiecznić skutki zawału, ale nie przyczyny.

Ciekawe, czy pomógł w pracy, czy tak tylko cyknął zdjęcie do dokumentacji i poszedł? Teraz wyglądało to tak, jakby stalkerzy wysadzili tunel przez nieostrożność albo z sobie znanych powodów.

Kolejny obraz przekonał nauczyciela, że stalkerów w stolicy lubili jeszcze mniej, niż myślał. Dobrze znany plakat z hasłem, by nie wierzyć stalkerom, nie polegać na nich i jak najrzadziej się



z nimi kontaktować. Jon aż zacisnął zęby. Cyprys mógłby okazać swój brak szacunku znacznie łatwiej: zakazać im wejścia do stolicy. Ale zamiast tego postanowił przekonać wszystkich mieszkańców, że stalkerom nie warto podawać ręki. To już było poniżające.

Obrazek na plakacie był odpowiedni: postać w skafandrze ochronnym, z kapturem skrywającym twarz, z rękami oszpeconymi przez radiację, z patosem wskazuje wyciągniętym palcem w przód i w dół – że niby twoje miejsce jest pod ziemią, robaku.

Kampania okazała się skuteczna, gdyż plakaty dobrze się sprzedawały.

Jak to się stało? W stolicy nigdy nie było powodu, by nienawidzić stalkerów. Kto to wszystko wymyślił? Dlaczego i w jakim celu? Jon nie mógł tego pojąć, choć domyślał się już odpowiedzi.

Skutkiem ubocznym kampanii antystalkerskiej było dążenie mieszkańców Datapolis, by lepiej się ubierać, tak by ich samych nie brano za poszukiwaczy.

Jon zwrócił się po informacje do magnetofonu, ale głos nie skomentował tego obrazka.

Dalej. Na ekranie jest trzeci rok od utworzenia Krzyża. Żadnych hucznych uroczystości, same fakty. Cymeria niespodziewanie zaczęła skupować sznury. Jon pamiętał ten dziwny dzień, chociaż nie mógł uwierzyć, że było to tak dawno.

Zdawało mu się, że ledwie wczoraj agenci banku kręcili się po stacjach, także najdalszych, z uprzejmą propozycją odkupienia wszystkich sznurków, lin i nici. Do czego im to było potrzebne, nigdy się nie wyjaśniło. Prawdopodobnie Cymeria próbowała w ten sposób podkopać gospodarkę północy, pozbawiając ludność najprostszych rzeczy. Być może przedstawiciele banku planowali stworzenie giełdy. W pierwszym okresie ludzie rzeczywiście przynosili im wszystko, co ci zgodzili się kupić – na przykład bransoletki i paski zegarków na rękę. Aż okazało się, że coraz więcej pracowników biega do stacyjnego zegara, żeby sprawdzić, która godzina, co uderzało w wydajność pracy. Niby

głupia drobnostka, a dało się odczuć skutki.

Cymeria tymczasem składała nowe propozycje. Choć teraz odnoszono się do nich sceptycznie. Na przykład sznurowadeł już nikt nie sprzedawał. Aż tak tępych ludzi w metrze nie było. Za to chętnie rozstawano się ze wszelkiego rodzaju taśmami i przy ochłodzeniu ludzie zostali bez materiałów uszczelniających. Cyprys musiał rozdać co nieco ze swoich drogocennych magazynów, lud po tym jednak złądził.

Jeszcze przez jakiś rok ludzie skrętnie wszystko gromadzili. Każdy znosił do domu, co tylko wpadło mu w ręce i nie podpadało pod zarzut kradzieży. Zbierano nawet zardzewiałe, krzywe, tępe gwoździe – czy to wiadomo, a nuż Cymerii zachce się haczyków na ryby?

Jon odsłuchiwał suche komentarze lektora i przełączył obrazek. Slajd numer szesnaście. Oj, co za znajomy kadr!

Jon się uśmiechnął, upił herbaty.

Stara, dobra *Flora*. Sterta podręczników na tle ogłoszeń o chęci kupna brakującej stronicy. Nie odmawiając sobie tej przyjemności, Jon wyłączył pauzę.

– Stolicę ogarnęła nowa moda: poszukiwania kompletnego egzemplarza encyklopedii drzew. Młode pokolenie opanowało wszystkie nazwy oprócz jednej, która kryje się na wyrwanej stronicy. Fala popularności *Flory* osiągnęła szczyt. Nasz zwierzchnik Anton Kożewnikow, na cześć utraconego drzewa przybrał przezwisko Cyprys, które stało się jego imieniem. Ta mania niewątpliwie ogarnie większość społeczeństwa...

Jon pamiętał pierwszy wybuch hysterii, która nie ominęła i Łukjanowskiej. Ludzie uganiali się już nie tylko za *Florą* – pożądane stały się wszystkie książki, które znalazły się w metrze. Kartkowano je w poszukiwaniu zakładki, za którą mogłaby posłużyć wyrwana sześćdziesiąta ósma stronica encyklopedii. Ludzie wygrzebywali popiół ze swoich piecyków, szukając przypadkowo spalonego skrawka. Cymeria naprawdę obiecała za kompletną książkę dreżynę wypełnioną bronią i amunicją, którą wystawiła na Majdanie Niezależności. Do czasu, gdy Jon wystarał się o kilka egzemplarzy *Flory* do swojego namiotu, emocje

zdążyły już opaść i wiele dzieci nawet nie wiedziało, co to za podręcznik. Pokazując *Florę* uczniom, nauczyciel czuł się trochę niezręcznie, jakby wtajemniczał je w niezrozumiały, bezsensowny rytuał plemienny.

Pełna broni drezyna? A po kiego grzyba? Dokąd nią pojechać? Równie dobrze mogliby obiecywać motocykl.

Kolejny kadr. Przeludnienie Datapolis.

– Gęstość zaludnienia stolicy osiągnęła krytyczną wartość. Podjęto środki w celu jej zmniejszenia.

Koniec, więcej informacji na ten temat nie było. Być może lektor po prostu kogoś zacytował i sformułowanie powinno było zasugerować słuchaczowi, kto dokładnie postanowił „podjąć środki”. Nauczyciela ciekawiła też dokładna wartość, którą należy uznać za krytycznie wysoką. Kiedy gęstość zaludnienia staje się zbyt gęsta? Problem leżał w tym, że nikt dokładnie nie wiedział, ilu ludzi mieszka w Datapolis. Aby poznać populację zjednoczonych stacji, należałoby wyprowadzić wszystkich za linię posterunku i liczyć, wpuszczając. Na to Cyprys nie pójdzie bez ważnego powodu, obawiając się skojarzeń z otwarcie już totalitarnymi metodami.

Jon czytał gdzieś, że przed wojną ludność wielkich miast można było dość dokładnie wyliczyć przy pomocy danych z piekarni. Wystarczało dysponować dokładnymi liczbami określającymi sprzedaż chleba, licząc, że jeden człowiek spożywa w ciągu doby tyle a tyle chleba... Ile? Jon nie wiedział, co i ile jedli kiedyś mieszkańcy megalopolis. To były inne czasy, kiedy do metra schodziło się, żeby przemieścić się na drugi koniec miasta szybciej, niż on przywiązuje płótno namiotu, odsłaniając wejście do szkoły. Teraz dokładnych narzędzi liczenia populacji nie było, podobnie jak sposobów jej regulacji. Tłum naprawdę stał się żywiołem. Obecnie każda decyzja mogła pociągnąć za sobą falę protestów. A walczyć z ich przyczyną Cyprys mógł tylko poprzez podwyższenie poziomu życia obywateli, czego oczywiście nie dało się robić codziennie.

Jon przełączył na następny kadr. Słynne „wyznanie szesnastu”. Chociaż jakie tam ono słynne? To tylko przykry fakt, który

przeszedł do historii jako precedens.

Jak wiadomo, podstawową karą we wspólnocie była banicja. Na pozór prosta rzecz była częścią złożonego schematu psychologicznego. Po wydaleniu za granicę człowiek był pozostawiony samemu sobie. Już nigdy nie wpuszczano go z powrotem na stację, nawet tranzytem. Mógł spokojnie odejść do sąsiadów i zacząć tam żyć jak porządny obywatel. Jeśli tak robił, to można było stwierdzić, że się zresocjalizował. Karą za jego czyn było w takim wypadku ciągłe przypominanie, że był zmuszony pozostawić stare życie dosłownie o dwa kroki od nowego domu, bez możliwości powrotu, choćby na prawach gościa. Jeśli znów zachowywał się źle, wypędzano go znowu i w ten sposób raz za razem tracił swoje miejsce do życia. W gruncie rzeczy taki człowiek miał zakaz wstępu nie tylko na swoją starą stację, ale i na wszystkie te, które leżały dalej, nawet jeśli nigdy tam nie był. Jego klatka była ograniczona do tych miejsc, w których jeszcze się nie skompromitował. Jako narzędzie integracji społecznej działało to lepiej od każdego więzienia.

Żeby ta idea trafiła do ludzi w jak najbardziej obrazowy sposób, Cyprys przeprowadził pierwszą banicję na naprawdę dużą skalę, wyrzucając z Datapolis szesnastu ludzi w ciągu godziny.

Jon przypatrzył się ich twarzom. Wycieńczona kobieta, ponury mężczyzna, para nastolatków, kilku starszków. Ubrani na różne sposoby. Deportowani nie mieli ze sobą nic wspólnego. Nie mogli być ani rodziną, ani grupą. Czyli każdy zarobił na swoją karę indywidualnie i jeśli wszyscy zostali ukarani jednego dnia, to ich sprawy też musiały być rozpatrywane jednocześnie. Surowy wyrok, zbyt surowy. Sam fakt zbiorowej rozprawy sądowej zdawał się czymś oburzającym, symbolem przeludnienia, jakby na stacji było tylu przestępców, że można ich było dosłownie wiązać w paczki i sądzić hurtowo.

Po takiej pokazówce mieszkańcy stolicy błyskawicznie spokornieli. Słuchy dotarły do sąsiadów i autorytet Cyprysa nieco wzrósł. Na jakiś czas ludzie stali się bardziej skryci, zamknięci w sobie. Zaczęli robić coś, czego wcześniej nie robili:

szukać wroga we własnych szeregach. Nie na darmo przyczyna tego przełomu zasłużyła na osobny kadr w kronice. Dotąd treścią wszystkich symboli i alegorii byli wrogowie z zewnątrz: radiacja, mutanty, bandyci, powodzie, osuwiska, agenci handlowi – słowem, wszystko, co sieje śmierć, zniszczenie i zamęt. Teraz zaś ludzie zdali sobie sprawę, że wróg może kryć się tuż obok, i żeby zasłużyć na to miano, nie potrzeba wcale robić zamachów bombowych.

Nowy obrazek przedstawiał kolejne zebranie. Jon postanowił posłuchać.

– Władze Datapolis realizują reformy urzędów. Zwierzchnik Cyprys wraz z doradcami prowadzi naradę w sprawie zmiany struktury...

Nauczyciel wszystko zrozumiał. Zwierzchnik ukrył przebudowę aparatu władzy w sosie progresywnych reform. Wcześniejszy system go nie zadowalał, co niezwykle dla tego, kto znajduje się na jego szczycie. Chociaż akurat na strukturę obywatele się nie skarżyli. Wszystko zawsze było proste: jest zwierzchnik, są jego sekretarze, czyli w gruncie rzeczy zastępcy z podziałem stref wpływów. Są jeszcze egzekutorzy i na tym w zasadzie koniec. Dobrze chociaż, że nie panował wieczny stan wojenny czy jakieś idiotyczne komitety.

Formalnie bezpośrednia władza zwierzchnika rozciągała się nie nad całym Krzyżem, lecz tylko nad podległą mu stacją. Cyprysowi nie brakowało ambicji, ale po prostu nie było dźwigni, które pozwalałyby mu kierować innymi stacjami. Stąd te ostatnie zaczęły rządzić się według własnego widzimisię. Jeden nazwał się merem, drugi sułtanem i każdy rozumiał swoje obowiązki w zależności od stopnia swego zepsucia. Na Złoty Wrotach w ogóle postanowili ustanowić monarchię, ale dopiero czas pokaże, jak długo to potrwa.

Kadr dwudziesty – i czwarty rok istnienia Krzyża. Cyprys zostaje wybrany na stanowisko Zwierzchnika na kolejną kadencję. Nauczyciel podrapał się po głowie. Nie zastanawiał się dotąd, na jaką kadencję wybiera się zwierzchnika i że taka kadencja może się skończyć.

Mieszkańcy byli zadowoleni ze swojego zwierzchnika. Szczególnie w świetle tego, że nie było zbytnio z kogo wybierać. Bez żadnego kultu jednostki Anton Kożewnikow, inaczej Cyprys, stał się wieczny jak sufit nad głową. Jon nie pamiętał nikogo, kto mógłby być dla niego konkurencją. Chociaż nie, był jeden taki. I to rodem z Łukjanowskiej. Energiczny, aktywny brygadzysta budowlańców z drżącymi palcami, z tych, co niby są młodzi, ale wcześniej się zestarzel. Jon nawet nie pamiętał, jak on się nazywał. Pamiętał tylko, że jego sąsiad wyruszył na podbój stolicy, zamierzając wspiąć się na sam szczyt. Po tygodniu wrócił z wybitymi zębami, szybko spakował rzeczy i znów pojechał do Datapolis, tym razem ze zdecydowanie mniejszymi ambicjami i znacznie bardziej konstruktywnym celem. Z Łukjanowskiej ukradł miejscową technologię – projekt kładzenia szyn z mniejszą liczbą podkładów, albo i w ogóle bez nich, przy zastosowaniu specjalnego mocowania. Tym zarobił na zameldowanie w stolicy. Od tego czasu na wspomnienie brygadzisty wszyscy pluli pod nogi, a potem zapomnieli nawet, jak miał na imię.

Dalsze kadry kroniki pokazywały, według słów lektora, kwitnącą młodzież. Niczego szczególnie kwitnącego Jon nie zauważył. Kilka osób płci obojga, mniej więcej w jego wieku, patrzy ze schodów gdzieś w dół. Nikt z nich nie był raczej młodszy od Jona, a ten według miar metra wcale nie był już młodzieniaszkiem. Chociaż samo ujęcie było świetnie ustawione, tworząc wrażenie, że te twarze należą do nastolatków. A jednak nauczyciel nie dostrzegł w ich minach żadnego zadowolenia. Po prostu zwykli, pozbawieni trosk ludzie. Czy bez troskę można nazwać szczęściem? Jon, odkąd pamiętał, nigdy specjalnie nie dążył do beztroski jako jakiegoś niedosiężnego marzenia. Przeciwnie, zawsze szukał sobie zajęcia. Jego samorealizacja polegała na tym, żeby zajęcie mu się podobało, i tyle. Jon ciągle chciał czegoś więcej niż wynajdywania idiotycznych, pozbawionych sensu innowacji. Nie zamierzał do końca swoich dni nadymać się, udając, że znaczna z niego persona. Po co próżnować tam, gdzie jest miejsce na ruch?

Jon wzruszył ramionami i zmienił slajd.

Widząc znajomą stację, nauczyciel drgnął. Jeśli wierzyć magnetofonowi, fotografia obrazowała zbórkę elektroniki na Łukjanowskiej. Dalej następowało wyliczenie typów układów scalonych i kondensatorów.

Nauczyciel zaczął szukać znajomych twarzy. Oczywiście na stacjach o niskim poziomie migracji zwykle wszyscy znali się z widzenia, mimo to Jon nie miał bliskiego kontaktu z żadną osobą na zdjęciu. Nie wiedział dokładnie, czym się zajmują, i dlatego nie mógł pojąć, co dokładnie na tym zdjęciu lutują. Co to za wyjątkowa elektronika na Łukjanowskiej? Jon nie miał pojęcia, że na jego stacji ktoś miał takie zacięcie. Dobry rzemieślnik zawsze był wysoko ceniony i ukrywanie takiej pasji nie miało żadnego sensu. Chociaż może nauczyciel był tak zajęty swoją szkołą, że przestał zauważać, jak reszta życia przechodzi obok.

Gdyby jednak na Łukjanowskiej zajmowano się nowoczesną technologią, odbiłoby się to na samej stacji, a Jon nie pamiętał, żeby chociaż żarówki świeciły tam bez szwanku.

Dwudziesty trzeci kadr przedstawiał cieplarnie na stacji Złote Wrota. Te budowle istniały już od wielu lat, ale jak się okazało, zaczęły wydawać plony dopiero w tym roku. Kiedyś nauczyciel przeczytał wszystkie dostępne mu materiały dotyczące nasion, nawozów organicznych i tak dalej, ale wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego w metrze nie rośnie właściwie nic poza grzybami. Doszedł do wniosku, że wszystko opierało się na świetle słonecznym i mikroklimacie. W szklarniach opracowano jakieś technologie, wpuszczając do środka rozgrzane powietrze, i z czasem udało im się wyhodować ziemniaki i marchewkę. Jon rzadko je widywał – kartofle rosły kiepsko i trafiały przede wszystkim na stoły w bogatych domach, część z nich wykorzystywano do produkcji takich dziwnych i bezsensownych bzdur jak chipsy. Kosztowały ogromne pieniądze – jedna sadzonka z bulwami przeznaczonymi na ten cienko pokrojony przysmak usmażony w świńskim tłuszczu pokrywała wszystkie wydatki na szklarnię. Marchewki, przeciwnie, było dużo, ale nie dało się jej jeść i praktycznie cała poszła na karmę dla bydła.

Z tego, co Jon pamiętał, botanicy Żłotyh Wrót opracowywali też skomplikowany system sztucznego słońca – kompleks luster i słoików z wodą, które załamywały światło, ale na razie bez szczególnych sukcesów.

Na następnym slajdzie Jon miał nadzieję zobaczyć kolejne osiągnięcie gospodarki, ale najwidoczniej skłonność fotografa do sensacji wzięła górę. Normalnie epickie olejne malowidło: „Stalker bije obywatela”. Tytuł sam przyszedł Jonowi do głowy, kiedy patrzył, jak ktoś w skafandrze ochronnym używanym przez Ptaki od serca wali w szczękę dobrze odżywionego mężczyznę. Jon nie widział twarzy stalkera i nie umiał odgadnąć, kogo ma przed sobą. Z kabury na udzie żołnierza wystawał rewolwer z jaskrawożółtą rękojeścią.

– Osobisty konflikt stalkera z obywatelem na Majdanie Niezależności zakończył się rękoczynami – powiedział lektor, widocznie postanawiając wzmocnić przekaz. – Lekarze nadeszli w porę, by pomóc rannemu. Stalker opuścił stację przed przybyciem ochrony.

Resztę Jon mógł sobie dośpiewać sam. Ptakom Kondora naturalnie udało się wyślizgnąć w odpowiedniej chwili. Być może nawet z dumnie podniesionymi głowami, niespiesznie, przed nikim się nie kryjąc. Wątpliwe, by ktokolwiek z ochrony stacji zaryzykował próbę ich powstrzymania. Będziesz miał tylko więcej problemów. Wejdiesz w drogę drużynie Kondora i pozostaniesz bez pewnego źródła różnych nieoficjalnych dostaw z powierzchni. Pozwolisz odejść – trafisz na dywanik u własnego dowództwa. Jak się nie obrócisz, dupa zawsze z tyłu. Incydent na pewno był długo roztrząsany.

Ale kto to był? Kto z nich koniecznie musiał pchać się na Majdan Niezależności, na który można było wejść tylko przez stolicę, i tam z kimś się kłócić? Być może uda mu się jakoś pociągnąć stalkerów za język na ten temat.

Jon przerzucił slajd i stwierdził, że tym razem fotograf przesadził.

Zbliżenie na twarz martwej dziewczyny z dziurką w głowie. Otworu wylotowego nie było widać. Obok leżał ten sam



rewolwer z charakterystyczną rękojeścią.

Na jego widok nauczyciel wyłączył pauzę w magnetofonie.

– Konflikt na Majdanie Niezależności okazał się tragiczny w skutkach – powiedział lektor, nie wkładając w swoje słowa żadnych emocji. – Próba zabójstwa męża, otrzymanym od stalkerów rewolwerem, skończyła się tragicznie. Podczas szamotaniny ten wyrwał żonie broń i zastrzelił ją. Dowódca stalkerów nie skomentował...

Jon przewinął do poprzedniego zdjęcia, potem znów do przodu, starając się zebrać obraz z kawałków. Ogólnie wszystko było dla niego jasne.

Któryś ze stalkerów Kondora zakochał się w młodej kobiecie, którą poznał w Datapolis, albo jeszcze gdzieś indziej. Ta okazała się żoną jakiegoś bogacza z Majdanu Niezależności. Ale w trójkąty miłosne mogą grać tylko syci i leniwi mieszkańcy podziemi. Stalker to natura prostolinijna. Widocznie postanowił spotkać się z mężem kobiety na jego terenie i porozmawiać. Cokolwiek usłyszał w odpowiedzi, sprawa zakończyła się awanturą. Groźby dotyczyły dziewczyny, bo żaden cywil nie zdołałby wystraszyć stalkera.

Następnego dnia stalker wręczył kobiecie broń, żeby ta rozwiązała pewną trudną kwestię. Być może była to jej inicjatywa.

Tylko dwa obrazki, ale ile można z nich wyciągnąć informacji! Podobnie jak dwa punkty na płaszczyźnie, te dwa kadry tworzyły wyraźny ciąg, z którego dało się odtworzyć wydarzenia prostą metodą dedukcji.

Gdyby kobieta wolała swojego męża, stalker nigdy nie przyszedłby starać się o nią w jej własnym domu. Ona nie wzięłaby jego rewolweru. W to, że stalker zabił małżonków z zazdrości, Jon nie wierzył. Nie zostawiłby wtedy swojego rewolweru, zresztą lektor powiedział wprost, że zabójcą był mąż. Z tego wynikało, że kobieta wolała stalkera. Według prawa Majdanu Niezależności nie mogła tak po prostu odejść, a na nikczemną ucieczkę nie miała ochoty. Stalker i ona próbowali coś wyjaśnić jej mężowi, dogadać się, znaleźć rozwiązanie. Miłość

musiała być mocna i prawdziwa, żeby zamienić wygodne mieszkanie na gniazdo Ptaków. Być może nawet z przyszłym dzieckiem pod sercem. Żeby zdecydować się na zabójstwo męża, kobieta musiała mieć poważniejszy powód niż po prostu inny mężczyzna na horyzoncie. Być może dochodziło tam do bicia albo innego znęcania.

Stalker nie mógł bez przeszkód pozbyć się konkurenta na jego własnej stacji. Nie dało się go też wywabić poza nią. Zwyczajna ucieczka z dziewczyną też nie wchodziła w grę – obywatel zgłosiłby porwanie, a to doszłoby do uszu sekretarzy i wtedy znów byłoby mnóstwo problemów.

Słowem, kobiecie pozostało samej zaważczyć o swoje szczęście. Fotografia jej martwej twarzy pokazywała smutny rezultat tej próby. Jon wyobraził sobie, jak rozżłoszczony mężczyzna z obolałą szczęką wyszarpuje ciężki rewolwer, który w dłoniach drobnej, nienawykłej do broni dziewczyny daje potężny odrzut.

Czy koniecznie musiał do niej strzelać? Wersja o samoobronie mogła przejść tylko wśród tępaków z dużych stacji. Jon nie miał zamiaru dać się złapać na taką bzdurę. Ale oczywiście nie będzie pytać Ptaków o szczegóły. Prędzej język sobie utnie.

Dwudziesty szósty slajd wyraźnie różnił się od wszystkich pozostałych, które nauczyciel zdążył zobaczyć. Przede wszystkim tym, że był zrobiony na powierzchni. Jon nie od razu rozpoznał widok metromostu, ponieważ fotografowano go z przeciwległego krańca, od strony Sławutycza, z miejsca, do którego Jon nie dotarł. Prawdopodobnie zdjęcie zostało zrobione bezpośrednio z drezyny. Aparat uchwycił zniszczony odcinek drogi z przerwanymi w kilku miejscach szynami. Grupa ludzi w hermetycznych skafandrach przestawiała drezynę z jednego toru na drugi. Czyli Scytowie rzeczywiście przeprowadzają tę operację ręcznie. Dotąd nauczyciel podejrzewał, że na taki wypadek mieli gdzieś obok ulokowany dźwig czy jakiś inny mechanizm z wciągarką. Jon miał kilka pomysłów, jak można sprawnie przeciągnąć drezynę z jednego miejsca na drugie, korzystając z siły rąk tylko jednego człowieka. Chciał nawet poszukać jakiejś kartki i zrobić szkic – nigdy nie wiadomo, a nuż

w przyszłości przyda mu się zameldowanie w Datapolis. Nigdy nie wiesz, co się zdarzy jutro. Ale zatrzymał się. Jeśli scytyjscy kupcy przestawiali dreżynę gołymi rękami, to było to komuś potrzebne. Gdyby chcieli naprawić tory, toby naprawili, nie trzeba do tego aż takiego wysiłku, biorąc pod uwagę, ile bezpańskich części zapasowych wala się wokół. Najprawdopodobniej to uszkodzenie było dla kupców przydatne. Dawalo Scytii wyłączone prawo do przejazdu przez most. Uszkodzenie mogło zresztą nie być przypadkowe. Albo kupcy sami wysadzili most. Przecież nie na darmo wezwali fotografa, żeby przedstawił wszystko w odpowiednim świetle.

Następny obraz – zbliżenie kuszy leżącej wśród suchych liści. Na łożu wydrapano nożem: „Trauma”. Litery były na wpół starte – tej broni często używano. Jon miał ochotę poznać historię tego przedmiotu. Znów zwrócił się o pomoc do kasety. Okazało się, że ów samostrzał znaleziono w czasie walki o władzę w Metrogradzie, do której doszło po śmierci generała Olszańskiego.

Nauczyciel nie wątpił, że w Metrogradzie naprawdę doszło do prawdziwej wojny o władzę. Święte miejsce nie bywa puste. Niektóre idee generała, mimo że światłe, były po prostu nie do przełknięcia dla dużej grupy ludzi.

Ale skąd ta kusza w ogóle się znalazła u fotografa? Metrograd nie oddałby czegoś takiego, Ptaki tym bardziej. Samostrzał miał dwie cechy sprawiające, że był na niego duży popyt: był praktyczny i symboliczny zarazem. Chociaż mało kto potrafił z niego strzelać, był łatwiejszy w użyciu niż automat – na przykład dla kobiety. Gdyby tamta dziewczyna zamiast rewolweru z żółtą rękojeścią miała kuszę...

Nauczyciel zdał sobie sprawę, że analizuje ten przypadek na wszystkie strony, i rozżłościł się na siebie.

Kolejny slajd pokazywał stację Syriec, na której Jon bywał rzadko, lecz którą jednak rad był zobaczyć. Mimo wszystko znajduje się na tej samej linii co Łukjanowska.

Na zdjęciu trudno było coś dojrzeć z powodu dymu. Z pewnością przedstawiało ono tamten przypadek tajemniczego

zadymienia stacji, którego przyczyny pozostały nieznane. Był to jeden z nielicznych przypadków, kiedy Datapolis udzieliła bezpośredniej pomocy innej stacji, pomimo że Syriec był na drugim końcu metra. Wtedy to na Łukjanowskiej pierwszy i ostatni raz wszedł w życie protokół awaryjny nakazujący przepuszczać bez przeszkód w obie strony wszystkich chcących przejść. Drezyny toczyły się jedna za drugą. W jedną stronę jechali ratownicy-ochotnicy, w drugą – uchodźcy. Jon sam chciał pojechać, żeby zobaczyć, co tam się wyprawia, a może i w czymś pomóc, ale go nie puścili. W tamtym czasie w jego namiocie było dużo dzieci. Gdyby zadymienie dotarło aż tutaj, byłby odpowiedzialny za ich ewakuację.

Syriec był jedną wielką plantacją. W odróżnieniu od Złotych Wrót nikt tam koła nie wynajdywał. Te same świnie, te same grzyby co wszędzie, tylko w większych ilościach. Niespecjalnie miało się tam co dymić. Chociaż po ewakuacji uchodźców zaczęto stamtąd wywozić ładunki w zamkniętych skrzyniach. Może nie tylko żywność tam produkowano – mało to narkotyków mogli syntetyzować w tym zabitym dechami kącie? Z czasem Syriec wrócił do pracy i po dymie został tylko silny zapach bijący wprost ze ścian.

Slajd dwudziesty dziewiąty. Kolejna rocznica założenia Krzyża stała się dniem, w którym na Mińskiej urodziło się setne dziecko. Zdjęcie pokazywało szczęśliwego ojca trzymającego noworodka. Matki dziecka obok nie było. Jak też fotografowi udało się znaleźć tam we właściwym momencie? Może wszystko miał zaplanowane rok wcześniej?

Wysoki wskaźnik urodzeń na Mińskiej nie był źródłem plotek ani legend – po prostu uważano to za jeden z niewielu faktów, które nie budziły rozdrażnienia. Chociaż pojawiały się oczywiście obawy o przyszłość takiej hordy dzieciaków. Aż dziwne, że nie utworzono tam szkoły.

W każdy razie na Mińskiej nie zdarzały się choroby, katastrofy ani pożary.

Slajd trzydziesty. Sześciu mężczyzn z twarzami umazanymi sadzą w kaskach, a jeden w masce spawalniczej. Z początku Jon

uznał, że ma przed sobą przedwojenny plakat jakiejś grupy rockowej, ale magnetofon wyjaśnił, że to epizod, podczas którego złomiarze z Krzyża chcieli dostać się na opustoszałą Olimpijską. Był to jedyny oficjalnie zarejestrowany wypadek, gdy mieszkańcy metra spróbowali zagospodarować terytorium oddane do dyspozycji Ptakom.

Biorąc pod uwagę okoliczności, przedsięwzięcie to było całkiem pożyteczne. Grupa specjalistów z różnych stacji, zajmujących się recyklingiem wszelkich metalowych przedmiotów, postanowiła zacząć przetapiać żelazo, żeliwo, stal i wszystko, na co starczyłoby sił, paliwa i technologii. Przygotowali pisemne uzasadnienia, dokumenty, złożyli podanie do Cyprysa z prośbą o pomoc w zagospodarowaniu stacji Olimpijska, gdzie planowali postawić piece, zawieźć konieczne minimum sprzętu, by zacząć pracę.

Pomysł spodobał się Cyprysowi. Olimpijska była w końcu położona tuż obok Datapolis i posiadanie pod ręką niewysychającego źródła metalu bez brania pod uwagę zdania handlowych syndykatów południowego wschodu i północy było bezcenne. Nikt by nie odrzucił takiej smakowitej propozycji. Przy okazji udałoby się odizolować stalkerów w Pałacu od cywilizowanych ludzi.

Tyle że Olimpijska była stacją skrajnie niebezpieczną do życia, nie mówiąc o pracach hutniczych. Jedna z bomb spadła na wznoszący się nad nią stadion i mogła się zwyczajnie zawalić od lada jakiego hałasu. Było to miejsce najmniej nadające się na fabrykę z jej łoskotem, wibracjami i ciągłą zmianą temperatury.

O zdanie spytano też Ptaki. Kondor długo się bił z myślami – jak postąpić, co poradzić.

Problem rozwiązał się sam, tak głupio, że to aż śmieszne: doszło do wdarcia się chartów z jakiejś odnogi tunelu i hutnicy uciekli z powrotem na swoje stacje. Cyprys nie wierzył w takie zbiegi okoliczności i o mało nie oskarżył Ptaków, że ci specjalnie wypędzili mutanty. Potem któryś z sekretarzy wyjaśnił zwierzchnikowi, że charty nie poddają się tresurze i temat trzeba było zamknąć.

Jon ziewnął. Obejrzał już trzydzieści slajdów, zostało mu niewiele.

Nowy obrazek pokazywał rozdawanie lekarstw ludności. Znany punkt wydawania tabletek. Tłum, wyglądający na zdyscyplinowany, wyciąga ręce po plasterki, buteleczki i pudełeczka. Tamtego dnia nauczyciel miał szczęście znajdować się w Datapolis i dołączył do chętnych na dary, biorąc udział w imprezie i tak jak wszyscy stojąc w kolejce. Pamiętał, że trafiły mu się wtedy dwa pudełka węgla aktywowanego, zielonkawy hematogen i opakowanie dobrych plastrów bakteriobójczych – niemal najlepszy łup, jaki można było zdobyć tamtego dnia. Jeśli nie potrzebujesz specjalnych medykamentów.

Wszystkie towary były oczywiście przeterminowane, ale węgiel i plastry się nie psują, a hematogen od razu komuś oddał.

Wszystko miało bardzo proste wyjaśnienie. Cyprys otworzył nowe paki z magazynów, chcąc sprawdzić ich stan na ochotnikach, o czym uczciwie ostrzegął. Ogólnie rzecz biorąc, to samo co z rozdawaniem wody kilka lat wcześniej, tyle że tym razem stawka była znacznie wyższa. Wtedy jakoś poszło i chyba nikt nie umarł. Potem Cyprys rozdał zawartość jeszcze jednej paki, już za pieniądze, choćby symboliczne, i znów poprawił swoją reputację. Nauczyciel podziwiał, jak można dowolny ruch obrócić na swoją korzyść. Lud żąda darów – rzuć mu stęchłe konserwy, w końcu za friko nawet ocet wyda się słodki. Ucieszą się i z pustych puszek – blaszanki też nie leżą na torach.

Na kolejnym zdjęciu stały w równych rzędach butelki z napojami gazowanymi ze stacji Obołoń – miejsca, w którym niczego konkretnego nie produkowano i które w żaden sposób nie uczestniczyło w życiu Krzyża. Niby jest stacja, ale gdyby ją usunąć – nic się nie zmieni. Dlatego kiedy niespodziewanie pojawiła się u nich solidna liczba gazowanych napojów o skomplikowanym składzie, zdziwili się wszyscy. Cymeria wyczuła zyski wcześniej niż Scytia i zaoferowała butelki w zamian za zniżkę na hurt. Lemoniadę zaczęto sprzedawać na lewo i prawo. Nie do pomyślenia było, że ktoś w metrze stworzył na kolanie przepis i w tajemnicy zorganizował produkcję.

Mieszkańcom stacji dobrze się powodziło, dopóki w pewnej chwili nie zamknęli kramiku.

W tamtym czasie nikt nie rozumiał, co to było, skąd na Obołoniu nagle wzięła się lemoniada i dlaczego miejscowi przestali ją produkować, skoro przynosiła takie profity. Ale najbardziej zaniepokoił się w stolicy. W szczególności Cyprys długo nie mógł pojąć, skąd mieszkańcy Obołonia zdobyli taką ilość cukru. Do tego napoju potrzeba go było bardzo dużo. Pojawiła się nawet pogłoska, że na stacji uprawiają specjalną odmianę trzciny, co dało Obołoniowi status partnera strategicznego. W końcu cukier to nie tylko lemoniada, ale też ogromny dział produkcji chemicznej, w tym materiały wybuchowe.

Historia z lemoniadą okazała się dowcipem Scytii. Przynieśli Obołoniowi cukier, żeby napaść się na odsprzedaży napoju, na dodatek robiąc w balona Cymerię. Sprawdzili przy okazji stolicę, wytrzymałość jej nerwów i szybkość reakcji.

Kto okazał się przegrany, było jasne bez słów. Kiedy lemoniada się skończyła i okazało się, że Obołoń nie może jej produkować własnymi siłami, do stacji znów przyłgnęła wcześniejsza reputacja kompletnych nieudaczników. Jon nie widział w tym żadnej sprzeczności. Ostatecznie każdy eksperyment społeczny zawsze kończy się zwycięstwem jego sponsorów i klęską wszystkich, którzy w nim uczestniczą.

Trzydzieste trzecie zdjęcie przedstawiało siódmą rocznicę Krzyża – obecny rok, który odznaczył się obniżeniem ceł dla scytyjskich karawan. Długi sznur kupców w tunelu poruszał się przy włączonym zewnętrznym oświetleniu. Wszyscy obładowani jak wielbłądy. Ociepliły się ich stosunki z Datapolis czy to Cyprys prowadził swoją grę? Jakkolwiek było, karawany szły jedna za drugą. Co oni tam nieśli za towary? Jeśli sprzęty gospodarstwa domowego w rodzaju baterii, to skąd taka skala? Być może Cyprys po prostu otworzył szeroko wrota, żeby zebrać jak najwięcej towarów w Datapolis, nawet jeśli należało w tym celu rozstać się z zapasami wszystkich posiadanych rodzajów waluty. Tym bardziej że wartość żetonów do metra była bardzo umowna i zależała wyłącznie od towarów i produkcji.

Czy handel mógł być sposobem prowadzenia wojny? Jon próbował przypomnieć sobie, co nieśli tamtego dnia kupcy na Łukjanowską. Zdaje się, że węgiel. Nietypowy towar jak na tak długą drogę, ponieważ węgla akurat nikt nie taszczył w plecakach. Ładowali go do skrzyń i wieźli drezynami. Biorąc pod uwagę, że Scytowie po drodze na Łukjanowską musieli przedostać się przez zniszczony metromost, przed kupcami stało niełatwe zadanie. Z drugiej strony mało to rzeczy mogli ukryć w stercie węgla czy nawet w poszczególnych bryłkach? Zakazu przemytu nikt nie znosił.

Jon przełączył na kolejny slajd i utkwiał wzrok w zdjęciu chałupniczo wykonanej broni. Był to automat wyprodukowany przez speców na Peczerskiej. Ci zdolni goście, naprawdę mistrzowsko opanowali swoje rzemiosło i ciągle wynajdywali różne rzeczy, może niewyróżniające się wyglądem, ale praktyczne w warunkach metra. Słyszeli też z tego, że wszystkie potrzebne surowce brali bezpośrednio od Ptaków, spotykając się z nimi raz na dwa tygodnie w pasażu handlowym Datapolis. Sekretarze w stolicy dwukrotnie proponowali peczerskim zameldowanie w Datapolis w zamian za przekazanie niektórych technologii, ale mistrzowie nie dzielili się swoimi sekretami i czuli się na ojczystej stacji doskonale. Jon nie uważał automatu za ich najlepszy wynalazek, ale cieszył się, że majstrowie trafili do kroniki.

Urządzenie na fotografii przypominało raczej wiertarkę, z której – trzeba przyznać – pochodziła co najmniej połowa jego części. Automat błyskawicznie się przegrzewał, kiepsko strzelał i ustępował celnością nawet pistoletowi z krótką lufą, ale jego niezaprzeczną zaletą była dostępność części. Praktycznie wszystko, z czego się składał, można było wymienić, wystarczyło mieć pod ręką stary budzik albo mocowanie od ekranu laptopa. Zbudowanie takiego automatu mogło sprowokować nowy wyścig zbrojeń, tak więc Cyprys zwrócił się z prośbą o pomoc do Cymerii, która po prostu wykupiła tyle sztuk, ile mogła, by następnie zniszczyć całą partię w obecności Baobaba. Bank uznawał to zdarzenie za niedorzeczne, a nauczyciel podzielał tę



opinię. Cymeryjczycy okazali się niezbyt dalekowzrocznymi kapitalistami. Trzeba było razem ze sznurkami i paskami od zegarków kupować wiertarki na Peczerskiej. Można by wtedy uniknąć płacenia za to, co z nich powstało.

Kolejny slajd przedstawiał szyld poczty na Placu Pocztowym, obok której stali, rzecz jasna, listonosze. Było to w czasie, gdy w ślad za Obołoniem i Peczerską inne stacje Krzyża zaczęły wyrabiać sobie swoje marki. Idea serwisu pocztowego sama się nasuwała, zwłaszcza w obliczu rosnącej migracji mieszkańców. Wreszcie Plac Pocztowy zaczął potwierdzać swoją nazwę, stając się czymś więcej niż ostoją dziwek i mnichów w równych proporcjach. Utworzona służba kurierska początkowo roznosiła zwykłe listy i depesze, później przeszła na paczki, duże przesyłki i dopiero potem się okazało, że koncepcja kręcącego się między stacjami kuriera z ładunkiem w zasadzie niczym się nie różni od pracy scytyjskiego straganiarza. To znaczy obejmowały ich cła, haracze i inne przyjemności handlowego życia. W rezultacie kurierzy Placu Pocztowego zaczęli pracować normalnie dopiero na północy granatowej linii, obsługując odcinek między Datapolis a Bohaterów Dniepru. Władzom tych stacji spodobała się idea niezależności od telegrafu ze stolicy i wspólnymi siłami zapewniono kurierom szybkie przejście po trasie.

Jon wyświetlił ostatni slajd, zastanawiając się, co tam będzie. Przed nim pojawił się mniej więcej czterdziestoletni uśmiechnięty człowiek, trzymający w dłoniach aparat fotograficzny. W futerale na ramieniu miał zapasowy flesz. Jon nie rozumiał, kogo ma przed sobą, odsłuchiwał kasetę przez całą minutę, ale nie doczekał się ani słowa. Potem zorientował się, że ten człowiek to właśnie fotograf, który stworzył całą tę kronikę. Prawdopodobnie on też nagrał komentarze na kasetę.

Cóż, można faceta zrozumieć. Chciał mieć swoją chwilę sławy, prosząc któregoś z przyjaciół, żeby go sfotografował. I tak kończył mu się film i trzeba było założyć nowy.

Patrząc na granatową bluzę i spodnie w tym samym odcieniu, Jon stwierdził, że mógł gdzieś widzieć tego kronikarza. No jasne. Nauczyciel westchnął, przyjrzał się ubraniu, szacując wzrost

fotografa. Zdaje się, że odnalazł właściciela szkieletu w strzępach granatowego stroju, który zauważył, przejeżdżając obok stacji Teliczka scytyjską drezyną. Wygląda na to, że właśnie tak skończyła się jego historia. Zaginął bez wieści na martwej, zimnej, mokrej i pustej stacji, zdążywszy na koniec uwiecznić samego siebie w najważniejszym dziele całego swojego życia. I gdzie jest jego aparat z nowym filmem? Pozostał tam, na Telicze, obok szczątków swego właściciela, porzucony między szynami?

Oczywiście wszystko mogło się okazać bardziej prozaiczne, jeśli fotografa zabili przez aparat albo przez to, co mogło się znaleźć na filmie.

Jon wyłączył magnetofon i rzutnik slajdów, odstawił ostygłą herbatę, opadł na łóżko i zamyślił się. Zdawało mu się, że właśnie ostatni kadr stał się najważniejszym ze wszystkich, które zobaczył. Służył jakby za filtr, przez który należało oglądać wcześniejsze trzydzieści pięć zdjęć.

Nauczyciela dręczyło rosnące oburzenie. Zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas podświadomie miał nadzieję, że zobaczy na ekranie swój namiot. Czyżby szkoła na Łukjanowskiej okazała się niegodna trafienia do kroniki tych siedmiu lat? Czy jego przedsięwzięcie było znaczące tylko dla niego samego i rodziców, którzy po prostu ucieszyli się z możliwości opchnięcia na parę godzin swoich dzieci nieznanemu? Czyżby idea szkoły, jedynej w całym Krzyżu instytucji dającej namiastkę edukacji, przegrywała w swojej istotności i aktualności z lemoniadą i przeterminowanym hematogenem?

Jon poczuł, że te myśli wpędzają go w depresję. Jeszcze trochę i zwali się na niego cały ciężar minionego dnia. Jon po prostu się złamie. Trzeba było szybko coś zrobić. Otrząsnąć się, zakrzętać, zająć mózg czymś ciekawym. Najchętniej bez ponurych faktów z jeszcze bardziej ponurego życia dookoła. Nauczyciel postanowił ze swojego miejsca znów przyjrzeć się pokojowi.

Siedział długo, patrząc na szafę przed sobą.

Najzwyklejsza szafa. Dwa metry wysokości od podłogi, z parą drzwi. Gałki widniały dokładnie pośrodku.

– Zwykły pokój – mruknął Jon.

Wstał z łóżka, podszedł do szafy, pociągnął za gałki. Drzwi nie uległy. Szafa była zamknięta.

Jon poszukał wzrokiem klucza, potem zajrzał do wszystkich szuflad i niczego nie znalazł. Wyciągnął swój nóż i po krótkiej manipulacji podważył zasuwkę. Jedno ze skrzydeł otworzyło się, demonstrując nierówne rzędy książek pachnących kurzem.

„Skąd zna pan Matuzalema?”

„Zajmował się skompletowaniem biblioteki...”

– Ależ oczywiście – wyszeptał Jon.

Nóż lekko ukłuł go w palec. Dochodząc do siebie, nauczyciel schował go i mocno pociągnął za drugie skrzydło, wyrywając zamek razem z kawałkiem starego drewna. Kilka książek upadło na podłogę i nauczyciel na razie ich nie podnosił. Po ich kształcie i rozmiarze wiedział już, że nie tego szukał.

Nauczyciel zaczął przeglądać książki jedną po drugiej, starając się nie zemdleć od nadmiaru uczuć. Tytułów tomów prawie nie widział, jeśli nie były napisane dużymi literami. Systemy zarządzania bazami danych. Krótki słownik terminów lotniczo-kosmicznych. Kilka książek w niezrozumiałym języku. Dalej szło coś przygodowego...

Jon znalazł szukaną książkę na przedostatniej półce, wsuniętą między słownik języka węgierskiego a podręcznik do matematyki.

Znajoma biała okładka.

Znajoma czcionka.

Jon zrobił nawet uroczystą pauzę, zanim dotknął książki.

Obliżał wargi, ostrożnie zdjął książkę, czując, jak drżą mu palce. Jego wzrok padł na dobrze znany nagłówek.

*Flora.*

Jon podszedł z książką do łóżka, usiadł z namaszczeniem, otworzył książkę i szybko przekartkował do właściwego miejsca. Kartka ze stronicami sześćdziesiąt siedem i sześćdziesiąt osiem była na miejscu.

Pełne wydanie *Flory*.

Jedynie ocalałe w całej kolejce podziemnej.

Jon patrzył na kartkę, za którą uganiało się całe metro. Patrzył długo, zatracając się w czasie i przestrzeni. Gdyby w tym momencie na powierzchni wydarzyła się druga Katastrofa, pewnie niczego by nie zauważył.

– Ożeż w mordę – mruknął i przeszedł do mocniejszych słów.

Powoli zamknąwszy książkę, Jon dotknął nią czoła i przez jakiś czas tak siedział, niemal nie oddychając. Jego myśli ułożyły się w długi, niepojęty łańcuch przyczynowo-skutkowy, gdzie znalazło się miejsce dla wszystkiego, co widział przez ten szalony dzień.

Potem Jon zrobił to, czego dzieci ze szkolnego namiotu na pewno by mu nie wybaczyły. Zostawił niedopitą herbatę, zaparzoną w czystej wodzie z białym cukrem, założył ubłocone buciory, wsunął sobie książkę za pazuchę i nacisnąwszy na przycisk obok drzwi, wyszedł, nie przeżywając swojego Dnia Socjalnego do końca.

## ROZDZIAŁ 3

### Pylon

Z kompletnym mętlikiem w głowie Jon wyszedł na spotkanie gwaru stacji. Drzwi zamknęły się za nim, zamek szczęknął. Nauczyciel odwrócił się. Czerwona lampka nad zamkiem mignęła kilka razy i zgasała, dając do zrozumienia, że nie wejdzie tak łatwo z powrotem.

Ale czego mu tam trzeba? Świat w Pokoju, mimo swego piękna, był fałszywy. Tak samo sztuczne zdawało się teraz Jonowi całe życie metra.

Jon zszedł po schodach na stację, wtopił się w tłum ludzi i dopiero wtedy zastanowił się, skąd w ogóle ten tłum. Na innych stacjach każdy zajmował się swoimi, konkretnymi sprawami i nie wahał się po próżnicy. Najwidoczniej w Datapolis ludzie po prostu nie mieli co robić.

Nauczyciel szedł i starał się przemyśleć jak należy to, czego się dowiedział. Bał się, że kłębek myśli rozpadnie mu się na mnóstwo oddzielnych nici, ale nie – z każdym krokiem coraz lepiej rozumiał schemat, który ułożył mu się w głowie. Schemat cudzych działań wymyślony kilka lat temu.

Jest mieszkanie Tatiany.

Pod pojęciem pylonów rozumiano w Datapolis nie tyle same filary podpierające sufit, co wolną przestrzeń między nimi, przekształconą w mieszkania. Nisze te uważano za apartamenty dla elity – w pierwszej kolejności z powodu wydumanego prestiżu, dopiero na drugim miejscu była praktyczność. Z wentylacją w pylonach wciąż nie było najlepiej.

Pylon Tatiany był czwarty od prawej. Szeroka nisza osłonięta kilkoma warstwami desek z drzwiami pośrodku.

Jon zapukał. Nikt mu nie odpowiedział. Nauczyciel przytknął ucho i wsłuchał się – cisza. Jon rozejrzał się dookoła, upewnił, że

nikt go nie obserwuje. Wyciągnął nóż, wsunął w szczelinę w drzwiach. Te okazały się bardziej odporne niż szafa z książkami, ale jednak udało mu się je otworzyć.

Nauczyciel pchnął drzwi i wszedł do środka, po czym szybko zamknął je za sobą.

Elzy tu nie było. Była za to Tatiana. Leżała na materacu w samym środku swojego apartamentu, około cztery razy mniejszego od namiotu Jona na Łukjanowskiej.

Zupełnie nie w porę Jon pomyślał, że nigdy nie był wewnątrz pylonu. Okazało się, że żadnym luksusem nawet tu nie pachnie, może oprócz odosobnienia, które tym razem obróciło się przeciwko Tatianie.

– Tania, co się stało? – spytał nauczyciel, pochylając się nad młodą dziewczyną. – Żyjesz?

– Tak – pisnęła Tania, przyciskając kolana do piersi.

– Źle się czujesz? – spytał nauczyciel, obracając jej twarz w swoją stronę.

Tania wyglądała, jakby przejechał ją pociąg. Całą twarz miała w siniakach i krwiakach.

– Kto to zrobił? – zapytał Jon. – Chyba nie Elza?

– Nie... Zabrali ją.

– Kto ją zabrał?

– Oleg z Kirgizem.

– A kto to taki?

Tatiana zrobiła bolesny grymas.

– Tania, kto to?!

– Ochrona Cyprysa – wyszeptała.

– Cyprysa? Pobili cię ochrona zwierzchnika? Porwali Elzę?

– Tak.

– Kiedy?

– Niedawno... Niczego nie rób, proszę cię... ja tu jeszcze muszę żyć.

Jon skinął głową, wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

W jego sercu ból walczył ze wściekłością i Jon wybrał to drugie uczucie. Palce spoczywały na rękojeści noża, gdy szedł korytarzem do drugiej części stolicy. Jon miał nadzieję, że nie

oszaleje z wściekłości.

A więc to się kryło za beznamiętnym wyrazem twarzy przywódcy Krzyża.

Chociaż kim on jest, że żywi złość wobec zwierzchnika? Napaść na Cyprysa w centrum ludnej stacji to nie to samo, co strzelać z automatu, przyczaiwszy się w kącie, w ciemności. Ochrony zwierzchnika nie zajdzie tak po prostu od tyłu.

I wtedy nauczyciel zobaczył znajome twarze. Westchnął głęboko i zdjął dłoń z noża.

– Kondor – odezwał się Jon. – Feniks.

– O, cześć – powiedział Feniks, spoglądając na nauczyciela z zadowoleniem.

Zdaje się, że Jon nie był dla niego już tylko zwykłym znajomym. Teraz był dla Ptaków Kondora jak pełnowartościowy wychowanek, który posłuchał stalkerskich rad i pozostał przy życiu.

– Widzieliście Elżę? – zapytał nauczyciel.

– Nikogo nie widzieliśmy. A powinniśmy? Dopiero wróciliśmy od Dementiewa. Coś się stało?

Jon rozejrzał się wokół. Tutaj nie znajdzie nigdzie pomocy. Stalkerzy byli jego ostatnią nadzieją. Ale dlaczego mieliby mu dalej pomagać?

– Wiem, czego chce Metrograd – powiedział Jon.

– Tak. – Kondor wstał, oglądane właśnie łuski od nabojów odłożył z powrotem na dywan służący za stragan. – Może odejdziemy kawałek?

– Nie ma czasu – zaproponował nauczyciel. – Wiem wszystko, albo prawie wszystko. Wiem, co się stało z czerwonymi. I to może się powtórzyć. Tu, z nami wszystkimi.

– Rozumiem – powiedział Kondor. Wyglądał na nieco zamyślnego.

– Co zamierzasz robić? – zapytał Feniks.

– Uprzedzić ich – powiedział Jon. – Przy okazji, Feniks, wielkie dzięki za łódkę. Wszystko z nią w porządku, leży na brzegu...

– Chrzanić łódkę. To tylko sprzęt. Lepiej skup się i powiedz, co trzeba zrobić.

- Zebrać waszych ludzi.
- A potem?
- Odszukać Elzę, i to szybko.
- No to ruszamy – powiedział Kondor.

Cała trójka pomaszzerowała pasażem.

- Znajdź chłopaków – powiedział półgłosem Kondor.

Feniks skinął głową. Zrobił parę kroków w bok, skrył się za stojącą nieopodal kobietą i rozpląnął się w powietrzu. Przed chwilą tu był, a teraz zniknął.

- Nie zabrali wam broni? – spytał nauczyciel.

- Kto by spróbował? Wszystkie ważne rzeczy mamy przy sobie. Do tego Cyprys podzielił się z nami ekwipunkiem. Chłopaki zanieśli go już do Śluzu. Bocian na pewno już sobie z tym poradził.

- To dobrze. Tylko możemy nie mieć szansy, żeby zabrać ten wasz sprzęt.

- No i trudno – powiedział Kondor. – Wy, dzieci podziemi, bardzo lubicie liczyć na blaszaki... Jak się dowiedziałeś o czerwonych?

- Zestawiłem kilka faktów. Ale to nie wszystko. Byłem w Pokoju Dnia Socjalnego i znalazłem tam...

Jon urwał i spojrzał w bok z zainteresowaniem.

- No? – zapytał Kondor.

- Sekundę... Arsenij! Podejdź na chwilę!

Słyszając swoje imię, sekretarz Cyprysa zdrzął. Jon machnął do niego ręką.

Sekretarz zawahał się. Chciał chyba uciec, ale postanowił jednak podejść z wymuszonym uśmiechem.

- Szukam Elzy – powiedział nauczyciel. – Pamiętasz dziewczynę, z którą wyruszałem? Gdzie ona jest?

- Tak, pamiętam – powiedział ostrożnie sekretarz.

- Arsenij, gdzie ona jest?

- Cyprys ją zabrał – powiedział Arsenij, zerkając z obawą na Kondora. – Do swojego gabinetu. Ale teraz jej tam nie ma, przekazali ją na górę.

- To znaczy? Jak to na górę? Dokąd?



– Wydali ją Metrogradowi.

– Że co?! Oddali Elżę Metrogradowi?

– To chyba kiepsko? – zapytał Kondor.

– Bardzo – powiedział nauczyciel. – Metrograd nas wyprzedza, i to mocno. Arsenij...

Jon chwycił za łokieć sekretarza, który postanowił się dyskretnie oddalić i teraz patrzył na nauczyciela jak zbity pies.

– Jeszcze jedno pytanie. Jak dostać się stąd do Metrogradu?

– Nijak – odparł Arsenij. – I dajcie mi już spokój!

– Zaczekaj, kolego – powiedział Kondor. – Wiem, że stąd nie można się tam dostać. Nie ma sposobu, chyba że oni sami otworzą od swojej strony i uruchomią windę. A nie zrobią tego, jeśli Cyprys nie poprosi ich osobiście przez telefon.

Jon pokręcił głową. Arsenij jednak się wyrwał i pospiesznie odszedł, nie odwracając się za siebie.

– Uwierz mi – ciągnął Kondor. – To niepotrzebne. Siłą też się nie wedrzemy. Wystawisz tylko stolicę na niebezpieczeństwo. Zapomnij. Baza Metrogradu jest stąd niedostępna.

– O czym mowa, bracia? – dał się słyszeć głos Bociana.

Szli z nim Feniks, Kruk i Wróbel.

Ptaki były w komplecie.

– Co się stało? – zapytał Kruk.

– Cyprys wszystko schrzanił – powiedział Jon. – Teraz współpracuje z Metrogradem, a nie z wami. Odwrócili naszą uwagę.

– A to świnia – wycedził Bocian. – Kupili nas, chłopaki, za proch i blaszaki.

– Właśnie – potwierdził nauczyciel. – Trzeba szybko stąd spadać.

– My to tak, a tobie to po co? Jesteś przecież z Łukjanowskiej, tak? Więc idź do domu.

– Muszę się dostać do Metrogradu – nalegał nauczyciel. – I to natychmiast. Jeśli nie możecie mnie tam zaprowadzić, to powiedzcie chociaż, jak iść. Tylko nie radźcie mi, żebym zostawił ten pomysł, bo tego nie zrobię. Muszę znaleźć Elżę.

– Cóż, do Metrogradu można wejść nie tylko stąd. – Bocian

uśmiechnął się lekko. – Jest jeszcze Wyrwa.

– Wyrwa?

– Tak – powiedział Kondor. – Póki nas tu wszystkich nie związali, proponuję opuścić to cudowne miejsce. Odchodzimy w stronę Śluzy. Po drodze zabierzemy podarunki. Upchnąłeś je jak należy?

– A jak – odparł Bocian. – Chłopie, jesteście z nami?

Nauczyciel poszedł za stalkerami, pozostawiając stolicę za sobą. Miał przeczucie, że nieprędka tu wróci.

## ROZDZIAŁ 4

### Wyrwa

– Nieźle, co? – stwierdził Bocian, gładząc kolbę automatu, jakby zdążył się z nią zaprzyjaźnić. – Skąd u nich tyle giwer?

– Zapytaj lepiej, przeciwko komu – burknął Kruk, zapinając kamizelkę kuloodporną.

– W takim razie trzeba spytać, co Metrograd za to wziął – powiedział Kondor, poprawiając maskę oddechową z nowymi filtrami.

Jon postanowił nic nie mówić. Nie czuł się uprawniony do komentowania czegokolwiek. Sprawdził swój automat – kolejny skrócony kałasznikow. Mocniej zacisnął pasek z mnóstwem wyposażenia taktycznego. Na pierwszy rzut oka nowe ciuchy stalkerów zasługiwały na pochwałę.

Do chwili, gdy wyszli na powierzchnię w rejonie Kłowskiej, Jon był już psychicznie gotowy do powrotu na górę. I prawie się nie zdziwił, że wciąż jeszcze panowała tam noc, chociaż trochę się już rozjaśniło. Orientacja w terenie stała się prostsza, ale wciąż przeszkadzało błoto.

– Najprostsza droga do Metrogradu prowadzi ulicą Miecznikowa – powiedział Kondor.

Jon rozumiał, że słowa dowódcy są skierowane do pozostałych Ptaków, jako że jemu samemu nazwy ulic Kijowa niczego nie mówiły.

– Może ja poprowadzę? – zapytał Wróbel. – W końcu najlepiej znam te okolice.

– Nie, ty zamykasz. Lepiej ja. Pamiętam, że to twoja kolej, ale ta misja jest wyjątkowa.

Wróbel skinął głową, nie dyskutował. Zajął miejsce za Jonem.

– W końcu nie powiedzieliście, dlaczego postanowiliście mi towarzyszyć – przypomniał nauczyciel. – Pokazalibyście

kierunek, a ja bym jakoś trafił.

– Co, sam? – zapytał Kondor. – Dasz radę całemu Metrogradowi?

– Nawet nie zamierzałem. A co, w szóstkę możemy?

– Nie będzie trzeba. Miasto jest praktycznie puste. Tu sześciu ludzi z bronią to już armia, z którą trzeba się dogadywać.

– Ech, nie żyłeś w dawnych czasach – westchnął nostalgicznie Feniks tak mocno, że filtr maski przeciwgazowej zabulgotał. – Ekipa zbiera się nie po to, żeby iść w bój tyralierą, ale żeby tego boju nie było.

Tym razem Jon rozglądał się po okolicy nieco odważniej. Jego uwagę przykuł ogromny budynek. Kilka górnych pięter było zburzonych. Nauczyciel nie umiał sobie wyobrazić, jak ta budowla wyglądała przed Katastrofą.

– To Parus – powiedział Bocian. – Robili tu taką kasę... Dziwne, że w niego nie rąbnęli.

– Wcale nie dziwne – powiedział Feniks. – Mądrzy ludzie wyprowadzili stąd wszystkie pieniądze przed pierwszym bombardowaniem, jak powinno się zrobić.

– Kto powinien?

– No, mądrzy ludzie. Dobrze wiedzieli, że zaczną rzucać bomby. Kondor uniósł rękę, zacisnął dłoń w pięść i grupa zamarła w bezruchu.

– Za Parusem idziemy w lewo – rozkazał Kondor. – Przejdziemy ulicą Bassejną przez płot. Naprzód.

– Dlaczego Bassejną? – szepnął Jon.

– Cała Miecznikowa jest zaminowana – odparł Bocian. – Tak się zabezpiecza Metrograd.

– Tak? A jak szliśmy do tej pory?

– No... – Bocian się zawahał. – Do tej pory miny były nasze.

Jon uznał, że usłyszał dość, żeby nie zadawać więcej pytań.

Grupa przeskoczyła przez niewielkie, sięgające im do pasa ogrodzenie.

– Pamiętam, jak braliśmy stąd benzynę – powiedział Wróbel. – Wtedy zdawało się, że starczy jej na długo. Tymczasem nic już nie zostało. Dróg też jest mało. Było nas wtedy więcej. Może opowiem kiedyś przy szklaneczce.

Kondor zatrzymał się, odwrócił, dał znak Bocianowi. Ten kiwnął głową, ściągnął z ramienia karabin snajperski, przyklęknął i zaczął przepatrywać dachy budynków przez celownik. Jon nie pamiętał tego karabinu. Zdaje się, że Bocian wyjął go z kolejnej kryjówki Ptaków. Wątpliwe, żeby Cyprys rozstał się z czymś takim, gdyby to od niego zależało.

– Guliwer czysty – oznajmił Bocian. – Można iść.

– Guliwer?

– To tamten wysoki dom – wyjaśnił Feniks Jonowi. – Czasem siedzieli tam snajperzy. Co prawda, było to dawno, ale nie szkodziło sprawdzić.

– Snajperzy to nic – powiedział Bocian. – Granaty pułapki też można unieszkodliwić. Dziś przeciąga się drut. Za to kiedyś zastawiali je przy użyciu fotokomórki... pamiętasz, Feniks?

– Oczywiście, że pamiętam. Niesympatycznie to wtedy wymyślili.

– No, a o czym ja mówię... co prawda, padły im baterie i ich nie wymienili.

– Foto... co? – Jon nie zrozumiał.

Bocian potrząsnął głową.

– Zapomnij – powiedział.

Jon postanowił tak właśnie zrobić. Skąd miałyby znać sposoby, jakimi poszukiwacze bronili swoich posiadłości w górnym świecie? Była tu masa niuansów, o których nie miał pojęcia. Być może nauczyłyby się, jak zlewać paliwo ze starych samochodów – oczywiście w czasach, kiedy jeszcze w nich było. Ale jego wiedzy o świecie nie wystarczyłoby, nawet żeby rozpoznać pojazd nadający się do jazdy przez okaleczone miasto na siedmiu wzgórzach. Co z tego złomu, wzdłuż którego Kondor prowadził swoją drużynę, to bezużyteczne rupiecie, a co można jeszcze doprowadzić do stanu używalności? Atrybuty „dobrego auta” przed Katastrofą musiały być całkiem inne – bardziej liczył się dobry wygląd zewnętrzny niż zdolności pokonywania przeszkód...

– A oto i nasza atrakcja turystyczna – powiedział Kondor. – Wyrwa. Piękna, prawda?

Na ich drodze ciągnęła się ukośnie gigantyczna bruzda, szeroka na dwadzieścia metrów i głęboka na dziesięć. Natomiast określenie jej długości było niemożliwe – pęknięcie rozcinało miasto na pół, gubiąc się w nadpływającej porannej mgle, jakby ktoś z całej siły przeorał Kijów gigantycznym pługiem na skos.

– Normalnie kamieniołom, co? – odezwał się Bocian. – Nie wiemy, co to za artyleria tu operowała. Podczas Katastrofy przejechali się tu czymś, od ministerstwa przez Rynek Besarabski aż do Tarasa, był taki park. Kiedyś nawet myślano, że stacja Kreszczatik jest niedostępna właśnie przez ten atak. Wtedy nie wiedziiano jeszcze, że do czerwonych nie ma przejścia przez żadną stację.

Jon stał na skraju wyrwy. Na dnie lśniły zardzewiałe kawały metalu.

– Zaczekajcie no. – Nauczyciel odświeżył w pamięci trochę informacji. – Przecież właśnie tu powinien się znajdować Metrograd.

– No i co?

– Dokładnie pod tą wyrwą.

– Właśnie tak – powiedział Bocian. – Obecny Metrograd to tylko mała część przedwojennego kompleksu. Ocalał maleńki kawałek. Tam teraz idziemy.

Kondor wszedł do wąwozu, pozostali – za nim.

– Jedno z wejść do Metrogradu znajduje się w Wyrwie – powiedział, ślizgając się buciorami po błocie. – Inne czynne wejścia są nam nieznane.

Droga dnem wąwozu wcale nie była łatwa. Jon kroczył dokładnie po śladach Kondora. Ciekawe, jak ten odgaduje brak min w tej mokrej ziemi? Gdzie jest gwarancja, że tam, po prawej, za nasypem, nie siedzi strzelec z cekaemem? Może rzeczywiście po wielu latach ludzie przyzwyczajają się do niespodzianek? Jedni się nie przejmują, inni z tym godzą. Powstaje niepisana umowa, swego rodzaju kodeks zachowań – co można i czego nie wolno. I co się dzieje, kiedy ktoś narusza reguły wojny?

– Pamiętasz Olszańskiego, Feniks? – spytał niespodziewanie Bocian.

– A jakże – odparł stalker. – Światowy człowiek, nic dziwnego, że był przywódcą Metrogradu.

– Nie przywódcą... Dowódcą to tak. Ale z ducha to nie był żaden przywódca. Po prostu najbardziej rozsądny.

– To się właśnie nazywa być przywódcą. Przekonać wszystkich pozostałych do swojego głębokiego rozsądku. Żeby wierzyli, że masz go więcej niż oni.

– Co się stało z Olszańskim? – zapytał Jon. – Jak rozumiem, już nie rządzi. Ale...

– Stuknęli go – odpowiedział Bocian. – Niedawno, podczas kolejnego przewrotu. Mówi się, że trójki jego zwiadowców wciąż jeszcze przemierzają kraj. Ale kto nam powie prawdę?

– Myślę, że nie ma już żadnych trójek – powiedział Feniks. – Jeśli były, to dawno już zginęły w drodze. Albo znalazły swoją ziemię obiecaną i tam zamieszkały. Po co miałyby tu wracać? Jeśli nawet ktoś przyjdzie, to bez Olszańskiego dostanie kulkę od swoich.

– Nie sądzę – odezwał się Jon i dopiero po spojrzeniach stalkerów zdał sobie sprawę, że powiedział to na głos.

– Nie sądzę – powtórzył nieco głośniej. – Trójki generała musiały ocaleć. Nie wiemy przecież, dokąd je posłał.

– Tu się zgodzę – powiedział Wróbel. – Człowiek to takie bydlę, że zawsze znajdzie sposób, żeby przeżyć.

Nienaturalny, niemal niezemiński świst jako pierwszy usłyszał Jon. Zauważył, że żaden z Ptaków nie zareagował tak jak on. Nauczyciel nie miał pojęcia, jakie dźwięki mogą tu być oznaką niebezpieczeństwa, a jakie tylko białym szumem. Całe miasto było jak jego szkolny namiot, w którym przypadła mu rola ucznia, podczas gdy Ptaki były jego opiekunami.

Jednak równie dobrze mogło się okazać, że Jon, podobnie jak wszyscy mieszkańcy podziemi, miał bardziej wyczulony słuch niż stalkerzy.

Przeszukał wzrokiem niebo w poszukiwaniu źródła świstu, ale nie zobaczył niczego prócz gęstych chmur. Popatrzył jeszcze raz przez celownik automatu, jakby mogło to cudownie sprawić, że pojawi się w nim cel. Stracił równowagę i upadłby, gdyby nie podtrzymał go Kruk.

– Ciszej tam – syknął Wróbel. – Co jest?

Jon nie znalazł słów odpowiedzi. Teraz zdawało mu się, że po niebie przemknął olbrzymi cień. Być może był to po prostu odbłask na dachu... chociaż jaki, do cholery, odbłask? Z jakiego źródła, w takiej mgłę?

I skąd nauczyciel miałby wiedzieć, że wiatr wiejący z góry nie jest normalny? Nie było to opisane w żadnym podręczniku.

Nagły poryw wiatru poczuli tym razem wszyscy. Poczucie zagrożenia spadło na nauczyciela tak gwałtownie, że bał się nawet wypuścić powietrze, jakby zapas tlenu w płucach to było wszystko, czym dysponował do końca swoich dni. Odciągnawszy bezpiecznik, Jon przełączył broń na ogień pojedynczy, a jednak jakimś cudem nie strzelił, przypominając sobie, że nie powinien otwierać ognia jako pierwszy. W tunelach to jeszcze mogło mieć sens, ale tutaj dowodzą stalkerzy.

Z porannej mgły wyłoniło się lecące masywne cielsko. Od takiego widoku Jonowi pociemniało w oczach. Omal nie wypuścił automatu.

Latający potwór miał chyba pięciometrową rozpiętość skrzydeł. A może to strach wyolbrzymił w głowie nauczyciela wszelkie rozmiary? Ale tak czy owak, cielsko było tak blisko, że zasłoniło pół nieba. Szpony zacisnęły się, jakby mutant zamierzał uformować coś na kształt pięści i przyjaźnie dzielić kogoś po plecach. Zdawał się tak ciężki, że gdyby nie skrzydła, można by pomyśleć, że spada z nieba.

Jego lewe skrzydło było przestrzelone, naciągnięta błona, pokryta zupełnie niepotrzebnymi, wyglądającymi na relikty piórami, szeleściła na wietrze. Wszystko to sprawiało, że obraz mutanta był jeszcze ohydniejszy. Pysk drapieznika z mętными czarnymi oczami był spłaszczony, jakby mutant walił łbem o ściany. Do tego kończył się asymetrycznym dziobem. Nie dało się nim niczego dziobać, co najwyżej wygrzyzać masywne kawały mięsa. Ale kto wiedział, co mogły strawić wnętrzności tego stwora?

Pióra rosły nie tylko na skrzydłach – zdobiły potwora wszystkimi odcieniami błota. Niektóre z nich miały dziwaczny



pomarańczowy odcień. Jedno było oczywiste: to właśnie z powodu przestrelonego skrzydła latający stwór wydawał taki świst. Bez tej jego osobliwości nauczyciel niczego by nie usłyszał.

Huk wystrzału nad uchem Jona przerwał przeciągające się oczekiwanie na śmierć z nieba. Z niezadowolonym skrzykiem potwór obrócił się w powietrzu i znów wzbił się w powietrze.

– Wespertyl – powiedział Bocian spokojnym tonem, jakby oskubanie z rana pięciu czy dziesięciu wespertyłów było dla niego jak oczyszczenie automatu.

Ptaki zmieniły szyk. Cztery automaty patrzyły pod różnymi kątami i tylko Kruk zaczął wodzić lufą w obie strony Wyrwy.

Jon spróbował usłyszeć drapieżnika, ale prawe ucho zatkało mu się od huków wystrzału. Teraz nie zdołałby nawet określić kierunku, z którego należało się spodziewać kolejnej wizyty gościa.

– Widzieliście dziury od kul? – zapytał Bocian. – Na lewym skrzydle.

– Aha – mruknął Feniks. – Miał spotkanie z Metrogradem. To dlatego zniknęły wszystkie ich patrole.

Znów świst wiatru. I charakterystyczny łopot skrzydeł. Potwór nie zbliżał się – on nabierał prędkości. Jon domyślił się, co teraz będzie.

– Rozbiegamy się! – wydał rozkaz Kondor.

Stalkerzy przylgnęli do ścian Wyrwy. Jon oparł się plecami o glinę, czując, jak drobny żwir sypie mu się za kołnierz. Zaciśnął zęby, dotknął potylicą suchego ziemnego zbocza, obserwując, jak potwór ponownie wyłania się z mgły.

Wespertyl uderzył łbem w ziemię, wzbijając chmurę pyłu. Natychmiast się zatrzymał, zamarłe na moment w powietrzu szpony zdążyły się rozewrzeć i zaciśnąć, zanim cielsko potwora fiknęło kozła.

Stalkerzy otworzyli ogień ze wszystkich automatów naraz, celując w pierzasty grzbiet. Jon dołączył do nich, zdając sobie sprawę, że jego wkład jest kroplą w morzu i dobrze, jeśli choć parę jego kul trafi w cel.

Jon pamiętał kilka historii o wespertylu, ale niczego

konkretnego, co mogłoby się teraz przydać. Wszystkie sprowadzały się do tego, że wespertyl to niewytłumaczalne zjawisko biologiczne, podobne do pterodaktyla, tyle że znajdujące się na innej odnodze ewolucji. Jeśli pterodaktyl był reliktem, który tymczasowo się odrodził, żeby wkrótce ostatecznie wyginać, to wespertyl jest drapieżnikiem nowego gatunku. Obserwując go teraz, nauczyciel miał wielką nadzieję, że to nieporozumienie natury wymrze w ślad za swoim dalekim przodkiem.

A jednak podziemni biolodzy by się z nim nie zgodzili. W odróżnieniu od chartów czy skrzelarzy wespertyl uwzględniał obecność innych zmutowanych gatunków w środowisku, na równi z ludźmi, roślinami i zwierzętami z ery przedwojennej. Te stwory były zdolne do nauki, o czym świadczył choćby sposób pożerania ofiary, który nawet stalkerzy uważali za wyjątkowo podły. Nikt nie umiał wyjaśnić, po co wespertyle po upolowaniu jakiejś istoty dzieliły ją na kawałki, jakby interesując się budową jej organów wewnętrznych. Tę cenną informację zdążył donieść do mieszkańców metra jeden z metrogradczyków – zanim umarł z utraty krwi i wstrząsu wywołanego bólem.

Zraniony w grzbiet mutant wydał z siebie ryk, w końcu machnął skrzydłami i odleciał w dal nad Wyrwą jak nad pasem startowym. Jon miał nadzieję, że wespertyl wybrał inny kierunek niż ten, w którym mieli iść. On sam nie potrafiłby sobie teraz przypomnieć, gdzie jest jaka strona świata.

Okazało się, że kierunek był ten sam.

Stalkerzy ruszyli naprzód, starając się iść tak, żeby nie zasłaniać sobie nawzajem linii ognia. Jon szedł za nimi, nasłuchując i wyrzucając sobie, że nie może zrobić nic więcej.

Jeśli obok pozostały żywe patrole Metrogradu, to oczywiście ich słyszały. Chociaż w takiej mgle żaden snajper nie da rady ich dojrzeć.

Na spotkanie stalkerów wysunęło się skrzydło, jakby prosząc o pomoc albo oferując rozejm. Zaraz potem opadło, poskrobało ziemię rosnącym na samym jego końcu szponem. Wespertyl pełzł, kłapiąc uszkodzonymi połówkami dzioba, nie widząc

stalkerów przed sobą.

Jak to mówił Timka? Grzyby to rośliny? Gdyby Jon chciał zaklasyfikować wespertyla według starych ksiąg, nie udałoby mu się to. Leżący przed nim stwór faktycznie nie należał do rodziny upierzonych. Teraz przypominał owada, którego geny porządnie zamieszał jakiś oszalały demiurg.

Wespertyl wyraźnie nie umiał chodzić, po prostu podciągał się przy pomocy pazurów. Tyle że teraz nie miał o co się zaczepić.

– Dobijamy – powiedział Kondor, podnosząc automat, i otworzył ogień, celując w oczy mutanta.

Głowa potwora zatrzęsała się od gęstego ostrzału, odsłaniając zylastą bordową szyję. Feniks natychmiast ozdobił ją ścięciem trafień, od dołu w górę. Potwór zasłonił się skrzydłami, które stalkerzy migiem zamienili w sito. A jednak stwór wciąż żył. Wespertyl wykonał niezrozumiały ruch, jakby próbując podskoczyć, wbił się szponami w ścianę Wyrwy i zaczął pełznąć w górę, chcąc wydostać się na ulice miasta i ukryć w jakiejś bramie. Dolna część dzioba drgała mu przy każdym szarpnięciu, aż w końcu odchyliła się i zawisła. Pióra szybko pokryły się brunatną krwią. Z odwłoka sączyła się ropa, ściekając po gliniastej ziemi.

Kiedy tylko cielsko przewaliło się przez krawędź Wyrwy, stalkerzy znów otworzyli ogień i ostatecznie dobili mutanta. Szpony zacisnęły się jeszcze mocniej, zwisając ze skarpy, pomarańczowe pióra nieruchomo sterczały w powietrzu.

Kondor obejrzał się na grupę.

– Nie chciałem, żeby zdechł tu, na dole – wyjaśnił. – Mimo wszystko chodzą tędy ludzie.

– Ej, wszystko u ciebie w porządku? – Kruk klepnął Jona po plecach i ten zadrżał.

– Aha – odpowiedział nauczyciel. – Mam nadzieję, że przywyknę.

– Przywykniesz. Inaczej nie da rady. On nie był ostatni.

– A jeśli latają parami?

– Nie latają. Kiedy dwa wespertyle się spotkają, zaczynają walczyć.

Jon spróbował sobie wyobrazić ten widok, ale poczuł, że zaraz zwymiotuje. Starając się nie patrzeć na wystający zad martwego potwora, nauczyciel poszedł w ślad za stalkerami wzdłuż lewej strony Wyrwy.

Coś zachrząściło mu pod stopami. Jon spojrzał w dół, za późno uprzytomniwszy sobie, że mógł wejść na minę. Widząc, że rozdeptał ludzką czaszkę, nauczyciel nie poczuł się wcale lepiej. Wciąż nie mógł wyrzucić z głowy wespertyła.

– Spokojnie – powiedział Kruk. – W życiu zdarzają się przykrości, nie zwracaj na to uwagi.

Próbując zachować spokój, Jon spojrzał nieco dalej i zobaczył kolejne kości.

– Skąd tu tyle szkieletów? – zapytał.

– Mogło ich być więcej – odparł Bocian. – W czasie Katastrofy Metrograd był zamknięty przez przebudowę, w środku nie było ludzi. Gdyby byli, kompleks i tak by ich nie uratował. Nie przetrwał rąbnięcia atomem, za płytko jest wkopany. Natomiast kiedy ocaleni zaczęli szukać kryjówek, wielu próbowało się ratować właśnie tam. Setki, tysiące ludzi starało się wejść do kompleksu. Wszyscy dostali się w strefę rażenia dokładnie w tym rejonie. Z czasem charty rozwłóczyły ciała. A większe kości zostały. W Metrogradzie już wtedy osiedliło się trochę ludzi, ale komu by się chciało sprzątać kości? I tak sobie leżą. Można to uznać za zbiorową mogiłę.

– Dość mielenia ozorem – nakazał Kondor, dochodząc do wjazdu w ziemi. – Tu jest wejście. Feniks, otwieraj. Przygotujcie światło.

Jon zeskoczył na płytki, którymi była wyłożona posadzka korytarza. Prosty tunel Metrogradu zdawał mu się złośliwą drwiną z bruzdy, która pozostała nad ich głowami. A przecież to tylko mały wycinek kompleksu...

W metrze niczego podobnego nie widział, przecież wszystkie tunele miały jakieś zakręty. Może po prostu nie zwracał na to uwagi, bo przywykł do łagodnych łuków. Tu zaś, wśród załamań korytarza, zrobiło mu się nieswojo. Nawet gdyby mu powiedziano, że nikogo w nich nie ma, nie poczułby się lepiej. A myśl o tym, że kompleks jest zaludniony, tylko wzmagająca jego

nerwowość.

– Ruszamy – szepnął Kondor. – Można zdjąć maski. Zdejmij, jeśli źle się czujesz.

Jon czuł się źle i w masce, i bez. A jednak postanowił ją zdjąć, żeby lepiej czuć świat dookoła, wszystkie jego zapachy.

Wróbel zamknął włącz i Kondor poprowadził grupę korytarzem. Próbując opanować nerwy, Jon powiedział sobie, że znajduje się na olbrzymim targu. Zrobiło mu się trochę lżej. W zasadzie Metrograd właśnie tym kiedyś był. A jednak ilość pokrytych kurzem gratów wprost nie mieściła mu się w głowie.

– Bogactwo, co? – zapytał Feniks. – O tak. Teraz rozumiesz, jak tu żyli w pierwszych latach. Towaru było jak lodu. Oczywiście całe żarcie skończyło się w pierwszych tygodniach. Potem zaczęli kombinować, jak dalej żyć. A tu jest przecież mnóstwo różnych dupereli: odzież, obuwie, artykuły gospodarstwa domowego. To uruchomili handel z Krzyżem, podczas gdy u was uczyli się hodowli świń. A propos, orientujesz się, że wasi wzięli pierwsze świnię właśnie stąd? Z Metrogradu.

– Nie wiedziałem – odparł nauczyciel. – A skąd w Metrogradzie żywe świnię?

– Cóż – Feniks się zamyślił. – To pytanie wymaga całej butelki.

Jon świecił latarką na boki, nie wiedząc nawet, na co zwracać uwagę. Niby dużo w tym miejscu różnych przedwojennych rzeczy – zwalonych na sterty, włożonych do pudeł – ale rozumiał, że nie może tu być nic naprawdę ważnego. Wszystko, co cenne, dawno już rozkradziono. Jeśli coś pozostało niewykorzystane przez tyle lat – to po prostu nic nie jest warte.

– Ilu jest tu teraz ludzi? – zapytał Jon.

– Ostatnim razem było trzydziestu albo czterdziestu – powiedział Bocian. – Teraz pewnie jeszcze mniej. Tradycyjnie połowa jest na górze, patroluje na wschodzie. Jeśli kogoś zauważymy, milcz, sami z nim porozmawiamy.

Gdzieś z przodu rozległ się głośny huk wystrzału. Potem dobiegł ich kobiecy krzyk.

– Elza – wyrwało się nauczycielowi.

– Naprzód – rozkazał Kondor, przechodząc do biegu.

Grupa pomknęła naprzód, już nie krępując się, że hałasuje buciorami. Feniks i Bocian ubezpieczali prawą stronę, Kruk i Wróbel lewą. Jon zdążył dwa razy obejrzeć się za siebie, ale nie zauważył pościgu.

Przy szeroko otwartych drzwiach, na posadzce korytarza leżały dwa ciała. Kondor znanym gestem uniósł zaciśniętą pięść – oddział ustawił się za nim.

– Dosyć tej zabawy – zabrzmiał czyjś zadowolony, prawie kpiący głos. – Oddaj giwerę, porozmawiajmy.

– Powiedziałem stać.

Głos był znajomy. Jon wytężył pamięć, przywołał wszystkie możliwe skojarzenia... Dawid!

– Jeszcze jeden krok i strzelam!

– Strzelaj. A jak wyprowadzisz dziewczynę?

Kondor obejrzał się na towarzyszy, spojrział Jonowi w oczy. Mrugnął, wyprostował się i nie opuszczając automatu, wszedł do pomieszczenia. Jon chwycił wygodniej kałacha i rzucił się za nim, wyprzedzając Bociana.

W środku było bardzo dużo miejsca. Prawdopodobnie kiedyś pomieszczenie służyło jako duży lokal handlowy. Teraz zamieniono je w kwaterę dla wielu ludzi. Łóżka ustawione gęsto wzdłuż ścian przeplatały się ze skrzyniami i warsztatami. Z sufitu zwisały przewody zakończone żarówkami, z których część się nie paliła.

Pod prawą ścianą stał Dawid z nieco nieobecnyim wzrokiem. Trzymał w dłoniach automat, zasłaniając plecami Elżę. Dziewczyna kryła twarz w dłoniach i nie widziała niczego wokół siebie.

Naprzeciw nich tkwiło czterech żołnierzy. Tylko jeden z nich miał broń, skierowaną lufą w dół. Między skonfliktowanymi stronami stało na ziemi tajemnicze urządzenie, przypominające generator prądu z zapory hermetycznej z kilkoma rzędami gałek i przełączników. Rozmiarami odpowiadało obudowie znalezionej w namiocie Matuzalema na Boryspolskiej.

Widząc gości, czterej metrogradzcy drgnęli ze zdziwienia. Ten z automatem chwycił broń pewniej, nie decydując się jej

wycelować, potem jednak rozluźnił palce i pozwolił automatowi upaść na ziemię.

– Czołem, Szest – powiedział Kondor, celując w najniższego. – Gdzie kwiaty na nasze powitanie? A może się nie spodziewaliście?

– Ptaki – wycedził Igor Szestakow, przywódca Metrogradu. – No już, nie dziobcie nas. Można się udławić. Niezły plan, brawo.

– Nie pochlebiaj sobie – powiedział Kondor. – Przechodziliśmy obok i wpadliśmy z wizytą. Usiądź sobie. Mamy z tobą do pogadania. Kruk, Wróbel, ochraniajcie wejście.

– Kim jesteście?! – zawołał Dawid. Wyglądał na tak napiętego, że niemal padał z nóg. – Czego chcecie?

Jon zrobił ostrożny krok w jego stronę.

– Cześć, Żenia – powiedział. – Wiesz, na Boryspolskiej bardzo za tobą tęsknią. Naprawdę bardzo cię polubili. Kiedy to wszystko się skończy, myślę, że będziesz musiał wrócić. Jeśli, oczywiście, zechcesz.

Słyszając jego głos, Elza wyjrzała zza pleców Dawida. Jej twarz rozpromieniła się. Rzuciła się do nauczyciela, coś gaworząc. Jon objął ją ramionami.

– Już wszystko dobrze, moja kochana – powiedział łagodnie i znów spojrzał na Dawida. – Kolego, mówię poważnie, lepiej usiądź. Dlatego że kiedy ta żarówka nad twoją głową zgaśnie, znów stracisz świadomość. Usiądźmy wszyscy. Opowiem, co i jak.

## ROZDZIAŁ 5

### Śmiałe wnioski

– Okazuje się, że ten wasz Czerwony Wariant to bardzo ciekawa sprawa – powiedział Jon, kładąc dłoń na ramieniu Elzy i czując uważne spojrzenia pozostałych.

Nawet Szest, który jakoś usadowił się w kącie ze związanymi rękami, patrzył na niego i w jego wzroku było coraz mniej zapiekłej wrogości i coraz więcej zainteresowania.

– Niewiele wiem, jak ludzie żyli przed Katastrofą – ciągnął Jon. – Dużą rolę odgrywa otoczenie. Rozumiałem, że nie jesteśmy stworzeni do życia pod ziemią. Kiedy człowiek jest zamknięty w klatce, zaczyna coś kombinować. Na przykład teorie, że wszyscy wokół są wrogami odpowiedzialnymi za jego parszywe życie. Tak pojawił się Czerwony Wariant, legenda, według której na czerwonej linii ktoś przeżył. No bo kto najlepiej nadaje się na wroga? Goście z innych miast? Nie. Nawet powierzchnia nie przeraża tak bardzo jak nieznanne przestrzenie tuż obok nas, na czerwonej linii metra. Jestem przekonany, że gdyby można było tam wejść i odkryć, że nikogo tam nie ma, mieszkańcy Krzyża zupełnie by się pogubili. Przecież to by oznaczało, że nie ma już czym uzasadniać problemów jak tylko własną głupotą.

Ostatnia doba w moim życiu była najdziwniejsza ze wszystkich. Zastanawiałem się nad kilkoma sprawami. Co się stało z czerwoną linią? W zasadzie Cyprys postawił przede mną właśnie takie zadanie. Powiedział, weź Elzę, zaprowadź ją do lekarza i dowiedz się, czy Dawid rzeczywiście przyszedł z czerwonej linii. Co ciekawe, Cyprys nie pomyślał, że Dawid może pochodzić spośród naszych. Albo w ogóle z innego miasta. Nie, miałem się zorientować, co tam u czerwonych, a reszta była nieważna.

To właśnie wtedy przyszła mi do głowy myśl: a co stało się



z czerwonymi naprawdę? Uznałem też, że nigdy się tego nie dowiem. Ale powinienem był od razu zadać sobie proste pytanie, na które naprowadził mnie Bocian: co w ogóle trzeba zrobić, żeby pogrzebać całą linię? Gdybym porządnie się nad tym zastanowił, od razu zauważyłbym, jak dziwna jest moja wyprawa. Bo rzeczywiście, co trzeba zrobić?

- I jednak się domyśliłeś? - zapytał Kondor.

- Tak. Trzeba, żeby ludzie mieszkający na danej linii sami postanowili się pogrzebać. Wszyscy naraz. Żeby nagle, jednocześnie, nie ustalając tego między sobą, postanowili się zamurować.

- Cóż, to nie do końca tajemnica - powiedział Feniks. - Mniej więcej tak sobie to wszystko wyobrażaliśmy. Cieszę się, że do tego doszedłeś. Nie wiedzieliśmy tylko, po co to zrobili.

- Na to też można odpowiedzieć - powiedział Jon. - Ktoś zmusił ich, żeby zechcieli.

- Co to znaczy zmusił?

- Przez oddziaływanie na psychikę - odparł Jon. - Cyprys wiedział, że Matuzalem zajmował się takimi technikami przed Katastrofą. Dlatego też posłał mnie z Elzą do starego jako do psychiatry. Mnie, jako przewodnika, gdyż Elza ma umysł zamkniętego w sobie dziecka, a ja niby znajduję z młodymi wspólny język. Zaczęliśmy się wzajemnie rozumieć, prawda, maleńka?

Elza dalej słuchała głosu nauczyciela, nie dając oznak aktywności mózgu. Jon zauważył, że dziewczyna nieco krępuje wszystkich obecnych, i zdał sobie sprawę, że ostatecznie przyzwyczaił się do jej stanu. Tyle że, na co liczył, wkrótce z niego wyjdzie.

- Podczas naszej wędrówki do Matuzalema i z powrotem napotykałem wiele dziwnych rzeczy - ciągnął Jon. - Ale mgliście przeczuwałem, że mają one coś wspólnego. Elza co jakiś czas zaczynała rysować, kiedy znajdowała się w strefie odpowiedniego oświetlenia. Ani razu nie zdołała dokończyć rysunku. Nie udało mi się zrozumieć, co te bazgroły oznaczały. Coś podobnego stało się z Dawidem, który czasem, przy

odpowiednim oświetleniu, na moment dochodził do siebie. Potem zdałem sobie sprawę, że te wspólne cechy ich zachowania były prawdopodobnie tym samym, co mogło się stać z czerwonymi. Przecież żeby zamurować się od środka, oni też musieli się znaleźć w wyjątkowych warunkach.

– Czyli pod żarówką? – spytał Kondor.

– Nie. Prędzej był jakiś ustny rozkaz wydany wszystkim naraz. Można przypuszczać, że rozkazowi towarzyszyło jakieś promieniowanie, które sprawiło, że byli posłuszni. Albo fala akustyczna. Głowiłem się nad tym, wciąż nie mogąc zrozumieć, jak to musiało działać. Ktoś albo coś nakazuje coś człowiekowi, a ten to wykonuje. Ale nazwijmy to tak, zbyt gorliwie.

Oto prosty przykład. Przy pomocy mojego oddziaływania polecę wam zamknąć drzwi, a wy je zamykacie. Na razie mówimy o konkretnych drzwiach i jeśli sytuacja wymaga ich zamknięcia, wszystko jest jasne. Ale przypuśćmy, że obiekt oddziaływania kilka dni później znajdzie się gdzie indziej i tam też będą drzwi. Zacznie je zamykać. Pozostałym jego działania wydadzą się dziwne, chociaż ten będzie po prostu wykonywać stary program.

– To znaczy, że ta dwójka dostała mentalny rozkaz? – zapytał Bocian. – Dziewczyna i ten... jak ci tam... Dawid? Wychodzi na to, że pochodzą z czerwonej stacji.

– Nie. – Jon pokiwał palcem. – Nie znaczy. To znaczy, że prawdopodobnie znaleźli jedno z urządzeń z czerwonej linii. A żeby to zrobić, musieli znaleźć przejście na czerwoną stację. Myślę, że nie udało im się zejść na dół. Aparatura ich powstrzymała.

– Ktoś z czerwonej linii wydał im polecenie, które w rezultacie sprawiło, że zwariowali?

– Prawie zgadłeś. Tyle że nie sądzę, że to był ktoś. Myślę, że sami wydali sobie polecenia.

– Jak to?

– Nieświadomie. Przez przypadkowo rzucone zdania, które mogły mieć całkiem inny sens. Proste słowa, które pasowały do ich rozmowy. Ale sami tego nie wiedząc, znaleźli się w strefie oddziaływania urządzenia. Takiego jak to.

Jon wskazał na stojącą na ziemi maszynę.

– Czyli mieli zwykłego pecha? – zapytał Kruk.

– Zdaje się, że tak. Nie od razu do tego doszedłem, Matuzalem musiał poradzić mi, bym znalazł *Florę*.

– *Florę*?

– Tak, tę samą. Zwykły przewodnik po drzewach, które rosły przed Katastrofą i być może zachowały się jeszcze gdzieś na Ziemi. Wtedy właśnie się zastanowiłem. Historia z *Florą* i wydzieranie z niej stronice to dokładnie taka sama anomalia jak to, co stało się z czerwonymi, Elzą i Dawidem. Pomyślcie sami. W metrze jest mnóstwo egzemplarzy *Flory* i w każdym z nich brakuje tej samej kartki. Czyli ktoś wyrwał ją z całego nakładu. Dlaczego to robić? Czy nie dlatego, że ktoś dostał rozkaz, by wyrwać stronice z jakiegoś jednego, konkretnego egzemplarza, a potem zwyczajnie rzutował otrzymaną komendę na wszystkie inne egzemplarze. Do tego w chwili gdy jeszcze się nie rozprzestrzeniły po stacjach? Nie, byłem przekonany, że nikt nie planował niszczenia wszystkich książek. Po prostu ktoś na zawsze został w stanie uwarunkowania i za każdym razem, kiedy widział *Florę*, wrywał z niej kartkę.

– Chłopie, nieźle to wszystko zaplątałeś – powiedział Bocian. – Podejrzewam, że prowadzisz do jakiegoś porażającego w swej prostocie wniosku. Przypuśćmy, że ustaliłeś, że coś u czerwonych rozpyłali. Wyjaśnij, jak się domyśliłeś, że Metrograd ma ustrojstwo, które przywraca wszystkie klepki?

– A tak. – Jon wsunął rękę za pazuchę i wyjął egzemplarz *Flory* z Pokoju.

– Oho – powiedział Bocian. – Czy to jest to, o czym myślę?

Feniks zrobił krok naprzód, nie kryjąc ciekawości.

– Tak – powiedział nauczyciel. – Ocalały egzemplarz *Flory*. Chyba jedyny na świecie. Znalazłem go w bibliotece Datapolis, w Pokoju Dnia Socjalnego.

– I jak ci się to udało?

– Znalazłem, bo szukałem, szczęśliwie znajdując się we właściwym miejscu. Cyprys powiedział, że Matuzalem zajmował się wcześniej kompletowaniem biblioteki Datapolis. Tylko on

mógł sprawić, by książka się tam znalazła. Ocalił ten egzemplarz, zanim, słuchając rozkazu, poszedł wyrywać stronicę ze wszystkich pozostałych.

– Więc to twój staruszek wyrywał stronicę?

– Tak. Dlatego że znalazł się w strefie oddziaływania maszyny. Tak samo jak Elza i Dawid.

– Wielu słyszało o Matuzalemie – powiedział Wróbel. – Stary żył już od wielu lat na Boryspolskiej. W zasadzie jej nie opuszczał. Nijak nie mógł być czerwony.

– Mówię przecież, że nikt nie był czerwony – powiedział Jon. – Elza, Dawid i Matuzalem to trójka zwiadowców generała Olszańskiego. Jedną z tych, które wyszkolił w Metrogradzie. Tylko głęboko zakonspirowana.

Nastąpiła krótka pauza, którą przerwał okrzyk Szesta:

– I co się tak mądrzysz, hę?!

– Milcz – zwrócił się do niego Kondor, marszcząc lekko brwi, i znów spojrzał na nauczyciela. – Trójki Olszańskiego zajmowały się badaniem świata na powierzchni. Mieszkańcy Krzyża nie mogli nimi być.

– Badaniem świata, tak – zgodził się Jon. – Ale nikt nie mówił, że tylko na powierzchni. Generał miał jeszcze jeden trzyosobowy oddział zwiadowców działający w Krzyżu. I akurat oni nie pochodzili bezpośrednio z Metrogradu. Byli zwykłymi mieszkańcami Krzyża, którzy początkowo mogli nie mieć z sobą nic wspólnego. W jakiś sposób wszystkich zwerbował generał i sformował z nich zgraną grupę. Każdy ze zwiadowców w pierw mieszkiał na swojej stacji. Nie wiem, co dokładnie mieli robić. Pewnie po prostu obserwować życie na dole i meldować o wszystkim generałowi. A potem coś się stało. Być może Matuzalem ustalił współrzędne miejsca, w którym mogły przetrwać wciąż jeszcze działające nadajniki. Albo ktoś w metrze wygadał się o ukrytym zejściu na czerwoną linię. Tego już się nie dowiemy.

Spróbuję zrekonstruować ciąg wydarzeń. Matuzalem, Dawid i Elza wyruszyli do tego miejsca na powierzchni, o czymś rozmawiali, jak przystało na ludzi, którzy sobie ufają.

Prawdopodobnie to Matuzalem dowodził. Niezauważalnie dla siebie samych znaleźli się pod wpływem promieniowania. A potem... Przypadkowo rzucone słowa i mamy to, co mamy. Elza wróciła do dzieciństwa, takiego, jakie pamiętała. Dawidowi zaczęła szwankować pamięć. A Matuzalema ogarnęła mania niszczenia konkretnej kartki z podręcznika, co robił zawsze, kiedy widział tę książkę. Z czasem w metrze nie została się ani jedna książka oprócz tej, przez którą do tego wszystkiego doszło. Widocznie Matuzalem zrozumiał, co się stanie, i ocalił odpowiedni egzemplarz, oddawszy go któremuś z dwójki pozostałych lub przypadkowemu człowiekowi w metrze, który potem umieścił książkę w bibliotece stolicy, nie podejrzewając, jak jest ważna i nie zapamiętując tytułu.

- Ale co w tej książce takiego ważnego? - nie wytrzymał Feniks.
- Dobre pytanie. Zobaczmy.

Jon otworzył *Florę* i przekartkował ją do sześćdziesiątej siódmej stronicy, po czym pokazał wszystkim rysunek starego drzewa na tle zielonych gałęzi. Napis głośił: „Matuzalem”.

- To nie jest tylko imię najstarszego człowieka, jaki zgodnie z Biblią kiedykolwiek żył na Ziemi - powiedział Jon. - To też nazwa najstarszego drzewa na planecie. To rozumiało, że na brakującej stronicy będzie nazwa drzewa, bo zasadniczo temu jest poświęcony podręcznik. Są tu sosny, świerki, palmy, kasztany i tak dalej. A Matuzalem, choć to nie gatunek, był kiedyś uważany za najstarsze żyjące drzewo na planecie. Dlatego też zasłużył na oddzielnej stronicę.

- A wiadomo chociaż gdzie się znajduje to twoje drzewo? - zapytał Bocian.

Nauczyciel wpatrzył się w podręcznik.

- Jest napisane „Kalifornia, Park Narodowy Inyo” - przeczytał.

- No to kijowo - westchnął Bocian. - W tamte okolice na pewno walili tak, że proszę siadać. Coś mi się wydaje, że nie ma już twojego drzewa i całego parku przy okazji.

- A mnie się wydaje, że nasz niemłody doktor wybrał sobie imię na cześć tego drzewa - powiedział nauczyciel - dlatego że sam uważał się za starca. W metrze niewiele było ludzi w jego wieku.

Uważał, że w jakimś sensie jest patriarchą. Czego to człowiek nie zrobi z miłości własnej. Ale powód, dla którego kartkę należało wyrwać, mamy tutaj.

Jon odwrócił stronicę. Sześćdziesiąta ósma strona była upstrzona rysunkami wykonanymi pośpiesznie długopisem kulkowym.

- To pismo Elzy - powiedział Jon. - Teraz rozpoznam je wszędzie. Myślę, że to mapa. Mapa miejsca, w którym zdali sobie sprawę, że coś zaczęło się z nimi dziać. Kiedy Elza rysowała mapę, wszyscy troje wciąż jeszcze panowali nad sobą. A kiedy zrozumieli, że dzieje się coś niedobrego, postanowili pozbyć się tej wiedzy. I któreś z nich, Elza lub Dawid, powiedziało Matuzalemowi, żeby zniszczył zapis.

- Bystre z ciebie bydlę - odezwał się ponuro Szest, ale umilkł pod spojrzeniem Kondora.

Jon położył *Florę* Elzie na kolanach.

- Podsumuję i opowiem, jak to wszystko wyglądało - powiedział. - Kiedy nadciągnęła Katastrofa, ci, którzy przeżyli, rzucili się na poszukiwanie schronienia w metrze, spychając przy tym głębiej tych, którzy już się tam znajdowali. Na czerwonej linii były rozmieszczone urządzenia, które zadziałały na mieszkańców i nakłoniły ich do zamknięcia się od środka. Być może były to prototypy. Być może z ich pomocą chcieli tylko zmusić ludzi, żeby zamknęli wszystkie zapory hermetyczne, aby w ten sposób umożliwić przeżycie im samym i nie przeciążać stacji. To znaczy dopuszczam myśl, że nie było tu złego zamiaru, by skłonić ich do samobójstwa. Ale to właśnie zrobili, ponieważ po odcięciu się od powierzchni i od nas w końcu nie wyszli spod działania emitera. Byli jak w transie. Ocaleni z czerwonej linii nie tylko zamknęli zapory od środka. Znaleźli sposób, by zasypać, wysadzić w powietrze wszystkie wyjścia na zewnątrz. Odcięli sobie drogi ratunku, w tym korytarze do stacji linii granatowej i zielonej, na których, przypominę, znajdowały się zapasy potrzebne do przeżycia.

- Masowy obłąd? - spytał Kondor.

- Tak. Myślę, że trwał kilka dni, nie więcej. Może nawet była to

kwestia godzin. Dla uwięzionych tyle wystarczyło. Zamurowali się i skazali na śmierć. Oczywiście na stacjach pozostałych linii nie mogliśmy pojąć, co się stało z czerwonymi. Dlatego w kolejnych latach wciąż żyliśmy w strachu, że na czerwonej linii pozostali żywi ludzie, którzy kiedyś przebiją do nas przejście. Co się wtedy stanie, nie wiadomo, ale na pewno wystarczy, by zburzyć unormowany byt stolicy.

Opowiedziałem o tym, co było dawno. Teraz opowiem, co było trzy, cztery lata temu.

Przywódca Metrogradu, generał Olszański, sformował tajną grupę poszukiwaczy. W jej skład wszedł stary lekarz, który w pierwszych latach po Katastrofie zajmował się psychologicznym aspektem adaptacji ludzi do metra, co w Krzyżu było bardzo pożądane. Nie mógł jednak znaleźć zastosowania dla swojej podstawowej pracy: konstruowania broni psychotronowej. W młodości brał udział w stworzeniu takiej instalacji dla czerwonej linii, po Katastrofie zobaczył zaś, do czego doprowadził, i poczuł ciężar winy, z którym żył przez następne lata. Poza tym znał przyszłego zwierzchnika Krzyża. Słowem, był dla Metrogradu szpiegiem doskonałym. W jego przykrywce pomagało to, że nie mieszkał w Datapolis, lecz na Boryspolskiej, czyli dość daleko od stolicy. Przy okazji zajmował się dostawą książek do Datapolis, więc miał powód, by od czasu do czasu odwiedzać stolicę.

– Jasne. Kto był drugi?

– Drugim członkiem grupy był młody chłopak o imieniu Żenia. – Jon wskazał Dawida. – Zwykły człowiek, który też osiedlił się na Boryspolskiej obok Matuzalema i pomagał we wszystkim. Myślę, że jego zaletą była zdolność do integracji z różnymi warstwami społecznymi. Jewgienij był lubiany przez ludzi i potrafił na nich wpływać. W efekcie był uznawany za swego wszędzie, dokąd trafił. Był trochę romantykiem. Marzył o świecie zewnętrznym, o stalkerstwie, przygodach. Nadał sobie pseudonim Dawid.

A trzecia była Elza. Młoda dziewczyna, która potrafiła wykonywać każdą pracę, obdarzona doskonałym zdrowiem i wyostrzoną uwagą. Zamieszkała w Datapolis, nigdzie nie

zagrzewając miejsca na dłużej.

Cała trójka czekała na swój moment. Ale potem coś się stało. Być może przez długie obserwacje lub dzięki plotkom natrafili na informację o współrzędnych punktu, w którym może się znajdować wejście na czerwoną linię. Postanowili wyjść na powierzchnię i odszukać to miejsce. Zebrali się i ruszyli.

Mieli skafandry, maski ochronne, cały niezbędny ekwipunek. Wiedzieli, jak potajemnie opuścić metro, jak wyjść na powierzchnię tak, żeby nikt ich nie wyśledził. Mogli wiedzieć od generała, gdzie dokładnie znajdują się teraz pozostali zwiadowcy, żeby uniknąć spotkania z nimi. W końcu inni metrogradzcy niczego o grupie Matuzalema nie wiedzieli i mogli ich po prostu zastrzelić jako podejrzanych nieznanym z podziemi.

Matuzalem wziął ze sobą *Florę*, egzemplarz książki, którą tak polubił, z której zaczerpnął imię. Być może po prostu lubił przeglądać obrazki, zachwycając się rysunkami dawno wymarłych drzew. Być może czuł nostalgię. Lubił pomarzyć przy świetle naftówki, spoglądając na wizerunki roślin. Była to część jego życia intymnego. I wziął egzemplarz podręcznika ze sobą.

Dawid, Elza i Matuzalem znaleźli zejście, użyli go i jak sądzę, natrafili na jakąś przeszkodę. Ścianę, drzwi, właz, obojętne. Próbując wejść dalej, spowodowali uruchomienie emitera promieniowania. Być może sami włączyli generatory, myśląc, że otwierają przejście.

Sami tego nie wiedząc, całkowicie odmienili swój los.

Urządzenie działało, ale obok nie było nikogo, kto mógłby wydać ofiarom ustny rozkaz lub poradzić, by na przykład odwrócili się na pięcie i poszli do domu. Jednak dobrze znali się nawzajem. Rozmawiali, tak jak rozmawiają ludzie połączeni wspólną tajemnicą. Czasem poważnie, czasem żartobliwie. Słowa, które do siebie adresowali, zamieniły się w potężne psychologiczne uwarunkowania, które na zawsze wdrukowały się w ich podświadomości.

Co się stało z Matuzalemem? Nietrudno się domyślić. Po odkryciu zejścia na dół Elza postanowiła narysować plan. Nie



miała na czym pisać, więc Matuzalem, zdając sobie sprawę z wagi chwili, poświęcił w tym celu swoją książkę. Dał Elzie *Florę* i długopis, żeby ta naszkicowała mapę w podręczniku. Sądzę, że miał zakładkę na stronie z najstarszym drzewem.

Kiedy zrozumieli, że popełnili błąd, uznali, że nikt nie może się dowiedzieć o ich znalezisku. Metrograd i generał też.

Elza krzyknęła do Matuzalema, żeby zniszczył zapis w najprostszy możliwy sposób, wyrywając kartkę ze stronicą sześćdziesiąt osiem, na której zapisała trasę. Jej słowa zapadły Matuzalemowi w najgłębszą podświadomość, zamieniając się w rozkaz, ale w tamtym momencie udało mu się stawić opór i ocalić książkę. Prawdopodobnie był przeciwny takiemu działaniu. W oddziale powstał rozłam i padły ostrzejsze słowa. Staruszek ukrył książkę, chociaż komenda „wyrwij kartkę z podręcznika” zapuściła już w nim korzenie, aby potem wydać owoce.

Matuzalem z Dawidem kazali Elzie „o wszystkim zapomnieć”. Była z nich najmłodsza i najstarsza fizycznie. Była kobietą. Powiedzieli jej coś w rodzaju „jesteś tylko głupią smarkatą”. Ta pospiesznie rzucona fraza okazała się wystarczająca, by dziewczyna rzeczywiście wyłączyła te części mózgu, które czyniły ją dorosłą.

Dawid usłyszał coś w rodzaju porady „zapomnij o wszystkim, co tu widziałeś”. Oczywiście nie potrafię odtworzyć dokładnych sformułowań. Ale myślę, że chłopak usłyszał coś w stylu „jutro masz niczego nie pamiętać”, a przecież pojęcie dnia jutrzejszego to w metrze całkowita abstrakcja. Wszak nie ma tu słońca. Nikt już nie żyje według kalendarza. Mamy sztuczne oświetlenie, dlatego każdy może praktycznie sam decydować, czy jest dzień, czy noc.

Całej trójce poszukiwaczy udało się wrócić do domu, po czym psychiczne warunkowanie zaczęło działać. Rozstawszy się ze swoją książką, Matuzalem zaczął robić dokładnie to, co mu kazali: złapał pierwszą *Florę* ze swoich obszernych zapasów i wyrwał kartkę. A potem wziął następną książkę i powtórzył operację. Potem następną i następną, póki własnoręcznie nie

zniszczył wszystkich tych stronic.

Ten czyn miał niespodziewane skutki. Książki rozprzestrzeniły się po całym metrze, a kiedy ludzie, którzy je czytali, odkryli, że we wszystkich brakuje tej samej kartki, narodziła się legenda o tajemniczym egzemplarzu *Flory*, który pozostał nienaruszony.

– Więc to dlatego wszyscy tak się za nimi uganiają. – Bocian klepnął się dłonią w czoło.

Jon kiwnął mu głową w podnieceniu i mówił dalej:

– Zdumiewające, z jakiej bzdury może powstać lawina pogłosek i plotek, która tak radykalnie odmieni społeczeństwo, że zwykły, niczym niewyróżniający się podręcznik stanie się towarem luksusowym, przedmiotem niebywałego zbytku, który będzie obiektem zacieklego polowania. Popularność *Flory* wzrosła na tyle, że wśród wpływowych mieszkańców Datapolis modna stała się zmiana imienia na pochodzące od nazwy drzewa z tej książki.

Z czasem ludzie ci zrobili karierę i zwierchnikiem Datapolis został wyczuwający zawsze nowe trendy Cyprys. Wkrótce otaczały go Brzozy, Baobaby, Klony, Sekwoje i tym podobne.

– No jasne – podrapał się w głowę Kruk. – A ja się zastanawiałem, co tak się wszyscy jarają tymi podręcznikami? Okazuje się, że zwyczajnie dlatego, że to modne. A dlaczego modne, nikomu nie przyszło do łba, żeby zapytać.

– Tak. Wróćmy do naszych agentów. Elza tymczasem wróciła do Datapolis. Jej psychika została porażona. Na szczęście była to tylko sugestia, jej mózg sam w sobie nie jest uszkodzony. A jednak dziewczyna bardzo się zmieniła. Do tamtego czasu nie nawiązała żadnych relacji lub też ze względu na pracę pod przykryciem nie chciała tego robić. Nie miał kto się o nią zatroszczyć. Nikt właściwie nie wiedział, że istniała. Po prostu nagle w Datapolis pojawiła się kolejna obłąkana nędzarka, która umiała wykonywać jedynie najcięższe prace. Pod opieką Tani, naszej stołecznej lekarki, Elza zdołała jakoś się zaczepić w stolicy, chociaż dalej mechanicznie rysowała coś w rodzaju mapy. Rysowała gliną, ziemią, węglem na dowolnej powierzchni, kiedy tylko było odpowiednie oświetlenie.

Natomiast samemu Żeńce-Dawidowi światło to zrobiło

brzydkiego psikusa. Teraz jestem jeszcze bardziej przekonany, że komenda, którą usłyszał, brzmiała mniej więcej „wróć tu o świcie”. Pod pojęciem „świtu” chłopak musiał zrozumieć sztuczną zmianę dnia i nocy. Znaleźć się w całkowitej ciemności, zasnąć, potem się obudzić już w nowym świetle. Jednak zaszła tu zadziwiająca rzecz.

Dawid na swojej stacji ochraniał zegar. Obiekt strategiczny, oświetlony przez całą dobę. Po tym, jak Dawid wrócił z powierzchni, zupełnie przy tym nie pamiętając, że w ogóle gdzieś wychodził, przez następne cztery lata chłopak zwyczajnie ani razu nie był w ciemności. Nie pamiętał ani Elzy, ani Matuzalema, ani Metrogradu. Nie pamiętał, że był agentem generała. Znów był samym sobą, tym, za kogo się uważał, zanim został zwerbowany. Zwykłym robotnikiem Żeńką.

Przez cztery lata stał pod zegarem, tam też jadł i spał, nieustannie widząc światło, czując, że wokół niego trwa jeden niekończący się dzień. Czasem chodził do ubikacji lub pomóc znajomym w pracy. Ale ani razu przez ten cały czas nie zasypiał, znajdując się przy tym w ciemności. Trwało to aż do przedwczoraj, kiedy grupa dywersantów z sąsiedniej stacji Czerwony Chutor uszkodziła transformator i całkowicie odłączyła Boryspolską od prądu. Ochotnicy ze stacji zdołali odbić i naprawić transformator, posługując się w ciemnościach latarkami.

Żenia był z nimi. Lekko rany, lub raczej kontuzjowany, stracił przytomność.

I wtedy po raz pierwszy od czterech lat nałożyły się na siebie dwa czynniki: zasnął i dookoła było ciemno. Zegar biologiczny stwierdził noc. Leżący w jednej z licznych nisz tunelu Żeńka przyszedł do siebie. Być może przypomniał sobie o drugiej stronie swojej osobowości, że był stalkerem awanturnikiem o pseudonimie Dawid. Może nie pamiętał niczego. Ale z opóźnieniem przypomniał sobie swoje zadanie: wrócić do emitera „następnego dnia”.

I to właśnie zrobił. Znalazł swój skafander, który bez odpowiedniej konserwacji przez kilka lat zapleśniał. Nie

zapominajmy, że Dawida nie prowadził zdrowy rozsądek, ale hipnoza sprzed czterech lat, tak że wyszedł na powierzchnię ze starym sprzętem. Na górze prawdopodobnie błędził w poszukiwaniu emitera, póki nie poczuł się źle. Ostatecznie nie dotarł na miejsce, po drodze stracił przytomność, a potem znaleźli go stalkerzy Kondora prowadzący Baobaba.

– Wszystko się zgadza – skinął głową Kondor, nie opuściwszy ani jednego słowa z długiej opowieści nauczyciela.

– Resztę wszyscy w sumie pamiętacie – powiedział Jon. – Kiedy przywlekliście Dawida do Datapolis, naturalnie nikt go tam nie poznał. Oprócz Elzy, która mieszkała w lazarecie, dokąd przynieśliście chłopaka. W stolicy jest pełno różnych lamp tworzących grę światła i cieni. Przy odpowiednim oświetleniu Dawid nieco doszedł do siebie i zdołał nawet rozpoznać Elzę. Cyprys natomiast nie mógł pojąć, kogo ma przed sobą. Wiedział tylko, że to tajemniczy człowiek z powierzchni, błakający się nieopodal Kreszczatika w sfatygowanym skafandrze, co tworzyło wrażenie, jakby Dawid miał go na sobie bardzo długo. Cyprys słusznie przypuścił, że Dawid jest szpiegiem czerwonej linii. Żeby dokopać się do prawdy, zwierzchnik postanowił spróbować rozbudzić Elzę. Potrzebował do tego pomocy, co za zbieg okoliczności, Matuzalema, którego nikt nie podejrzewał o związki z Elzą i Dawidem.

Dziewczyna potrzebowała towarzysza podróży, tak więc Cyprys wezwał z Łukjanowskiej mnie w roli przewodnika. Jednak Cyprys musiał się też upewnić, że Dawid nie jest z Metrogradu. Mógł to zrobić, tylko zadając pytanie i podając opis wyglądu jeńca. Wysłał wiadomość do Szesta. Mam rację, prawda?

– Powiedzmy – burknął Szest z podłogi.

– Czyli mam. Tyle że przez te cztery lata Metrograd bardzo się zmienił. Generała Olszańskiego już nie ma, tak jak i grup zwiadowców. Jeśli o tych, które wędrowały po powierzchni, były jeszcze jakieś informacje, to o oddziale w podziemiach nikt nie wiedział. Ani o Elzie, ani o Dawidzie, ani o Matuzalemie nie pozostały żadne wieści. W każdym razie Cyprysowi dali do zrozumienia, że o Dawidzie nie słyszeli.

Szest uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

– Wiedzieliście przecież, że na dole działa tajna siatka generała, prawda? – spytał nauczyciel. – Ale nie wiedzieliście, kto to dokładnie jest. Ich pseudonimy nic wam nie mówiły, nie znaleźcie ich wyglądu. A jednak wiedzieliście o emiterach. Wiedzieliście, że istnieją. Bardzo chcieliście zdobyć choć jeden z nich.

– Przepraszam bardzo – zabrał głos Bocian. – A po kiego grzyba im emiterzy?

– A dlaczego runął system Olszańskiego? – zapytał z kolei Jon. – W jego czasach ludzie mogli liczyć na promienną przyszłość na powierzchni, na podbój otwartego świata, nowych ziem. Niektórzy ze zwiadowców generała nie korzystali nawet z masek oddechowych, tak bardzo uwierzyli w swoją wyższość, w swoją zdolność przetrwania. No i zapłacili za to. Praktycznie wszyscy zwiadowcy zmarli na różne choroby. Nieliczni wrócili z wypraw. Te cztery lata wiele wyjaśniły, na wiele rzeczy otworzyły oczy tym mieszkańcom Metrogradu, którzy wciąż mieszkali w centrum handlowym. Doszli do wniosku, że w najbliższej przyszłości nie zapowiada się, by mogli wyjść na słońce. I mogli rozszerzać terytorium tylko w jednym kierunku – w dół.

– Jak to? – zdziwił się Feniks. – Niby zdobyć Krzyż? W trzydziestu ludzi?

– Trzydziestu ludzi i emiter – poprawił go Jon.

– Więc o to chodzi – machnął ręką Feniks. – Teraz wiadomo, po co był im potrzebny twój Żeńka.

Siedzący na ziemi Szest sapał ze złością.

– Kiedy tylko Cyprys dał Metrogradowi znać, że znaleźli nieznanego faceta z powierzchni, Szest zrozumiał, w czym rzecz – powiedział Jon. – Szest wyłożył Cyprysowi, co i jak, że przez cały ten czas działali u nas szpiedzy. I dopiero po moim i Elzy wyjściu zwierzchnik domyślił się, że Dawid może być jednym z nich. Dogadał się z Szestem przez swoich pośredników i umówił na wydanie Dawida. Z tych samych powodów była im potrzebna Elza. Przecież jeśli rozpoznała Dawida, a on ją, to należeli do siatki. Dlatego szybko wystali za nami pogoń. Dwóch ludzi Metrogradu z rozkazem, by dogonić nas w tunelu, oto, kto

za nami szedł.

Jednak Cyprys zdążył wbić mi do paszportu pieczętkę otwierającą przede mną wszystkie drzwi. Być może zawczasu coś takiego podejrzewał, ponieważ ci, którzy za nami wyruszyli, takich pieczętek nie dostali. Jak wypadło zwierchnikowi, Cyprys ubezpieczał się, starając się wyprowadzić konflikt ze swojej stacji, nie wiedząc przy tym, po czyjej stronie lepiej stanąć. Tak że udało nam się umknąć.

A jednak Metrograd urządził na nas poważne polowanie. Wzbudził niesnaski na stacjach, żeby nas powstrzymać. Podburzył Scytię i Cymerię. Na Czerwonym Chutorze mieli już własne nieprzyjemności i nasza wyprawa nie była spacerkiem tam i z powrotem. Gdyby nie wasza pomoc, w życiu nie dotarlibyśmy do Matuzalema i z powrotem.

Co było dalej, nietrudno się domyślić. Po przekazaniu Dawida Szesz szybko wyciągnął od niego, gdzie znajduje się emiter. Tylko tak mogę wyjaśnić, dlaczego tu stoi to urządzenie. I wiem na pewno, że to właśnie broń psychotroniczna, ponieważ widziałem obudowę takiego samego aparatu w namiocie Matuzalema na Boryspolskiej. Mam rację, prawda?

Szesz wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo i paskudnie.

– Zuch z ciebie, brachu – powiedział, z trudem podnosząc się na nogi. – Prawie wszystko wykombinowałeś. Tyle że są jeszcze dwie ważne sprawy.

– Podzielisz się z nami? – zapytał Kondor.

– Chętnie. Przede wszystkim od tego waszego faceta ni cholery nie dało się niczego wyciągnąć. To coś, co tu stoi, jest u nas już od dawna. Ale działa tylko leczniczo. Odwołuje wydane polecenia. Z powrotem wstawia wszystkie klepki. I nie da się tym programować nowych zadań.

– Czyli to lekarstwo, a nie wirus – powiedział nauczyciel.

– Tak jakby. Chcieliśmy to wypróbować na tym typku, żeby mu odpuściło i zaprowadził nas do miejsca, gdzie odbiła mu szajba. Trzeba je tylko było podładować. Masz rację co do lamp, bo kiedy się ocknął, wyrwał mi kałacha i położył dwóch naszych. W życiu nie widziałem takiego wyszkolenia. Myślałem, że to dlatego, że

pokazaliśmy mu panienkę. A okazuje się, że trzeba było wyłączyć światło... tfu, zaraza, straciliśmy tylko chłopaków na darmo...

- Cyprys poinformował cię, że Elza i ja wróciliśmy? - zapytał Jon.

- Aha. Oddał ją bez żadnego ale.

Jon wspomniał pobitą Tatianę leżącą w swoim domu. Zacisnęły mu się pięści. Żeby tak teraz zetrzeć ten szyderczy uśmiezek z mordy Szesta...

- Niepotrzebnie tak do nas przyszliście z automatami - powiedział Szest. - Przecież chcieliśmy dobrze. Jeśli to coś działa, to dziewczyna i chłopak wyzdrowieją.

- No, to zaraz zobaczymy - powiedział Jon, spoglądając na emiter. Kiedy zobaczył go po raz pierwszy, migwały na nim dwie czerwone i dwie zielone lampki. Teraz wszystkie cztery świeciły się na zielono. Widocznie ładowanie skończyło się w czasie, gdy mówił.

- Emiter powinien już działać, koledzy - ciągnął Szest. - Możecie włączać. Jeśli można, chciałbym tylko posłuchać, co powie dziewczyna. Serio, chłopaki, bardzo mnie to ciekawi.

Kondor spojrział pytająco na nauczyciela.

- Tak, tak, oczywiście - powiedział Jon, kiwając głową. - Włączmy go.

Podszedł do emitera, obejrzał go z ponurą miną.

- Co, nie wiesz, jak to działa? - Szest uśmiechnął się. - Pokazać ci?

- Pokaż - zgodził się Jon, szykując automat. - Tylko bez głupich numerów. Jeśli to coś spróbuje nas hipnotyzować, ty pierwszy będziesz tu leżeć.

Wróbel rozciął plastik na przegubach Szestakowa i przywódca Metrogradu przeciągnął się.

- Ależ spokojnie - powiedział. - Gdyby to coś pomagało rządzić światem, to wiecie, co bym robił?

- Co?

- Rządziłbym światem.

Nachyliwszy się nad maszyną, Szest przekręcił dwie gałki i przytrzymał przez chwilę przycisk z boku.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że przegapiłeś dwa momenty? – odezwał się, spoglądając na nauczyciela.

– Tak, pamiętam. O pierwszym opowiedziałeś. A jaki jest drugi?

– No... – Szest wzruszył ramionami i Jona ogarnęło straszne podejrzenie. – Jeszcze się nie domyśliłeś? W trójkach generała nigdy nie służyli starcy.

– Co?

– Twój Matuzalem nie był członkiem tajnej grupy szpiegów – oznajmił Szest i puścił oko. – Myślisz, że niczego o tobie nie wiemy, nauczycielu Jonie? Nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego cztery lata temu nagle olśniło cię, że trzeba otworzyć szkołę?

Jon spojrział z zaskoczeniem w oczy Elzie, wyczuwając obecność Dawida za swoim prawym ramieniem. Wtedy ostatecznie zrozumiał całą prawdę i zanim emiter wydał nieznośnie wysoki pisk, zdał sobie sprawę, że w obecności tej dwójki czuje się aż nazbyt naturalnie.



## ROZDZIAŁ 6

### Numer pierwszy

- Dawid.
- Powiedz jeszcze raz.
- Dawid.

Oczy dziewczyny prawie kryły się za maską. Głos wydawał się przytłumiony. Wzbijający chmurę pyłu wiatr dławił niemal wszystkie odgłosy.

- Wreszcie zapamiętałaś. - Dawid uśmiechnął się, obracając w dłoniach kompas. Przy takiej słabej widoczności nie można było się bez niego obyć.

- Masz przecież normalne imię - powiedziała dziewczyna. - Po co ci pseudonim?

- Dlatego że Pierwszy, Drugi, Trzeci brzmi banalnie - odparł Dawid. - A poza tym jak mamy wtedy mówić do dziadka? Numer Cztery czy Numer Zero?

- Mówcie mi Matuzalem, tak jak prosiłem - powiedział mężczyzna, który nagle wyszedł zza zasłony pyłu. Skafander wyglądał na nim niezgrabnie i wyraźnie krępował ruchy. - Schowaj kompas. Nie pomoże ci tu, jeśli zabłądzisz. Trzymajcie się mnie.

- A na pewno pamiętasz, dokąd iść? Wszystko jest zburzone.

- Miejski teren trudniej zmienić niż leśny - odparł Matuzalem. - Miasto to kompleks kwartałów ulic. Jeśli zachowa się choć jeden, można uznać, że punkty orientacyjne już są. Idźcie za mną. A gdzie wasz przyjaciel?

- Dobre pytanie. - Dawid skinął głową.

Przyłożył dłoń do hełmu, nacisnął przycisk, włączając radio.

- Dawid wzywa Jona - powiedział z półuśmiechem. - Gdzie jesteś, Jon?

Puścił przycisk i odczekał.

– Numer Trzeci wzywa Numer Pierwszy – powiedział Dawid odrobinę głośniej.

Zza pleców Matuzalema wytoczył się tajemniczy przedmiot półmetrowej wysokości. Dawid zatrzymał go nogą, natychmiast chwycił Elzę i odwrócił się.

Matuzalem patrzył w milczeniu na to, co się wytoczyło – starą poszarpaną oponę ze śladami kłów chartów.

– Reagujecie nieprawidłowo – odezwał się głośno i wyraźnie Numer Pierwszy, wyłaniając się z tej samej strony co opona. – A gdyby to była bomba? Tym, że zasłoniłeś swoją dziewczynę własnym ciałem, nic byś jej nie pomógł. No, a ty? – odwrócił się do Matuzalema. – Stałeś jak kołek? Tak nie wolno. Nie uczyli was choćby padać i zasłaniać głowę rękami? Nie mówię już o tym, żeby nakryć ciałem bombę. Byłeś w swoim czasie w wojsku?

– Moja wina – powiedział Matuzalem. – Weź poprawkę na mój wiek. Nie mam już takiego refleksu. A poza tym jestem człowiekiem nauki.

– Naukę szanuję – stwierdził Jon. – Gdybym żył w waszych czasach, może poświęciłbym się nauce. Ale jest jak jest. A wy dwoje co powiecie? Też mam wziąć poprawkę na wiek?

Elza patrzyła na Jona kilka długich chwil. Odwróciła się, wtuliła twarz w masce w pierś Dawida. Ten ze śmiechem przytulił ją do siebie.

– Wyluzuj, bracie – powiedział. – Z tamtej strony nie mógł przylecieć żaden granat. Przecież ty tam byłeś. Osłaniałeś nas. Pamiętałem o tym. A w ogóle kończ te swoje sprawdziany, Elzę straszysz.

– W Datapolis strachliwi długo nie żyją – powiedział Jon, ledwie zaszczyciwszy Elzę spojrzeniem. – Matuzalem, daleko jeszcze?

– Jesteśmy prawie na miejscu – odparł człowiek nauki. – Jeszcze minuta. Gdyby nie ten wasz cyrk, już byśmy tam byli.

– W takim razie tym bardziej nie wolno nam się rozluźniać. Poległo niedawno dwóch naszych. Wiecie jak? Mieli wartę na dachu Guliwera, zagapili się i obu ich porwał wespertyl. Na czterdzieści sekund do zmiany warty. Jednego, co prawda, od razu upuścił i facet leciał w dół bardzo głośno.

– Skąd miałbyś o tym wiedzieć? – zapytał Matuzalem, powoli przestępując i patrząc na resztki rozbitego asfaltu na popękanej ziemi. – Przecież całe życie spędziłeś w metrze. Kiedy ci ludzie stali się dla ciebie „swoi”? Ile razy wychodziłeś na powierzchnię?

– Teraz jest czwarty – powiedział Jon, przecierając palcem w rękawicy okular celownika.

– Czwarty? – Matuzalem pokręcił głową. – Młody człowieku, nie sądzę, żebyś wiedział, co to takiego świat zewnętrzny. Tak, ja sam jestem tu drugi raz po Katastrofie, ale prawie czterdzieści lat spędziłem na ulicach przed wojną. A mimo to nie uważam, że mogę rozkazywać ludziom, jak mają się zachowywać.

– Słusznie, że nie uważasz. Dlatego jesteś przewodnikiem.

Jon odwrócił się.

– Elza! – zawołał.

Dawid przystanął, trzymając dziewczynę za rękę.

– Wybacz – powiedział Jon. – Żart z kołem był głupi, nie chciałem cię wystraszyć.

– Przecież nie wystraszyłeś, spokojnie – powiedział Dawid, patrząc na Elzę.

Zimne spojrzenie dziewczyny mówiło o jej uczuciach głośniejsze niż słowa.

– Wszystko w porządku – oznajmiła w końcu Elza. Wsunęła rękę do przedniej kieszeni kombinezonu. Spojrzała na Dawida pytająco.

– Co? – zapytał chłopak.

– Notatnik jest u ciebie?

– Nie.

– Cholera. Pewnie zapomniałam.

– A co chciałaś?

– Narysować plan dojścia tutaj.

– Mogę po prostu podać wam adres – przypomniał Matuzalem.

– Zapomniałeś, że zewnętrzny świat się zmienił? – zapytał Jon. – Adres niczego nam nie powie. Potrzebne są punkty orientacyjne. Elza ma rację. Masz na czym pisać?

– Ja mam – Matuzalem wyjął z kieszeni nieco sfatygowaną książkę i długopis. – W innych okolicznościach bym wam

odmówił, ale uznajmy, że ta chwila jest tego warta.

Elza wzięła obie rzeczy z jego rąk, przypatrzyła się tytułowi.

– *Flora* – przeczytała. – Co to takiego?

– Tylko proszę nie rysować na okładce – powiedział Matuzalem.

Elza otworzył książkę na zakładce i zaczęła szybko coś kreślić prostymi liniami.

– Wiecie, co myślę? – zapytał Dawid.

– Oczywiście – kiwnął głową Jon. – Przecież czytamy ci w myślach.

– No, to czytaj, co następuje: generał powinien był skrzyknąć grupę chłopaków, którzy narysowaliby mapę współczesnego miasta. Stare mapy są już bezużyteczne, a nowych nie stworzono. Przejadło mi się już orientowanie się według drogowskazów do Metrogradu. A jeśli będzie noc albo mgła, to koniec. Zabłądzisz między tymi kupami kamieni.

– Generał nigdy się tym nie zajmie – powiedział Matuzalem.

– Dlaczego? – zapytał Jon.

– Generał Olszański, tak jak i ja, ma swoje lata. Jak każdy, kto pamięta świat sprzed Katastrofy, nie chce tracić tej przewagi. Potrafi znaleźć drogę we współczesnym Kijowie. Ja też potrafię. Wy nie. Pozostali mieszkańcy Metrogradu też nie potrafią. Ani większość ludności Krzyża. Jak tylko młodzi zdobędą wiedzę starych, starzy staną się niepotrzebni.

– Rozumiem – powiedział Jon. – Przemawia przez ciebie instynkt samozachowawczy. Nie mam więcej pytań.

Elza niechętnie zabrała głos:

– Podobno Ptaki postanowiły zrobić taką mapę.

– Tak? – odwrócił się do niej Jon. – Niczego o tym nie słyszałem. Kto ci to powiedział?

– Słuchaj więcej. Siedzisz sobie na swojej Łukjanowskiej, skręcasz rury na plantacjach. Zająłbyś się czymś pożytecznym.

– Czym? Pracuję na stacji zajmującej się produkcją żywności. Jest jakieś bardziej pożyteczne zajęcie?

– No rzeczywiście, jakie? – skrzywiła się Elza. – Jesteś przecież amatorem dzieci.

– Mam z Daszą przyjacielskie stosunki. A poza tym ona nie jest

dzieckiem. Ma czternaście lat.

- Czternaście? - Matuzalem popatrzył na niego ze zdziwieniem. - No tak, świat się mocno zmienił. W średniowieczu, rzecz jasna, był to wiek ślubny. W moich czasach czternastoletnie dziewczynki mogły co najwyżej...

- No co? - przerwała mu Elza. - Opowiedz mi, o mądry znawco średniowiecza i kijowskich ulic, co może i czego nie może czternastoletnia dziewczynka? Chętnie dowiem się czegoś nowego.

- Ja nie... - Matuzalem westchnął. - Chcę po prostu powiedzieć, że to wiek dziecięcy.

- Sądzę, że w waszych czasach dłużej się żyło - powiedział Jon. - Mielicie prawo do długiego dzieciństwa. Myślisz, że wszyscy dociągniemy do twojego wieku?

- Jeśli będziecie siedzieć w metrze, na pewno wam się to nie uda. Jeśli nie wyjdziecie na powierzchnię, wyrzecie na długo przed pierwszym siwym włosem. Tymczasem jesteśmy już na miejscu. Elza, piszesz? To „Sto Jeden”.

- „Sto Jeden” - powtórzyła Elza. - Rozumiem.

Jej cienkie palce trzymające długopis szybko fruwały nad stroną *Flory*, wyrysowując coś w rodzaju mapy z konturami ocalałych fragmentów ulic.

- Pisz wyraźniej - poradził Dawid, zaglądając jej przez ramię. - Nie wiadomo, że to „sto jeden”. Przypomina kreski i kółka.

- Odwal się, co?

- Ale ja mówię poważnie. Zera i jedyneki nie są potrzebne. Lepiej napisz słownie. Jeszcze nasi potomkowie wezmą to za kod dwójkowy.

- Generał Olszański powinien pamiętać, co to takiego „Sto Jeden” - powiedział Matuzalem, spoglądając na budynek. - Kiedyś było to centrum biznesowe. Wtedy miało więcej pięter. Teraz, jak widzicie, jest tu kupa gruzu. Ale wejścia powinny zostać.

- Po co mamy tam iść? - zapytał Jon.

- Bo ono tam jest. Zejście na czerwoną linię. Nie ma go na żadnych mapach. Testowano tu pierwszy generator szumu

torsyjnego. Zdemontowali go przed Katastrofą.

– Na pewno?

– Powinni byli. Takimi rzeczami się nie szasta. Nadciągała wojna, potrzebne były wszystkie działające jednostki.

Jon odwrócił się, spojrzał na północ.

– Coś tu się nie zgadza – powiedział. – Linia czerwona pod nami nie prowadzi. Jest na północny zachód od nas.

– Pod nami biegnie jej tajna odnoga – wyjaśnił Matuzalem. – Od razu za dworcem zaczynał się tunel na południe, na odległość mniej więcej jednego przystanku metra. Kończył się akurat pod 101 Tower.

– Tajny projekt czy co?

– Jaki tam tajny? Wszystkie tajne projekty wcześniej czy później stają się dobrze znane. To, co pozostaje nieznanie, to rzeczy, którym nikt nie nadaje znaczenia. To prawda, pod nami leży tunel prowadzący do czerwonej linii. Z tamtej strony jest zablokowany przez kamienny mur i zabetonowany dla niepoznaki. Stamtąd nie domyślisz się, gdzie dokładnie jest przejście. Ale z naszej strony można z łatwością znaleźć i przebić tę ścianę.

– A jak mamy zejść?

– I to jest już rzeczowe pytanie – odezwał się Matuzalem. Podszedł do ściany i zaczął w nią lekko stukać.

– Co robisz?

– Młody człowieku, prawdopodobnie wyobrażasz sobie zejście jako zawałone odłamkami drzwi? Wszystko jest znacznie prostsze, jeśli się wie, czego szukać.

Gdy Matuzalem znalazł właściwą płytkę, stuknął w nią parę razy, kiwnął sam sobie głową, wyciągnął nóż i zaczął dłubać. Stara fuga poddawała się z trudem.

– Gotowe – powiedział, otwierając sprytnie ukryte drzwiczki, za którymi ukazała się brudna dźwignia. – Mówiłem przecież. Najciemniej jest pod latarnią.

Jon podszedł bliżej, spojrzał na dźwignię.

– Ta część ściany odsuwa się na bok – powiedział Matuzalem. – Jest tam bardzo solidny mechanizm, który ją otwiera. Trzeba

tylko trochę go podładować. No dobra, spróbujmy.

Matuzalem chwycił dźwignię obiema rękami i z trudem obrócił ją zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Pomóc? – spytał Jon.

– Nie, ja sam. Jest tu specjalna ładowarka. Jeszcze odrobinę i będzie gotowe... zaczekajcie chwilę.

Nagle Elza złapała się za głowę, krzyknęła i usiadła na ziemi. Dawid złapał ją, ale sam zajęczał z bólu.

– Co to?! – zapytał Jon, opierając się o ścianę, żeby nie upaść.

Matuzalem nie przewrócił się tylko dlatego, że uchwycił się dźwigni, ale natychmiast ją puścił, cofając się z przerażeniem.

– Pułapka – mruknął. – Więc tak... wszystkich boli głowa?

– Łeb mi pęka – przyznał Dawid. – Co ty nawyrabiałeś?

– Niech to szlag... – Matuzalem się otrząsnął. – Słuchajcie, pomyliłem się. Instalacja jest gdzieś niedaleko i działa. Nie usunęli jej. Nie wiedziałem, że podłączyli ją do mechanizmu otwierającego drzwi. Zadziałała, kiedy nacisnąłem... Trzeba uciekać.

– Gdzie tu jest przejście?! – zawołał Jon, z całej siły przyciskając maskę do twarzy. – Trzeba oznaczyć miejsce, postawić krzyż czy coś.

– Milczcie! Inaczej wszyscy oszalejecie!

Ból stawał się silniejszy. Jon szarpnął rzep kieszeni, wyciągnął apteczkę, kliknął pomarańczową pokrywką. Wyjął gotową strzykawkę z adrenaliną i szybko wbił sobie w żyłę na szyi. Dawka była nieduża, ale zadziałała od razu.

– Czyli uciekamy – powiedział, mocno stając na nogi. – Dawid, Elza... trzeba spadać.

– Milczcie – wyjęczał Matuzalem. – Wszystko, co powiecie, może... Boże, będę miał zawał. Trzeba zachować notatki.

Matuzalem dowlóknął się do Elzy, złapał *Florę*. Sycząc z bólu i wściekłości, Elza złapała za długopis, którym dotąd pisała, i wbiła go Matuzalemowi w nadgarstek. Nie wypuścił jednak książki.

– Trzeba zapomnieć o tym miejscu – powiedział Dawid głucho. – Co ty robisz?

– Zniszcz ją – wyjęczała Elza. – Wyrwij kartkę! Wyrwij tę kartkę!  
– Milcz, głupia dziewczyno! – ryknął Matuzalem, łapiąc ustami powietrze, które podawała mu maska. – Milcz, idiotko! Nic nie wiesz! Milcz, małaletnia kretynko! Jesteś jeszcze dzieckiem! Nie wiesz, co się dzieje!

Elza położyła się na ziemi. Przez jej ciało przebiegły lekkie konwulsje.

– Co z tobą? – spytał z przestachem Dawid, kładąc dziewczynie rękę pod głowę. – Co to? Jon, pomóż!

– Zostało jej wydane polecenie – odezwał się Matuzalem z przerażeniem. – Ja nie chciałem. Wybaczcie mi. Nie pozwólcie sobie zapomnieć. Ej, ty!

Dawid odwrócił się do niego.

– Koniecznie musisz tu wrócić – powiedział Matuzalem, starając się zwalczyć drżenie rąk. – Wróć, jak tylko będziesz mógł. Wróć od razu po przebudzeniu.

Dawid jakoś dziwnie popatrzył i kiwnął głową.

Jon zrobił krok w jego kierunku. Matuzalem złapał go za nogę, podając mu *Florę*.

– Zachowaj tę książkę – wydusił. – Nie pozwól, żeby te stronicy przepadły. Wsuń między moje książki w stolicy. Niech tam przetrwa, dopóki ktoś jej nie znajdzie...

– Zrozumiałem – powiedział Jon, chowając książkę do kieszeni. – Schowam u siebie.

– Nie! Nie u siebie! Nie będziesz pamiętał, że tu byliśmy! Możemy zapomnieć całe swoje życie! Zapomnimy, że się znamy!

– Będę pamiętał własne polecenie.

– Nie! Nie wiadomo, jak będzie, a ty nie możesz tego teraz wiedzieć!

Matuzalem dalej krzyczał jakieś rzeczy bez związku. Nie słuchając go, Jon nachylił się nad Dawidem i Elzą. Spróbował podnieść oboje naraz.

– Idziemy – rozkazał. – Wracamy do domu. Operacja zakończona.

Elza spróbowała go odepchnąć.

– Odwal się ode mnie, bydlaku – wydusiła. – Spadaj zajmować



się dziećmi, tak jak lubisz.

Głowę Jona przeszył impuls takiego bólu, że zostawił przyjaciół i padł na ziemię, mocno uderzając się w ramię. Serce niemal wyrwało mu się spod żeber, wałąc jak oszalałe od mieszanki bólu z adrenaliną. Mimo to zaraz potem Jon zerwał się, zaczął wlec Dawida i Elzę po ziemi, starając się nie słuchać huczenia w głowie. Po kilkudziesięciu metrach siły go opuściły. Jon upadł, słysząc tylko własny głośny oddech.

Elza nieco się uniosła, wczepiła się Dawidowi w kołnierz, stuknęła czołem o wizjer jego maski.

– Przypomnij mnie sobie – powiedziała. – Cokolwiek się stanie, kiedy mnie zobaczysz, proszę, przypomnij sobie, kim jestem.

– Obiecuję – oznajmił Dawid, obejmując Elzę. – Moja Elza.

– Dawid...

## ROZDZIAŁ 7

### Decyzja

– Jon!

Na jego ramię spadła twarda ręka. Jon drgnął, rozejrzał się dookoła. Przed nim stał Kondor, patrząc z niepokojem.

– Doszedłeś do siebie? No jasne, nie minęła nawet godzina. Musieliśmy cię wlec na powierzchnię. Jak się czujesz?

Jon rozejrzał się. Ciasne korytarze Metrogradu zniknęły. Stał na ścieżce, nad którą kłębiła się lekka mgła. Jon jeszcze długo gapił się wokół, zanim znów udało mu się odzyskać świadomość siebie. Wstawał już świt – taki nieznamy, niepojęty, ale jednocześnie dodający otuchy, jakby przypominając, że nadejdzie jednak nowy dzień. I żadne wojny tego nie zmieniają.

Za plecami Kondora stali jego stalkerzy. Obok nich – przytuleni do siebie Dawid i Elza. Jon potarł sobie przedramię, czując, że zaczęły go boleć siniaki od chwytu Elzy.

– Moje siódme wyjście na powierzchnię... – mruknął.

– Co? – spytał Kondor. – Co powiedziałeś?

– Nie trzecie, jak niedawno myślałem. Siódme.

– Co pamiętasz?

– Pamiętam wszystko – odparł Jon, nie próbując już panować nad szokiem, pozwalając mu samodzielnie poukładać wszystkie kawałki jego umysłu na właściwe miejsca. – Pamiętam wszystko. I ostatnie cztery lata, i wszystkie poprzednie.

– Czyli ta maszyna działa – powiedział stalker. – Teraz możemy się nie obawiać kontroli umysłów.

– Wybieracie się tam? Do „Sto Jeden”?

– Tak. Ale nie martw się. Jeśli chcesz, odprowadzimy cię do metra. Rozumiem, że za dużo na ciebie spadło. Zuch z ciebie. Pośpisz, przyzwyczaisz się i zrozumiesz, że teraz jesteś, jak by to powiedzieć... kompletny.

Jon przeszedł obok niego do Elzy i Dawida, zatrzymał się obok nich, przenosząc wzrok z chłopaka na dziewczynę i z powrotem, nie znajdując słów.

– Tak. – Dawid kiwnął mu. – Ja też czuję się bardzo głupio. Ale cokolwiek obaj przeżyliśmy, to wszystko bzdety w porównaniu z tym, czego doświadczyła ona.

Elza chwyciła Jona za rękę i tym razem, czując jej dotyk, nauczyciel, tajny stalker Metrogradu, Numer Pierwszy w trójce zwiadowców generała Olszańskiego, wzdrygnął się tak, że zastrzyk z adrenaliny sprzed czterech lat wrócił ze stukrotną siłą.

Elza wyrzucił z siebie kilka niezrozumiałych słów. Płakała, potrząsała głową z rozpaczą.

– Wciąż jeszcze ciężko jej mówić – powiedział Dawid i jego podbródek zadrżał. – Po tylu latach...

– Dziękuję – odezwała się Elza, obejmując Jona.

– Tak, tak, moja dziewczynko – powiedział Jon, czując, jak łamię mu się głos. – Wszystko rozumiem. Albo obiecuję, że postaram się zrozumieć.

Jon spojrzął na Dawida ponad głową Elzy i podał mu rękę, którą chłopak od razu uścisnął.

– To była długa przechadzka, prawda? – powiedział Jon i uśmiechnął się. – Powodzenia, Żenia. Dla ciebie i dla niej.

– Dziękuję za wszystko, bracie – powiedział Dawid. – Zabieram Elzę na Boryspolską. Myślę, że ją tam przyjmą. Jeśli nikt nie zajął mojego miejsca pod zegarem. Chociaż niech go szlag, ten zegar. I tak żyjemy tylko dziś.

– Powodzenia – powiedział Jon. – Kiedyś się spotkamy.

Stojący obok Bocian zatrzasnął *Florę*, którą dotąd przeglądał, i schował podręcznik w kieszeni kamizelki taktycznej.

– To chyba wszystko – powiedział. – Tu nasze drogi się rozchodzą.

– Po co będziecie szukać „Sto Jedynek”? – zapytał Jon.

– A dlaczego nie? Jesteśmy stalkerami. Na tym polega nasze zadanie. Teraz mamy normalny, przynajmniej konkretny cel. Dotrzesz do swojej Łukjanowskiej?

Jon wciąż patrzył na wschód słońca. Ostrożnie odsunął od

siebie Elżę, pieszczotliwie poklepał ją po głowie przez kaptur ochronny.

– Obiecałem ci, że będę się troszczyć o dzieci – powiedział. – Nie widzę sensu, żebym przestał. Muszę nauczyć je, jak szukać samodzielnie.

– Więc idziesz z Ptakami? – spytał Dawid.

Jon obrócił się do Kondora. Dowódca stalkerów uśmiechnął się i skinął głową.

– Tak, idę z nimi – powiedział Jon. – Tu będę Numerem Sześć, ale przynajmniej z nimi będę lecieć we właściwym kierunku.

– Co to zmieni, jeśli znajdziesz czerwonych? Wykopiesz tylko nową norę.

– Nie zamierzam kopać nor – odparł Jon, podchodząc do stalkerów. – Szukam dla dzieci uwolnienia od starych strachów. Nieulekłe, same znajdą sobie nowy dom.

Dawid podniósł rękę na pożegnanie. Jon odpowiedział takim samym gestem i poszedł za stalkerami, stąpając po śladach Kondora. Po chwili zachciało mu się odwrócić, sprawdzić, czy Dawid z Elżą zniknęli.

Ale tego nie zrobił. Chwycił tylko mocniej automat i zaczął iść pewniejszym krokiem.



Dzień dobry wszystkim... a może dobry wieczór... zależy, co pokazują wasze stacyjne zegary. Dobra, jeśli obecny czas wydaje wam się nieodpowiedni, nauczcie się popychać wskazówki. Przydatna umiejętność.

Pomysł powieści, którą trzymacie w dłoniach (albo czytacie na rozładującym się zbyt szybko tablecie) powstał w odległym 2010 roku, jeszcze przed utworzeniem Uniwersum, był to oderwany od wszystkiego szkic. Pamiętam, że parę lat przedtem jeden z moich znajomych mrugnął do mnie konspiracyjnie i pokazał mi książkę z zielonymi ludzikami w tunelu i szczurami na pierwszym planie. Na moje pytanie, co to, odparł:

– Co ty, nigdy nie słyszałeś o *Metrze 2033*?! Przecież to najlepsza książka o stalkerze!

Tak zetknąłem się z początkiem wszystkiego, w tym z wcześniejszą wersją, z zakończeniem „różnie bywa”. Byłem pewnie jednym z niewielu, którzy nie widzieli w tym finale niczego niezwykłego. Bohater powieści nie ma przecież obowiązku przeżyć – ma obowiązek się spełnić. Zrozumieć jakąś prawdę i dojść do sensownego wniosku – choćby jednego. Tak właśnie się stało.

Następna, klasyczna edycja *Metra 2033*, mimo objętości i bardziej optymistycznego finału, nie skłoniła mnie do stworzenia w głowie „własnego metra”. Za to wersja zakończona śmiercią głównego bohatera z niemal naturalnych (według norm świata książki) przyczyn – to uczyniła. Od razu dopadły mnie wątpliwości: no nie, podróże po stacjach niekoniecznie muszą się kończyć w ten sposób, powinny przecież istnieć i inne drogi...

Do chwili, gdy dla książki wymyśliłem już tytuł, nie miałem jeszcze wizji miasta, w którym chciałbym umieścić tę historię. Tę kwestię trzeba było wreszcie rozwiązać, kiedy stało się jasne, że nie tylko w tunelach będą rozgrywać się losy postaci. Natomiast miałem już wtedy pomysł na „nieznane za murem”. Dlaczego ludzie boją się gości z zamorskich krajów? Ten strach doprowadził już świat do katastrofy, po co robić drugie podejście? Znacznie straszniejszy jest wróg na sąsiedniej stacji, szczególnie gdy nie wiesz, czy w ogóle on istnieje, czy to tylko twój cień.

Tak pisanie powieści posuwało się naprzód – balansując między światłem a cieniem. Mijał czas, liczba książek w *Universum* przekroczyła dziesięć pozycji, potem drugie dziesięć, kolejne i kolejne... Zmieniały się kanony, założenia, reguły, świat przedstawiony. A powieść rozwijała się jakby sama. Niektóre rozdziały odnoszą się do roku 2010, inne do 2017.

Tak, tak długo to trwało. *Czerwony Wariant* to nie jest moje najdłuższe pisane dzieło, ale zdecydowanie najbardziej kapryśne. Znacie to uczucie, kiedy siadacie do pracy z jednym ogólnym pomysłem, a w miarę pisania książka proponuje inny? Ja – nie.

W jedenastu powieściach, które napisałem wcześniej, wszystko było obmyślane do najdrobniejszego szczegółu już na etapie tworzenia fabuły. Tymczasem *Czerwony Wariant* całymi latami dojrzywał gdzieś wśród entropii wszechświata niczym wino w przytulnej beczulce, spoglądając na moje analizy sposobów pokazania charakterów, scen, trików i łuków narracyjnych w innych książkach, żeby we właściwej chwili nagle wytrysnąć gejzerem propozycji na własny temat. I jedna z nich była taka: a może nie trzeba robić z tej książki kolejnej sensacji? Nie chcesz, autorze, napisać o niuansach stosunków ekonomicznych?

Tak też się stało. Książka wytyczyła mi linię, której starałem się trzymać. Dość tych oczywistych obrazów w rodzaju ponurych brodaczy z automatami, handlu opartego na prymitywnym barterze i postrzegania każdej przedstawicielki płci przeciwnej przez pryzmat kopulacji. To wszystko były chwilowe nastroje samotników. Mnie natomiast zainteresowało stworzenie społeczeństwa, które jest wypadkową różnych kierunków, tradycji, opinii i improwizacji. Społeczeństwa, w którym nagle spotkany uzbrojony najemnik nie zacznie do ciebie strzelać, ale pomoże ci się obronić przed skrzydlatym potworem – żeby na przykład nałożyć na ciebie pewne zobowiązanie. Gdzie w zamian za usługę można obiecać spełnienie najskrytszego marzenia, chociaż po jej wykonaniu marzenie może stracić aktualność.

Tło książka wyznaczyła sama, już po powstaniu ostatecznej fabuły. Niech w *Uniwersum Metro 2033* pompy i filtry powietrza działają wiecznie, a nie kilka dni – to akurat normalne, przecież wszyscy wiemy, że nie ma nic bardziej trwałego od prowizorki. Ale czy można tak samo podchodzić do ludzkiej psychiki? Nie da się wiecznie włóczyć z automatem i w masce przeciwgazowej. Nie da się zamykać drzwi na stację przed każdym obcym. Człowiek jest tak skonstruowany, że zawsze będzie szukać drogi na górę i jedna z nich polega na tym, by uczyć się zdejmować palec ze spustu i otwierać zasuwy, słysząc pukanie. Dlatego że może idzie do ciebie właśnie ten, kto wskaże ci schody do nieba. Dlatego w kijowskim Krzyżu starcie zbrojne jest niezwykle rzadkim zjawiskiem. W Krzyżu nie panuje jakiś plemienny

porządek, ale już System, a ten umie ukształtować człowieka staranniejszą niż gromada szamanów przy ognisku. Przejście przez metro tam i z powrotem z bronią i zależnym od ciebie drogim ci człowiekiem jest zupełnie możliwe. Sprawdź tylko, czy masz zawiązane sznurówki.

Nie da się wiecznie walczyć o przetrwanie, tak jak nie da się wiecznie bujać w kołysce.

Przeżyć jest łatwo. Żyć trudno.

Ale trzeba.

Siergiej Niedorub



# METRO W KIJOWIE 2033-2035





## **UNIwersum METRO 2033**

PORTAL MIŁOŚNIKÓW KSIĄŻEK Z SERII METRO 2033

Bądź na bieżąco z wydarzeniami  
związanymi z postapokaliptycznym światem  
Dmitrija Glukhovskiy'ego.